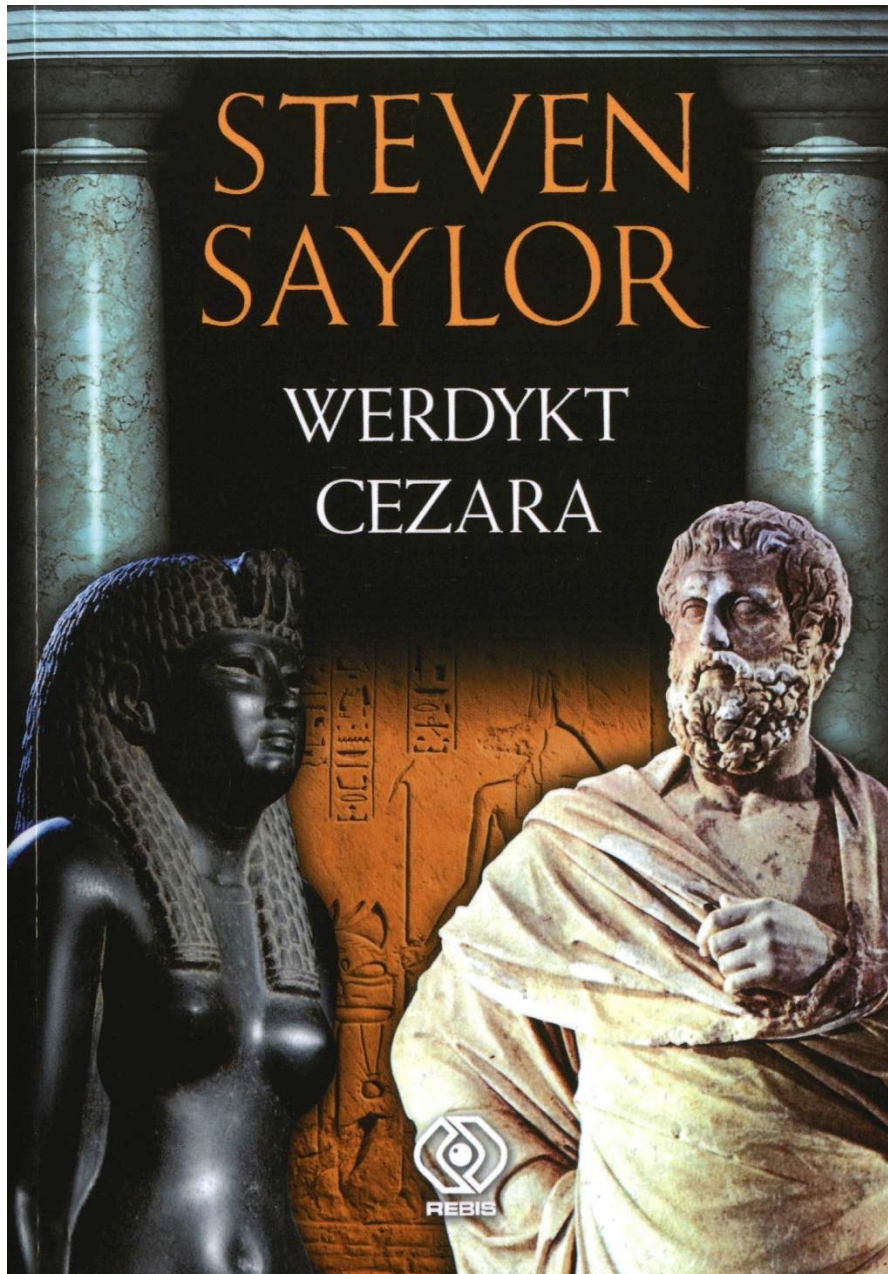




Cykl ROMA SUB ROSA



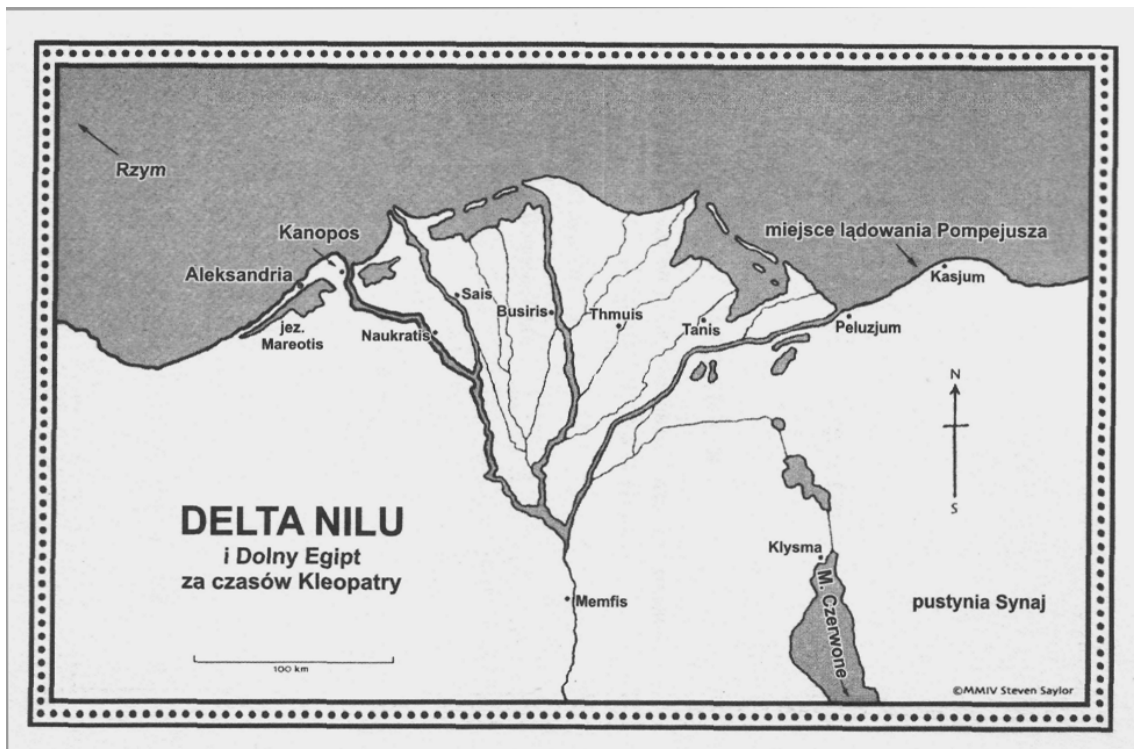
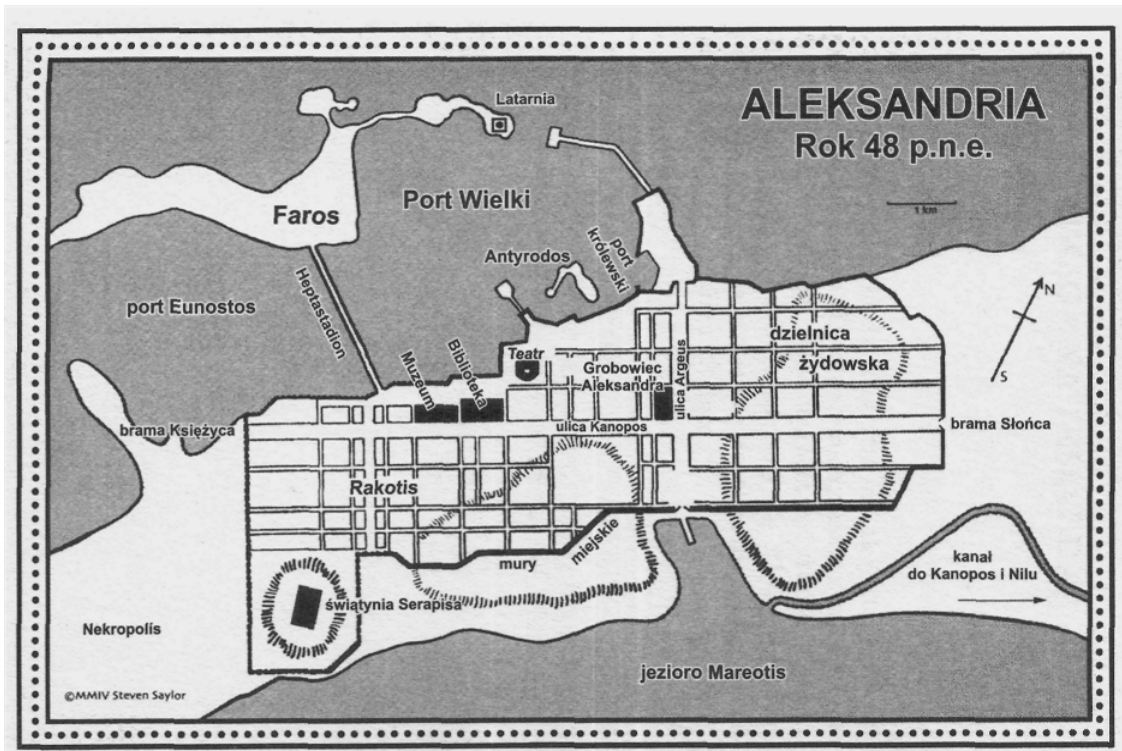
tom 11 - Werdykt Cezara



Księgozbiór DiGG



2009





## ROZDZIAŁ 1

-O, tam! Widzisz? To latarnia!

Bethesda chwyciła mnie za ramię i wskazała iskierkę światła majaczącą na horyzoncie. Było jeszcze ciemno, choć do świtu pozostała może tylko godzina. Pod stopami czułem łagodne kołysanie pokładu. Zmrużywszy oczy, spojrzałem w tamtą stronę. Tej nocy Bethesda nie mogła zasnąć, oczekując niecierpliwie chwili, w której zobaczy wielką latarnię aleksandryjską. Nagabywany przez nią kapitan powiedział już poprzedniego wieczoru, że „lada chwila może się pojawić”; Bethesda zajęła więc pozycję na dziobie statku i prawie nie odrywała wzroku od południowego horyzontu, gdzie zielonkawe morze styka się z lazurowym niebem. Lazur przeszedł z wolna w najciemniejszy fiolet, a później w czerń upstrzoną gwiazdami, rzucającymi mdłą poświatę na równie czarną powierzchnię morza. Księżycowy rogalik przewędrował swoim conocnym szlakiem, a latarni wciąż nie było widać. Wyglądało na to, że do Aleksandrii było dalej, niż twierdził kapitan, niemniej ufałem jego nawigacji. Nasza podróż z Rzymu jak dotąd przebiegała spokojnie i szybko, a nawet ja się zorientowałem po gwiazdach, że płyniemy teraz na południe. Stały wiatr od rufy popychał nas przez spokojne morze prosto w kierunku Egiptu.

Całą noc czuwałem wraz z Bethesdą. Było ciepło, ale od czasu do czasu chwycił ją dreszcz, a ja tuliłem ją wtedy do siebie. Dawno, dawno temu odплыliśmy z Aleksandrii, godzinami obserwując, jak latarnia maleje na naszych oczach, a potem jej światło słabnie i wreszcie znika zupełnie z pola widzenia. Teraz powracaliśmy do miasta naszej młodości, znów stojąc razem na pokładzie i wypatrując na horyzoncie tego samego nigdy nie gasnącego płomienia.

- Tam! - szepnęła znowu.

Niepewnie zmrużyłem powieki. Może to tylko wschodząca gwiazda migocze tuż nad linią wody? Ale nie, światło było zbyt stabilne i z każdą chwilą stawało się coraz jaśniejsze.

- Faros... - wyszeptałem.

Tak się nazywała sama latarnia - najstarsza i nie mająca równych na świecie - a także wyspa, na której ją zbudowano. Jej płomień, najjaśniejszy z rozpalonych ludzką ręką, na szczycie najwyższej wieży, jaką kiedykolwiek wzniesiono, od stuleci wskazuje statkom drogę do Aleksandrii.

- Aleksandria! - zawtórowała mi Bethesda.

Aleksandria... Tam przyszła na świat i tam też, jako młody mężczyzna, spotkałem ją podczas jednej ze swoich podróży. Zabrałem ją ze sobą do Rzymu i żadne z nas już do Egiptu nie wróciło. Aleksandrii jednak nie da się zapomnieć. Później często śniły mi się jej szerokie aleje i wyniosłe

świątynie. Przez ostatnie dni, kiedy od celu dzieliło nas coraz mniej mil, wspomnienia napływały częściej i wyraźniej, jak fale piętrzące się wyżej i wyżej w miarę zbliżania się do brzegu. Powracały do mnie nie tylko widoki i dźwięki, ale także zapachy i smaki, a nawet wrażenia dotykowe. Zdawało mi się, że omdleвам z gorąca, wspominając, jak w upalne dni drżało powietrze nad rozgrzаныmi kamiennymi płytami ulicy Kanopos; czułem na czole suchy pocałunek pustynnej bryzy przesiewanej między palmowymi pniami, a zaraz potem przypominałem sobie rześki chłód wody w jeziorze Mareotis, gdzie zażywałem kąpeli, kontemplując panoramę miasta.

W czasie podróży wymyśliliśmy sobie nawet z tych wspomnień grę, wymieniając się nimi jak dzieci bawiące się w berka. Jedno z nas rzucało jakieś hasło, jedno słowo, a drugie musiało skojarzyć je z odpowiednim wydarzeniem, które z kolei przywodziło na myśl inne. Teraz, kiedy na horyzoncie zamrugła do nas latarnia Faros, Bethesda ścisnęła moją dłoń i szepnęła:

- Skarabeusz.

- Złotnik... - Westchnąłem. - Ten, co miał sklepik pod świątynią Serapisa.

- Tak, ten z haczykowatym nosem - przytaknęła.

- Nie, to był jego czeladnik. On sam...

- Miał łysinę i szyję jak indor. Tak, teraz sobie przypominam.

- Jak mogłaś zapomnieć? Oskarżał cię o kradzież wisiora ze skarabeuszem sprzed nosa czeladnika.

- A to właśnie on go ukradł!

- I to ja go w końcu zdemaskowałem. Biedak do dziś pewnie pokutuje za tę kradzież w kopalni soli.

- Biedak? Jak mógł pozwolić, by wina za jego występki spadła na niewinną dziewczynę!

W jej oczach błysnęła figlarny ognik, ślad dawniejszej czupurności, która mimo przedłużającej się ciężkiej choroby wciąż się w niej tliła. Uścisnąłem jej dłoń; odwzajemniła uścisk, ale tak słabo, że serce mi się krajało.

Choroba Bethesdy była powodem naszej wyprawy do Egiptu. Nękała ją przez wiele miesięcy, wysysając z niej siły i radość, odporna na wszelkie metody leczenia ordynowane przez kolejnych rzymskich medyków, których prosiliśmy o poradę. W końcu moja żona sama wymyśliła dla siebie lekarstwo: powrót do Egiptu i kąpiel w wodach Nilu. Stwierdziła, że tylko to pozwoli jej się pozbierać i odzyskać zdrowie. Skąd się wziął ten pomysł? Nie mam pojęcia. Pewnego ranka po prostu oznajmiła, że musimy się wybrać do Aleksandrii. Zarobiwszy niedawno niezłą sumkę, nie miałem pretekstu, by jej odmówić. Dla ochrony, a także dlatego, że sam pochodził z Aleksandrii, zabraliśmy ze sobą naszego najnowszego domownika, niemego, ale solidnej postury młodzieńca o imieniu Rupa. Jechali też z nami moi dwaj mali niewolnicy, bracia Mopsus i Androkles; miałem nadzieję, że ich zwinność i spryt jak zwykle będą przeciwwagą dla niepośledniego talentu do wpadania w kłopoty. Byliśmy na statku jedynymi pasażerami. Czasy były niespokojne i mało kto wybierał się w podróż, jeśli nie musiał.

Rupa i chłopcy spali, podobnie jak większość załogi. W ciszy tej

ostatniej godziny przed nadejściem świtu miałem wrażenie, że jesteśmy z Bethesdą jedynymi żywymi ludźmi na pokładzie, a latarnia na Faros, z każdą chwilą coraz wyraźniejsza, świeci tylko dla nas. Niebo zaczynało się powoli rozjaśniać. Błęszcząca czerń wody stopniowo bladła, przechodząc w szarość. Horyzont na wschodzie delikatnie się zaczerwienił. Płomień Faros zdawał się rozmywać, przyćmiony tym zwiastunem przybycia ognistego rydwanu Heliosa.

Wyczułem jakąś zmianę na statku. Odwróciłem się i ujrzałem, że na pokładzie roilo się teraz od marynarzy uwijających się przy takielunku. Od jak dawna już tu byli? Musiałem chyba przysnąć w oczekiwaniu na wschód słońca, choć przysiągłbym, że ani na chwilę nie zamknąłem oczu. Czyżby światło latarni mnie zahipnotyzowało? Zamrugałem i potrząsałem głową. Przyjrzałem się uważniej marynarzom. Wszyscy mieli ponure miny, ale najbardziej kapitan. Był to przyjazny z natury człowiek, mocno szpakowaty Grek mniej więcej w moim wieku, z grubsza koło sześćdziesiątki, i zdążyliśmy się już polubić. Napotkał moje spojrzenie i podszedł do mnie między jednym gniewnym rozkazem a drugim, mruczając pod nosem tytułem wyjaśnienia:

- Czerwone niebo. Nie podoba mi się to.

Zwróciłem się w stronę Bethesdy. Przymrużyła oczy i rozchyliła usta, wciąż wpatrzona w Faros, nieświadoma panującego za nami poruszenia. Teraz mogłem już dostrzec kontury samej latarni, drobną igiełkę z jasnego kamienia pod wciąż intensywnie płonącym ogniem.

- To już tak blisko! - szepnęła Bethesda.

Wystarczyło tylko utrzymać kurs, a latarnia z każdą chwilą będzie rosła: najpierw do wielkości paznokcia, palca, całej dłoni... Powoli zaczniemy rozpoznawać żłobione kamienie zdobiące ją od zewnątrz. Zobaczymy posągi bogów i królów u jej podstawy i balkony pod szczytem. W porcie ujrzymy stłoczone statki, a za nimi płataninę dachów tworzących niepowtarzalny kontur miasta.

Ktoś pociągnął mnie za rękaw tuniki. Obejrzałem się i zobaczyłem wpatzonego we mnie Androklesa. Starszy i odrobinę wyższy Mopsus stał za nim, a tylną straż tego oddziałku stanowił trący zaspane oczy Rupa.

- Panie, co się dzieje? - spytał chłopak.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Grek omiółł nas spojrzeniem.

- Trzymaj swoich niewolników przy sobie! Niech mi się tu nie kręca! - krzyknął, po czym wrócił do wydawania rozkazów załodze. - Opuścić żagiel! Wysunąć wiosła!

Nagły podmuch zachodniego wiatru wyrwał z rąk marynarzy luźny koniec żagla, który usiłowali okiełznać i zwinąć. Pokład przechylił się i zakołysał pod nogami. Dziób statku uderzył w falę, robiąc nam słony prysznic. Bethesda zadygotała i wreszcie oderwała wzrok od Faros.

- Mężu, co się dzieje?

- Nie wiem - odrzekłem. - Chyba trzeba się schronić na rufie.

Wziąłem ją pod rękę, chcąc zaprowadzić całe towarzystwo do naszej małej kabiny, ale było już za późno. Burza, która nadeszła nie wiadomo skąd, dopadła nas znienacka. Kapitan, widząc, że zamierzamy się przenieść, gorączkowym gestem nakazał nam pozostać na miejscu i nie



przeszkadzać jego ludziom.

- Złapcie się czegokolwiek! - krzyknął, z trudem przekrzykując wycie wichru.

Siekący deszcz chłostał mi twarz, ale w ustach poczułem piasek. Zakląłem i splunąłem z obrzydzeniem; mieszkając w Aleksandrii, nieraz słyszałem o takich burzach, ale sam nigdy czegoś podobnego nie doświadczyłem. Te pustynne wiry powietrzne zapędzają się aż nad morze i przeradzają w groźne szkwały, bijące w statki ulewą wody i drobniutkiego piasku. Kiedyś po takim sztormie do portu w Aleksandrii wpłynęła galera z miniaturowymi wydmami na pokładzie; w piekącym słońcu z naniesionej przez burzę błotnistej mazi woda wyparowała, pozostawiając na statku zwały piasku.

Czerwone słońce na horyzoncie pozostało tylko wspomnieniem; rzekłbyś, noc się zbuntowała i wróciła, by stawić opór dniowi. Bethesda przytuliła się do mnie mocno. Uniosłem powieki na tyle, by móc sprawdzić, co z resztą naszej grupki. Rupa był blisko, ogarniając ramionami obu chłopców i trzymając się jakoś burty. Mopsus i Androkles wtulili twarze w jego szeroką pierś.

Piaskowa burza ucichła równie szybko, jak się pojawiła. Ustał gwizd wiatru, choć dmuchało jeszcze ostro; miałem wrażenie, że wycofał się i krąży na zewnątrz, otaczając nas, ale już nie dotykając. Nad nami rozwarła się dziura w niebie, ukazując łatę błękitu, uderzająco nierealną wśród tej wirującej ciemności.

- Widzisz latarnię? - spytała Bethesda.

Wyteżyłem wzrok, patrząc przed dziób statku i starając się przeniknąć tę purpurową mgłę przetykaną pasmami opalizującej szarości. Nie widziałem nawet horyzontu, a cóż tu mówić o Faros. Miałem zresztą dziwne uczucie, że Aleksandria wcale już nie leży przed nami; burza tak miotła i kręciła statkiem, że nie wiedziałem, gdzie jest południe. Zerknąłem na kapitana, który stał na śródkręciu niewzruszony, choć dyszał ciężko i ścisnął naprężoną wantę tak silnie, że aż mu kłykcie zbieleły.

- Widziałeś już kiedyś taki sztorm? - spytałem, mimowolnie zniżając głos, gdyż niepewnie się czułem w tym nienaturalnym kręgu ciszy.

Żeglarz nie odpowiedział, ale domyśliłem się, że jest równie oszołomiony jak ja.

- Dziwne dni mamy - odezwał się w końcu. - Tak na niebie, jak i na ziemi.

Ta wypowiedź nie wymagała komentarza. Ludzie zawsze i wszędzie wypatrywali znaków, wróżb i omenów. Od chwili, gdy Cezar przekroczył Rubikon i poprowadził swe legiony na Rzym, wciągając cały świat w wyniszczającą wojnę domową, nie było dnia, który można by nazwać normalnym. Ja sam byłem świadkiem bitew na morzu i na lądzie, tkwiłem uwięziony w obleganych miastach, o mało nie zostałem stratowany przez głodujący, zdesperowany tłum na Forum. Widziałem ludzi płonących żywcem na wodzie i tonących w podziemnym tunelu; robiłem rzeczy, do których wcześniej nie byłem zdolny: z zimną krwią zabiłem człowieka, wyrzekłem się ukochanego syna, zakochałem się w nieznajomej, która potem zmarła mi na rękach. Świadomie odwróciłem się od Cezara i jego

szalonych ambicji, a on mimo to wciąż nazywał mnie przyjacielem; jeszcze bardziej udało mi się zrazić do siebie jego rywala, Pompejusza, który chciał mnie własnymi rękoma udusić. Na ziemi panował chaos, a na niebie dopatrywano się jego odbicia. Widywano ptaki latające do tyłu, w świątynie biły pioruny, krwawe chmury tworzyły obrazy walczących armii. Tuż przed naszym wyjazdem do Aleksandrii Rzym obiegała wieść o wydarzeniu wielkiej wagi. Cezar i Pompejusz starli się pod grecką miejscowością Farsalos i jeśli wierzyć doniesieniom, wojska tego drugiego poniosły druzgocącą klęskę. Świat wstrzymał oddech, czekając na następny ruch w tej wielkiej grze. Nie dziwota więc, że człowiek pokroju naszego kapitana musiał dostrzec w takim dziwnym sztormie kolejny przejaw ogólnego chaosu sprowadzonego przez wojnę.

Jak gdyby na potwierdzenie tych przesądnych obaw krąg błękitu nad nami nagle zniknął i z nieba lunął rześisty deszcz. Tym razem nie było w nim jednak pustynnego piasku; coś większego uderzyło mnie w twarz, aż podskoczyłem. Bethesda wywinęła się z mych objęć i przykucnęła, by podnieść to... skaczące niezdarnie po deskach pokładu stworzenie! Wyśliznęło się jej z dłoni, ale ona zwinnie schwyciła je po raz drugi. Aż się wzdrygnąłem, spodziewając się, że za moment wypuści je z piskiem, ale ona trzymała je w stulonych dłoniach, pieścizotliwie do niego cmokając.

- Widzisz, co to jest, mężu? Mała żabka nilowa! Prosto z nieba, i to tak daleko od delty! Niemożliwe, a jednak tu jest. To z pewnością jakiś znak od bogów!

- Znak, ale czego? - mruknąłem, krzywiąc się z niesmakiem, bo kolejne żabsko pacnęło mnie w czoło.

Rozejrzałem się i stwierdziłem, że cały pokład pełen jest tych skaczących zwierzaków. Niektórzy marynarze śmiali się w głos, inni podobnie marszczyli nosy z obrzydzeniem, a kilku podskakiwało, by za wszelką cenę uniknąć zetknięcia z płazami, krzycząc z przestachu. Niebo rozciąła błyskawica, po której niemal natychmiast rozległ się trzask gromu, od którego zadzwoniły mi zęby. Żaba wyskoczyła z dłoni Bethesdy, przeleciała nad burtą i wpadła do wody. Pokład zawirował mi pod nogami, aż zakręciło mi się w głowie. Ogarnęło mnie dziwne uczucie: miałem wrażenie, że wiatr porwał nasz statek i niesie nas ponad falami. Straciłem zupełnie poczucie czasu, ale musiało to trwać całe godziny, podczas gdy my podtrzymywaliśmy się nawzajem, kuląc się pod naporem wichru. A potem morze raptownie się uspokoiło. Czarne chmury rozbiegły się we wszystkich kierunkach, kotłując się i wzajemnie na siebie wpadając; piętrzyły się na horyzoncie jak górskie granie, strome, czarne i szkliste, o poszarpanych grzbietach podświetlonych jaskrawą purpurą, podczas gdy u ich mrocznych podstaw strzelały białe błyskawice. Słońce wisiało nisko na niebie, małe i czerwone, przesłonięte cienkim czarnym woalem. Nigdy jeszcze podczas mych podróży na morzu i lądzie nie widziałem tak niezemskiego światła jak to, które teraz spowijało świat - upiorny blask, płynący nie wiadomo skąd. Ale daleko na horyzoncie widać było pasek czystego, błękitnego nieba nad szmaragdowo lśniąca wodą. Kapitan również dostrzegł go i tam skierował statek. Rozwinięto żagiel, wioślarze wrócili na stanowiska. Ta plama błękitu tak wyraźnie odcinała się od reszty

nieboskłonu, jakbyśmy byli w jaskini i patrzyli na widniejące w dali wyjście; zdawać by się mogło, że lada chwila wypłyniemy z niej i znajdziemy się na zewnątrz. Oczywiście przejście ze świata ciemności do krainy światła odbyło się stopniowo, płynnie, jakby z każdym pociągnięciem wiosła mroczna mgła nad nami rzedła o jeden odcień, a słońce z czerwieni przechodziło w złoto. Wkrótce po prawej burcie ukazała się brązowa kreska lądu, a więc płynęliśmy na wschód; słońce grzało nam przemoczone plecy i ramiona, południe musiało zatem minąć parę godzin temu. Wyrzałem za burtę i zobaczyłem, że woda zrobiła się mętna i brązowa. Wiedziałem, że zabarwił ją tak rzeczny muł. Burza zagnała nas daleko za Aleksandrię, gdzieś na wysokość szerokiej, trójkątnej delty Nilu.

Kapitan był tak przejęty wyprowadzaniem nas na spokojniejsze wody, że nie zwrócił uwagi na kilka statków, które pojawiły się na naszym kursie. Ich jasne żagle lśniły na tle błękitu nieba jak kość słoniowa; niektóre wyglądały na okręty wojenne. Taka eskadra napotkana gdzieś w pobliżu Aleksandrii nie budziłaby niepokoju, ponieważ tamtejsza flota strażnicza dobrze chroni kupieckie szlaki przed piratami. My jednak byliśmy daleko od jakiegokolwiek portu, praktycznie na otwartym morzu, mimo że na horyzoncie widniał ląd. Atak obcych jednostek był jak najbardziej realnym zagrożeniem. Zanim to sobie do końca uświadomiłem, kapitan wreszcie zauważył niebezpieczeństwo. Wydał rozkaz zwrotu w prawo, na południe, choć ten pustynny brzeg nie wyglądał obiecująco ani pod względem uzyskania pomocy, ani możliwości schronienia się.

Tamci jednak też nas spostrzegli i choć nie było wiadomo, jakie mają wobec nas zamiary, na pewno nie chcieli dać nam umknąć. Dwa mniejsze statki ruszyły w pościg za nami. Kapitan patrzył na nie z udawanym spokojem, ale kiedy wydał wioślarzom komendę, by zwiększyli tempo, strach w jego głosie był tak wyraźny jak dźwięk trąby. Statek przyspieszył tak raptownie, że poczułem, jak pokład zachwiał mi się pod stopami.

- Rupa!

Chciałem tylko zwrócić na siebie jego uwagę, ale on uprzedził moje pytanie i pokazał mi, że ma przy sobie sztylet. Mopsus na ten widok przełknął głośno ślinę; nie uszło to bystrym oczom jego młodszego brata, który z szyderczym uśmiechem dał mu sójkę w bok. Zazdrościłem Androklesowi jego naiwnej buńczuczności. Niewiele niebezpieczeństw budzi taką grozę w podróżnych jak perspektywa napaści wrogich okrętów, z dala od jakiegokolwiek pomocy. Na morzu nawet bogowie rzadko okazują łaskę. Być może to odbity od fal blask słońca utrudnia im dostrzeżenie z niebios, że ich wyznawcy są w tarapatkach...

Sięgnąłem za fałdy tuniki, by sprawdzić, czy sam nie zgubiłem broni. Gdyby stało się najgorsze, przynajmniej będę mógł oszczędzić Bethesdzie losu branki. Nie jest już młoda, w jej kruczonych włosach lśni sporo srebrnych nitek, ale nawet w chorobie wciąż jest godna pożądania, przynajmniej w moich oczach.

Płynęliśmy szybko, ale nasi prześladowcy nas doganiali. Brzeg zbliżył się tylko nieznacznie, a ich wypełnione wiatrem żagle rosły w oczach. Na ich pokładach rojno było od uzbrojonych mężczyzn. Mieliśmy do czynienia z galerami wojennymi, nie ze zwykłymi statkami. Wiedziałem, że



nasze wysiłki są daremne, ale kapitan uległ panice. Zachował trzeźwość umysłu podczas burzy, która mogła wyrzucić nasz statek i zabić nas w jednej chwili, ale stracił głowę w konfrontacji z zagrożeniem ze strony ludzi. Zakląłem w duchu na ten oczywisty błąd w ocenie sytuacji. Jeżeli nie da się uniknąć spotkania, zmuszanie drugiej strony do pościgu tylko ich podnieci, sprawi, że nawet nie mając złych zamiarów, staną się groźniejsi dla ściganych. Mądrzej byłoby opuścić żagiel i zawrócić im na spotkanie z godnością i odwagą, ale nasz Grek chrapliwie rozkazał jeszcze bardziej przyspieszyć.

Brzeg się zbliżał, ale wciąż pozostawał tylko piaskową smugą na horyzoncie, pozbawioną wszelkich oznak życia. Nie rosła tam choćby jedna rachityczna palma. Ten beznadziejny obraz dobrze pasował do bezsilności, jaką teraz odczuwałem. Bethesda uścisnęła moją dłoń, szepcząc:

- Jeśli to okręty Cezara? Sam mówiłeś, że on się może osobiście wyprawić do Egiptu, jeżeli wieści o jego triumfie w Grecji są prawdziwe.

- Mówiłem.

- A Cezar zawsze uważał cię za przyjaciela, prawda? Nawet kiedy ty subtelnie dawałeś mu do zrozumienia, że lubisz go mniej niż on ciebie.

Uśmiechnąłem się blado na ten ironiczny przytyk. Bethesda wciąż potrafiła wbijać mi te drobne szpileczki, mimo że choroba odebrała jej zwykły humor. Każdy taki przebłysk dawnego ducha podtrzymywał we mnie nadzieję.

- Masz rację - powiedziałem. - Nasi prześladowcy wyglądają mi na ludzi ze Wschodu, ale przecież mogą służyć Cezarowi. Kto wie, czy nie przeszli na jego stronę spod znaków Pompejusza, jeśli ten naprawdę przegrał lub nawet zginął. Gdyby tak było... gdybyśmy natknęli się na Cezara w jego drodze do Aleksandrii, to...

Zostawiłem to zdanie nie wypowiedziane, Bethesda wiedziała bowiem, co miałem na myśli. Głośne wymówienie jego imienia byłoby zbyt bolesne. Jeżeli mój adoptowany syn Meto przeżył ostatnią bitwę, to najprawdopodobniej będzie u boku swego wodza. Ostatni raz widziałem się z nim w Massilii; wtedy zwymyślałem go, a potem publicznie wyrzekłem, za intrygi i oszustwa, jakie popełniał w służbie Cezara. Nikt w mojej rodzinie, a już najmniej Bethesda, nie rozumiał, dlaczego odwróciłem się od syna, który zawsze był mi tak drogi. Ja sam nie pojmowałem swojej gwałtownej reakcji. Jeśli te okręty należą do Cezara i on sam płynie na którymś z nich, a Meto jest z nim... Cóż by to był za okrutny żart bogów! Zamiast dać mi spokojnie dotrzeć do Aleksandrii, rzucili mnie na drogę człowieka, który odebrał mi syna, i zmusili do spotkania, którego bym chyba nie zniósł.

Te rozważania, choć ponure, przynajmniej oderwały moje myśli od znacznie straszniejszej perspektywy. Ścigające nas okręty nie muszą mieć nic wspólnego z Cezarem. Mogą to być piraci, zbiegli żołnierze albo ktoś jeszcze gorszy...

Kimkolwiek byli, trudno im było odmówić kunsztu żeglarskiego, zwłaszcza zaś umiejętności pościgu. Z podziwu godną koordynacją ruchów dwa statki odbiły w lewo i w prawo, aby wziąć nas w środek, po czym

zwolniły biegu i zrównały się z nami. Były tak blisko, że widziałem szydercze uśmiechy na twarzach zbrojnych ustawionych na ich pokładach. Czy cieszyła ich myśl o rychłym abordażu i złupieniu swoich ofiar, czy po prostu byli podnieceni pościgiem? Ze statku po naszej prawej burcie dobiegł okrzyk oficera:

- Kapitanie, zatrzymaj statek! Nie macie szans nam uciec! Podnieś wiosła, bo je wam połamiemy!

Nie była to czcza pogrożka; widziałem już taki manewr w wykonaniu galery wojennej. Dogoniła nieprzyjaciela, podeszła blisko do jego burty, chowając w ostatniej chwili własne wiosła i niesiona inercją zgruchotała wysunięte drzewca ściganego okrętu, pozbawiając go możliwości manewrowania. Dwa okręty mogły nam zrobić to samo jednocześnie po obu burtach. Sądząc po okazanym dotychczas żeglarskim profesjonalizmie, nie miałem wątpliwości, że potrafią tego dokonać.

Paniczny strach unieruchomił naszego kapitana i odebrał mu mowę. Jego marynarze oczekiwali rozkazów, ale żaden nie padał. Sunęliśmy wciąż z pełną prędkością, a obie galery dotrzymywały nam tempa, podsunęły się tylko jeszcze bliżej.

- Na Herkulesa! - krzyknąłem, wyrывая się z uścisku Bethesdy, i rzuciłem się do stojącego jak słup soli Greka. - Każ ludziom podnieść wiosła!

Kapitan spojrzał na mnie tępo. Uderzyłem go otwartą dłonią w twarz. Wstrząsnął się i zamierzył się na mnie, ale nagle do jego oczu wrócił błysk zrozumienia. Odetchnął głęboko i uniośł ramiona.

- Przestać wiosłować! - wrzasnął z wściekłością. - Wyluzować żagiel!

Marynarze, dysząc z wyczerpania, posłuchali od razu. Nasi prześladowcy w jednej chwili powtórzyli nasz manewr i płynęli dalej rozpędem, utrzymując pozycje po naszych obu stronach. Fale z wolna hamowały nasz bieg. Galera z prawej burty zbliżyła się jeszcze bardziej. Oficer, który kazał nam się zatrzymać, przemówił znowu. Tym razem był tak blisko, że nie musiał specjalnie podnosić głosu. Spostrzegłem, że nosi insygnia rzymskiego centuriona.

- Kim jesteście? - spytał.

Kapitan odchrząknął i odkrzyknął:

- Statek *Andromeda* z Aten! Grecka załoga!

- A ty?

- Jestem Kreteos, właściciel i kapitan.

- Dlaczego uciekałeś, kiedy się zbliżaliśmy?

- Tylko głupiec by nie uciekał, nie?

Centurion się roześmiał. Przynajmniej jest w dobrym humorze, pomyślałem.

- Skąd płyniecie?

- Z Ostii pod Rzymem.

- Dokąd?

- Do Aleksandrii. Już byśmy tam byli, gdyby nie...

- Odpowiadaj tylko na pytania! Jaki wiesz ładunek?

- Oliwę i wino. W Aleksandrii bierzemy surowe płótno i...

- Pasażerowie?

- Tylko jedna grupa, męczyzna z żoną i...

- Czy to on stoi obok ciebie?

Wyprostowałem się i powiedziałem:

- Nazywam się Gordianus. Jestem rzymskim obywatelem.

- Doprawdy? - Centurion przyjrzał mi się badawczo. - Ile osób masz ze sobą?

- Moją żonę, ochroniarza i dwóch chłopców, niewolników.

- Możemy teraz odpłynąć? - wtrącił kapitan.

- Jeszcze nie. Wszystkie statki bez wyjątku muszą być przeszukane, a imiona wszystkich pasażerów przekazane samemu Wielkiemu. Nie musisz się niepokoić, to zwykła procedura. Zawróć teraz, popłyniesz z nami do eskadry.

Obrzuciłem tęsknym spojrzeniem jałowy, nieprzyjazny brzeg. A więc nie wpadliśmy w ręce Cezara, piratów ani dezerterów. Było znacznie gorzej. Tylko jeden człowiek na świecie uważał za stosowne nazywać się Magnusem, czyli Wielkim: Pompejusz. Fatum oddało mnie w ręce tego, który poprzysiągł mi śmierć.





## ROZDZIAŁ 2

**E**skadra, jak ją nazywał centurion, okazała się gorszą zbieraniną, niż się mogło z daleka wydawać. Wprawdzie było tam kilka okrętów wojennych, ale wszystkie znajdowały się w mniej lub bardziej opłakanym stanie, z przetartymi żaglami, poobijanymi kadłubami i wiosłami nierównej długości. Pozostałe statki były transportowcami. Żołnierze zalegający ich pokłady wyglądali na niewolników. Od wybuchu wojny widziało się wielu im podobnych, ponieważ obie strony konfliktu, desperacko szukając przewagi, wcielały do swych szeregów gladiatorów, niewolników z gospodarstw rolnych, a nawet tych pełniących funkcje urzędnicze. Ci wojacy o tępych minach i wzroku, w powgniatanych półpancerzach, na pewno nie byli elitarnymi żołnierzami, z którymi Pompejusz wyruszał na kampanię grecką; tamci zapewne zginęli pod Farsalos albo też zostali ułaskawieni przez zwycięzcę i zasilili jego armię.

Pompejusz uszedł z życiem, ale niewiele poza tym mu pozostało. Plotka głosiła, że klęska zupełnie go zaskoczyła. Bitwa zaczęła się o świtanie; Wielki był tak pewny wygranej, że w południe wrócił do swego sztabowego namiotu, by odpocząć i delektować się wykwinnym posiłkiem. Siły Cezara szybko jednak rozbiły przeciwnika i zmusiły go do ucieczki. W pogoni za uciekającymi wdarli się na wały i zdobyły obóz. Cezar był wśród pierwszych, którzy dopadli namiotu Pompejusza. W środku znalazł eleganckie sofy usłane miękkimi, jeszcze ciepłymi poduszkami, stół biesiadny zastawiony po brzegi parującymi smakołykami i jeszcze nie odkorkowane amfory najlepszego falerna. Jeśli miał to być bankiet dla uczczenia zwycięstwa nad Cezarem, Wielki świętował przedwcześnie. W ostatniej chwili, dowiedziawszy się, że wszystko stracone, zrzucił swą szkarłatną pelerynę i inne oznaki godności, wskoczył na pierwszego znalezionego konia i odjechał tylną bramą z obozu, ledwo ratując życie. I oto był tutaj, z kilkoma połatanymi okrętami zakotwiczonymi u brzegów Egiptu, a ja byłem w jego mocy.

Zaburczało mi w brzuchu. Poczulem, że zgłodniałem, maszerując nerwowo tam i z powrotem po pokładzie w oczekiwaniu na powrót centuriona, który skrętnie zapisał moje imię i odpłynął do swego wodza po rozkazy. Kapitan *Andromedy* siedział nieopodal, rzucając mi spojrzenia z ukosa, aż w końcu nie wytrzymał i zapytał:

- Słuchaj, Gordianusie... chyba nie jesteś... to znaczy... nie jesteś niebezpieczny, co?

Uśmiechnąłem się.

- To zależy. Myślisz, że dałbym sobie z tobą radę w uczciwej walce, Kreteosie? Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku, podobnie zbudowani...

- Nie o to mi chodzi, dobrze wiesz.

- Chcesz zapytać, czy dobrze jest być moim znajomym? Czy jestem niebezpiecznym ładunkiem?

Skinął głową.

- Natknęliśmy się na samego Pompejusza - powiedział. - Nigdy nie miałem z nim do czynienia, ale wszyscy wiedzą, jaki jest. Zawsze bierze to, co chce, i nie cofnie się przed niczym, żeby dopiąć swego.

Przypomniałem sobie słynną wypowiedź Wielkiego z wczesnego etapu jego kariery, kiedy brutalnie sobie poczynał z Sycylińczykami. Gdy protestowali przeciwko jego nielegalnym sposobom zaprowadzania porządku na wyspie, odparł: „Przestańcie mi mówić o prawach, my mamy miecze u boku!” Tak, Pompejusz zawsze robił wszystko, by wygrać, i przez całą długą karierę nigdy nie posmakował przegranej... aż do teraz.

- W związku z tym, co się stało pod Farsalos, Wielki może być w raczej podłym nastroju - powiedziałem.

- Znasz go zatem, Gordianusie?

- Mieliśmy okazję się poznać - potwierdziłem.

- Będzie zadowolony, kiedy się dowie, że jesteś na moim statku?

Zaśmiałem się ponuro.

- Będzie niezadowolony, dowiadując się, że wciąż żyję, i zadowolony, że będzie mógł zrobić z tym porządek.

- Aż tak cię nienawidzi? - Kreteos zmarszczył brwi.

- Tak.

- Bo jesteś stronnikiem Cezara?

Potrząsnąłem głową.

- Nie jestem i nigdy nie byłem w obozie Cezara, pomimo że mój syn... którego się wyrzekłem... - Nie dokończyłem.

- Masz syna, który walczy pod jego sztandarem?

- To za mało powiedziane. Meto śpi z Cezarem w jednym namiocie, je z nim z jednej miski. Pomaga mu pisać te ociekające propagandą teksty, które Gajusz Juliusz nazywa swymi pamiętnikami.

Kapitan spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

- Kto by pomyślał... - zaczął.

- Że taki szary człeczyna jak ja może mieć takie bliskie koneksje z nowym panem i władcą świata?

- Coś w tym rodzaju. Co zrobiłeś Pompejuszowi, że chce twojej śmierci?

Oparłem się łokciami o burtę i zapatrzyłem się w wodę.

- To już, Kreteosie, moja sprawa.

- Nie, moja też, jeśli z tego powodu Wielka uzna za stosowne skonfiskować mój statek, a mnie wyrzucić do morza za to, że cię zabrałem na pokład. Pytam raz jeszcze: czym się naraziłeś Pompejuszowi?

- Kiedy Cezar maszerował już na Rzym, a Pompejusz brał nogi za pas, jego ulubiony młody kuzyn został zamordowany. Przed wyjazdem Wielki zlecił mi odnalezienie zabójcy.

- I nie udało ci się?

- Niezupełnie, ale Wielkiemu nie podobał się wynik śledztwa.

Przywołałem z pamięci obraz Pompejusza, gdy go widziałem po raz ostatni: z rękami zaciśniętymi na mej szyi, z wytrzeszczonymi oczami, zdecydowanego mnie ukatrupić na miejscu. Uciekał wtedy na okręcie z Italii, z portu Brundyzjum, do którego wdzierały się już wojska Cezara. Z trudem udało mi się wyrwać; wyskoczyłem za burtę i wynurzyłem się

wśród płonących szczątków. Jakoś dotarłem do brzegu, a Pompejusz odpłynął, by walczyć dalej. Potrząsałem głową, by odegnać złe wspomnienia.

- Ty niczym nie obraziłeś Wielkiego, kapitanie. Nie ma powodu, by cię karać. Jeżeli naprawdę skonfiskuje ci statek, to dlatego, że potrzeba mu transportowca dla tego łachmaniarskiego wojska stłoczonego na jego galerach. Ale nie wyrzuci cię za burtę, bo potrzebuje kogoś, by mu ten statek prowadził. Ale zdaje się, że wkrótce poznamy jego zamiary. Widzę nadpływającą łódź i jest chyba w niej nasz przyjaciel centurion.

Łódź dobiła do naszej burty i centurion krzyknął:

- Ahoj, kapitanie!

- Ahoj nawzajem, centurionie. Twój ludzie skończyli przeszukiwanie statku już godzinę temu. Co teraz? Mogę odpłynąć?

- Jeszcze nie. Ten twój pasażer...

Wychyliłem się ponad burtę, by się pokazać.

- Mówisz o mnie?

- Tak jest. Czy jesteś tym samym Gordianusem, którego zwał Poszukiwaczem, i mieszkasz w Rzymie?

- Nie ma sensu temu zaprzeczać.

- Musisz być ważnym człowiekiem, bo sam Wielki chce z tobą mówić. Zejdź na łódź, zawieziemy cię na jego galere.

Bethesda, która trzymała się z tyłu z Rupą i chłopcami, podeszła bliżej i ujęła mnie za rękę.

- Mężu...

- Nic mi nie będzie, jestem pewien.

Poczułem, jak ściska mi palce.

- Przebyliśmy tak długą drogę... - powiedziała.

- Aż do miejsca, gdzie zaczęliśmy, ty i ja - przytaknąłem. - No, może niezupełnie. Nie udało się nam wylądować w Aleksandrii, ale przynajmniej widzieliśmy latarnię, prawda?

- Nie powinnam była nalegać na tę podróż.

- Nonsens! W tych czasach nie ma bezpiecznych miejsc. Jechaliśmy do Egiptu, abyś mogła się wykapać w Nilu i pozbyć choroby, i musisz to zrobić. Przyrzeknij mi, że to zrobisz, niezależnie od tego, czy będę tam z tobą, czy nie.

- Nie mów tak!

Wziąłem ją za rękę, ale tylko na chwilę.

- Wielki nie lubi czekać - przypomniałem, niechętnie wypuszczając jej dłoń. - Opiekuj się nią, Rupo, gdy mnie nie będzie - zwróciłem się do naszego towarzysza. - A wy, chłopaki, zachowujcie się porządnie!

Androkles i Mopsus spojrzeli na mnie niepewnie, czując przez skórę, że mamy kłopoty.

Człowieka w moim wieku nie powinno się zmuszać do schodzenia ze statku po sznurowej drabinie. Dokonałem jednak tej niełatwej sztuki z gracją, o którą się nawet nie podejrzewałem; bogowie musieli mnie widzieć i najwyraźniej uznali za stosowne pozwolić starymu Rzymianinowi zachować choć cień godności na drodze ku przeznaczeniu.

- Piękny dzień - powiedziałem do centuriona. - Ani śladu po sztormie,



który nas tu przygnał. Nikt by nie pomyślał, że to się naprawdę wydarzyło. Wokoło tylko czyste, błękitne niebo.

Centurion pokiwał głową, ale się nie odezwał. Zapasy jego dobrego humoru musiały się widocznie wyczerpać, a twarz przybrała ponury wyraz.

- Coś niezbyt im wesoło - rzekłem, wskazując na patrzących gdzieś w przestrzeń wioślarzy.

Nikt mi nie odpowiedział.

Minęliśmy wkrótce okręty wojenne i transportowce, zbliżając się do samego środka eskadry. Galera Pompejusza się wyróżniała. Jej żagiel miał szkarłatne brzegi, obity blachą kadłub lśnił w słońcu, a żołnierze na pokładzie odziani byli najlepiej ze wszystkich. Nie ulegało wątpliwości, że był to najpiękniejszy statek tej floty, a zarazem w jakiś nieuchwytny sposób najbardziej z nich wszystkich ponury. Otaczająca go aura strachu była tak wyczuwalna, że powietrze zdawało się gęstnieć, w miarę jak zbliżaliśmy się do jego burty.

Oszczędzono mi wspinania się po drabince, jako że statek miał opuszczany z pokładu trap. Stałem na chwiejnym podeście. Centurion chwycił mnie pod łokieć, by mi pomóc, odwróciłem się więc, by mu podziękować. Unikał mojego spojrzenia, speszony, jakby mógł się narazić wodzowi już przez sam kontakt wzrokowy z jego wrogiem. Jeszcze bardziej wytrąciło mnie to z równowagi. Zebrałem się jednak w sobie i ruszyłem po trapie w górę.

Gdy tylko znalazłem się na pokładzie, zostałem poddany rewizji. Odebrano mi sztylet, kazano też zzuć buty; nie zdziwiło mnie to, jako że przedsiębiorczy zabójca mógłby ukryć w nich broń. Musiałem oddać nawet sznurek, jakim przewiązywałem w pasie tunikę. Zbrojna straż odprowadziła mnie do kabiny na rufie galery. Jej drzwi były szeroko otwarte i już z daleka usłyszałem dobiegający stamtąd podniesiony głos Pompejusza.

- Powiedz temu smarkaczowi i jego pupilkowi eunuchowi, że zamierzam spotkać się z nimi na łądzie jutro w południe. Ani wcześniej, ani później. Przekonam się, na ile ci Egipcjanie będą pokorni. Zobaczymy, co podadzą na obiad. Jeśli wysilą się na stek z krokodyla i jaskółcze jęczyczki z dobrym winem z Italii, to każę jeszcze temu chłoptasiowi w koronie podetrzeć mi tyłek. Jeśli zaś myślą, że wykręcą się barwenami z Nilu i egipskim piwem, wtedy będę wiedział, że mam co nieco do zrobienia...

Tej wypowiedzi towarzyszył chrapliwy śmiech, który zmroził mi krew w żyłach.

- Według rozkazu, Wielki - odrzekł inny, cichszy głos.

W chwilę później z kabiny wyłonił się oficer w paradnym stroju, trzymając pod pachą hełm z pióropuszem. Ujrzał mnie i uniósł brwi.

- Czy to jest ów Gordianus Poszukiwacz, Makronie? - zwrócił się do centuriona.

- Tak jest!

- No, nie zazdroścę ci, obywatelu Gordianusie. Ty jednak pewnie też mi nie zazdrościsz. Jestem w drodze na łąd, by pertraktować z tym wyniosłym królikiem i jego nieznośnymi doradcami. Wielki spodziewa się stosownego powitania, kiedy zjawi się jutro na łądzie. Wygląda jednak na

to, że ten dzieciak wolałby raczej stoczyć kolejną bitwę ze swoją siostrą i jej stronnikami na pustyni. - Oficer potrząsnął głową. - O ile prościej załatwiałoby się takie sprawy przed Farsalos. Wystarczyło pstryknąć palcem, a miejscowi się kulili ze strachu. Tymczasem teraz patrzą na mnie, jakby... - Musiał zdać sobie sprawę z tego, że powiedział za dużo, bo zmarszczył brwi i zmienił temat. - No cóż, być może spotkamy się jeszcze po moim powrocie. A może nie. - Dał mi kuksańca w żebra, zbyt mocnego jak na przyjacielski, i przecisnął się obok mnie.

Patrzyłem, jak schodzi po trapie, aż zniknął mi z oczu. Podczas tej krótkiej konwersacji jeden ze strażników musiał zaanonsować moje przybycie, centurion Makron bez dalszych ceregieli popchnął mnie bowiem w stronę kabiny. Wszedłem do środka, a on zamknął za mną drzwi. Po słonecznym blasku zalewającym pokład małe pomieszczenie sprawiało wrażenie mrocznego. Kiedy mój wzrok przywykł już do tego kiepskiego oświetlenia, pierwszą osobą, jaką zauważyłem, była młoda kobieta, uderzająco piękna rzymska dama, siedząca w rogu z dłońmi splecionymi na łonie. Zmierzyła mnie protekcyjnym spojrzeniem. Nawet w tych spartańskich warunkach, w ciasnej i ciemnej kajucie galery, zadała sobie sporo wysiłku, by jak najlepiej wyglądać. Jej włosy pofarbowane były henną i upięte na czubku głowy w wymyślną koafiurę. Stołę w kolorze ciemnego wina przepasała w - kształtnej, trzeba przyznać - talii paroma złotymi łańcuchami, a jeszcze więcej złota migotało na jej szyi (spory, wysadzany klejnotami naszyjnik) i uszach (kolczyki z lapisowymi paciorkami). Uciekając z mężem z Rzymu, młoda żona Pompejusza musiała zabrać większość swojej biżuterii i taszczyć ją od obozu do obozu, w miarę jak teatr wojny się odsuwał coraz dalej. Jeśli jakakolwiek kobieta w takich warunkach nauczyła się zawsze wyglądać najkorzystniej i uważać za swoje prawo noszenie najlepszej biżuterii na każdą okazję, to właśnie ciężko doświadczona Kornelia.

Nie było to jej pierwsze małżeństwo. Wcześniej była już żoną Publiusza, syna Marka Krassusa, odwiecznego rywala zarówno Cezara, jak i Pompejusza. Kiedy przed pięcioma laty Krassus senior wyruszył na podbój kraju Partów, zabrał ze sobą syna. Obydwaj zginęli w masakrze, jaką obrońcy zgotowali najeźdźcom. Kornelia, jeszcze młoda i piękna, a do tego odcytana, znawczyni muzyki, biegła w geometrii i filozofii, nie pozostała długo we wdowieństwie. Niektórzy mówili, że jej małżeństwo z Pompejuszem było tylko sojuszem politycznym, według innych pobrali się z miłości. Bez względu jednak na to, co ich naprawdę łączyło, Kornelia i w dobrych, i w złych czasach wiernie trwała u boku męża.

- A więc to naprawdę ty, Poszukiwaczu!

Głos tak ostry, że na jego dźwięk aż podskoczyłem, dobiegał z przeciwległego kąta. Pompejusz podszedł bliżej, wyłaniając się ze strefy najgłębszego cienia kajuty. Kiedy widziałem go ostatnim razem, miał atak nieludzkiej furii. Teraz ujrzałem w jego oczach taki sam wściekły błysk. Miał na sobie lśniącą zbroję, jakby szykował się do bitwy. Nosił się sztywno, z wysoko uniesionym podbródkiem i wyprostowanymi ramionami, niczym wzór rzymskiej godności i opanowania. Jednak oprócz gniewnych oczu dostrzegłem w nim coś jeszcze - jakby cień strachu,

niepewności, widmo przegranej. Te emocje, tak dobrze przez niego kontrolowane, podkopywały jednak nieco tę sztywną fasadę, za którą się skrywał, i zdawało mi się, że pod tą błyszczącą zbroją i gniewnym obliczem Pompejusz Wielki jest wewnątrz wypalony.

Może wypalony, pomyślałem, ale jednak wciąż groźny. Wpatrywał się we mnie tak intensywnie, że z trudem wytrzymałem to spojrzenie. Kiedy zobaczył, że nie trzęsę się na jego widok, wybuchnął krótkim śmiechem.

- Cały Gordianus! Tak samo bezczelny jak dawniej, czy tylko głupi? Nie, głupi to ty nie jesteś. Nie możesz być, skoro wszyscy uważają cię za tak szalenie mądrego. Ale mądrość jest niczym bez łaski bogów, a zdaje się, że właśnie ją straciłeś, co? W końcu wpadłeś mi prosto w ręce... Przyznam, że jesteś ostatnią osobą, której mogłem się tu dzisiaj spodziewać. Tak jak i ty nie oczekiwałeś takiego spotkania!

- Obraliśmy różne drogi do tego samego miejsca, Wielki. Być może bogowie odwrócili się od nas obu.

Pompejusz aż zbladł.

- Jednak jesteś głupcem! I moja w tym głowa, abyś skończył jak głupiec. Opuszczając Brundyzjum byłem pewien, że zginąłeś, utopiłeś się jak szczur, wyskoczywszy z mojego okrętu. Ale potem dołączył do mnie w Grecji Domicjusz Ahenobarbus i powiedział, że widział cię żywego w Massilii. To niemożliwe, mówię mu, musiałeś widzieć jego lemura. On jednak zapewniał, że to byłeś ty, cały i zdrowy. Miał rację! Stoisz tu przede mną we własnej osobie, za to Domicjusz jest już lemurem. Pod Farsalos Marek Antoniusz dopadł go jak lisa w jamie. Przeklęty Antoniusz! Przeklęty Cezar! Ale kto wie? Zapamiętaj moje słowa, Cezar jeszcze dostanie, na co zasłużył, i to wtedy, kiedy najmniej się tego będzie spodziewał. Bogowie go opuszczą, ot tak! - Pompejusz strzelił palcami. - W jednej chwili żywy, zwycięski, planujący kolejny triumf, a w następnej martwy jak król Numa! Widzę, że się uśmiechasz, Poszukiwaczu, ale wierz mi, Cezar jeszcze dostanie za swoje!

O czym on mówił? Czyżby w najbliższym otoczeniu Cezara miał swoich szpiegów i knuje zamach na jego życie? Patrzyłem mu w oczy bez słowa.

- Spuść wzrok, na Hades! Człowiek w twoim położeniu... Pomyśl o twoich bliskich, jeśli twój własny los jest ci obojętny! Wszyscy jesteście zdani na moją łaskę!

Czy naprawdę mógłby skrzywdzić Bethesdę, by się na mnie zemścić? Z trudem się opanowałem, starając się mówić bez drżenia w głosie.

- Podróżuję z młodym i trochę ograniczonym niemową, dwoma chłopcami na posługi i moją chorą żoną. Trudno mi uwierzyć, że mógłbyś, Wielki, zniżyć się do zemsty na takich...

- Och, zamilcz już! - krzyknął Pompejusz z odrazą i spojrzał na swoją żonę.

Porozumieli się bez słów i to go jakby uspokoiło. Kornelia musiała być jego jedyną ostoją, na której mógł polegać teraz, kiedy wszystko inne, łącznie z jego własną zdolnością oceny sytuacji, tak bardzo go zawiodło.

- Ruszaj, skądś przyszedł, Gordianusie! - wycedził przez zaciśnięte zęby, nawet na mnie nie patrząc.

Zamrugąłem, nie mogąc uwierzyć, że pozwala mi odejść cało.

- No, na co jeszcze czekasz?
- Odwróciłem się, żeby odejść, a on rzucił jeszcze za mną:
- Nie myśl jednak, że z tobą skończyłem, Poszukiwaczu! Na razie mam zbyt wiele na głowie, by móc się rozkoszować widokiem twojej kaźni. Kiedy już spotkam się z młodym królem Ptolemeuszem, a Fortuna wróci mi twardszy grunt pod nogami, wtedy znowu się tobą zajmę.
- Centurion Makron odprowadził mnie do łodzi.
- Jesteś blady jak rybie podbrzusze - rzekł.
- Doprawdy?
- Patrz pod nogi, wsiadając do łodzi. Kazano mi dopilnować, by nie stało ci się nic złego.
- A co ze sztyletem, który mi zabraliście?
- Więcej go nie zobaczysz. - Centurion się roześmiał. - Wielki powiedział, że mógłbyś zrobić sobie krzywdę.





## ROZDZIAŁ 3

Zapadła noc. Morze było spokojne, a niebo bezchmurne. Zdawało mi się, że daleko na zachodzie, gdzieś poza bagnistymi terenami delty Nilu dostrzegam Faros, świetlny punkcik na niewyraźnym horyzoncie. Staliśmy z Bethesdą przy burcie, wpatrując się w dal.

- Tam! - powiedziałem. - Widzisz? To Faros.

Zmrużyła oczy i zmarszczyła czoło.

- Nie widzę.

- Na pewno?

- Moje oczy są dzisiaj słabsze.

- Źle się czujesz? - Objąłem ją mocno.

- To teraz takie nieistotne. - Skrzywiła się. - Przebyć taki kawał drogi z powodu takiej błahostki...

- To nie żadna błahostka, żono. Musisz wrócić do zdrowia.

- Po co? Nasze dzieci są już dorosłe.

- Eko i Diana dali nam wnuki, a teraz Diana spodziewa się jeszcze jednego.

- I bez wątpienia świetnie sobie poradzą z ich wychowaniem, z babcią czy bez niej. Mój czas na tej ziemi był dobry, panie...

Panie? Co jej przyszło do głowy, by mnie tak nazwać? Wiele lat minęło od dnia, kiedy ją wyzwoliłem i pojąłem za żonę. Od tamtej pory nigdy nie mówiła do mnie inaczej niż „mężu” i ani razu nie słyszałem podobnej pomyłki. To przez ten powrót do Egiptu, powiedziałem sobie. Wraca myślami do przeszłości i myli z nią terażniejszość.

- Twój czas jeszcze długo się nie skończy, żono.

- A twój, mężu? - Bethesda nie dała po sobie poznać, czy zauważyła swe przejęzyczenie. - Kiedy wróciłeś na statek, złożyłam dzięki Izydzie, bo zakrawało to na cud. Ale centurion zabronił kapitanowi odpłynąć, co oznacza, że Wielki jeszcze z tobą nie skończył.

- Pompejusz ma poważniejsze problemy na głowie - odparłem. - Przybywa do Egiptu szukać wsparcia u króla Ptolemeusza. Wszyscy inni sprzymierzeńcy, wschodni potentaci, bankierzy i najemnicy, którzy stali przy nim do czasu Farsalos, teraz go opuścili. Ma jednak silne związki z Egiptem. Jeśli uda mu się nakłonić Ptolemeusza, by stanął po jego stronie, może jeszcze mieć nadzieję na pokonanie Cezara. Egipt ma złoto i zboże, a od siedmiu lat stacjonuje tam nawet rzymski legion z misją utrzymania pokoju.

- Kiepsko się z niej wywiązuje, skoro Ptolemeusz prowadzi wojnę domową ze swoją siostrą - zauważyła Bethesda.

- Tak było zawsze w Egipcie, przynajmniej za naszych czasów. Rodzeństwo ptolemejskie żeni się między sobą, spiskuje przeciw sobie, a nawet morduje się nawzajem, żeby tylko zyskać przewagę. Siostry poślubiają braci, bracia duszą siostry... Miła rodzinka! Tak samo dziwna i dzika jak te bóstwa z głowami zwierząt, które czczą Egipcjanie.

- Nie natrzęśaj się z egipskich bogów, panie! Jesteś teraz w ich królestwie!

Znów to „panie”. Zmilczałem i tylko mocno ją przytuliłem.

- Widzisz więc sama, że Pompejusz nie ma czasu na zajmowanie się kimś takim jak ja...

Staralem się włożyć w te słowa tyle przekonania, ile mogłem w sobie znaleźć.

Kiedy sen nie chce przyjść, noc jest wyjątkowo długa. Leżeliśmy z Bethesda na naszej małej koi w ciasnej kajucie pasażerskiej, oddzieleni od Rupy i moich urwisów lichym trzciniowym parawanem. Rupa pochrapywał cicho, Mopsus i Androkles oddychali równo i spokojnie, pogrążeni w twardym dziecięcym śnie. Statek kołysał się łagodnie na lekkiej martwej fali. Byłem zmęczony i otępiały, ale sen nie przychodził.

Gdyby nie ten sztorm, byłibyśmy już w Aleksandrii, bezpieczni i wygodnie rozgoszczeni w jakimś zajeździe w dzielnicy Rakotis, mielibyśmy pod nogami nieruchomą podłogę i prawdziwy dach nad głową, w żołądkach smakołyki z miejscowego rynku, a w głowach natłok wrażeń, widoków i dźwięków ludnego miasta, którego nie oglądałem od lat młodości. O świcie wynająłbym łódź, by popłynąć długim kanałem do delty Nilu. Bethesda zrobiłaby to, po co tu przyjechała... i ja też. Miałem bowiem swój powód, by przyjechać nad Nil, o którym moja żona nic nie wiedziała. U stóp koi stał nasz kufer podróżny, co rano służący Bethesda za toaletkę, co wieczór nam obojgu za stół. W kufrze, ukryta między odzieżą, butami, kosmetykami i pieniędzmi, spoczywała niewielka urna z brązu. Wiozłem w niej prochy kobiety zwanej Kasandrą. Była siostrą Rupy, ale i jego opiekunką, ponieważ młodzieniec był niemy i słaby na umyśle, i nie umiałby dać sobie sam rady w życiu. Kasandra była mi bardzo droga, choć nasza znajomość o mały włos nie okazała się dla nas fatalna. Udawało mi się trzymać ten romans w tajemnicy przed Bethesda tylko dzięki jej chorobie, która przytępiła jej intuicję razem z innymi zmysłami. Kasandra i Rupa przybyli do Rzymu z Aleksandrii; teraz on chciał odwiedzić siostrę do kraju ich dzieciństwa i rozsypać jej prochy nad Nilem, oddając je wielkiemu cyklowi ziemi, powietrza, ognia i wody. Urna z tym, co zostało z Kasandry, była dla mnie niczym piąty pasażer w naszej grupce, niewidzialny i niesłyszalny, ale często obecny w moich myślach. Gdyby wszystko poszło dobrze, nazajutrz Bethesda kąpałaby się w Nilu, a prochy mojej kochanki spłynęłyby z jego świętym nurtem. Obowiązek spełniony, zdrowie przywrócone, mroczny rozdział zamknięty, a nowy, miałem nadzieję, że jaśniejszy, rozpoczęty. Stało się jednak inaczej.

Czy sam ponosiłem winę za swój los? Zabiłem człowieka, odepchnąłem ukochanego syna Metona, zakochałem się w Kasandrze, której doczesne szczątki leżą teraz o parę stóp ode mnie. Czyż mogłem się dziwić, że bogowie się ode mnie odwrócili? Sześćdziesiąt dwa lata czuwali nade mną, ratując z opresji za opresją, albo dlatego, że mnie lubili, albo po prostu bawiły ich pokrętne ścieżki mojego życia. Czy teraz stracili zainteresowanie, czy też ich uwagę przykuły daleko ważniejsze dramaty ogarniającej świat wojny? A może obserwowali moje poczynania, osądzili



surowo i zawyrokowali, że niewart już jestem, by żyć? Na pewno przynajmniej jeden z nich musiał się uśmieć tego popołudnia, kiedy spotkaliśmy się z Pompejuszem - dwaj złamani ludzie na krawędzi ruiny.

Takimi torami biegły moje myśli tej nocy, skutecznie odstrasżając sen. Bethesda za to spała i musiało się jej coś śnić; od czasu do czasu szeptała coś i poruszała palcami. Musiał to być zły sen, ale celowo jej nie budziłem. Wyrwiesz śpiącego w pół snu, a trapiące go mroczne zjawy zostaną przy nim; wystarczy jednak pozwolić, aby sen się wyśnił do końca, a śniący obudzi się, niczego nie pamiętając. Niedługo Bethesda może stanąć wobec koszmaru, z którego nie będzie przebudzenia. Jak umrę? Czy ona będzie zmuszona patrzeć na moją śmierć? Jakiego mnie zapamięta? Rzymianin musi za wszelką cenę starać się zakończyć życie z godnością. Będę musiał o tym pamiętać i myśleć o niej i o wspomnieniu, jakie po mnie uniesie, kiedy Wielki wezwie mnie po raz drugi do siebie.

W którymś momencie tej bardzo długiej i ciemnej nocy Bethesda się obudziła i poszukała mej dłoni. Splotła palce z moimi i ścisnęła tak mocno, że się przestraszyłem, sądząc, że chwyciła ją nagła boleść.

- Co się dzieje? - szepnąłem.

Przysunęła się do mnie bliżej i położyła mi palec na ustach. W ciemności widziałem jej błyszczące oczy, ale nie mogłem się dopatrzeć wyrazu jej twarzy. Szepnąłem znowu, czując na wargach nacisk jej palca:

- Bethesdo, kochanie...

- Ciiicho - syknęła.

- Ale...

Odjęła palec i zastąpiła go ustami, odciskając na mych wargach głęboki, długi pocałunek. Nie całowaliśmy się tak od bardzo dawna, odkąd się zaczęła jej choroba. Przypomniała mi się Kasandra; przez ulotny moment doświadczyłem złudzenia, że to ona jest ze mną w łóżku, wrócona z martwych. Ale pocałunek trwał i to wspomnienie przybladło; znów byłem z Bethesdą, taką jak przed wielu laty, kiedy oboje byliśmy bardzo młodzi, a nasza namiętność tak świeża, tak mocna, jakby świat do tej pory nie znał podobnego uczucia; jakby była bramą do nowej, nie odkrytej krainy.

Przycisnęła się do mnie i otoczyła ramionami. Zapach jej włosów był odurzający. Ani niedomaganie, ani trudy podróży nie powstrzymywały jej od codziennego rytuału mycia, czesania i skrapiania wonnościami tej czarnej, przeplatanej srebrem grzywy bujnych loków, sięgających prawie jej talii. Położyła się na mnie i jej włosy otuliły mnie, spływając po mych nagich ramionach i policzkach wraz ze łzami, którymi nagle wezbrały mi oczy. Statek łagodnie kołysał się na falach, Rupa i chłopcy spali o wyciągnięcie ręki, urna z prochami Kasandry była tuż, a my kochaliśmy się po cichutku, powoli, złączeni czułością tak głęboką, jakiej od dawna już nie doznaliśmy. Początkowo obawiałem się, że ten przyływ namiętności może okazać się ponad jej siły, jednak to ona nadawała nam tempo, doprowadzając mnie szybko do granic rozkoszy, ale zaraz zwalniała i trzymała mnie na krawędzi, rozciągając każdy z takich momentów do słodkiej nieskończoności.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz spełnienia, potem następny i następny. Za trzecim razem podzieliłem jej ekstazę, szczytując i rozpluwając się w

zapomnieniu. Rozłączyliśmy się, ale leżeliśmy ciasno przy sobie, oddychając jednym rytmem, aż poczułem, jak całe jej ciało rozluźniło się tak bardzo, że w przyptywie strachu uścisnąłem jej rękę, na wpół przekonany, iż nie zareaguje. Oddała mi jednak uścisk, choć pozostała zupełnie wiotka, jak gdyby poluzowały się jej stawy, a kończyny rozmiękły jak wosk. Dopiero teraz w pełni zdałem sobie sprawę z tego, jak sztywne i napięte było w ciągu ostatnich miesięcy jej ciało, nawet wtedy, kiedy spała. Wydała z siebie długie westchnienie zadowolenia.

- Bethesdo... - zacząłem cicho.

- Śpij już - odszepnęła.

Podziałało to na mnie jak magiczne zaklęcie. Poczułem, jak opuszcza mnie wszelka świadomość, a ja sam zatapiam się w bezkresnym, ciepłym oceanie Somnusa. Usłyszałem jeszcze tylko przenikliwy szept, po którym nastąpił stłumiony chichot. Najwyraźniej Androkles i Mopsus musieli się tymczasem obudzić, a odgłosy dobiegające z naszego łóżka dostarczyły im niezłej rozrywki. W innych okolicznościach być może bym się rozgniewał, teraz jednak musiałem zasnąć z uśmiechem na twarzy, bo tak się właśnie obudziłem.

Uśmiech szybko jednak zniknął, kiedy przypomniałem sobie, gdzie się znajduję. Zamrugalem, patrząc w kierunku sączącego się pod drzwiami kabiny przyćmionego światła. Za drzwiami wyczułem jakiś ruch. Na zewnątrz słychać było nawołujących się mężczyzn. Załopotało żaglowe płótno, zaskrzypiały wiosła. *Andromeda* ruszała w drogę, ale dokąd?

Poczułem dreszczyk nadziei. Czyżby jakimś cudem udało się nam pod osłoną nocy wymknąć eskadrze Pompejusza? Czy widać już było Aleksandrię? Wygramoliłem się z koi, narzuciłem tunikę, otworzyłem drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Moje nadzieje natychmiast się ulotniły. Znajdowaliśmy się w samym środku Pompejuszowej floty, otoczeni przez jego statki. Pływały wszystkie, korzystając z wiejącej bryzy, by zbliżyć się do brzegu.

Kapitan zauważył mnie i ruszył w moim kierunku.

- Dobrze dzisiaj spałeś? - zapytał. - Domyślam się, że sen był ci bardzo potrzebny. Nie miałem serca cię budzić.

- Co się dzieje?

- Nie jestem do końca pewien, ale podejrzewam, że ma to coś wspólnego z nimi. - Wskazał w kierunku brzegu.

Poprzedniego dnia plaża była tylko brązową kreską, bez jakiegokolwiek wyrazu i najmniejszego śladu życia, dziś pełno było tam żołnierzy ustawionych w regularne czworoboki. Ich włócznie rzucały długie cienie, a polerowane broje lśniły w ostrych promieniach porannego słońca. Pióropusze na hełmach zdawały się drżeć jak liście niektórych drzew pod najlżejszym podmuchem wiatru. Na niskich wzgórzach za plażą ustawiono barwne namioty z powiewającymi proporcami. Najokazalszy stał oczywiście na najwyższym pagórku. Pod jego baldachimem zobaczyłem tron, połyskujące krzesło ze złota, zdobne w drogocenne kamienie i zaprawdę godne króla. W tej chwili było puste, a choć wyteżałem wzrok, nie mogłem zobaczyć, co się dzieje wewnątrz monarszego namiotu.

- Armia króla Ptolemeusza - powiedział kapitan.

- I on sam, sądząc po tym tronie - dodałem. - Przybył pertraktować z Pompejuszem.

- Niektórzy z tych żołnierzy wyglądają na rzymskich legionistów.

- Bo są nimi - wyjaśniłem. - Siedem lat temu przerzucono tu jeden legion, aby wesprzeć poprzedniego, dziś już nieżyjącego króla Ptolemeusza, pomóc mu się utrzymać przy władzy i stać na straży pokoju. Część tych żołnierzy służyła wcześniej pod rozkazami Pompejusza, o ile sobie przypominam. Podobno większość z nich przejęła obyczaje tubylców, ożeniła się z Egipcjankami i zapomniała, jak żyć po rzymsku. Na pewno jednak nie zapomnieli Pompejusza. Wielki pewnie liczy na to, że staną po jego stronie.

Z pobliskiego statku przekazano nam jakiś sygnał i kapitan Kreteos posłusznie kazał swym ludziom unieść wiosła. Eskadra podpłynęła do brzegu tak blisko, jak jej pozwalały płycizny. Spojrzałem ku galerze Pompejusza i serce we mnie upadło. Łódka, która zabrała mnie poprzedniego dnia, znów kierowała się w naszą stronę. Po chwili dobiła do burty. Centurion Makron nie odezwał się, tylko ruchem głowy polecił mi zejść na dół. Kapitan nachylił się do mnie i szepnął:

- Słyszę, że twoi się budzą. Mam ich zawołać?

Popatrzyłem na zamknięte drzwi kajuty.

- Nie. Pożegnałem się z nimi już wczoraj... i w nocy.

Zszedłem do łodzi po sznurowej drabince. Przed oczyma latały mi plamy, serce tłukło się w piersi... Staralem się pamiętać, że godność Rzymianina nigdy tyle nie znaczy, ile w chwili śmierci, i że całą treść życia mężczyzny podsumowuje sposób, w jaki staje w jej obliczu. Wchodząc do łodzi, potknąłem się, wprawiając ją w kołysanie. Makron chwycił mnie pod ramię, by pomóc mi odzyskać równowagę. Żaden z wiosłarzy się nie uśmiechnął ani nie szydził; odwracali raczej wzrok i mamrotali pod nosem jakieś modlitwy, by odpędzić nieszczęście, jakie zwiastował ten zły omen.

Kiedy płynęliśmy w stronę galery Pompejusza, postanowiłem sobie za nic w świecie nie patrzeć za siebie. Ta niezwykła przenikliwość, jaką zyskuje się z wiekiem, pozwoliła mi wyczuć czyjś wzrok na plecach, jednak wciąż patrzyłem prosto przed siebie. Lecz kiedy przybijaliśmy już do galery, nie mogłem się powstrzymać i rzuciłem przez ramię ostatnie spojrzenie. Zobaczyłem ich wszystkich, z tej odległości malutkich jak figurki. Stali przy burcie statku; nie tylko kapitan i wszyscy marynarze, ale i Rupa, jeszcze trący zaspane oczy, obaj niewolnicy w samych przepaskach biodrowych i Bethesda w nocnej tunice. Zobaczywszy, że patrzę w ich kierunku, zakryła dłońmi twarz.

Razem z Makronem weszliśmy na pokład galery. Na dziobie zebrała się grupka oficerów, otaczająca samego Pompejusza (domyśliłem się tego po wspaniałym szkarłatnym grzebieniu na hełmie mężczyzny stojącego pośrodku, całkowicie schowanego za plecami innych). Z trudem przełknąłem ślinę i wziąłem się w garść, by stawić czoło mojej Nemezis, ale centurion złapał mnie za łokieć i skierował w przeciwną stronę, w kierunku kabiny, w której wczoraj przyjął mnie Wielki. Zastukał do drzwi, które po chwili się otworzyły i stanęła w nich Kornelia.

- Wejdz, Poszukiwaczu - powiedziała cicho, po czym zamknęła za mną

drzwi.

W pokoju było duszno od unoszącego się tu dymu oliwnej lampy. Pod ścianą stało łóże, które najprawdopodobniej Pompejusz dzielił z żoną. Kapa była z jednej strony odrzucona i zmięta, a z drugiej wygładzona i nietknięta.

- Dobrze spałaś w nocy? - spytałem.

- Dość dobrze, jak na te warunki - odrzekła, unosząc pytająco brwi.

- Ale Wielki nawet się nie położył.

Podążyła za moim wzrokiem w kierunku na wpół posłanego łóżka.

- Mój mąż wspominał, że spostrzegawczość to twoja mocna strona.

- Zły nawyk, którego jakoś nie udaje mi się wyzbyć. Kiedyś z niego właśnie żyłem, ale w dzisiejszych czasach wpędza mnie tylko w kłopoty.

- Wszystkie zalety obracają się w końcu w wady, jeśli się żyje dość długo. Mój mąż jest najlepszym tego przykładem.

- Doprawdy?

- Kiedy go poślubiłam, nie był już młody, ale wciąż butny, odważny i niezwykle pewny tego, że bogowie są po jego stronie. Dzięki tym cechom przez całe życie odnosił zwycięstwa, co dało mu prawo nazywać się Wielkim i wymagać od innych, by tak go tytułowali. Jednak z czasem buta może przerodzić się w arogancję, odwaga w ryzykanctwo, a pewność siebie może się zmienić w tę przywarę, którą Grecy nazywają *hybris*... pychę, a wtedy aż kusi bogów, by takiego człowieka złamać.

- Mówisz mi to pewnie, aby wytłumaczyć klęskę pod Farsalos?

Kornelia zbladła podobnie jak poprzedniego dnia Pompejusz, kiedy powiedziałem zbyt wiele.

- Ty sam masz niemałe skłonności do *hybris*, Poszukiwaczu.

- Czy mówienie prawdy w oczy drugiemu śmiertelnikowi to *hybris*? Pompejusz nie jest bogiem, a ty nie jesteś boginią. To, że nie płaszczę się przed wami, to jeszcze nie obraza niebios.

Wciągnęła z sykiem powietrze, rozszerzając nozdrza, i wbiła we mnie kocie spojrzenie. Dopiero po dłuższej chwili zamrugła i spuściła wzrok.

- Czy wiesz, jaki dziś dzień?

- Pytasz o datę? Za trzy dni będą kalendy październikowe, chyba że straciłem rachubę.

- Dziś są urodziny mojego męża, a także trzynasta rocznica jego triumfu w Rzymie. Położył kres rebelii zwolenników Mariusza w Afryce, wygrał z Perperną w Hiszpanii i pokonał piratów panoszących się na morzach. Podporządkował Rzymowi króla Mitrydatesa i kilku pomniejszych władców azjatyckich. Po tych wszystkich świetnych zwycięstwach powrócił do Rzymu jako Pompejusz Wielki, niepokonany na lądzie i na morzu. Jechał przez miasto w wysadzonym klejnotami rydwanie na czele procesji azjatyckich książąt i księżniczek, a dalej wieziono jego ogromny portret wykonany z samych pereł. Cezar był wtedy nikim. Pompejusz nie miał rywali. Mógłby ogłosić się królem Rzymu, ale wolał uszanować prawa i urzędy ustanowione przez przodków. To był najwspanialszy dzień w jego życiu. Zawsze świętujemy tę rocznicę specjalną ucztą. Może dzisiaj, jeżeli wszystko dobrze pójdzie... - Urwała i pokręciła głową. - Pompejusz od Farsalos prawie w ogóle nie śpi. Przesiaduje przy swoim biurku,

pokrzykując tylko na niewolników, by dolewali oliwy do lampy. Przegląda ten stos dokumentów, sortuje arkusze pergaminu, wykreśla nazwiska, dopisuje uwagi... i wszystko nadaremno! Wiesz, co tam jest? Spisy prowiantu dla oddziałów, które już nie istnieją, wnioski awansowe dla oficerów, którzy rozkładają się w greckim słońcu, plany bitew, które nigdy nie zostaną rozegrane! Brak snu wytrąca człowieka z równowagi, wprowadza zamęt w czterech żywiołach w jego wnętrzu.

- Ziemia, powietrze, woda i ogień. - Skinąłem głową.

- W moim mężu nie ma już nic prócz ognia. Parzy każdego, kogo dotknie, aż w końcu sam się wypali. Nie będzie już Pompejusza Wielkiego, tylko zwęglone truchło, które kiedyś było człowiekiem.

- Ale jeszcze żyje nadzieją - odparłem. - To spotkanie z królem Ptolemeuszem...

- Jak gdyby Egipt mógł nas uratować!

- A nie może? Pomyśl o całym bogactwie Nilu, o sile egipskiej armii wraz ze starym rzymskim garnizonem. To może być port schronienia dla wojsk rozbitych pod Farsalos, gdzie będą się mogły przegrupować i dołączyć do sprzymierzeńców Pompejusza, jacy mu jeszcze pozostali w Afryce.

- Tak, być może... Sytuacja nie jest jeszcze beznadziejna... pod warunkiem, że Ptolemeusz stanie po naszej stronie.

- Dlaczego miałby postąpić inaczej?

Wzruszyła ramionami.

- Król to jeszcze dziecko, ma tylko piętnaście lat. Kto wie, co sobie myślą ci egipsko-grecy eunuchowie, jego doradcy? Egipcjowi udawało się dotąd zachować niepodległość tylko dzięki umiejętnemu lawirowaniu i napuszczaniu Rzymian na Rzymian. Jeśli teraz stanie u boku Pompejusza, kości zostaną rzucone; gdy wojna się skończy, Egipt będzie należał do niego... albo do jego przeciwnika... w każdym razie nie będzie już potężną cywilizacją, tylko kolejną rzymską prowincją. Tak muszą myśleć.

- Ale czy mają jakikolwiek wybór? Albo Pompejusz, albo... - Skoro ona nie wymawia imienia Cezara, pomyślałem, to ja też się powstrzymam. - To przecież dobry znak, że Ptolemeusz przybył na spotkanie Wielkiego z całym splendorem.

- Pewnie tak... - Kornelia westchnęła. - Nigdy jednak nie myślałam, że się odbędzie w taki sposób. Nie przyszło mi do głowy, że przyplniemy flotyllą ciekących łajb, wylądujemy gdzieś na odludziu, ze spuszczoneymi głowami, jak żebracy po ulewie. A Gnejusz... - Porzuciła oficjalne formy, używając mężowskiego imienia. - Gnejusz jest w takim stanie... Trzeba go było widzieć wczoraj po twoim odejściu. Przez godzinę perorował, jakim to mękom cię podda, powiesi na maszcie, każe drzeć z ciebie pasy na oczach wszystkich swoich żołnierzy. Stracił wszelkie poczucie proporcji. To już prawie szaleństwo.

Zaczynało mi się kręcić w głowie i musiałem odetchnąć, by nie stracić równowagi.

- Po co, na Hades, mówisz mi to wszystko? Czego ode mnie chcesz, Kornelio?

Wyjęła coś z szafki i wcisnęła mi do ręki. Była to mała zakorkowana

buteleczka z alabastru, w jakich zazwyczaj przechowuje się pachnidła.

- Co to jest?

- Coś, co trzymałam dla siebie... gdyby zaszła konieczność. Nigdy nie wiadomo, kiedy może być potrzebny sposób na szybkie i godne odejście.

Popatrzyłem na flakonik pod światło i zobaczyłem, że zawiera jakiś jasny płyn.

- To twoja brama do nicości?

- Tak. Ale oddaję ją tobie, Gordianusie. Człowiek, od którego ją nabyłam, nazywa ją „płynną Nemezis”. Działa bardzo szybko i prawie bezboleśnie.

- Skąd wiesz?

- Wypróbowałam ją, na niewolnicy, oczywiście. Dziewczyna zmarła, nawet nie jęknawszy.

- A teraz myślisz, że...

- Myślę, że w ten sposób będzie ci znacznie łatwiej zachować rzymską godność niż przy tym, co szykuje dla ciebie mój mąż. Mężczyźni sądzą, że mają silną wolę, że nie będą krzyczeć i płakać, ale zapominają, jak słabe są ich ciała i jak długo można je męczyć, zanim uwolnią swojego lemura. Wierz mi, Poszukiwaczu, tak będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

- Włącznie z Pompejuszem.

Jej twarz przybrała twardy wyraz.

- Nie chcę, żeby robił widowisko z twojej śmierci, zwłaszcza na oczach króla Ptolemeusza. Wyładuje na tobie całą wściekłość na Cezara. Wyobrazasz sobie, jak by to żałośnie wyglądało? Sam powinien to wiedzieć, ale stracił zdolność trzeźwej oceny.

Patrzyłem na buteleczkę jak urzeczony.

- Rozgniewa się, jeśli nie będzie mógł mnie osobiście ukarać - powiedziałem.

- Nie, jeżeli bogowie zrobią to pierwsi. Tak to będzie wyglądać. Połkniesz zawartość butelki... podobno jest nawet nie najgorsza w smaku... a ja potem wyrzucę ją do morza. Umrzesz nagle i spokojnie, Poszukiwaczu. Nie jesteś już młody, nikogo nie zdziwi, że twoje serce nie wytrzymało. Wszyscy pomyślą, że zmarłeś ze strachu przed zemstą Pompejusza. Mój mąż będzie rozczarowany, ale mu przejdzie. Zwłaszcza jeśli uda się nam jakoś odwrócić złą passę i odnieść zwycięstwo. Wtedy będzie miał niezliczone możliwości, by dać upust swej furii.

- Chcesz, bym połknął truciznę teraz?

- Nie, zaczekaj. Pompejusz ma się udać łodzią na spotkanie z Ptolemeuszem. Połknij ją, kiedy odpłynie.

- Abym był już zimny, gdy wróci?

Skinęła głową.

- A jeśli odmówię?

- Poszukiwaczu, coś ci przyrzeknę. Przyjmij ten dar ode mnie, a ja dopilnuję, aby nic złego się nie stało twojej rodzinie. Przysięgam na cienie mych przodków.

Wyciągnąłem korek i spojrzałem na bezbarwną ciecz w buteleczce. Płynna Nemezis... Przesunąłem naczynko pod nosem i poczułem tylko



słodkawy, wcale nie odrażający zapach. Kiedykolwiek w życiu rozmyślałem o własnej śmierci, nigdy sobie nie wyobrażałem, że umrę w ten sposób. Nieraz się o nią ocierałem, czy to w boju, czy podczas pracy, ale nigdy nie groziło mi otrucie. Czy tak było mi pisane zejść z tego świata? Czy miałem zakończyć życie, robiąc przysługę obcej kobiecie, która chce oszczędzić mężowi dyshonoru związanego z zabiciem mnie?

Stukanie do drzwi raptownie wyrwało mnie z zamyślenia; o mało nie upuściłem trucizny. Kornelia złapała mnie za rękę i zacisnęła na niej palce.

- Uwważaj! - syknęła mi do ucha. - Schowaj to!

Zakorkowałem szczelnie flakonik i wsunąłem do wszytego w fałdy tuniki woreczka. U drzwi stał centurion Makron.

- Wielki jest gotów do drogi - oznajmił Kornelii. - Jeśli chcesz, pani, się z nim pożegnać...

- Oczywiście.

Kornelia odetchnęła głęboko i wyszła z kabiny. Makron dał mi znak, bym ruszył za nim. Ściskając przez tkaninę alabastrową buteleczkę, przestąpiłem próg kajuty.





## ROZDZIAŁ 4

Na śródokręciu galery zobaczyłem Pompejusza schodzącego po trapie na królewski barkas egipski. Pomimo niewielkich rozmiarów łódź była wymyślnie zdobiona; dookoła burty bieżyły rzeźbione wizerunki krokodyli, żurawi i koników morskich, obite srebrną blachą i z oczami z lapisu i turkusów. Dziób barkasu miał kształt stojącego ibisa z rozpostartymi skrzydłami. Za rzędem wiosłarzy stało w niej trzech żołnierzy. Jeden był Egipcjaninem, zapewne wysokiej rangi, sądząc po złotym filigranie zdobiącym jego srebrny napierśnik. Dwaj wyglądali na rzymskich centurionów; domyśliłem się, że reprezentują stacjonujący w Egipcie legion. Kiedy Pompejusz stanął na dolnym podeście trapu, obydwaj podsunęli się o krok ku burcie i oddali mu salut, zwracając się do niego przydomkiem „Wielki”. Pompejusz uśmiechnął się z zadowoleniem, a jednemu z nich skinął głową.

- Septymiesz, prawda? - zapytał.

Zagadnięty skłonił się lekko.

- Jestem zaskoczony, że mnie pamiętasz, wodzu.

- Dobry dowódca nigdy nie zapomina tych, których miał pod komendą, choćby to było przed wielu laty. Jak tam służba w Egipcie?

- Czasy są niespokojne, Wielki. Nie mogę narzekać na nudę.

- A ty, centurionie? - Pompejusz zwrócił się do drugiego z Rzymian. - Jak się nazywasz?

- Jestem Salwusz, Wielki - przedstawił się przybysz, nie patrząc mu w oczy.

Pompejusz zmarszczył brwi, po czym przeniósł spojrzenie na stojącego w tyle Egipcjanina. Był to masywnie zbudowany mężczyzna o szerokich ramionach i silnych kończynach. Miał niebieskie oczy Greka, ale przy tym ciemną cerę. Usłyszałem z boku, jak Makron szepcze do Kornelii:

- To łańcuchowy kundel króla, półkrwi Grek. Nazywa się...

- Achilles - ubiegł go tubalny głos Egipcjanina przedstawiającego się Pompejuszowi. - Dowódca straży królewskiej. Będę miał zaszczyt eskortować cię przed oblicze króla Ptolemeusza... Wielki - dodał po krótkiej pauzie bezbarwnym tonem.

Pompejusz zaledwie skinął mu głową i gestem nakazał swej świcie, by schodziła do łodzi. Towarzyszyło mu tylko czterech ludzi, wśród nich Makron i inny centurion jako ochrona, skryba z nieodłączną skrzynką materiałów do pisania oraz lojalny wyzwolieniec Wielkiego, niejaki Filip, nieduży, żyłasty człowiek ze starannie przystrzyżoną bródką, który podobno uczestniczył we wszystkich ważnych spotkaniach swego pana z powodu wyjątkowej zdolności zapamiętywania imion, twarzy i faktów.

Pompejusz wszedł do łodzi ostatni, korzystając z pomocy Filipa. Zanim usiadł z innymi, odwrócił się i potoczył wzrokiem po twarzach żegnających go osób. Ludzie na pokładzie rozstąpili się, dając przejście Kornelii, która zeszła po trapie i wyciągnęła dłoń do męża. Ich palce spotkały się na

moment, lecz zaraz rozłączyły, gdy wioślarze pociągnęli wiosłami i łódź odbiła spod burty galery.

- Pamiętaj o manierach, mój drogi - zawołała za nim Kornelia drżącym głosem. - To tylko piętnastolatek, ale jednak król.

Pompejusz uśmiechnął się i uklonił nisko teatralnym gestem sługi.

- Kto raz wejdzie w progi tyrana, staje się niewolnikiem, choć przedtem był wolny - zadeklamował.

- To z Eurypidesa - mruknął stojący obok mnie oficer.

- Raczej z Sofoklesa, jeśli dobrze pamiętam - sprostowałem, otrzymując w zamian wrogi spojrzenie.

Pompejusz po raz ostatni skinął głową Kornelii, po czym z pomocą Filipa zaczął się sadowić na przeznaczonym dla niego miejscu. Nagle spojrzął w górę i nasze oczy się spotkały. Patrzył na mnie zaledwie przez mgnienie, ponieważ siadanie w kołyszącej się łodzi wymagało skupienia uwagi, ale to wystarczyło, bym wyczytał w jego wzroku błyskawicznie po sobie następujące rozpoznanie, lekkie zdziwienie, błysk nienawiści i niedwuznaczną zapowiedź, że rozprawi się ze mną później, gdy będzie miał więcej czasu. Poczulem, że coś dławi mnie w gardle, i mocniej ścisnąłem flakonik w kieszeni. Byłem wart tylko przelotnego spojrzenia; w następnej sekundzie Pompejusz siedział już pewnie i zwrócił uwagę na brzeg i ludzi oczekujących go przy królewskim namiocie.

Na galerze i na pozostałych statkach wszyscy bez słowa obserwowali odpływający barkas, podobnie jak ci na lądzie. Chwila była nieco nierzeczywista, czas zdawał się rozciągać. Tak blisko brzegu woda była mętna, zabarwiona na żółtobrazowo mułem niesionym przez wezbrane jak co roku wody Nilu. Niebo było bezchmurne, ale zamglone, barwy raczej perłowszarej niż niebieskiej. Powierzchni morza nie marszczył nawet najłżejszy powiew, a powietrze nabrzmiało wilgocią. Dźwięki niosły się z przedziwną czystością; wyraźnie słyszałem, jak Pompejusz odchrząknął i starał się nawiązać rozmowę z Septymiuszem i Salwiuszem. Centurionowie nie odpowiedzieli, tylko odwracali wzrok, zupełnie jak ludzie, którzy zabierali mnie z *Andromedy*. Nagi, jednobarwny brzeg wydawał się teraz szczególnie niegościnnie. Tron ustawiony przed królewskim namiotem pozostawał pusty; król Ptolemeusz wciąż nie raczył się pokazać.

Kornelia cofnęła się spomiędzy stłoczonych przy burcie ludzi i zaczęła nerwowo spacerować po pokładzie, nie spuszczać z oczu barkasu. Trzymała dłoń przy ustach, wyraźnie zaniepokojona. Panujące wokół napięcie stało się tak przytłaczające, że zaczęło mi się wydawać, iż ja sam jestem jego źródłem. Być może dla innych niebo było niebieskie jak zawsze, a chwila nie dziwniejsza od poprzednich... Może to moje złudzenie wywołane bliskością śmierci? Według etruskiego powiedzenia, co ma być zrobione, najlepiej zrobić szybko. Dotknąłem przez fałdy tuniki alabastrowego flakonika. Dziwny smak na języku, chwila bólu, a potem nicość...

Królewski barkas dotarł do brzegu, gdzie czekała honorowa eskorta. Wioślarze wyskoczyli do wody i pchali łódź dalej, póki nie stanęła na piaszczystym dnie. Salwiusz i Achilles wyszli na brzeg, a tuż za nimi Filip, który zatrzymał się i odwrócił, by podać rękę Pompejuszowi.

Kornelia krzyknęła. Być może targnęło nią nagłe przeczucie, albo też uważniej obserwowała tę scenę niż pozostali. Patrzyłem w tamtą stronę jak wszyscy, ale z początku zobaczyłem tylko jakieś nagłe zamieszanie; dopiero później, kiedy przypominałem sobie te ulotne obrazy, wyraźnie do mnie dotarło, co naprawdę zaszło na plaży. Wioślarze z pomocą żołnierzy nagłe chwycili dwóch centurionów Pompejusza i ściągnęli z łodzi do wody. Septymiusz, stojący za Wielkim, dobył broni. Gdy wznosił ją do ciosu, do galery dotarł spóźniony okrzyk Makrona, a po nim, dziwnie odseparowany, zgrzyt wyciąganego z pochwy miecza. Ostrze opadło raptownie; Pompejusz znieruchomiał na mgnienie oka, po czym jego ciałem wstrząsnął dreszcz. W groteskowej parodii własnego pożegnalnego ukłonu przed Kornelią wyrzucił ręce szeroko na boki. Żołnierze pochwycili osłupiałego Filipa i odciągnęli dalej na brzeg. Salwiusz i Achilles wgramolili się z powrotem do łodzi. Po obu jej burtach wioślarze trzymali Makrona i jego towarzysza pod wodą, dopóki nie przestali się wyrwać i rzucić, Pompejusz padł na wznak, a cała trójka zamachowców rzuciła się na niego. Miecze zamigotały w słońcu...

Po chwili ciosy ustały. Septymiusz i Salwiusz cofnęli się, dysząc ciężko. Ich napierśniki splamione były krwią. Achilles przykucnął nad ciałem i dokonał jakiejś operacji. Niedługo potem wstał wyprostowany i jedną ręką wysoko podniósł odciętą głowę Pompejusza.

Na naszej galerze wszyscy stali jak wryci, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Z pozostałych okrętów niosły się pojedyncze krzyki, przerywające nienaturalną ciszę. Achilles celowo stanął twarzą do nas i trzymał w górze swoje krwawe trofeum, abyśmy dokładnie je widzieli. Oczy Wielkiego były szeroko otwarte, podobnie jak usta. Z przeciętej szyi kapła krew. Po długiej chwili kapitan odwrócił się i pokazał głowę zgromadzonym na plaży oddziałom.

Przed królewskim namiotem pojawił się wreszcie sam Ptolemeusz. W którymś momencie podczas ataku zasiadł na tronie, otoczony rojem dworzan. Z tej odległości wydawał się mały; nie mogłem rozróżnić rysów jego twarzy, ale łatwo go poznałem po lśniącej koronie z ureusem: wysadzanej klejnotami złotej obręczy z gotującą się do ataku kobrą pośrodku. W skrzyżowanych na piersi rękach król dzierżył insygnia władzy faraona, bicz i berło z zakrzywionym końcem, wykonane ze złota i lapisu. Doradca szepnął mu coś do ucha, a Ptolemeusz uniósł berło w salucie dla Achillesa. Triumfalny krzyk setek, a może tysiący egipskich żołnierzy rozległ się nad wodą niczym grzmot.

Odwróciłem się i spojrzałem na Kornelię. Jej twarz, wykrzywiona cierpieniem, miała barwę kości słoniowej. Kapitan galery podbiegł do niej, szepnął coś i wskazał na zachód. Jak we śnie zwróciła z wolna głowę w tamtym kierunku. Od strony ujścia Nilu ukazała się na horyzoncie flotylla statków.

- Egipskie okręty! - krzyknął kapitan, ściskając rękę Kornelii, by wyrwać ją z transu.

Przez jej twarz przebiegały drobne skurcze, jak gdyby chciała coś powiedzieć, a nie mogła wydobyć z siebie głosu. Zadrżała, zamrugła kilka razy, aż wreszcie krzyknęła:

- Podnieść kotwicę! Stawiać żagiel! Stawiać żagiel!

Jej krzyk wytrącił nas wszystkich z odrętwienia. Statek nagle ożył gorączkową krzątaniną, tupotem bosych nóg marynarzy, komendami kapitana. Potrącano mnie, popychano, parę razy omal się nie przewróciłem. Przedarłem się przez ten chaos na pokład rufowy i rozejrzałem. Wszystkie statki jednocześnie podnosiły kotwice, wiosła unosiły się w nierównym rytmie, marynarze stawiali żagle. Wreszcie dojrzałem *Andromedę*. Bethesda stała przy burcie wpatrzona w galerę Pompejusza, ale najwyraźniej nie widziała mnie w panującym tu zamieszaniu. Wspiwała się na palce i machała rękami. Rupa złapał ją z tyłu, oderwał od burty i odciągnął w stronę kajuty, starając się schodzić z drogi zabieganym marynarzom. Zacząłem sam machać ku nim i wołać jej imię, ale bez skutku. W następnej chwili zniknęli za drzwiami kajuty razem z chłopakami.

Zeskoczyłem na główny pokład i pobiegłem do trapu, właśnie podciąganego na linach przez grupkę marynarzy. W paru susach znalazłem się na dolnym podeście i rzuciłem się do wody. Słona woda zakłuła mnie w nozdrza, serce waliło mocno. Po chwili wynurzyłem się i rozpaczliwie łapałem powietrze. Wszystkie statki były już w ruchu. Szybko straciłem orientację. Wyglądało na to, że każdy kapitan manewrował na własną rękę, bez żadnej koordynacji z resztą eskadry. Zaledwie o rzut kamieniem od galery zderżyły się dwa mniejsze stateczki i kilku marynarzy wypadło do morza. Zagarniałem wodę ramionami, starając się zorientować w położeniu, cały czas szukając wzrokiem *Andromedy*. Wiedziałem mniej więcej, gdzie powinna się znajdować, ale widok zasłaniał mi przepływający statek. Ruszyłem jednak w tamtą stronę, oddalając się od brzegu.

Od pracy tyłu wiosła na tak małym obszarze tworzyły się drobne wiry i biegnące we wszystkich kierunkach fale, zderzające się i mieszające ze sobą. Zalewały mnie co rusz w najmniej spodziewanym momencie; połykałem powietrze, wdychałem wodę, płynięcie stawało się niemożliwe. Musiałem walczyć o samo utrzymanie głowy nad wodą. Nie wiadomo skąd nadpłynęła galera, mijając mnie tak blisko, że jej wiosła jedno po drugim uderzały w wodę niemal tuż przy mojej głowie. Wiry rzucały mną na wszystkie strony, wciągały pod wodę i obracały dookoła. Kiedy wreszcie to się skończyło i z wolna złapałem oddech, byłem jeszcze bardziej dezorientowany niż przedtem. Nie wiedziałem już nawet, gdzie jest brzeg. Całą moją energię pochłaniało utrzymanie się na wodzie. W pewnej chwili zdawało mi się, że widzę w oddali kadłub *Andromedy*. Rozpaczliwie próbowałem płynąć w tamtym kierunku, dobywając resztek sił na wykrzyczenie imienia Bethesdy. Mogła to być jednak każda inna galera, a poza tym nie miałem szans jej dogonić. Statek szybko zniknął mi z oczu, a wraz z nim uleciały resztki nadziei. Byłem pewien, że już nigdy jej nie zobaczę. Poddałem się. Neptun musiał mieć własne plany wobec mojej osoby, zdałem się więc całkowicie na jego łaskę. Moje ręce i nogi zmieniły się w sztaby ołowiu; byłem pewien, że utoną, ale ręka boga podtrzymała mnie na powierzchni. Gorące słońce paliło mi twarz. Zbeltane wiosłami morze uspokoiło się, plamy żagli zniknęły za horyzontem. Gdzieś z oddali

dobiegały stłumione odgłosy, przywodzące na myśl zwijającą obóz armię, ale wkrótce i to ucichło. Słyszałem już tylko własny oddech i łagodny szum fal uderzających o brzeg. Po jakimś czasie zorientowałem się, że fale już mnie nie niosą, lecz tylko popychają, przewracając z jednego boku na drugi. Pod moimi plecami zmaterializowało się piaszczyste dno. Napływająca i opadająca woda wzdychała i szeptała mi do uszu. Jęknąłem i zamknąłem oczy.

Możliwe, że spałem, ale chyba niedługo. Ponad jednostajnym poszumem morza usłyszałem gdzieś blisko inny dźwięk: brzęczenie much. Musiały ich tam być całe roje. Otworzyłem oczy i ujrzałem nad sobą okoloną broda twarz. Człowiek miał łzy w oczach i drżały mu wargi, kiedy przemówił.

- Pomóż mi! Na miłość Jowisza, pomóż mi!

Poznałem go. Był to Filip, zaufany wyzwoleniec, który towarzyszył Pompejuszowi w wyprawie na ląd.

- Błagam cię - powtórzył. - Sam nie dam rady, on jest za ciężki, a ja zbyt zmęczony. Widziałem cię na galerze, gdy odpływaliśmy. Stałeś z Kornelią. Znałeś go dobrze? Walczyłeś pod jego znakiem? Myślałem, że znam wszystkich jego przyjaciół, ale...

Chciałem wstać, ale nogi miałem wciąż jak z ołowiu. Z pomocą Filipa przetoczyłem się na brzuch i uniosłem na czworaki, czując, jak kolana zapadają się w mokry piach. Filip podtrzymywał mnie za ramiona, bo inaczej mógłbym się znowu osunąć. Rozejrzałem się wokoło. Plaża była pusta. Namioty zniknęły, żołnierze odeszli. Przejmującą ciszę przerywało tylko rytmiczne bicie drobnych fal o brzeg i nieustanne brzęczenie much. Odwróciłem głowę i spojrzałem na morze. Niebo i odległy horyzont zasnuwała ta sama rzadka mgiełka; jak okiem sięgnąć, nie było widać choćby jednego żagla. W powietrzu za to panował ruch. Uniosłem głowę i zobaczyłem krążące nad nami sępy.

Filip wsunął mi dłonie pod pachy i dźwignął w górę, chcąc jak najszybciej postawić mnie na nogi. Był niskiego wzrostu, ale sił mu nie brakowało. Na pewno miał ich więcej ode mnie. Twierdził, że potrzebuje mojej pomocy, ale po oczach poznałem, że chodzi mu raczej o moje towarzystwo, o obecność żywego człowieka na tym pustkowiu. Filip nie chciał być sam, a kiedy zaprowadził mnie na miejsce, gdzie wylądował królewski barkas, zrozumiałem dlaczego. Łodzi nie było.

- Gdzie... - zacząłem, ale uprzedził moje pytanie.

- Zabrali ją wozem. To nie do wiary! Przywieźli ją tu specjalnie tylko po to, by zabrać Pompejusza na ląd, a kiedy już było po wszystkim, splukali krew wiadrami słonej wody, odwrócili łódź do góry dnem, załadowali na wóz i odjechali. Cała armia zrobiła w tył zwrot i zniknęła w ciągu paru minut. To było niesamowite. Zupełnie jak duchy. Można by pomyśleć, że ich tu w ogóle nie było...

Wojsko Ptolemeusza jednak tu było, a dowód leżał u naszych stóp. Ktoś - zapewne sam Filip - wywłókł zwłoki centuriona Makrona i jego kolegi na brzeg i ułożył je obok siebie na wznak. Niedaleko spoczywało ciało niewolnika, którego Pompejusz zabrał jako skrybę. Jego tunika zaplamiona była krwią z kilku ran.

- Musiał się nawinać pod miecze, kiedy Achilles i Salwiusz wspinali się

z powrotem do łodzi - powiedział Filip. - Nie mieli powodu, by go zabijać. Mnie nie zabili. Biedak po prostu stał im na drodze.

Skiąłem głową na znak, że zrozumiałem, co do mnie mówi, i przeniosłem wzrok na to, czego do tej pory unikałem. Za zwłokami centurionów i skryby leżał nagi, bezgłowy trup Pompejusza Wielkiego. To właśnie wokół niego, zwłaszcza przy pokrytym zakrzepłą krwią kikucie szyi, muchy uwijały się najgęstszymi chmurami.

- Zabrali jego głowę - rzekł Filip łamiącym się głosem. - Odcięli i zabrali jak trofeum! A palec...

Spostrzegłem, że u prawej dłoni brakuje palca.

- Chcieli zabrać pierścień. Nie mogli go po prostu zdjąć, dranie! Odcięli palec i wyrzucili w piasek czy do wody albo kto wie gdzie...

Filip zaszlochał i w nagłym przypiływie furii zerwał z siebie tunikę, machając nią jak opętany w daremnym usiłowaniu odpędzenia much. Wzlatywały na chwilę, by natychmiast powrócić, zdawało się, w jeszcze większej liczbie. Wyzwoleniec po chwili dał za wygraną i zaczął mówić przez łzy:

- Udało mi się jakoś go rozebrać. Obmyłem rany morską wodą, ale muchy i tak nie dawały mu spokoju. Musimy ułożyć stos pogrzebowy. Na pewno znajdzie się tu dość drewna wyrzuconego przez morze. Trochę już zebrałem, ale to za mało. Pomożesz mi, prawda?

Spojrzałem znowu na zwłoki Pompejusza i kiwnąłem głową. Jako młodzieniec słynął nie tylko z odwagi, ale i z urody. Miał posturę młodego Herkulesa, mocarne piersi i ramiona, wąską talię, nogi jak wyrzeźbione. Z upływem czasu, jak większość mężczyzn, stracił tężyznę i nabrał tuszy; leżące u mych stóp miękkie, obwisłe ciało nie natchnęłoby żadnego rzeźbiarza do uwiecznienia go w marmurze. Patrząc na to, co zostało z Pompejusza, nie czułem ani odrazy, ani litości. Ta rzecz nie była Pompejuszem, podobnie jak nie była nim zabrana przez Egipcjan głowa. On był esencją, siłą natury, wolą, która pozwoliła mu zgromadzić bajeczną fortunę i dowodzić flotami okrętów i legionami wojowników. Trup rzucony na plaży nie miał z tym nic wspólnego, niemniej należało się z nim odpowiednio obejść. Kto wie, czy Neptun nie oszczędził mi śmierci w odmętach tylko po to, bym mógł oddać cześć szczątkom Pompejusza?

- Powinien był zginąć pod Farsalos - powiedział Filip. - Nie tak, ale w czasie i miejscu wybranym przez siebie. Kiedy już wiedział, że wszystko stracone, zdecydował się tak właśnie postąpić. Pomóż mi, Filipie, powiedział, pomóż mi być odważnym. Przegrałem, a nie mam siły ani ochoty znosić tego, co przyjdzie potem. Niech tu skończę, niech historycy napiszą: „Wielki zginął pod Farsalos”. Ale w ostatniej chwili stchórzył i uciekł, a ja za nim. I po co? Teraz leży tutaj, a jego głowę zaniesiono królowi jak myśliwskie trofeum!

Filip opadł na kolana i zapłakał. Odwróciłem się i zacząłem rozglądać za drewnem.

Słońce sięgnęło zenitu i zaczęło się chylić ku zachodowi, a my wciąż przeczesywaliśmy plażę w poszukiwaniu kawałków gałęzi, desek i szczątków statków. Filip uparł się, że musimy przygotować aż trzy stosy, osobne dla niewolnika, dwóch centurionów, a największy dla Pompejusza.

Zanim zgromadziliśmy dość drewna i złożyliśmy ciała na stosach, słońce zdążyło już zająć i nadchodził zmrok. Filip skrzesał ogień i tak dopełniliśmy swej powinności. Gdy zrobiło się ciemno, a płomienie strzeliły w górę, zastanawiałem się, czy Kornelia widzi z galery choćby ich odblask i domyśla się, co to za ogień. Pomyślałem też o Bethesdzie. Czy jest w zasięgu wzroku i patrzy na ognisty punkcik na horyzoncie? Może przypomniała sobie Faros i teraz płacze jak ja nad zrzędzeniem losu, które zamieniło naszą podróż nadziei w drogę rozpacz?







## ROZDZIAŁ 5

Wyczerpany i otępiały zasnąłem tej nocy z blaskiem płomieni stosu Pompejusza pod powiekami i z odorem palonego ciała w nozdrzach. Spałem jak zabity, dopóki nie obudził mnie głód. Poprzedniego dnia nic nie jadłem, a przedwczoraj też bardzo niewiele. Śniła mi się pieczona na ognisku ryba i obudziłem się z głośnym burczeniem w brzuchu. Woń ryby była tak rzeczywista, że czułem ją jeszcze po przebudzeniu. Leżałem na wznak na piasku. Słońce stało już wysoko na niebie. Zamrugąłem oślepiony jasnością dnia i uniosłem dłoń, by przysłonić oczy, ale nagle padł na mnie cień mężczyzny. Widziałem tylko ciemną sylwetkę, ale zorientowałem się od razu, że to nie Filip, był bowiem od niego znacznie wyższy. Drgnąłem i podniosłem się na łokciach, ale natknąłem się na coś ostrego. Przestraszyłem się, ale w brzuchu zaburczało mi jeszcze głośniejsze. Ostry przedmiot okazał się zastruganym patykiem, na którego końcu tkwiła jeszcze gorąca upieczona ryba.

Mężczyzna wydał z siebie znajomy pomruk, raz jeszcze podtykając mi pachnący poczęstunek.

- Rupa? - szepnąłem. - To ty?

Przysłoniłem oczy i zobaczyłem jego twarz przez chwilę, zanim łyżniekształciły obraz. Zamrugąłem, by się ich pozbyć, i sięgnąłem po patyk; w parę chwil po rybie zostały tylko ości. Rupa się tylko uśmiechał. Otarłem usta wierzchem dłoni i rozejrzałem się wokoło. Kawałek dalej w wykopanym dołku żarzyły się węgle, zapewne ze stosu pogrzebowego, a na podpórkach z dwóch kawałków drewna piekło się na patykach kilka ryb. Filip, a z nim Mopsus i Androkles, brodzili nadzy w wodzie przy brzegu, uzbrojeni w zastrzone kije, z własnymi tunikami zamiast sieci. Androkles szybkim ruchem wbił swój kij w wodę i zaraz triumfalnie podniósł nad głowę upolowaną rybę, śmiejąc się radośnie. Zaniepokojony zacząłem się rozglądać za Bethesdą.

- A gdzie... - zacząłem.

- Tutaj, mężu.

Siedziała na piaskowym wzgórku za moimi plecami, oparta o nasz kufer podróżny. Posłała mi blady, zmęczony uśmiech. Podczołgałem się do niej i położyłem głowę na jej kolanach, a ona delikatnie głaskała mnie po czole. Westchnąłem i zamknąłem oczy. Na policzkach czułem słoneczne ciepło, szum fal brzmiał jak kołysanka, nie było już zaś denerwującego brzęczenia much. Byłem wypoczęty, zaspokoilem głód i odzyskałem Bethesdę. Otworzyłem oczy i spojrzałem na nią. Dotknąłem palcami jej twarzy, by się upewnić, że nie śpię i to nie są senne majaki.

- Jakim cudem? - spytałem.

Zanim odpowiedziała, westchnęła i oparła się znów o kufer.

- Kiedy zobaczyliśmy, że zabili Pompejusza, a potem pojawiły się te egipskie okręty, kapitan podniósł kotwicę i odpłynął wraz z innymi. Egipcjanie nie ścigali nas jednak. Nie szukali bitwy, tylko chcieli zmusić

eskadrę do ucieczki. Ciągle byliśmy jednak otoczeni przez galery Pompejusza i kapitan bał się od nich odłączyć, czekał więc na sposobną chwilę. Po zapadnięciu zmroku zaryzykował i zawrócił na południe. Nikt nie myślał nas ścigać. Byłam przekonana, że wciąż jesteś na galerze Pompejusza, jeżeli cię nie zabił jeszcze przed wyruszeniem na spotkanie z Ptolemeuszem. Prosiłam Kreteosa, by zawrócił i dołączył do eskadry, ale odmówił. A potem zauważyliśmy ogień na łądzie. Pomyślałam, że to może sygnał od ciebie. Modliłam się, żeby tak było. Byłam załamana, bo sądziłam, że kapitan zamierza zabrać nas prosto do Aleksandrii. Jak wtedy miałabym cię odnaleźć? Ale on chciał się nas pozbyć jak najszybciej. Mieliśmy szczęście, że nas po prostu nie wyrzucił za burtę. Powiedział, że musimy być przekłeci przez bogów i będzie miał przez nas same kłopoty. Przyplłynął prosto do tego miejsca, może dlatego, że był to najbliższy brzeg, a może przyciągnęły go wasze ogniska. Kiedy tu dotarliśmy, płomienie już dogasały. Świtało, gdy łódź wysadziła nas na ląd. Statek zaraz odpłynął, a my zostaliśmy sami. Wtedy zobaczyłam ciebie leżącego przy ognisku i przestraszyłam się, że nie żyjesz. Kiedy jednak podeszłam bliżej, usłyszałam, że chrapiesz i to tak głośno, że zaczęłam się śmiać i płakać na przemian. Chciałam cię budzić, ale wyzwoleniec Pompejusza ubłagał mnie, bym pozwoliła ci spać. Powiedział, że poprzedniego wieczoru wyglądałeś jak trup i bardzo potrzebujesz odpoczynku. - Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu, choć Filip wciąż pluskał się w przyboju i nie mógł jej słyszeć. - On chyba cię ma za jakąś ważną osobę, jakiegoś posiwiąłego weterana blisko związanego z Pompejuszem. Wyobraża sobie, że byłeś tak zrozpaczony śmiercią Wielkiego, że skoczyłeś w morze i wiedziony szalonym impulsem przyplłynąłeś na brzeg, by go godnie pochować.

- Usiłowałem dopłynąć do ciebie, ale omal się nie utopiłem. Miałem sporo szczęścia, że w ogóle udało mi się dobrać do brzegu. Ten Grek jest durniem. Nie jesteśmy przekłeci przez bogów, Bethesdo, ale błogosławieni! - Ująłem jej dłoń i pocałowałem delikatnie.

Uśmiechnęła się słabo.

- Siedziałam więc tu cały ranek, słuchając twojego chrapania, podczas gdy Rupa z chłopcami szykowali posiłek. Zjadłbyś coś jeszcze?

Zobaczyłem, że Rupa idzie ku nam z następną rybą. Ślina napłynęła mi do ust.

- Może raczej ty ją zjesz? - spytałem.

- Nie jestem głodna. - Pokręciła głową.

Usiłowałem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widziałem ją jedzącą, i poczułem ukłucie niepokoju. Czy nie była bledsza niż poprzednio? Zdawało mi się, że wygląda wątłej niż kiedykolwiek przedtem. A może to tylko wydarzenia ostatnich dni tak ją wyczerpały? Żadna kobieta nie zniosłaby czegoś takiego lekko.

Podniosłem się na łokciach i usiadłem. Wziąłem podaną mi przez Rupę rybę. Pierwszą pożarłem bez zastanowienia, natomiast tą mogłem się już delektować. Bethesda patrzyła na mnie z uśmiechem, ciesząc się moim apetytem. Obliziałem palce i wytarłem je w tunikę. W kieszeni wyczułem twardy przedmiot; był to flakonik z trucizną od Kornelii. Paskudztwo! Co

by było, gdybym ją połknął w chwili słabości i rozpacz? Czy Kornelia nie żałuje teraz, że mi ją dała, zamiast zatrzymać dla siebie? Powinienem wylać ją na popioły Pompejusza, a flakonik wyrzucić w morze, pomyślałem. Byłem jednak na to zbyt leniwy. O wiele przyjemniej było po prostu siedzieć przy Bethesdzie, czując na twarzy promienie słońca, i patrzeć na chłopców baraszkujących w połyskującej wodzie.

Tego popołudnia poszliśmy z Filipem na zwiady i odkryliśmy za pobliskim cyplem małą wioskę rybacką. Żyjący na ziemi będącej przedmiotem sporu między Ptolemeuszem a jego siostrą Kleopatrami wieśniacy obawiali się obcych, ale nie mieli awersji do rzymskich monet, które im ofiarowałem. Czasy były ciężkie, a za srebro można było wiele kupić. Za bardzo przystępną cenę wynająłem dwa muły i wóz. Mój egipski był mocno zardzewiały, negocjacje więc prowadził Filip, biegle mówiący w kilku językach. Właściciel zaprzęgu zapewnił, że droga do Aleksandrii jest bardzo dobrze utrzymana. Spytałem go, jak mamy się przeprawić przez Nil; powiedział, że u każdego brodu na licznych odnogach delty znajdziemy po kilku konkurujących ze sobą przewoźników. Po dotarciu do stolicy mieliśmy zostawić wóz i muły u jego kuzyna.

Filip został w wiosce, ponieważ zamierzał udać się na wschód, nie na zachód, tam się więc rozstaliśmy. Dałem mu na odchodnym kilka sesterców, by ułatwić mu podróż. Uściskał mnie serdecznie, wciąż uważając mnie za jednego z oddanych Pompejuszowi weteranów.

- Każdy podróżny musi być przygotowany na zmiany planów - powiedziałem sentencjonalnie do swojej gromadki na plaży, kiedy jedliśmy kolację złożoną z odgrzanych ryb i podplomyków kupionych w wiosce. - Co prawda trochę nadłożyliśmy drogi, ale teraz pojedziemy prosto do Aleksandrii. Bethesda zaś będzie mogła wykąpać się w Nilu jeszcze wcześniej, skoro rzeka przecina nam drogę.

A Rupa będzie mógł rozsypać prochy swej siostry, dodałem w duchu i milcząco podziękowałem Kasandrze, ponieważ to dzięki spadkowi po niej mogliśmy się wybrać w tę podróż i opłacić miejsca na statku, wynająć wóz czy choćby kupić chleb, którym teraz opychali się Mopsus i Androkles.

Wiedziałem od wieśniaków, że do Aleksandrii jest sto pięćdziesiąt mil, czyli kilka dni podróży po płaskim terenie, na zmianę przez moczary i pola uprawne, na których napotkamy rolników i niewolników zajętych pracą przy czyszczeniu rowów irygacyjnych i konserwacji kół wodnych, nadchodził bowiem doroczny wylew Nilu, od którego zależy życie całego kraju. Wszędzie, gdzie droga przecina jakąś odnogę rzeki, znajdziemy wieś, a przynajmniej tawernę czy zajazd. Podróż będzie może monotonna, ale nie powinna się okazać niebezpieczna i jeśli zechcemy, możemy spać na wozie pod gołym niebem. Zapewniano mnie, że bandytyzm nie leży w egipskim charakterze. Były to na pewno tylko pobożne życzenia, bandyci bowiem bywają wszędzie, podobnie jak ich ofiary i zwalczający ich bohaterowie, ale trudno zaprzeczyć, że znaleźliśmy się w kraju znacznie starszym i kto wie, czy nie bardziej cywilizowanym od Italii. Brutalne zabójstwo i pozbawienie głowy potencjalnego zdobywcy, zanim jeszcze

postawił nogę na ziemi egipskiej, to jedna rzecz, ale pospolity rabunek to coś zupełnie innego i mam się tym absolutnie nie martwić.

Spędziliśmy tę noc na plaży, a następnego dnia wczesnym rankiem ruszyliśmy do Aleksandrii. Dzień był upalny i wilgotny, niebo częściowo zachmurzone. Brukowanej drodze z podniszczonymi brzegami i trafiającymi się dość często dziurami daleko było do rzymskiego poziomu. Wóz trząsał okropnie, ale przynajmniej jechaliśmy w stałym, niezłym tempie. Wkrótce dotarliśmy do pierwszej odnogi Nilu i do strzegącej przeprawy twierdzy Peluzjum, przy której rozpościerało się ludne miasto. W sklepie, gdzie kupowaliśmy prowiant, miejscowi żywo dyskutowali o wojnie między Ptolemeuszem i Kleopatrami. Wiedziałem o tym od Bethesdy, rodowitej Egipcjanki, która o wiele lepiej rozumiała ich dialekt, choć określała go jako prostacki. Pocieszałem się, że w Aleksandrii wszyscy mówią choć trochę po grecku. Greka jest językiem królów, obowiązującym w urzędach państwowych i aleksandryjska socjeta nie używa żadnej innej mowy. Na prowincji rdzenni Egipcjanie trzymają się jednak twardo rodzimego języka, mimo dwóch i pół wieku rządów Ptolemeuszów.

Bethesda powiedziała mi, że wieść o śmierci Pompejusza dotarła już do Peluzjum, ale tylko w formie pogłoski. Niektórzy w nią uwierzyli, inni nie. Już mieliśmy pokazać sklepikarzowi wybrane przez nas produkty, kiedy niewysoka kobieta z ważną miną wcisnęła się przed nas, kazała sobie podać koszyk daktyli i zaczęła coś mówić do wszystkich w zasięgu jej głosu.

- Kim jest ta kwoka? - spytałem szeptem.

- Pewnie żoną jakiegoś miejscowego notabla - odszepnęła Bethesda.

- Co ona mówi?

Bethesda słuchała przez chwilę, po czym prychnęła wzgardliwie.

- Jakieś bzdury o tym, jak skończył Pompejusz. Twierdzi, że była bitwa między Rzymianami i Egipcjanami, a ich król osobiście rzucił Pompejusza na ziemię i odciął mu głowę. Głupia geś!

Rozumiejąc ton Bethesdy, jeśli nie jej łacinę, kobieta odwróciła się ku nam i zmierzyła ją złym wzrokiem. No, teraz się zacznie, pomyślałem, ale moja żona zagryzła wargę i spuściła wzrok, a plotkarka podjęła wątek. Poczułem się nieswojo; ten drobny incydent był dla mnie kolejnym objawem choroby Bethesdy. Miałem wrażenie, że z każdą przebytą milą jest coraz cichsza i pokorniejsza. W miarę zbliżania się do celu podróży ogarniała ją jakaś nienaturalna apatia. Godzinami patrzyła bez zainteresowania na jednostajny krajobraz zarośniętych moczarów i błotnistych pól delty, nie odzywając się do nikogo. Usiłowałem wyciągać ją na wspomnienia, jak podczas podróży morskiej, ale nic z tego nie wychodziło. Nawet na temat swoich zamiarów niewiele miała do powiedzenia. Spytałem ją, gdzie zamierza dokonać ablucji i czego potrzebuje do rytuału oczyszczenia, który ma na myśli.

- Nie tutaj - odrzekła. - Nie teraz. Poznam odpowiednie miejsce, gdy do niego dotrzemy. Ozyrys pokaże mi, gdzie mam wejść do wody. Rzeka podpowie mi, co mam robić.

Im dalej jechaliśmy, tym większy niepokój panował w mijanych wioskach. Wieść o śmierci Pompejusza nieodmiennie nas wyprzedzała i

stanowiła główny temat rozmów. Wyglądało na to, że Nil nie wzebrał tak wysoko jak w poprzednich latach. Niski stan wody oznaczał mniejsze zbiory, głód i trudności. Coś musiało rozgniewać boga (dla Egipcjan Nil jest bóstwem). Z początku jego przyczyn upatrywano w sporze Ptolemeusza z Kleopatrami, którym również przypisuje się boski charakter, a wiadomo, że kiedy bóg wojuje z boginią, cały świat nadprzyrodzony i doczesny odczuwa tego skutki. Teraz jednak dyskutujący zaczęli się skłamać ku opinii, że Nil wstrzymywał wylew w oczekiwaniu na jeszcze większe wydarzenie, morderstwo Wielkiego, jedyne człowieka od czasów samego Aleksandra, który przybrał taki przydomek. Rzymska wojna domowa wstrząsała światem, niosąc katastrofę za katastrofą, i ludzie się bali, że nadchodzą jeszcze straszniejsze czasy.

Jechaliśmy tak od Peluzjum do Tanis, dalej do Tmuis, potem do Busiris w samym środku delty. Z każdym dniem słońce paliło mocniej, a powietrze stawało się cięższe i bardziej wilgotne. Nieprzyjemny odór mulistych wód Nilu zdawał się sączyć we mnie wszystkimi porami skóry. Po drodze zbaczaliśmy to w jedną, to w drugą stronę według wskazówek Bethesdy, ale bez skutku; przybywaliśmy do danego miejsca, rozglądała się i oświadczała, że nazajutrz tu właśnie się wykąpie, aby następnego dnia zmienić zdanie. Minawszy Busiris, trafiliśmy do wyjątkowo nędznej wioski Sais. Bethesda stwierdziła, że słońce jest zbyt jaskrawe, i nie chciała wyjść z izby, którą wynajęliśmy na nocleg w miejscowym podłym zajazdzie. W Sais nie było co robić i wszyscy czterej nudziliśmy się setnie. Przez kilka dni zabijałem czas, sącząc cienkie egipskie piwo, przytłoczony upałem, nudą i narastającym złym przeczuciem.

Wyruszyliśmy w końcu z Sais i przybyliśmy do Naukratis, wioski leżącej nad najbardziej na zachód wysuniętą odnogą Nilu. Przejechaliśmy wszerz całą deltę, a Bethesda jeszcze nie znalazła odpowiedniego miejsca. Coraz bardziej się o nią martwiłem. Prawie nic nie jadła, a na moje pytania o to odpowiadała, że post jest częścią rytuału oczyszczenia. Godzinami siedziała na wozie bez ruchu, a zmuszona do zmiany pozycji robiła to bardzo wolno i jakby z namysłem. Miałem wrażenie, że w coraz mniejszym stopniu zajmuje przeznaczone sobie miejsce na tym świecie, krok po kroku przenosząc się do innego, dla nas niewidzialnego. Czasami, gdy spoglądałem na nią, w pierwszej chwili zdawało mi się, że patrzę przez nią, jakby stała się przezroczysta; mrugałem kilkakrotnie i wrażenie zniknęło. Tłumaczyłem sobie, że to tylko złudzenie wywołane upałem i wiszącą w powietrzu wilgocią.





## ROZDZIAŁ 6

Za Naukratis droga skręcała na północ. Jechaliśmy dalej wzdłuż delty, mając teraz odnogę Nilu po prawej stronie, ale wiedziałem, że w końcu trzeba będzie odbić na zachód i zostawić rzekę za sobą.

- Niedługo? - spytałem Bethesdę.

Zapatrzyła się na rzekę rozświetloną słonecznymi plamkami, które odbijały się na jej twarzy, tak pozbawionej wyrazu, że pomyślałem, iż mnie nie słyszy.

- Niedługo - odpowiedziała w końcu i zamknęła oczy, jak gdyby to pojedyncze słowo ją wyczerpało.

Przed południem dojechaliśmy do miejsca, gdzie na błotnistym gruncie rósł gęsty gaj palm i daktylowców. Rzeka zwężała się tutaj i płynęła bystrzejszym nurtem między brzegami porośniętymi trzciną. Biło tu kilka źródełek, dzięki którym roślinność była wyjątkowo bujna. Niskie drzewa rosły jedno przy drugim, gęsto oplecione pnączami. Między trzcinami trafiały się zakola nieruchomej wody, pokryte dywanami z lilii wodnych i lotosów. W powietrzu uwijały się ważki i całe roje drobnych muszek. Miejsce zdawało się tętnić życiem; sprawiało wrażenie prastarego i nie podlegającego prawom czasu, oddzielone od reszty świata.

- Tutaj - rzekła Bethesda ani radośnie, ani smutno.

Zatrzymałem muły. Mopsus i Androkles zeskoczyli natychmiast z wozu, spragnieni ruchu.

- Jesteś cyklopem, a ja Ulisessem! - krzyknął młodszy, klepiąc brata w głowę i zrywając się do biegu. - Złap mnie, jeśli potrafisz!

Mopsus dziko wrzasnął i puścił się w pogoń. Rupa zeskoczył z wozu, obszedł go dookoła i podał rękę Bethesdzie, by pomóc jej zejść. Ja podtrzymałem ją od góry i tak wspólnymi siłami sprowadziliśmy ją na ziemię. Androkles pisnął, gdy Mopsus go dogonił i przewrócił na mech. Normalnie ofuknąłbym ich już, ale teraz zajęty byłem żoną. Szła wolno, ale pewnie w dół rzeki ku szczególnie gęstej kępie trzcin i drzew. Chciałem zeskoczyć z wozu i pójść za nią, ale Rupa schwycił mnie za kostkę. Potrząsnąłem nogą, by się uwolnić, on jednak tylko mocniej mnie ścisnął i wskazał na kufer. Po błagalnym wyrazie jego oczu domyśliłem się, czego chce. Zdjąłem z szyi łańcuszek z kluczem, by otworzyć zamek. Musiałem kilkakrotnie próbować, kluczyk wyslizgiwał mi się bowiem z rąk, jakby chciał mi przeszkodzić. W końcu poradziłem sobie z zamkiem i odrzuciłem wieko. Musiałem się dokopywać do urny, znalazła się bowiem na samym dnie.

Brząz był chłodny w dotyku. Nie miałem urny w ręku od chwili, kiedy ją zapakowałem do kufra, i zdążyłem zapomnieć, jaka jest ciężka. Było w niej wszystko, co zostało z Kasandry: popiół, kawałki kości i zęby, które wybrałem z jej stosu pogrzebowego. Patrzyłem na nią przez dłuższą chwilę, zatopiony we wspomnieniach, zanim się ocknąłem i zobaczyłem, że Rupa stoi pode mną i wyciąga ręce po urnę. Niechętnie oddałem mu ją i

zeskoczyłem na ziemię.

- Więc to tutaj? - spytałem.

Kiwnął głową.

- Mam iść z tobą?

Zmarszczył brwi. Nic dziwnego, że chciał być sam z prochami siostry w tej ostatniej chwili, kiedy miały się rozplątać w Nilu. Od urodzenia prawie się z nią nie rozstawał; kochali się nad wszystko w świecie. Moja namiętność do niej była silna, ale znałem ją przecież zaledwie kilka miesięcy. Czas, jaki razem spędziliśmy, choć cudowny, można było mierzyć w godzinach. To Rupa powinien oddać jej tę ostatnią posługę, nie ja. Jeśli wolał tego dokonać w samotności, nie miałem prawa mu się przeciwstawiać. Położyłem mu dłoń na ramieniu na znak, że rozumiem. Rupa ze łzami w oczach przycisnął urnę do piersi i pochylił głowę, po czym odwrócił się i poszedł wzdłuż brzegu w górę rzeki. Obawiając się, że moje dwa urwisy mogą za nim pobiec i mu przeszkadzać, zawołałem ich do siebie.

Bethesda tymczasem dotarła do kępy drzew nad brzegiem i szukała wejścia. Widziałem, jak się rozgląda, aż w końcu znalazła ścieżkę. Nawet się nie obejrzała, tylko ruszyła naprzód i zniknęła mi z oczu.

- Chłopcy, idziemy! - Kiwnąłem na nich dłonią i ruszyłem jej śladem.

Doszedłem do kępy i stanąłem zdumiony w miejscu, gdzie ją przed chwilą widziałem. Czy to możliwe, że ścieżka otworzyła się przed nią na chwilę, a potem znowu zamknęła? Gdziekolwiek patrzyłem, wszędzie wyrastały gęste trzciny, a z góry na ich spotkanie opadały splątane pnącza. Nie widziałem żadnej możliwości wejścia. Zawołałem ją, ale nie odpowiedziała. Zacząłem szukać jej śladów w miękkiej ziemi i w końcu znalazłem. Zaskoczyło mnie, jak płytko się odcisnęły nie tylko w porównaniu z moimi, ale nawet ze śladami stóp Mopsusa i Androklesa. W ostatnich dniach rzeczywiście niemal niknęła w oczach, a teraz miałem tego potwierdzenie. Stapała po ziemi lekko jak dziecko.

- Musiała pójść tędy - rzekł niepewnie Mopsus.

- Nie, tędy! - sprzeciwił się Androkles.

- Cofnąć mi się obaj, zanim dokumentnie zatrzecie wszystkie ślady! - burknąłem, po czym sam zacząłem krążyć wokół, szukając miejsca, gdzie odciski stóp Bethesdy znikająby w zaroślach. Znalazłem je wreszcie; pęk lian zwisał luźno, zasłaniając początek ścieżki, dopóki nie spojrzano się na nie pod pewnym kątem.

- Bethesdo! - zawołałem, wchodząc między trzciny.

Chłopcy ruszyli za mną i podjęli wcześniejszą sprzeczkę.

- Widzisz? Mówiłem ci, że poszła tędy! - triumfował Mopsus.

- Wcale nie! Mówiłeś, że tamtędy... - Androkles zamilkł nagle, gdy zamknął się nad nami zielony dach, przez który przedzierały się tylko pojedyncze plamki słońca. Nieopodal słychać było szmer rzeki, monotonicznie brzęczały owady, a w górze świergotały ptaki. Przed nami dostrzegłem odbłask słońca na kamieniach. Po chwili wyszliśmy na oświetloną polanę. Kamienna świątynka na jej środku wydawała się zamknięta w słupie światła padającego niemal pionowo z nieba, tak wypełnionym drobinkami pyłu, że wyglądał jak ciało stałe. Przez chwilę

miałem wrażenie, że ważki są w nim uwiecznione jak owady widoczne czasem w bryłkach bursztynu. Fruwały jednak swobodnie, ustępując z drogi Bethesdzie, która zbliżyła się do świątyni, weszła po kilku schodkach i zniknęła w jej wnętrzu.

Budowla była typowo egipska, z płaskim dachem i przysadzistymi kolumnami, których kapitele wyrzeźbiono we wzór z liści lotosu, a na całej dostępnej powierzchni pokrywały ją przyglądzone przez czas hieroglify. Nie widziałem na niej najdrobniejszego śladu wpływów greckich, zbudowano ją zatem niemal na pewno przed podbojem Aleksandra i nastaniem dynastii Ptolemeuszów. Musiała mieć setki, jeżeli nie tysiące lat; była starsza od Aleksandrii i od Rzymu, być może równie wiekowa jak piramidy. Obok niej spomiędzy obrośniętych mchem i paprociami głazów tryskało małe źródelko, tworzące na ziemi niewielką sadzawkę.

Źródło było samym życiem; to dzięki niemu powstała ta oaza u zmiennych brzegów Nilu i z niego brała się aura świętości tego miejsca; dlatego też zapewne postawiono tu tę świątynię. Patrzyłem na hieroglify, słuchałem cichego pluskania wody. Na policzkach czułem słoneczne ciepło, ale po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Miejsce wydawało mi się dziwnie znajome. Położyłem palec na ustach, nakazując chłopakom zachować ciszę, a sam podszedłem do stopni świątyni. Poczulem woń palonej mirry. Z wnętrza dobiegały dwa głosy. Jeden należał do Bethesdy, drugi mógł być męski lub kobiecy, trudno było określić. Wszedłem na górę, stanąłem u drzwi i nachyliłem się, by zajrzeć do środka. Musiałem wyteńczyć wzrok, by dojrzeć cokolwiek w panującym tam półmroku. Migocząca niepewnie lampa wydobywała z niego bielone ściany pokryte dziwnymi malowidłami i znakami. Największe z nich przedstawiało Ozyrysa: męską postać owiniętą w bandaże jak mumia, z królewskimi insygniami w skrzyżowanych rękach i w stożkowej koronie *atef* ozdobionej po bokach strusimi piórami, z małym złotym krążkiem na zaokrąglonym wierzchołku. Słyszałem teraz głosy wyraźniej, ale język był zupełnie obcy, niepodobny do żadnego ze znanych mi dialektów egipskich. Zadrżałem znowu, słysząc Bethesdę wymawiającą takie dziwne słowa; brzmiało to tak, jakby jakaś inna istota zawładnęła jej krtanią. Stałem na progu jak przykuty, nawet nie myśląc o wejściu do środka.

Kapłanka - w końcu uznałem ten drugi głos za kobiecy - zaczęła śpiewać. Monotonna pieśń niosła się coraz głośniej, musieli ją słyszeć nawet Mopsus i Androkles. Obejrzałem się i zobaczyłem ich obu stojących na skraju polany, wpatrzonych w milczeniu w drzwi świątyni.

Jak długo trwał śpiew, nie wiem, bo rzucił urok na nas wszystkich. Czas przestał płynąć, nawet pyłki w promieniach słońca zaprzestały swojego powolnego, wirującego tańca, a ważki, wystraszone jego magią, gdzieś zniknęły. Zamknąłem oczy i starałem się przeniknąć znaczenie pieśni. Czy niosła uzdrowienie i nadzieję, skoro Bethesda po to właśnie tu przybyła? Słowa były jednak nieznane, a uczucie, jakie we mnie wzbudziły, nie było nadzieją, lecz raczej rezygnacją. Wobec czego? Nie wobec Fatum czy Fortuny, ale czegoś znacznie starszego; wobec tych niewidzialnych sił, które wyznaczają nam naszą porcję życia pod słońcem. Bogowie egipscy są starsi od rzymskich. Rzymianin, który przybywa do Egiptu, znajdzie się



daleko od znanych sobie bóstw, zdany na łaskę i niełaskę mocy starszej niż samo życie, która nie ma imienia, istniała bowiem, zanim człowiek mógł jej nadać. Czułem się odarty z wszelkich pretensji do mądrości i światowości; stałem nagi w obliczu wszechświata i drzałem.

Śpiew ustał. W świątyni dał się słyszeć jakiś ruch. Z półmroku wychynęła jakaś postać i w następnej chwili ujrzałem obok siebie Bethesdę.

- Już czas - powiedziała.

- Czas? - powtórzyłem, nie rozumiejąc.

- Czas, bym się obmyła w Nilu.

- Ta świątynia... Byłaś tu już kiedyś?

- Znam to miejsce. - Skinęła głową.

- Ale skąd?

- Nie jestem pewna. Może moja matka raz mnie tu zabrała, kiedy byłam dzieckiem, a może widziałam ją tylko we śnie? Ale jest taka, jak ją zapamiętałam... albo wyśniłam.

- Mnie się też wydaje znajoma, jakbym już tu wcześniej był. Ale to przecież niemożliwe.

- Być może to jest to miejsce, które każdy widzi w swoich snach, czy je pamięta, czy nie. - Takie wyjaśnienie zdawało się ją satysfakcjonować, uśmiechnęła się bowiem słabo. - Muszę teraz wejść do rzeki, mężu.

Odsunąłem się, by ją przepuścić.

- Pójdę z tobą - powiedziałem.

- Nie. Kapłanka mówi, że muszę iść sama.

- Kapłanka?

Z mroku świątyni wysunęła się stara kobieta w prostej płóciennej sukni, z ramionami okrytymi mimo upału postrzępioną wełnianą peleryną. Miała białe włosy związane z tyłu w kok. Jej skóra przypominała stare drewno, pociemniałe od słońca i poryte siatką zmarszczek. Nie nosiła żadnych ozdób. Jej powykręcane dłonie ściskające brzegi peleryny wydały mi się bardzo małe, podobnie jak stopy obute w podarte i znoszone sandały. Za kobietą wyszedł czarny kot i zaczął się ocierać o jej nogi.

- Czy moja żona dała ci odpowiednią ofiarę? - spytałem ją moją niezdatną egipszczyzną, sięgając do mieszka z monetami.

Kapłanka powstrzymała mnie uniesioną dłonią.

- Bóg nie żąda ofiary za spełnienie jej prośby.

- Bóg?

- To miejsce jest poświęcone Ozyrysowi. Źródło jest zaślubione Nilowi, a ten związek wód jest wiecznie błogosławiony przez Ozyrysa.

Skłoniłem głowę, nie rozumiejąc jej słów, ale szanując jej autorytet. Bethesda zeszła po schodach. Ruszyłem za nią, lecz zatrzymała mnie, mówiąc:

- Nie, mężu. Nie idź tam. Zrobię sama, co muszę.

- Weź chociaż chłopców ze sobą - poprosiłem. - Będą cię pilnować na wypadek, gdyby ktoś...

- To święte miejsce, mężu. Nikt nie będzie mi przeszkadzał.

Poszedłem za nią aż do kamiennej groty ze źródłem. Bethesda minęła sadzawkę i weszła na wąską ścieżkę, prowadzącą najwyraźniej na brzeg

rzeki, ginąc mi wkrótce z oczu. Ruszyłbym za nią, ale coś mnie powstrzymało. Stałem wpatrzony w połyskującą w słońcu powierzchnię wody i wijące się w głębi małe, przezroczyste stworzenia, aż usłyszałem głośnie westchnienie. Obejrzałem się i zobaczyłem, że kapłanka z trudem pochyła się, by usiąść na stopniach świątyni. Pospieszyłem jej pomóc, a potem przysiadłem obok niej. Czarne kocisko z głośnym mruzeniem wcisnęło się między nas, a kobieta zaczęła głaskać je po szyi. W Rzymie jest niewiele kotów i nie są zbyt lubiane, ale w Egipcie ludzie uważają je za boskie zwierzęta; kiedyś w Aleksandrii widziałem, jak rozwścieczony tłum ściga zabójcę kota, gotów rozszarpać go żywcem. Pupil kapłanki podniósł na mnie ślepia i głośno miauknął, jakby rozkazując mi dołączyć się do pieszczot. Posłusznie pogłaskałem go po grzbiecie.

Kobieta skinieniem głowy wskazała przeciwległy brzeg polany.

- Ci dwaj muszą sprawiać ci sporo kłopotów - powiedziała.

Powiodłem wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczyłem, że Mopsus i Androkles zniknęli. Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami.

- Nie są gorsi od innych chłopców w tym wieku. Pamiętam, co było, kiedy adoptowałem Metona... - Ugryzłem się w język i zamilkłem.

- Wypowiadanie imienia twojego syna sprawia ci ból? - Zadrżała i poprawiła pelerynę na ramionach.

- Przysiągłem sobie więcej go nie wymawiać. Czasami o tym zapominam.

Zapatrzyłem się na zieloną gęstwinę, słuchając świergotu ptaków. Magia miejsca zaczynała się ulatniać. Kapłanka była w końcu zwykłą staruszką, jej kot pospolitym zwierzęciem, a świątynia kamiennym budynkiem postawionym przez śmiertelników, którzy pomarli i zostali zapomniani dawno temu. Źródło zaledwie się sączyło, a słońce akurat przesłoniła chmura i wszystko przybladło, tracąc złocisty połysk.

- Twoja żona bardzo cię kocha - zauważyła kapłanka.

Uśmiechnąłem się. O tym więc rozmawiają kobiety w takiej wielkiej tajemnicy, kiedy jedna przychodzi do drugiej jako do duchowego autorytetu? O sprawach domowych? Pogłaskałem kota znowu, czując pod palcami wibracje jego mrużenia.

- Ja też ją bardzo kocham.

- Możesz więc być spokojny. Ci, co toną w Nilu, mają specjalne błogosławieństwo Ozyrysa.

Zimna dłoń ścisnęła mi serce.

- Chciałaś chyba powiedzieć: ci, co się kąpią w Nilu.

Staruszka nie odpowiedziała.

Nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Wstałem, czując, jak kręci mi się w głowie. Nie słysząc nic poza szumem własnej krwi, nie widząc nic poza plamami światła i cienia, rzuciłem się biegiem w stronę sadzawki i ścieżki prowadzącej nad rzekę. Po zaledwie kilku krokach rozdawała się. Wiedziony impulsem skierowałem się w prawo. Dróżka opadała równomiernie w dół. Poprzez gęste listowie prześwitywała już woda, zanim jednak do niej dotarłem, drogę przegrodziły mi zarośla tak splątane, że Bethesda nie mogła wtedy przejść. Przepchnąłem się mimo to na zewnątrz i stanąłem na porośniętym trzciniami brzegu. Znowu poczułem na policzkach

ciepłe dotknięcie słońca i wciągnąłem do płuc świeże powietrze. Przedemną z prawa na lewo płynął Nil.

Woda nagle dziwnie zmętniała. Patrzyłem zdziwiony na to zjawisko, aż się domyśliłem jego przyczyny. Rupa musiał gdzieś w górze rzeki wysypać przed chwilą zawartość urny. Zamiast zatonać od razu w nurcie, prochy trzymały się na powierzchni jedną plamą, zmieniającą kształt i z wolna się rozpraszającą, jak chmury płynące po niebie. Przepłynęły przede mną i przez moment widziałem na połyskującej wodzie wizerunek twarzy Kasandry. Stałem jak urzeczony dziwnym złudzeniem, aż nagle wyrwał mnie z tego transu chłopięcy krzyk. Dobiegał gdzieś z bliska, nieco poniżej mnie. Był to głos Androklesa.

- Panie! Och, panie, chodź szybko!

Dołączył do niego Mopsus, przeraźliwie wzywając pomocy. Jednocześnie usłyszałem głośny plusk. Włosy stanęły mi dęba. Poderwałem się i zawróciłem na ścieżkę, biegnąc jak szalony, dopóki nie znalazłem się na rozwidleniu. Skręciłem w drugą odnogę i rzuciłem się z powrotem ku rzece. Zderzyłem się z czymś i upadłem jak długi, słysząc piskliwy okrzyk bólu. Podnosząc się na czworaki, obejrzałem się i zobaczyłem Mopsusa leżącego na wznak i zanoszącego się od płaczu. Przed sobą usłyszałem głośny szloch; na ścieżce stał zapłakany i ociekający wodą Androkles.

- Co się stało? - spytałem chrapliwie.

- Nie ma jej! - wykrzyknął chłopiec przez łzy. - Nie ma Bethesdy!

- Jak to? - Z trudem wstałem i schwyliłem go za ramię.

- Słyszeliśmy, panie, jak mówisz, że mamy iść z nią, więc poszliśmy, choć pani nie chciała. To był pomysł Mopsusa. On pewnie chciał tylko popatrzeć, jak pani się kąpie...

- Co się stało? Co widziałeś? Mów, Androklesie!

Zadygotał nagle, obejmując się rękami, i wybełkotał coś, na nowo wybuchając płaczem. Ominiąłem go i pobiegłem najszybciej jak mogłem ku rzece. Miejsce było ciche i osłonięte baldachimem listowia, porośnięte sitowiem. Bethesdy nigdzie nie było widać. Zawołałem ją, ale okrzyk spłoszył tylko stadko ptaków, które hałaśliwie wzbiło się w górę z zarośli. Spojrzałem na wodę i zobaczyłem tę samą mętną plamę. Znowu mijały mnie prochy Kasandry, już rozproszone, ale jeszcze wyraźnie widoczne. Słońce odbijało się milionem złotych plamek; byłem pewien, że widzę w wodzie czyjąś twarz. Bethesdy? Kasandry? Nie wiedziałem. Opadłem na kolana i sięgnąłem do niej, ale ręka trafiła tylko na oślizłe kamyki i muł.

- Obserwowaliśmy panią spomiędzy sitowia... - Od tyłu dobiegł drżący, ale spokojniejszy już głos Mopsusa. Musiał się otrząsnąć po zderzeniu ze mną i przyszedł moim śladem. - Powiedziałeś, że mamy z nią iść, więc poszliśmy. I wcale nie po to, by ją podglądać, jak paplał Androkles! Pani zresztą nie zdjęła nawet ubrania. Ukłękła na chwilę na brzegu, a potem wstała i weszła do rzeki.

- I co dalej?

- Szła prosto przed siebie, dopóki rzeka... - Szukał przez chwilę odpowiedniego słowa. - Dopóki rzeka jej nie połknęła. Po prostu nagle zniknęła pod wodą i już jej nie było! Wskoczyliśmy za nią, ale woda jest za

głęboka...

Ruszyłem naprzód. Twardy, piaszczysty grunt pod nogami szybko ustąpił grząskiemu iłowi, chwytającemu mnie za stopy. Woda sięgała mi do piersi, a po następnym kroku już pod brodę.

- Och, Bethesdo... - szepnąłem, patrząc w dół rzeki.

Sitowie i trzciny kołysały się na lekkim wietrze, woda lśniła w słońcu. Na gładkiej powierzchni Nilu nie było po niej najmniejszego śladu.

Szukaliśmy jej, dopóki starczyło światła dziennego. Mopsus pobiegł po Rupę, który był dobrym pływakiem. Obaj chłopcy biegali później wzdłuż brzegów, a Rupa zdjął tunikę i nurkował raz za razem, ale niczego nie znalazł. Przeciwny brzeg był piaszczysty i znacznie mniej zarośnięty, nie było tam bowiem źródła, ale ciało mogło się skryć w kębach sitowia i trzciny, przepłynąłem więc przez nurt i wziąłem się do przeszukiwania. Cały dzień upłynął, a my nie natrafiliśmy na najmniejszy ślad po Bethesdzie.

W końcu na pół oszalały z żalu pobiegłem z powrotem do świątyni z zamiarem zwymyślenia kapłanki, ale już jej tam nie zastałem. Zniknęła gdzieś razem ze swoim kotem. Wewnątrz płonęła tylko nikłym blaskiem samotna lampa, w której prawie nie było już oliwy. W jej czerwonym, drżącym świetle przyglądałem się malowidłom na ścianach: bogom z ludzkim ciałem i głowami zwierząt, rysunkom skarabeuszy, ptaków i wpatrujących się we mnie oczu, a zwłaszcza dominującej nad wszystkim postaci Ozyrysa, zmumifikowanego boga. Jakie słowa padły pomiędzy moją żoną a starą kapłanką? Czy Bethesda chciała się tylko zanurzyć w wodzie i przytrafił się jej zwykły wypadek, czy też od początku nie zamierzała już wyjść z Nilowego nurtu?

Wyszedłem ze świątyni na skąpaną w słońcu polanę. Znowu naszło mnie to przedziwne uczucie, że poznaję to miejsce. Byłem już tutaj w jakimś zapomnianym śnie? Nie wiem, ale byłem pewny, że jeśli kiedykolwiek mi się jeszcze przyśni, będzie to koszmary sen.

Przez cały ten długi, nieszczęśliwy dzień od czasu do czasu trafiałem palcami na spoczywającą w kieszeni buteleczkę z trucizną, którą dostałem od Kornelii. Świadomość, że mam ją przy sobie, była mi jedyną pociechą.

W końcu nadeszła noc, uniemożliwiając nam dalsze poszukiwania. Wróciliśmy do wozu i rozbiliśmy obóz. Żaden z nas nie miał ochoty na jedzenie, ale i tak rozpałem niewielkie ognisko, po prostu dlatego, by mieć na co patrzeć. Chłopcy usiedli przytuleni do siebie i cicho płakali. Rupa szlochał również, wspominając swą siostrę, z którą się ostatecznie pożegnał tego dnia. Mimo niemoty jego płacz brzmiał tak samo jak u każdego mężczyzny. Ja sam, otepiały i wyczerpany, nie płakałem. Wpatrywałem się tylko w płomienie, dopóki nie nadszedł sen, przynosząc mi dar zapomnienia.





## ROZDZIAŁ 7

Obudziło mnie uklucie w żebra. Usłyszałem czyjś głos mówiący z piskliwym zaśpiewem, charakterystycznym dla grekojęzycznych Egipcjan.

- Powiadam ci, setniku, że to jego tam widziałem. Pomagał wyzwolencowi układać stos pogrzebowy.

- Co w takim razie robi tutaj, po drugiej stronie delty? - Drugi głos był niski i słyszało się w nim władczą nutę.

- Dobre pytanie, panie.

- Zobaczmy więc, jak na nie odpowie. Hej, ty! Obudź no się, albo wbiję ci tę włócznię między żebra!

Otworzyłem oczy i ujrzałem nad sobą dwóch mężczyzn. Jeden miał na sobie wspaniałe ryszczunok egipskiego oficera: zieloną tunikę pod napierśnikiem z brązu i ostro zakończony hełm. Zbroję miał tak wypolerowaną, że musiałem zmrużyć oczy przed blaskiem odbijającego się w niej porannego słońca. Drugi z nich był ubrany w prostą chłopską tunikę, ale patrzył na mnie z wyższością i z chytrym błyskiem w oku. Od razu poznałem w nim szpiega. Za nimi stał oddział żołnierzy.

Setnik znów dźgnął mnie włócznią. Nagle ktoś przyskoczył do niego, tak szybko i niespodziewanie, że aż zasłoniłem oczy przestraszony. Usłyszałem chrapliwy okrzyk i zobaczyłem przez splecione palce, jak czyjeś dłonie chwytają za drzewce i wrywają je Egipcjaninowi z rąk. Zrobiło się zamieszanie; podźwignąłem się na nogi i zobaczyłem, jak kilku żołnierzy rzuca się na Rupę. Odebrali mu włócznię i wykręcili ręce do tyłu.

- Nie róbcie mu krzywdy! - krzyknąłem. - To mój ochroniarz. On tylko mnie broni!

- Zaatakował oficera straży królewskiej - sprostował dowódca oddziału, ostentacyjnie otrzepując przedramiona.

Jeden z jego podwładnych podał mu włócznię, nisko skłaniając głowę. Oficer chwycił ją bez słowa i przycisnął mi do brzucha, zmuszając mnie do cofnięcia się pod wóz. Ostrze przecięło mi tunikę i drasnęło skórę. Zerknąłem w dół i zobaczyłem stróżkę krwi na lśniącym metalu.

- Jesteśmy spokojnymi podróżnymi! - zaprotestowałem.

- Zapewne z Rzymu, sądząc po akcencie. Myślę, że jesteście szpiegami.

- Jak ten wieśniak? - spytałem.

- Swój swego pozna - odparł setnik z wzdorczym prychnięciem, po czym zwrócił się do swojego informatora: - A ty powinienesz być zauważyć, że brakuje ochroniarza. Pewnie polazł nad rzekę sobie ulżyć, kiedy się zjawiliśmy. Mógł mnie zabić, tak cicho się podkradł! Ilu w sumie widziałeś tych Rzymian?

- Jeszcze tylko dwóch małych niewolników. O, tych właśnie.

Mopsus i Androkles spali dotąd twardo. Brutalnie obudzeni przez żołnierzy gramolili się na nogi, przecierając oczy i rozglądając się wokoło niepewnie.

- I kobietę - dodał szpieg. - Trochę młodszą od niego, pewnie żonę. -

Wbił we mnie gniewne spojrzenie, jakby chciał odreagować na mnie otrzymaną reprimendę. - Gdzie twoja żona, Rzymianinie? Ta kobieta, która dołączyła do ciebie na drugi dzień po spaleniu Pompejusza? Zgubiłeś ją gdzieś w delcie?

Poczułem nagły ból, ostrzejszy niż włócznia przyciśnięta do mego brzucha. Do tej pory po prostu się bałem, ale przynajmniej wydarzenia poranka odwróciły moje myśli od Bethesdy.

- Moja żona... poszła się wykąpać w Nilu wczoraj rano i nie wróciła.

- Akurat! - Oficer uśmiechnął się ironicznie. - To wszystko jest coraz bardziej podejrzane. - Odwrócił się i krzyknął do jednego z żołnierzy: - Weź paru ludzi i poszukajcie jej. Nie mogła ujść daleko.

- Mówię ci, że wczoraj zginęła w rzece! - powtórzyłem.

- Być może. Albo też jest szpiegiem i udała się gdzieś z własnym zadaniem.

- To absurd!

- Tak? - Egipcjanin silniej przycisnął włócznię. - Orientujemy się trochę, kim jesteś, Rzymianinie.

- Doprawdy? Nie wydaje mi się to prawdopodobne - odparłem.

- Filip mi powiedział - wtrącił szpieg. - Co, zaskoczyło cię to? - dodał zjadliwie.

- Filip? Wyzwoleniec Pompejusza? O czym ty mówisz?

- Myślałeś, że plaża jest pusta, kiedy budowałeś stos pogrzebowy, co? Ale kiedy wojsko odeszło, ja zostałem, by was obserwować. Widziałem, jak wyzwoleniec lamentuje nad trupem swego pana. A potem morze wyrzuciło na brzeg ciebie. Mogłeś się tam wziąć tylko z któregoś z Pompejuszowych okrętów. Byłem za daleko, by słyszeć, o czym rozmawiacie, ale widziałem, jak zbieracie drewno i układacie stosy. Na drugi dzień galera przywiozła resztę twojej grupy: kobietę, niemowę i dwóch chłopaków. O tak, była z tobą kobieta, jestem tego zupełnie pewien! Następnego dnia rozdzieliliście się z Filipem w rybackiej wiosce. Musiałem się zdecydować, kogo z was mam śledzić, no i padło na niego. Sprowadziłem żołnierzy i aresztowaliśmy go na drodze, gdy zmierzał na wschód.

- Coście z nim zrobili?

- My tu zadajemy pytania! - Setnik znów mocniej mnie ukłął.

- Filipowi nic się nie stało. - Szpieg się roześmiał. - Podróżuje sobie pod strażą z orszakiem króla. Kto wie, jakie ważne informacje możemy od niego uzyskać w najbliższych dniach? Ale zdążył nam opowiedzieć o tobie.

- Cóż takiego miał do powiedzenia? Nigdy go przedtem nie spotkałem.

- Właśnie... I to jest najbardziej intrygujące. Powiedział, że widział cię na pokładzie galery Pompejusza tuż przed wyruszeniem tak zwanego Wielkiego na ląd. Zdaje się, że byłeś w bliskich stosunkach z żoną Pompejusza? Według Filipa musisz być jednym z weteranów spod jego znaku... a mimo to nie znał cię, choć pamięta wszystkich ludzi, z którymi jego pan się zadawał. Jak to możliwe? Wy tłumaczenie może być tylko jedno. Pompejusz zadawał się z tobą potajemnie. Byłeś jego agentem, czyli szpiegiem.

- Bzdura! - odparłem, choć jego wniosek był najzupełniej logiczny.

Stapałem teraz po kruchym lodzie, nie wiedząc, jaką część prawdy mogę im wyjawić. Nie byłem agentem Pompejusza, ale rzeczywiście nieraz pracowałem dla niego, wygrzebując różne sekrety. Ile ten Egipcjanin wie naprawdę? Czy rozpozna imię Gordianus? Nawet gdyby nic mu nie powiedziało, to któryś z innych szpiegów Ptolemeusza mógł o mnie słyszeć. Jeśli skłamię, że nie znałem Pompejusza, prawda może wyjść na jaw i zostanę posądzony o ukrywanie jakiegoś jeszcze bardziej mnie obciążającego faktu. Jeśli zaś powiem zbyt wiele, mogą dojść do własnych błędnych konkluzji. Pokręciłem głową nad ironią tej sytuacji: Pompejusz chciał mnie uśmiercić, a teraz jeszcze po śmierci może dopiąć swego przez to, że zostałem uznany za jego przyjaciela!

- Nazywam się Gordianus - oświadczyłem. Szpieg nie zareagował. - Tak, jestem Rzymianinem, ale moja żona pochodzi stąd, z Egiptu. Poznaliśmy się przed wieloma laty w Aleksandrii. Ostatnio zapadła na jakąś tajemniczą chorobę i wierzyła, że może ją uzdrowić tylko powrót do ojczyzny i kąpiel w Nilu. To dlatego tu przyплыliśmy jako pasażerowie greckiego statku. Widzieliśmy już latarnię Faros, gdy sztorm zdryfował nas na wschód. Wtedy właśnie natknąłem się na Pompejusza. Owszem, znałem go z dawniejszych czasów, ale na pewno nie byłem jego szpiegiem. Kiedy zginął, a jego eskadra odpływała, w zamieszaniu wypadłem za burtę. Miałem szczęście, że udało mi się ująć z życiem. Filip poprosił mnie o pomoc w godnym pochówku Pompejusza. Czyż mogłem mu odmówić?

- A twoi towarzysze? Jakim cudem znaleźli się na brzegu?

- Grecki kapitan chciał się ich pozbyć, bo uważał, że przynieśliśmy mu pecha. Zaraz po rozstaniu z Filipem ruszyliśmy, by odszukać to miejsce nad Nilem. Tam, na polanie, jest świątynia Ozyrysa. Żona szukała porady u jej kapłanki, a potem poszła sama obmyć się w rzece. Więcej jej nie zobaczyłem. - Łzy zakręciły mi się pod powiekami, ale patrzyłem szpiegowi prosto w oczy.

Mężczyzna zrozumiał z tego tylko jedno.

- A więc przyznajesz, że bywałeś już wcześniej w Egipcie! Nic dziwnego, że cię wybrano do tej misji, skoro znasz okolicę.

- Jakiej misji? To absurd! Nie postawiłem nogi w Egipcie od trzydziestu lat...

- To ty tak mówisz. Może twoja żona, gdy ją znajdziemy, powie nam inną historyjkę. Świątynia, o której mówisz, jest opuszczona od lat. Starucha, która się przy niej kręci, nie jest żadną kapłanką, tylko jakąś zwariowaną wiedźmą.

- W ten sposób do niczego nie dojdziemy - przerwał mu oficer. - Główne siły armii są niedaleko za nami. Muszę iść dalej ze strażą przednią. Zostawię ci dość ludzi, by pilnować więźniów, a ty przekażesz ich potem kapitanowi Achillesowi, kiedy tu nadciągnie.

- A co z kobietą? Co robić, jeśli jej nie znajdziemy?

Setnik patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. Poczulem, że nacisk wólczeni zelżał.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to ten Rzymianin mówi prawdę - powiedział w końcu. - Przynajmniej w kwestii swojej żony. Ale co ja tam wiem? Jestem tylko żołnierzem. Nie mam pokrętnego umysłu szpiega.

Cofnął się o krok i opuścił włócznię, czyszcząc jej ostrze w piasku. Na jego sygnał dwóch żołnierzy związało mi ręce za plecami, jak już wcześniej zrobili z Rupą i chłopcami.

- Co z naszym wozem i mułami? - spytałem.

- Konfiskujemy je - odparł szpieg. - Twój kufer też. Ciekaw jestem, co w nim masz.

- Jak chcesz grzebać w naszych brudnych ubraniach i kosmetykach mojej żony, to powodzenia.

Żołnierze skuli nas za nogi łańcuchem i posadzili na wozie, Mopsusa z Androklosem na przedniej ławce, a mnie i Rupę po bokach naprzeciw siebie. Szpieg tymczasem zdążył wysypać zawartość kufra na ziemię i szperał w naszych rzeczach. Okazał się nie lepszy od pospolitego złodzieja; schował sobie znalezione monety i kilka cennych drobiazgów, między innymi grzebień Bethesdy ze srebra i hebanu. Wsunął mi też rękę do kieszeni i wyciągnął alabastrowy flakonik.

- Co to jest? - spytał.

- Dar od pewnej damy.

- Pachnidła? Czy w Rzymie mężczyźni perfumują się teraz jak dziwki?

- W buteleczkach można trzymać także inne rzeczy - powiedziałem.

- Trucizna, założę się. - Popatrzył na mnie ze zrozumieniem. - Czasami szpiegdy noszą ją przy sobie jako sposób na szybkie i łatwe odejście. A może chciałeś ją podać komuś innemu? Na przykład samemu królowi Ptolemeuszowi, co? Ha! Cokolwiek jest w środku, to ładny flakonik - dodał, chowając go wraz z innymi łupami.

Wkrótce potem od strony Naukratis dobiegło odległe rzenie koni, skrzypienie osi wozów, wykrzykiwane komendy, łoskot wojskowych werbli i miarowe kroki wielu stóp. Niewiele jest równie charakterystycznych i niepokojących dźwięków jak odgłosy nadciągającej armii. Ptaki wzbijają się w niebo, owady milkną, ziemia drży.

Szpieg zgarnął to, co mu się nie przydało, i wrzucił z powrotem do kufra, po czym rozkazał żołnierzom załadować go na wóz. Mopsus i Androkles z piskiem podnieśli nogi, ratując stopy przed zmiążdżeniem, ale to Rupie z jego długimi nogami było najbardziej niewygodnie. Z mojego miejsca (posadzono mnie tyłem do drogi) musiałem dobrze wykręcać szyję, by dojrzeć powiewające proporce i grzebienie na hełmach nadchodzących oddziałów. Kiedy czoło kolumny znalazło się bliżej, żołnierze zaczęli śpiewać marszową piosenkę. Słowa były egipskie, ale słysząc je powtarzane wielokrotnie, w końcu zrozumiałem ich treść.

*Przybył zastukać w Ptolemeusza drzwi,  
Lecz nie zdążył stanąć na egipskiej ziemi.*

*Jeszcze nie zszedł z łodzi, gdy  
Kapitan Achilles ściął mu głowę.*

*Rzymianin jest martwy  
I wszyscy się o tym dowiedzą,  
gdy zobaczą jego głowę.*

*Hurra, hurra!*

*Głowę tego, co Wielkim się zwał,  
A teraz leży w egipskim piachu.*

*Nie był Aleksandrem i nie przeciął wężła z Gordion,*



*Ale sam został ścięty.  
Hurra, hurra!  
Pieśń krótka, lecz marsz długi,  
Śpiewamy więc od początku.  
Przybył zastukać w Ptolemeusza drzwi...*

Straż pozostała przy wozie, szpieg zaś ruszył na spotkanie nadchodzącemu wojsku i wkrótce straciłem go z oczu. Tupot żołnierskich nóg stawał się coraz głośniejszy. Żelazne pierścienie umocowane na krawędzi wozu zaczęły drżeć i grzechotać o drewno, tak silne były wibracje gruntu. Gdybym miał wolne ręce, zatkałbym sobie uszy. Zerknąłem na chłopców; z ich oczu wycierał nie skrywany strach. Rupa też się wiercił nerwowo. Cała trójka szukała we mnie oparcia, starałem się więc zachować spokój, choć sam się ledwo broniłem przed paniką. Patrzyłem z zazdrością na żurawie wlatujące z nadrzecznych zarośli z piskliwym pokrzykiwaniem. Czoło armii Ptolemeusza dotarło do nas i maszerowało dalej. Pieśń rozbrzmiewała teraz tak gromko, że nie słyszałem niczego innego:

*Nie był Aleksandrem i nie przeciął węzła z Gordion,  
Ale sam został ścięty...*

Tysiące ludzi mijają nas, powtarzając w kółko te słowa. Za pieszymi oddziałami szła konnica, dalej jechały wozy z bronią i prowiantem. Wśród skrzypienia osi i turkotu kół zdawało mi się w pewnej chwili, że słyszę w pobliżu piskliwy głos szpiega, konferującego z kimś innym. Najwyraźniej podjęto jakąś decyzję, gdyż konwersacja się urwała, a na nasz wóz wsiadł jakiś żołnierz, strzelił z bata i ruszyliśmy naprzód, dołączając do taboru Ptolemeusza. Z sąsiedniego wozu wyjrzał „nasz” szpieg i rzekł z ironicznym uśmiechem:

- O twojej żonie ani widu, ani słyhu, Rzymianinie. Musi być bardzo sprytna, żeby tak dokładnie zatrzeć wszystkie ślady. Nie lubię, kiedy szpieg mi się wymyka. Znajdę ją jednak prędzej czy później, a wtedy...

Wykrzywił usta w grymasie, od którego przeszły mnie ciarki, a potem znikł mi z oczu.





## ROZDZIAŁ 8

O zmierzchu armia dotarła do fortecy położonej gdzieś na wschód od Aleksandrii. Wyczułem, że wóz stanął, choć mój umysł zarejestrował ten fakt tylko na marginesie świadomości. Drzemałem w drodze, nie z fizycznego zmęczenia, ale z jakiegoś psychicznego otępienia. Mój umysł uciekał w półsenne majaczenia od rzeczywistości, z którą inaczej nie umiał sobie poradzić, rzeczywistości złożonej z monotonii i strachu, niewygód i bólu, a przede wszystkim otępiającej zmysły rozpaczy i żalu.

- Wstawaj, Rzymianinie!

Przyszedł po nas szpieg w asyście kilku żołnierzy. Ktoś poluzował kajdany na moich nogach, a ostre ukłucie przywołało mnie do świadomości. Kości mnie bolały od całodziennego tłuczenia się po wyjątkowo wyboistym odcinku drogi, mięśnie nóg osłabły od niewygodnej pozycji i braku ruchu. Popychany z tyłu włócznią, szedłem przed siebie, potykając się jak kaleka i ledwo dostrzegając otoczenie. Ze wszystkich stron piętrzyły się nad nami wysokie mury i ziemne wały. Na rozległym dziedzińcu fortecy żołnierze zajęci byli rutynowymi czynnościami obozowymi, wyładowywaniem żywności i przygotowywaniem noclegu. Budynki w obrębie murów były w większości proste i nieładne, o typowo użytkowym charakterze, ale jeden się zdecydowanie wyróżniał bogatym wystrojem. Otoczony był wysoką, jaskrawo pomalowaną kolumnadą, na której spoczywał pokryty lśniąca miedzią dach. Do tego właśnie budynku prowadził nas szpieg.

Czekaliśmy na zewnątrz otoczeni pierścieniem straży, a on wszedł do środka. Długo nie wracał. Spojrzałem na niebo, rozświetlone feerią wieczornych barw. Znikające za horyzontem słońce pomalowało odcieniami purpury i szafranu chmury lśniące jak roztopiony metal, niebo na zachodzie miało niebieskawy kolor stygnącego żelaza i z każdą chwilą przybierało coraz ciemniejszy ton, aż wreszcie zaczęły się pojawiać pierwsze, najjaśniejsze gwiazdy. Zapomniałem już, jak wspaniałe są zachody w Egipcie, ale dziś blask gasnącego dnia przyniósł mi tylko cierpienie. Nie było już przy mnie Bethesdy, z którą mógłbym dzielić te wrażenia.

Szpieg w końcu wrócił i widać było, że jest z siebie wielce zadowolony.

- To twój szczęśliwy dzień, Rzymianinie! - oznajmił. - Będziesz miał zaszczyt stanąć przed samym kapitanem Achillasem!

„Tym mordercą?” - omal nie wypowiedziałem tej myśli na głos. Nie wiem, jak inaczej można by zakwalifikować to, co zrobił z Pompejuszem. Jedno było pewne - Achilles nie jest człowiekiem, od którego mógłbym się spodziewać miłosierdzia.

Długi korytarz o ścianach gęsto pokrytych hieroglifami oświetlały płomienie lamp w kształcie węży, ustawionych na żelaznych trójnogach. Szpieg wprowadził nas do wysoko sklepionej sali udekorowanej bardziej w stylu greckim niż egipskim; na podłodze leżały kobierce w geometryczne

wzory, a wielkie ścienne malowidła przedstawiały sceny bitewne. Wewnątrz wrzała praca, skrybowie i inni urzędnicy przemykali tam i z powrotem, a ośrodkiem tego zamieszania byli dwaj mężczyźni o krańcowo różnym wyglądzie, pochyleni ku sobie i pogrążeni w ożywionej rozmowie.

Achillasa, którego widziałem z bliska na królewskim barkasie pod burta galery Pompejusza, rozpoznałem na pierwszy rzut oka. Miał na sobie komplet insygniów kapitana straży królewskiej, włącznie z hełmem zdobnym w pęk czerwono barwionego włosia. Miał bardzo ciemną karnację i muskularne ciało; w porównaniu ze swoim rozmówcą wyglądał jak byk. Ten drugi był blady i szczupły, miał pociągłą twarz i przykuwające uwagę zielone oczy. Odziany był w długą szatę z żółtego płótna z lamówką ze złotogłowi, na głowie miał obręcz z litego złota, a chuderlawą pierś pokrywał mu wspaniały pektorał ze złotego filigranu. Był o wiele za stary jak na króla Ptolemeusza, ale wyglądał mi na człowieka nawykłego do rozkazywania i do posłuszeństwa podwładnych.

Kiedy się zbliżyliśmy, dostrzegli nas i przerwali rozmowę. Szpieg skłonił się tak nisko, że prawie dotykał nosem podłogi. Jako Rzymianin nie byłem przyzwyczajony do takich oznak służalczości, która w Egipcie, jak zresztą we wszystkich państwach rządzonych przez autokratów, jest osnową życia codziennego.

- Wasze wysokości! - powiedział uniżenie, nie podnosząc na nich wzroku. - Oto człowiek, o którym wam opowiadałem, rzymski szpieg, aresztowany przeze mnie dziś rano niedaleko opuszczonej świątyni Ozyrysa pod Naukratis.

Dwaj mężczyźni zmierzli mnie niechętnym wzrokiem. Tego chudego raczej trudno nazwać mężczyzną, pomyślałem, zdając sobie sprawę, że musi być eunuchem. To jeszcze jedna rzecz zwykła na dworach dziedzicznych monarchów, do jakiej Rzymianie nie są przyzwyczajeni. Achilles skrzywił się i zapytał:

- Jak on się zwie?

- Gordanius, wasza wysokość.

- Gordianus - poprawił go.

Mój spokojny ton zaskoczył nawet mnie samego. Nawykli do słuchania przyciszonych i przymilnych bądź strachliwych głosów swych sług i podwładnych, Achilles i jego towarzysz wydawali się zaszokowani tym, że jeniec przemówił do nich nie pytany, na dodatek ośmielając się patrzeć im w oczy. Kapitan straży królewskiej postawił marsa na czole, a chudy dygnitarz patrzył na mnie szeroko otwartymi oczyma.

- Gordianus... - powtórzył Achilles z grymasem zniecierpliwienia. - Nic mi to nie mówi.

- Jak mówiłem, panie, widziano go na galerze Pompejusza, kiedy ty sam odpływałeś od niej z tak zwanym Wielkim.

- Ja go nie widziałem. Gordianus? Słyszałeś o takim, Potejnosie? - Achilles zwrócił się do chudzielca.

Eunuch złożył dłonie czubkami palców i ściągnął usta.

- Być może - odrzekł i klasnął dwa razy.

Natychmiast zjawił się skryba, któremu Potejnos szepnął coś do ucha, przyglądając mi się w zamyśleniu. Skryba zniknął za kotarą przesłaniającą

jedne z drzwi.

- A tamci? - spytał Achilles.

- To współtowarzysze Rzymianina. Jak wasza wysokość widzi...

- Nie do ciebie mówię! - warknął kapitan, piorunując wzrokiem szpiega, który skulił się i pochylił jeszcze niżej.

Odchrząknąłem i zacząłem mówić.

- Ten duży nazywa się Rupa. Urodził się niemy, ale nie głuchy. Był siłaczem w trupie mimów z Aleksandrii, zanim przybył do Rzymu. Przez zobowiązania wobec jego siostry przyjąłem go do swego domu. Jest teraz wolnym człowiekiem i obywatelem rzymskim. Dwaj chłopcy, moi niewolnicy, są braćmi. Nie wiem, czy z całej trójki dałoby się wycisnąć dość rozumu, by starczyło dla porządnego szpiega.

- Panie! - zaprotestowali Mopsus i Androkles piskliwym unisono.

Rupa zmarszczył brwi, nie bardzo rozumiejąc treść moich słów. Jego ograniczenie umysłowe ma ten pozytywny skutek, że trudno go obrazić.

Achillas chrząknął, tłumiąc śmiech. Twarz eunucha pozostała bez wyrazu, nawet gdy wysłany przezeń skryba wrócił ze zwojem papirusu przewiniętym do konkretnego miejsca, które wskazał swemu panu.

- Gordianus, zwany Poszukiwaczem - przeczytał Potejnos. - A więc jednak mam cię w swojej księdze imion. Rzymianin, urodzony za konsulatu Spuriusza Postumiusza Abinusa i Marka Minucjusza Rufusa w roku rzymskim sześćset czterdziestym trzecim... czyli masz teraz ile lat? Jakież sześćdziesiąt dwa? I wyglądasz na swój wiek, trzeba przyznać. Żona: pół-Egipcjanka, pół-Żydówka o imieniu Bethesda, dawniej jego niewolnica (nabyta w Aleksandrii), matka jedynej córki. Dwóch adoptowanych synów, jeden wolno urodzony, Eko, drugi wyzwoleniec, Meto... patrz aneks.

Potejnos spojrzał wymownie na skrybę, który spuścił głowę jak skarcony pies i wybiegł po następny zwoj. Eunuch zabierał się do dalszego czytania, gdy nagle zobaczył kogoś za moimi plecami i natychmiast przybrał uniżoną postawę, z rękami przyciśniętymi do boków i sztywnym skłonieniem głowy. Achilles zrobił to samo.

Dźwięki fletów obwieściły nadejście młodego króla. Wszelki ruch w komnacie zamarł. Skrybowie, urzędnicy i oficerowie przerwali swoje zajęcia tak raptownie, jakby wymienili spojrzenia z Meduzą. Jakaś nieznaną mi hierarchia pozwalała jednym zachować pozycję stojącą, podczas gdy inni klękali, a jeszcze inni padali płasko na podłogę, przyciskając do niej czoła i wyciągając przed siebie ręce. Jeśli miałem jakiegokolwiek wątpliwości co do prawidłowej postawy w mojej sytuacji, szpieg rozwiązał je natychmiast.

- Na kolana, ty rzymski pies, i twarzą na podłogę! - rozkazał, podkreślając to kilkoma solidnymi szturchańcami.

Zdażyłem jeszcze kątem oka dostrzec młodego króla w pysznych złoto-srebrnych szatach i w koronie z ureusem. Z rękami związanymi na plecach niełatwo było mi oddać wymagany etykietą pokłon. Pozycja była dla mnie upokarzająca. Z tyłu dobiegł mnie szept Androklesa: „Patrz, jak pan wystawia tyłek”, po którym natychmiast rozległ się cichy okrzyk bólu; to szpieg przypomniał mi, że jego tylna część jest równie wyeksponowana,

po czym sam zdażył paść na kolana akurat w chwili, gdy król przechodził obok nas.

- Achillasie... Potejnosie... - powitał swych dostojników Ptolemeusz.

Król był jeszcze chłopcem, ale głos miał już męski, niższy i głębszy, niż się spodziewałem.

- Wasza królewska mość! - odpowiedzieli obydwaj jednocześnie.

- Moi wierni poddani mogą wstać i wrócić do swoich zajęć.

Potejnos powtórzył polecenie i w komnacie zawrzało, jak gdyby nagle ożyły zaludniające ją dotąd kamienne posągi. Szpieg podniósł się na nogi. Chciałem zrobić to samo, ale kopnął mnie, sycząc przez zęby: „Nie ruszaj się!” Z mojej pozycji niewiele widziałem, ale słyszałem wszystko doskonale. Flecista grał dalej, choć znacznie ciszej. Była to dziwna melodia, z początku prosta, ale powtarzana w najróżniejszych wariacjach. Czyżby jedna z kompozycji poprzedniego króla? - pomyślałem. Ojciec Ptolemeusza został nazwany Auletesem, Flecistą, z powodu swej miłości do tego instrumentu. Posługiwanie się tak wyraźnym odwołaniem do ojcowskiego dziedzictwa mogło być chwytem propagandowym, jakie nieobce są i rzymskim politykom. W walce na śmierć i życie z Kleopatrami Ptolemeusz musiał wykorzystywać wszelkie dostępne środki, by umocnić swe roszczenia do egipskiego tronu.

- Sądziłem, że wasza królewska mość będzie odpoczywać w swoich komnatkach po trudach całodniowej podróży - odezwał się Potejnos.

Ptolemeusz nie odpowiedział. Podeszedł ku mnie tak blisko, że poczułem woń perfumowanej skóry jego sandałów.

- Podobno schwytałeś rzymskiego szpiega, Potejnosie? - zapytał.

- Być może, panie. A może nie. Próbuję się dogrzebać prawdy w tej sprawie. O, nadchodzi mój skryba z dodatkowymi informacjami.

Domyśliłem się, że przyniesiono mu następny papirus. Eunuch czytał go, mruczając pod nosem, a król stał wciąż przede mną. Zająłem się obserwacją żuka z wydatnymi szczękami, który akurat przechodził po posadzce tuż przed moimi oczyma.

- I co tam wyczytałeś? - spytał Ptolemeusz.

Potejnos odchrząknął.

- Ten człowiek to niejaki Gordianus, zwany Poszukiwaczem, panie. Zawodowo zajmuje się szukaniem dowodów dla adwokatów w rzymskich sądach. W ten sposób udało mu się z biegiem lat zdobyć zaufanie wielu wpływowych Rzymian: Cyncerona, Marka Antoniusza...

- I Pompejusza! - wtrącił stojący za mną szpieg.

Zapadła krępująca cisza. Facet się wyrwał nie w porę, pomyślałem i wyobraziłem sobie, jakim piorunującym spojrzeniem poczęstował go eunuch.

- Tak, i Pompejusza - potwierdził sucho Potejnos. - Ale według moich źródeł ci dwaj ostro się pokłócili na samym początku rzymskiej wojny domowej. Jest więc mało prawdopodobne, aby Gordianus był szpiegiem Pompejusza, jak sugeruje ten, co go aresztował. Jest raczej wprost przeciwnie!

- Co masz na myśli?

- On ma syna, wasza królewska mość. Nazywa się Meto i jest jednym z

najbliższych powierników Cezara. Inni żołnierze nazywają go nawet... hm... przyjacielem wodza.

Jęknąłem w duchu. Stosunki między Metonem i jego imperatorem były dla mnie od dawna zagadką i złościły mnie plotki, jakie inni na ten temat rozgłaszają. Tymczasem okazuje się, że dotarły nawet do Egiptu!

- Czemu tak akcentujesz to słowo? - Król był wyraźnie zaintrygowany. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Eunuch prychnął ironicznie.

- Rzymianie nieustannie rozsiewają wulgarne erotyczne plotki o innych, wasza królewska mość. Politycy znieważają rywali, oskarżając ich o takie czy inne sprośne występki. Pospólstwo gada, co chce, o tych, którzy nim rządzą. Żołnierze wymyślają powiedzonka, kalambury, a nawet marszowe pieśni na temat seksualnych wyczynów swoich wodzów, albo wręcz śmieją się z ich co bardziej wstydlivych poczynań.

- Śmieją się? Żołnierze... śmieją się z Cezara?

- Rzymianie są inni niż my, panie. W sprawach seksu są raczej dziecinni i nie szanują ani siebie nawzajem, ani swoich bogów. Ich prymitywny ustrój, w którym każdy obywatel wiecznie wojuje ze wszystkimi innymi o bogactwa i władzę, uczynił ich bezbożnymi i grubiańskimi.

- Żołnierze Cezara są niesamowicie lojalni i walczą za niego do ostatniej kropli krwi - rzekł cicho Ptolemeusz. - Czyż nie ty sam mi to mówiłeś?

- Tak wynika z naszych danych wywiadowczych - odrzekł Potejnos. - Jest na to wiele przykładów, jak ten żołnierz w bitwie morskiej pod Massilią, który walczył dalej mimo utraty obu rąk i zginął z imieniem Cezara na ustach. Albo też...

- A mimo to swobodnie sobie z niego żartują - wszedł mu w słowo król. - Jak to możliwe? Sądziłem, że muszą być mu tak oddani, widzą w nim bowiem jakiś aspekt boskości i z własnej woli mu się podporządkowują. Mówi się o nim przecież, że pochodzi od rzymskiej bogini Wenus? Ale śmiertelnicy nie kpią sobie z bogów, a i żaden bóg nie pozwoliłby na to swoim wyznawcom.

- Jak powiedziałem, wasza królewska mość, Rzymianie są narodem bezbożników, politycznie skorumpowanym, prostackim w sprawach erotyzmu i skażonym duchowo. Dlatego właśnie musimy tak się ich wystrzegać.

Ptolemeusz podszedł do mnie jeszcze bliżej. Płaczący się przed moim nosem żuk spieszenie zszedł na bok, robiąc miejsce dla królewskiego sandała. Nie mogłem nie zauważyć, że władca ma nienagannie utrzymane paznokcie, a jego stopy pachną wodą różaną.

- I mówisz, że ten człowiek zna Cezara?

- Tak, panie. I jeżeli rzeczywiście jest szpiegiem, to raczej jego niż Pompejusza. Niewykluczone, że został wysłany, by donosić Cezarowi o poczynaniach wroga i obserwować jego przybycie do Egiptu.

- No, to dzięki nam ma sporo do zameldowania! - Achilles bezceremonialnie włączył się do rozmowy.

- Podnieś się na kolana, Rzymianinie! - rozkazał król.

Jęknąłem, czując nagły ból w krzyżu, gdy próbowałem się podnieść do pionu bez pomocy rąk. Król cofnął się o parę kroków i przyglądał mi się z

góry. Ośmieliłem się odwzajemnić mu spojrzenie przez krótką chwilę, zanim znów pokornie spuściłem oczy. Rzeczywiście wyglądał na swoje piętnaście lat. Greckie pochodzenie było widoczne w jego jasnej cerze i niebieskich oczach. Nie był szczególnie przystojny; miał zbyt szerokie usta i za duży nos jak na helleński ideał urody, ale jego oczy błyszczały inteligencją, a lekkie wygięcie kącików ust świadczyło o kpiarskim poczuciu humoru.

- Nazywasz się Gordianus Poszukiwacz? - zwrócił się do mnie.

- Tak, wasza królewska mość.

- Szpieg, który cię złapał, twierdzi, że pracowałeś dla Pompejusza. To prawda?

- Nieprawda.

- Mój doradca sugeruje, że możesz być człowiekiem Cezara.

- To też nieprawda, wasza królewska mość.

- Ale prawdą jest, że go znasz?

- Tak. - Widziałem, że postać Gajusza Juliusza go fascynuje, a moja niewiadomego charakteru znajomość z imperatorem wyraźnie go zaciekała. Odchrząknąłem i rzekłem: - Jeżeli wasza królewska mość zechce, mogę opowiedzieć to i owo o Cezarze. Pod warunkiem, że zachowam głowę, oczywiście.

Nie patrząc bezpośrednio na króla, spostrzegłem jednak, że jego usta wygięły się w złośliwym uśmiechu. Młody władca Egiptu był ubawiony.

- Ty tam, szpiegu! Jak cię zwa? - zwrócił się do mojego stróża.

Mężczyzna podał swoje wielosylabowe, czysto egipskie imię. Ptolemeusz ani myślał je zapamiętywać, dalej bowiem nazywał go według profesji.

- Co cię skłoniło, szpiegu, by uznać go za człowieka Pompejusza?

Szpieg piskliwie opowiedział, gdzie i kiedy mnie po raz pierwszy zobaczył i jak się na mnie znowu natknął nad Nilem. Ptolemeusz znów spojrzał w moją stronę.

- A ty, Gordianusie Poszukiwaczu, co masz do powiedzenia?

Powtórzyłem swoją historię o tym, dlaczego wybraliśmy się do Egiptu, jak trafiłem na okręt Pompejusza i co się stało z Bethesdą na dzień przed moim uwięzieniem. Do tej pory rozmowa toczyła się po grecku, ale nagle Ptolemeusz przeszedł na łacinę. Mówił z dziwnym akcentem, ale bezbłędnie.

- To jakiś idiota. Nie uważasz, Gordianusie?

Kątem oka spostrzegłem, że szpieg marszczy czoło, nie rozumiejąc, o czym mowa. Odpowiedziałem też po łacinie:

- Kimże jestem, by sprzeciwić się osądowi króla?

- Wyglądasz mi na człowieka z dużym doświadczeniem. Powiedz mi, co myślisz o tym szpiegu? Mów szczerze, nakazuję ci!

Zakaszlałem, by zyskać na czasie, ale powiedziałem:

- Może on jest idiotą, a może nie, wasza królewska mość, ale wiem na pewno, że jest złodziejem.

- Jak to?

- Kiedy zostałem pojmany, przeszukał moje rzeczy, niby po to, by znaleźć dowody mojej szpiegowskiej działalności, ale że nic takiego nie

było, zabrał sobie parę cennych drobiazgów.

Usta Ptolemeusza wygięły się w przeciwną stronę, tworząc zły grymas. Wbił wzrok w szpiega i zapytał po grecku:

- Co ukradłeś temu Rzymianinowi?

Zagadniętemu opadła szczęka. Zwlekał z odpowiedzią o sekundę za długo.

- Nic, wasza królewska mość.

- Wszelkie łupy odebrane nieprzyjacielowi należą do króla, który może je rozdać według swego uznania. Czy o tym nie wiesz, szpiegu?

- Oczywiście, że wiem, panie! Nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby... To znaczy... nigdy bym się nie ważył zabrać więźniowi czegokolwiek... to jest, natychmiast bym to oddał...

Ptolemeusz spytał mnie po łacinie:

- Co on ci ukradł, Gordianusie Poszukiwaczu?

- Pieniądze, wasza królewska mość.

- Rzymskie sesterce?

- Tak.

- Jeśli on ma przy sobie kilka rzymskich monet, a choćby i cały mieszek, to jeszcze nie dowód, że pochodzą z kradzieży.

- Chyba nie, wasza królewska mość.

- Rzucanie tak poważnych oskarżeń na królewskiego agenta bez odpowiednich dowodów jest występkiem karanym śmiercią.

Chciałem przełknąć ślinę, ale w ustach miałem zupełnie sucho.

- Ukradł mi jeszcze coś oprócz pieniędzy - wychrypiałem.

- Co takiego?

- Grzebień. Piękny wyrób ze srebra i hebanu. Moja żona zabrała go w podróż z pobudek sentymentalnych. - Głos uwiązł mi w gardle.

Król przeniósł wzrok na szpiega, który nic wprawdzie nie rozumiał z naszej rozmowy, ale zaczął się trząść i szczerkać zębami.

- Kapitanie!

Achillas postąpił krok naprzód.

- Niech twoi ludzie rozbiorą tego człowieka do naga, przeszukają wszystkie kieszenie, mieszki i co tam ma przy sobie.

- Tak jest, panie!

Żołnierze bez rozkazu podeszli bliżej. W okamgnieniu szpieg był nagi. Nie mogąc wydobyć głosu, charczał tylko ze strachu i upokorzenia, czerwieniąc się jak burak. Odwróciłem wzrok i przypadkowo spojrzałem na Potejnosa. Czy mi się zdawało, czy też eunuch dyskretnie przygląda się genitaliom rewidowanego? W tle było słychać nieustanne kwilenie fletu. Przez ostatnie chwile przestałem zwracać uwagę na muzykę, ale wciąż była to ta sama melodia w nie kończących się odmianach.

- Co znaleźliście, kapitanie? - spytał król.

- Monety, wasza królewska mość. Trochę kawałków pergaminu. Alabastrowy flakonik z perfumami. Kilka...

- A grzebień?

- Tak, panie.

Achillas podał go królowi, ale ten tylko spojrzał, nawet go nie dotykając.

- Srebro i heban... - mruknął Ptolemeusz.



Szpieg załamał ręce i zaczął dygotać jak w gorączce. Usłyszałem plusk i zobaczyłem, że opróżnił mu się pęcherz. Mężczyzna stał w kałuży własnego moczu, czerwony i roztrzęsiony, mamrocząc coś niewyraźnie. Flecista grał bez przerwy, ale zmienił tonację na wyższą i przyspieszył tempo.

- Litości, panie! Błagam! - wybełkotał szpieg.

- Kapitanie...

- Słucham, wasza królewska mość.

- Każ go natychmiast stracić.

Potejnos zrobił krok do przodu.

- Panie, ten człowiek jest cennym agentem. Posiadał wielką wiedzę w swej profesji. Czy mógłbyś rozważyć...

- Ten człowiek okradł i okłamał króla. Sam byłeś świadkiem jego kłamstwa. Chcesz powiedzieć, że są jakieś argumenty za jego ułaskawieniem?

Potejnos spuścił wzrok.

- Nie, wasza królewska mość. Słowa króla mnie zawstydzają.

- Kapitanie, zabić tego człowieka natychmiast, tam gdzie stoi, żeby wszyscy obecni mogli się przekonać, jak szybka jest królewska sprawiedliwość.

Achillas ruszył przed siebie. Żołnierze schwycili szpiega za ramiona; nie tylko, by go unieruchomić, ale także podtrzymać. Nogi się pod nim ugięły i bez podparcia runęły na posadzkę jak długi. Achilles zacisnął mu ręce na szyi i zaczął dusić. Twarz nieszczęśnika, już wcześniej ciemnoczerwona, nabrała barwy fioletu. Ciałem wstrząsnął konwulsyjny dreszcz, z ust wydobywały się nieludzkie dźwięki, aż wreszcie przerwało je przyprawiające o mdłości chrupnięcie. Kapitan prychnął z niesmakiem i puścił ofiarę. Głowa trupa opadła na bok, a w następnej chwili wiotkie ciało osunęło się na podłogę. W komnacie zapadła głucha cisza, w której tym donośniej rozbrzmiewały skoczne tony fletu.

- Potejnosie...

- Słucham, panie?

- Dopilnuj, by rozwiązano Rzymianina i jego ludzi, zwrócono mu skradzione rzeczy i przydzielono wygodną kwaterę. Trzymaj go pod ręką na wypadek, gdyby król zechciał go widzieć.

Potejnos skłonił się nisko.

- Będzie, jak wasza królewska mość rozkazał.

Ci sami żołnierze, którzy obnażyli i unieruchomili szpiega, obstąpili naszą czwórkę i zaczęli rozwiązywać nam ręce. Flet zagrał inną, żywszą melodię i przy jej akompaniamencie Ptolemeusz opuścił komnatę. Tak oto poznałem egipskiego młodocianego władcę i jego doradców, a przy okazji po raz pierwszy zobaczyłem, jak wygląda życie na królewskim dworze.





## ROZDZIAŁ 9

Nasza kwatera - izba o kamiennych ścianach z trzema łózkami (Mopsus i Androkles musieli dzielić jedno z nich), mosiężnym nocnikiem w rogu, dywanikiem na podłodze i niewielką lampą wiszącą pod sufitem - była prosta, ale dla nas wystarczająca. Miała nawet wąskie okienko z widokiem na piaszczysty dziedziniec, na którym obozowali żołnierze. Ponad krawędzią muru fortecy rysowało się ciemne, rozgwieżdżone niebo.

Na kolację podano nam po misce zupy z soczewicy, ciastka z prosa i trochę suszonych fig i daktyli. Byliśmy tak wygłodzeni, że jedzenie zniknęło w mig. Po jakimś czasie dwaj żołnierze przynieśli mój kufer podróżny, postawili go na środku izby i odeszli bez słowa. Otworzyłem wieko. Na samym wierzchu leżał grzebień Bethesdy ze srebra i hebanu. Podniosłem go i przeciągnąłem opuszkami palców po jego zębach. Pod spodem widniał mieszek z monetami, a obok niego wystawała z fałdy tkaniny szyjka alabastrowej buteleczki od Kornelii.

Zgasilem lampę i położyłem się na łóżku, ściskając w dłoni jej grzebień. Pomyślałem o Ekonie i Dianie, którzy zostali w Rzymie. Będą zrozpaczeni, gdy się dowiedzą, co stało się z Bethesdą. Jak mam im to powiedzieć? Czy w ogóle będę miał kiedykolwiek ku temu okazję? Rzym wydawał się teraz taki daleki. Ogarnął mnie chłód i przypomniałem sobie o fiołce w moim kufrze. Może właśnie wołą bogów jest, bym wypił jej zawartość...

Na sąsiednim łóżku Mopsus i Androkles rozprawiali o czymś przyciszonymi głosami. Już chciałem ich uciszyć, kiedy Mopsus powiedział głośniej:

- Panie, czy taki właśnie będzie Rzym?

- Co masz na myśli, Mopsusie?

Zza okna dobiegł głos wartownika oznajmającego, że wszystko w porządku. Wiatr wzdychał w koronach wysokich palm rosnących za murem. Świat znieruchomiał i zasnął.

- No, kiedy Cezar wróci do Rzymu i ogłosi się królem, to będzie jak tutaj?

- Nadal nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Chodzi o to, panie - wtrącił Androkles, widząc, że pytanie brata wymaga wyjaśnienia - czy wszyscy, nawet wolni obywatele jak ty, będą musieli płaszczyć się przed Cezarem i kłaniać mu się w pas, nazywając go jego królewską mością.

- Właśnie, panie - gorączkował się Mopsus. - I czy Cezarowi będzie wolno powiedzieć: „Ten człowiek mi się nie podoba, zabijcie go!”, a ktoś zaraz to zrobi?

Mopsus zademonstrował, co ma na myśli, zaciskając dłonie na szyi brata. Androkles ochoczo podjął rolę, wymachując konwulsyjnie rękami i rżąc chrapliwie. Z drugiej strony dobiegł chichot rozbawionego Rupy, ale ja nie widziałem w tym nic śmiesznego.

- Nie mam pojęcia, chłopcy. Kiedy wrócimy... - Mało brakowało, a

powiedziałbym „jeśli wrócimy”, ale nie było sensu siać w nich wątpliwości. - ...Rzym na pewno będzie wyglądał inaczej. Egipcjanie zawsze mieli króla. Przed dynastią Ptolemeuszów panowali faraonowie, których rządy sięgają tysiące lat wstecz, aż do czasów piramid i sfinksa. Ale my, Rzymianie, nigdy nie mieliśmy takiego władcy, a przynajmniej nie przez ostatnie pięć stuleci. Nie wiemy, co to monarchia, i nie znamy zasad, jakimi należałoby się kierować. Podejrzewam, że podobnie jak w tej całej brudnej wojnie trzeba by wymyślać reguły gry już w jej trakcie. A teraz skończcie już z tym rozrabianiem i kładźcie się spać!

- A jak nie, to każesz Rupie nas udusić, panie?

- Nie wódź mnie na pokuszenie, Mopsusie!

W końcu się uciszyli, a ja znowu usłyszałem szum bryzy w palmowych liściach. Odepchnąłem od siebie myśl o buteleczce Kornelii. Kto w tych niespokojnych czasach zająłby się chłopcami i Rupą, gdyby mnie zabrakło? Zdawało mi się, że do poszumu wiatru dołącza powtarzana bez końca delikatna melodia Ptolemeuszowego flecisty. Ściskałem w dłoniach hebanowy grzebień, dopóki nie zaczął ogarniać mnie błogosławiony, dający zapomnienie sen.

Następnego ranka wyruszyliśmy do Aleksandrii. Wyglądało na to, że trzon armii pozostanie w twierdzy pod dowództwem Achillasa, podczas gdy król z mniejszym, ale też pilnym oddziałem uda się do stolicy. Żołnierze załadowali mój kufer na wóz. Jeden z nich wsiadł z nami, by powozić zaprzęgiem, mogłem więc jechać z tyłu z Rupą i chłopcami, już nie jako więzień, lecz raczej pasażer.

Droga wiodła na zachód, oddalając się od Nilu, wzdłuż szerokiego kanału doprowadzającego wodę do stolicy i umożliwiającego nawet żeglugę niewielkim stateczkom. Zastanawiałem się, w jaki sposób dotrze do miasta Ptolemeusz; sądziłem, że rydwanem, kiedy nagle ponad głowami maszerujących żołnierzy dostrzegłem na kanale piękną, złożoną barcę. Płynęła szybciej od leniwego nurtu, popychana naprzód przez kilku ludzi z długimi tyczkami. Muskularni, rozebrani do pasa i lśniący od potu pracowali niezwykle sprawnie; kolejno, wypracowanymi ruchami z gracją przenosili tyczki przed siebie, opierali o dno i pchali, jakby chcieli przesunąć je pod łodzią w tył. Środkową część barki osłaniał baldachim barwy szafranu, pod którym od czasu do czasu udawało mi się dojrzeć postać króla i ludzi z jego orszaku, włącznie z eunuchem Potejnosem. Chwilami, gdy od strony kanału powiał wietrzyk, dolatywały do mnie dźwięki fletu; mimo rosnącego upału nagle robiło mi się wtedy zimno.

Dochodziło południe, kiedy do naszego wozu podszedł jakiś żołnierz.

- Czy to ty jesteś Gordianus zwany Poszukiwaczem? - spytał po egipsku, ale tak powoli i wyraźnie, że zrozumiałem go bez trudu.

- To ja - przytaknąłem.

- Chodź ze mną.

- Czy coś się stało?

- Jego królewska mość kazał mi cię przyprowadzić.

- A co z moimi towarzyszami?

- Oni mają zostać. Ty pójdiesz ze mną.

Rupa pomógł mi zejść z wozu. Szepnąłem mu na ucho:

- Opiekuj się chłopcami pod moją nieobecność. Bacz, by nie nabroili. Myślą, że są od ciebie mądrzejsi, ale ty jesteś silniejszy. Nie bój się pokazać im, kto tu rządzi, rozumiesz?

Spojrzał na mnie niepewnie, ale kiwnął głową. Zawołałem Mopsusa i Androklesa. Gdy podeszli na tył wozu i nachylili się ku mnie, złapałem każdego za ucho i przyciągnąłem bliżej.

- Macie nie rozrabiać, kiedy mnie tu nie będzie. I róbcie to, co powie wam Rupa.

- Powie? - Mopsus się skrzywił. - Przecież Rupa nie umie mówić...

Jego słowa przeszły w bolesny pisk, bo pociągnąłem go mocniej za ucho.

- Wiesz, co mam na myśli. Kiedy wrócę i się zorientuję, że mnie nie posłuchaliście, będę wykręcał ci ucho tak długo, aż odpadnie. Jasne?

- Tak, panie! - zajęczał Mopsus.

- A ty, Androklesie? Rozumiesz, co powiedziałem?

Młodszy uznał, że lepiej trzymać język za zębami, i tylko pokiwał głową. Puściłem ich i ruszyłem, ponaglany przez żołnierza, który trzymał mnie mocno za ramię.

- Kiedy wrócisz, panie? - zawołał za mną Mopsus, pocierając ucho.

- Na pewno niedługo! - odkrzyknąłem, chociaż niczego już nie byłem pewien.

Lawirując między rzędami maszerującej piechoty, żołnierz przeprowadził mnie na drugą stronę drogi, a potem w dół pochylni osadzonej w obwałowaniu kanału, gdzie zacumowała królewska barka. Załoga korzystała z postoju, opierając się na swoich tyczkach, by trochę odpocząć. Kiedy tylko wszedłem na pokład, ich szef dał sygnał, by wrócić do pracy. Ci na dziobie barki wzniesli tyczki w górę, po czym ponownie je zanurzyli i odepchnęli od dna. Ich koledzy ustawieni po obu burtach kolejno powtarzali te same ruchy i barka zaczęła powoli nabierać pędu.

Potejnos wychylił się spod baldachimu i gestem nakazał mi iść za sobą. Do królewskich pomieszczeń, znajdujących się poniżej poziomu wody, prowadziły w dół schody. W cieniu było cudownie chłodno. Szafranowe płótno filtrowało ostre słoneczne światło, odbierając mu oślepiający blask. Kosztowne dywany pod stopami tłumyły moje kroki. Tu i ówdzie stały niewielkie grupki królewskich dworzan. Większość z nich nosiła *nemes*, nakrycie głowy z lnianej plecionki podobne do tego u Sfinksa. Różne kolory i wzory *nemes* były oznaką rangi ich właścicieli. Niektórzy mieli na ogolonych zapewne głowach ceremonialne peruki. Rozstępowali się przede mną, aż wreszcie znalazłem się przed tronem króla Ptolemeusza. Stały przy nim dwa inne krzesła, niemal tak samo pięknej roboty, inkrustowane srebrem ze wstawkami z kości słoniowej i hebanu, a ich szerokie siedzenia wyłożone były miękkimi poduszkami. Jedno z nich zajmował Potejnos, drugie było puste.

- Siadaj - powiedział eunuch.

Kiedy usiadłem, zorientowałem się, że tron królewski stoi na podium. Nie było wysokie, ale gdyby któryś z siedzących na krzesłach śmiał

podnieść wzrok na króla, musiałby zdrzeć głowę. Kiedy spuściłem oczy, moje spojrzenie spoczęło na stojącym u stóp króla dużym glinianym słoju, który, jak sobie zdałem sprawę, idealnie pomieściłby ludzką głowę.

- Czy dobrze spałeś, Gordianusie Poszukiwaczu?
- Nie najgorzej, wasza królewska mość.
- Czy pokój ci odpowiadał?
- Tak, wasza królewska mość.
- To dobrze. Jesteś głodny?
- Trochę.
- W takim razie musicie coś zjeść. Ja sam nie bywam głodny w południe.

Potejnosie, każ podać posiłek.

Przyniesiono niewielkie stoły, na których w mig pojawiły się srebrne tace pełne samych specjałów; były tam zielone i czarne oliwki faszerowane pastą z papryki i orzechów, kotleciki rybne posypane makiem, miodowe ciasteczka z prosa maczane w winie z granatów. Pomimo tak sutego poczęstunku apetyt niezbyt mi dopisywał, ponieważ nie mogłem się pozbyć wizji zawartości tego wielkiego słoja. Kiedy Potejnos i ja się pożywialiśmy, rozległy się tony fletu. Muzykant siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami o parę kroków za plecami Ptolemeusza. Melodia była inna od tej, którą słyszałem poprzedniej nocy.

Ptolemeusz zdawał się czytać w moich myślach.

- Lubisz muzykę? - spytał.
- Bardzo - powiedziałem, co wydawało mi się bezpieczną odpowiedzią. - Czy wolno mi zapytać, czyja to kompozycja?
- Mojego ojca.

Pokiwałem głową. Było tak, jak myślałem. Ptolemeusz posługiwał się muzyką ojca, aby podkreślić swój z nim związek i w ten sposób potwierdzić swoje prawa do sukcesu po zmarłym królu. Nagle jednak powiedział coś, co skłoniło mnie do zweryfikowania tej cynicznej interpretacji jego motywów.

- Mój ojciec posiadał niezwykle muzyczny talent. Swoją grą potrafił w jednej chwili rozbawić człowieka, a w następnej wzruszyć go do łez. W jego ustach i palcach kryła się jakaś magia. Ten flecista dobrze odczytuje nuty, ale nie zawsze potrafi oddać głębię kompozycji. Mimo to jego gra przypomina mi o ojcu tak, jak mało która z innych pamiątek. Zauważ, że pomniki i budowle, jakie zostawiają po sobie nawet najznamienitsi ludzie, docierają tylko do jednego z naszych zmysłów: wzroku. Patrzymy na wizerunek przedstawiony na monecie, na czyjś posąg albo czytamy słowa, które ktoś napisał. Widzimy i pamiętamy. A co z brzmieniem głosu tego człowieka, jego śmiechem lub śpiewem? Żadna sztuka nie jest w stanie zachować tych aspektów dla potomności. Kiedy człowiek umiera, jego głos, śmiech i śpiew umierają razem z nim, przepadają na zawsze, zacierają się w naszej pamięci z każdym mijającym dniem. Miałem to szczęście, że mój ojciec tworzył muzykę i że są ludzie, którzy potrafią ją zagrać, choć może nie tak dobrze jak on. Już nigdy nie usłyszę, jak wypowiada moje imię, ale mogę słyszeć dźwięki, które stworzył, i przez to czuć jego obecność tu, między żywymi.

Ośmieliłem się spojrzeć mu w oczy, ale król wpatrywał się gdzieś w dal.

Dziwne było słyszeć tak gorzko-słodkie słowa w ustach tak młodego mężczyzny. Ptolemeusz nie był jednak zwyczajnym młodzieńcem, ale potomkiem długiej linii monarchów wywodzącej się od dowódcy Aleksandra Wielkiego, wychowanym tak, by myśleć o sobie jak o istocie na wpół boskiej, o wyjątkowym przeznaczeniu. Czy kiedykolwiek się bawił z taką beztroską, chłopięcą żywiołowością, jaką widzę u Mopsusa i Androklesa? Uznałem obecność nadwornego flecisty za wyrachowaną, typowo polityczną zagrywkę. Tak właśnie wyglądałoby to w mojej ojczyźnie, ale patrząc na Ptolemeusza zmęczonymi oczami Rzymianina najwyraźniej coś przeoczyłem. Czyżby młody król był w rzeczywistości bardziej ludzki i zarazem bardziej królewski, niż sądziłem?

- Więż pomiędzy ojcem i synem jest czymś wyjątkowym - powiedziałem cicho i natychmiast sposepniałem.

I tym razem Ptolemeusz zdawał się czytać w moich myślach.

- Mówiono mi, że masz dwóch synów. Jeden nazywa się Eko i mieszka w Rzymie, a drugi to Meto, który podróżuje z Cezarem. Metona nie nazywasz już jednak synem.

- Zgadza się, wasza królewska mość.

- Pokłóciliście się?

- Tak, wasza wysokość. W Massilii...

Przerwał mi jego głośny śmiech. Słyszałem go u Ptolemusza po raz pierwszy, ale nie było w nim radości.

- Nie musisz mi tego tłumaczyć, Gordianusie. Sam się nieraz kłóciłem z własną rodziną. Gdyby moja ostatnia wyprawa wojenna się powiodła, wróciłbym do Aleksandrii z dwiema głowami do pokazania ludowi, zamiast z jedną!

Potejnos ściągnął usta w grymasie niezadowolenia, ale jeśli nawet uważał, że król powiedział za wiele, nie odezwał się ani słowem.

- Powiedz mi, Gordianusie Poszukiwaczu, co się w twoim kraju mówi o Egipcie? Co rzymscy obywatele myślą o naszej drobnej kłótni domowej?

Wkraczaliśmy na niebezpieczny grunt. Sformułowałem odpowiedź bardzo ostrożnie.

- Twój ojciec, wasza królewska mość, był oczywiście dobrze znany w Rzymie, ponieważ przez jakiś czas tam mieszkał.

W rzeczywistości Auletes został wygnany z Egiptu przez wzburzony lud i w Rzymie przebywał jako uchodźca, a jego najstarsza córka Berenika skorzystała z okazji, by przechwycić władzę.

- Byłem wtedy za mały, by mu towarzyszyć - rzekł król. - Jakie wrażenie zrobił na Rzymianach?

- Był u nas bardzo lubiany. Dużo się mówiło o jego... hojności - odpowiedziałem, mając na myśli rozdawane przez jego ojca łapówki i obietnice łapówek, dzięki którym mógł się starać w senacie o wsparcie wojskowe i przywrócenie mu tronu; w praktyce zastawił bogactwa swego kraju u naszych polityków i bankierów.

- Przez wiele miesięcy polityka rzymska kręciła się wokół tak zwanej „kwestii egipskiej”...

(To znaczy dylematu, czy osadzić Auletesa na tronie jako rzymską marionetkę, czy po prostu zająć kraj i przekształcić go w prowincję.)

- To była delikatna sprawa, nad którą bez końca się spierano...

(Cezar i Pompejusz walczyli jak tytani o dowództwo ekspedycji, ale wybór któregośkolwiek z nich zaburzyłby chwiejną równowagę sił w Rzymie, senat więc w końcu się zdecydował na jakąś kandydaturę Aulusa Gabiniusza, któremu powierzył zadanie przywrócenia spokoju w Egipcie.)

- Lud rzymski był uradowany, gdy twój ojciec, królu, odzyskał należny mu tron...

(Gabiniusz z pomocą młodego i przystojnego *magister equitum*, dowódcy konnicy, Marka Antoniusza, pokonał armię Bereniki. Pierwszym posunięciem Auletesa po odzyskaniu władzy była egzekucja buntowniczej córki; zaraz potem nałożył wysokie podatki, aby móc spłacać swe olbrzymie zobowiązania wobec rzymskich senatorów i finansistów. Egipt popadł w ruinę, naród jęczał pod uciskiem, ale duży rzymski garnizon pozostawiony przez Gabiniusza zapewniał władcy spokojne panowanie.)

- Nagła śmierć twojego ojca przed dwoma laty pogrążyła Rzym w żalu i konsternacji...

(Senatorowie i bankierzy obawiali się, że kraj opanuje chaos i następcy Auletesa przestaną im płacić. Podniosły się głosy, by natychmiast dokonać aneksji, dopóki łatwo tam o zarobek.)

Król pokiwał głową w zamyśleniu.

- A jak się Rzymianie odnoszą do wydarzeń w Egipcie po śmierci ojca? - spytał.

Grunt stał się jeszcze bardziej grząski.

- Szczerze mówiąc, wasza królewska mość, od tamtej pory moja znajomość spraw egipskich, jak zresztą wśród większości obywateli, jest raczej mglista. W ostatnich latach naszą uwagę zaprzętały nasze własne... drobne kłótnie domowe. Szarego człowieka niewiele dziś interesują zamorskie kraje.

- Ale co się mówi o testamencie mojego ojca?

- Ostatnia wola człowieka jest dla Rzymianina święta. Jakikolwiek testament pozostawił twój ojciec, królu, na pewno będzie uszanowany.

(W rzeczywistości wszyscy byli wielce rozczarowani, że Auletes nie przekazał Egiptu we władanie rzymskiemu senatowi. Inni monarchowie na łożu śmierci, zadłużeni po uszy wobec Rzymu, chcąc oszczędzić swoim krajom nieuchronnej wojny i podbicia, właśnie tak postępowali. Ptolemeusz Auletes wolał jednak zostawić władzę swojej najstarszej żyjącej córce, Kleopatrze, i jej młodszemu bratu Ptolemeuszowi, aby rządili pospołu. Zgodnie z panującym w dynastii zwyczajem rodzeństwo prawdopodobnie wzięło ślub. Kazirodstwo jest dla Rzymian odrażające i postrzegane jako kolejny objaw degeneracji trapiący ustrój monarchistyczny, wraz z nadwornymi eunuchami, ostentacyjnym przepychem i uśmiercaniem poddanych według królewskiego kaprysu.)

Król poruszył się niespokojnie i zmarszczył brwi.

- Ojciec zostawił Egipt mnie... i mojej siostrze Kleopatrze - powiedział. - Wiedziałeś o tym, Gordianusie?

- Owszem, słyszałem.

- Ojciec marzył o pokoju w rodzinie i pomyślności dla Egiptu. Ale w świecie rzeczywistym nawet boskie marzenia nie zawsze się spełniają.

Fatum orzekło, że teraz na całym świecie mają się toczyć wojny domowe. Tak jest w Rzymie, tak jest i w Egipcie. Zdaje się, że to samo dotyczy nawet twojej własnej rodziny, Gordianusie.

- Znów mówisz o moim synu - mruknąłem, spuszczać głowę.

- O Metonie, dzielącym namiot z Cezarem - potwierdził, bacznie mnie obserwując. - Ach, czyżby to się przyczyniło do rozdźwięku między wami? Orzeł wziął twojego syna nieco za bardzo pod skrzydła?

Westchnąłem, po czym odpowiedziałem:

- Dziwi mnie, że wasza królewska mość tak bardzo się interesuje rodzinnymi sprawami zwykłego rzymskiego obywatela.

- Interesuję się wszystkim, co dotyczy Cezara - odparł Ptolemeusz.

Błysk w jego oku mógł mieć coś wspólnego z młodzieńczą ciekawością, ale też z wyrachowaniem polityka.

- Dla wielu Rzymian wybór między Cezarem i Pompejuszem nie był łatwy - powiedziałem. - Cycero gorączkowo poszukiwał trzeciego wyjścia, ale go nie znalazł i w końcu opowiedział się za Pompejuszem, jednak szybko tego pożałował. Marek Celiusz ochoczo stanął przy Cezarze, ale się nim rozczarował i go zdradził. Milo uciekł z wygnania w Massilii i starał się zgromadzić własną armię...

- I ty znałeś ich wszystkich? - przerwał mi król, prostując się na tronie. - Tych herosów, awanturników i szaleńców, o których wieści docierają do Egiptu?

Skinałem głową.

- Większość z nich poznałem lepiej, niżbym chciał - powiedziałem. - W każdym razie niezbyt mi to wyszło na zdrowie.

- Cezara też znasz?

- Tak.

- Czyż nie jest on największy z nich wszystkich, najbliższy boskości?

- Znam go jako człowieka, nie boga.

- Człowieka potężnego i wpływowego.

- Owszem.

- A mimo to niechętnym okiem patrzysz na to, jakimi względami darzy twojego syna?

- To skomplikowana sprawa, wasza królewska mość. - Uśmiechnąłem się w duchu, zdawszy sobie sprawę, że mówię do człowieka żonatego ze znenawidzoną siostrą, którego inną siostrę kazał stracić ich własny ojciec. Zerknąłem znowu na słój u jego stóp i poczułem się nieswojo. - Jeśli Cezar przybędzie do Egiptu, czy też go zetniesz jak Pompejusza?

Król wymienił spojrzenie z Potejnosem, który nie ukrywał, że nie podoba mu się, na jakie tory zeszła nasza rozmowa.

- Wasza królewska mość... - zaczął, lecz Ptolemeusz, nie zważając nań, mówił dalej:

- Jakże łatwo było go zabić, co? To znaczy Pompejusza. Bogowie go opuścili pod Farsalos. Kiedy zdecydował się przypląć do Egiptu, nie zostało mu już ani krzty godności. Bogowie odebrali daną mu zbroję i nasze miecze trafiły tylko na mdłe ciało. Myślał, że wkroczy na naszą ziemię, aby przypomnieć mi o długach mojego ojca i przejąć władzę w Egipcie, jak gdyby nasz skarbiec, spichrze i arsenał mu się należały. Ale



nic z tego! Skończyć z tym tak zwanym Wielkim, zanim jeszcze postawi nogę na lądzie... Czy nie takich słów użyłeś, Potejnosie? Zacytowałeś nawet ulubiony epigram mojego nauczyciela Teodota: „Umarli nie gryzą”. Długo i usilnie rozmyślałem nad tą kwestią. W snach szukałem rady u Ozyrysa i Serapisa. Bogowie zgodzili się z Potejnosem. Gdybym okazał pomoc Pompejuszowi, to samo przekleństwo, które na nim ciążyło, spadłoby na nasz kraj. Z Cezarem sprawa może jednak być inna. Myślę, że bogowie wciąż mu sprzyjają. Z każdym nowym zwycięstwem jest bliżej boskości. Myślisz, Gordianusie, że przybędzie do Egiptu, żądny naszego zboża i złota tak samo jak Pompejusz?

- Możliwe, wasza królewska mość.

- A jeśli tak, to czy równie łatwo będzie go zabić?

Nie odpowiedziałem. Ptolemeusz zwrócił się do Potejnosa.

- A jak ty sądzisz?

- Zdaje się, panie, że obiecałeś dziś audiencję pewnym twoim poddanym - odrzekł doradca, rzucając mi czujne spojrzenie. - Może twoją konwersację z tym Rzymianinem da się odłożyć, dopóki nie skończymy bardziej oficjalnych spraw?

- A kto ma dzisiaj przyjść? - spytał z ciężkim westchnieniem Ptolemeusz.

- Kilka delegacji ma zameldować o stanie wody na górnym Nilu. Mamy raporty z Ombos, Hemonthis, Latopolis i paru innych miejscowości. Obawiam się, że wieści nie są dobre. Przybyła też grupa kupców z Klysmy<sup>1</sup> nad Morzem Czerwonym, którzy chcą prosić o ulgi podatkowe. Pożar zniszczył im w ubiegłym roku kilka magazynów i nabrzeży, potrzebują więc pieniędzy na odbudowę. Czytałem ich oświadczenia i petycję, ale tylko wasza królewska mość może przyznać im takie zniżki.

- Czy muszę przyjąć ich właśnie teraz?

- Ci ludzie przybyli tu z bardzo daleka, panie. Sądzę zresztą, że lepiej będzie uporać się z nimi, zanim dotrzemy do Aleksandrii, gdzie najpewniej czeka waszą królewską mość wiele pilnych spraw, których się nabierało pod twoją nieobecność.

- Niech więc tak będzie. - Król westchnął i przymknął oczy.

Potejnos wstał, mówiąc:

- Każę zatrzymać barkę przy najbliższym pomoście i znaleźć odpowiednią eskortę, która odprowadzi Rzymianina do jego...

- Nie, Gordianus Poszukiwacz ma tu zostać.

- Ale, panie...

- Zostanie tu, powiedziałem!

- Jak wasza królewska mość rozkaże.

Sądziłem, że w takim gorącym klimacie bieg spraw ustaje na parę godzin po południu, ale byłem w błędzie. Kiedy ja walczyłem z ogarniającą mnie sennością - chrapanie podczas królewskich audiencji nie byłoby pewnie mile widziane - przed obliczem Ptolemeusza stawali kolejni wysłannicy z odległych stron kraju. Największe wrażenie wywarła na mnie sprawność, z jaką król się posługiwał różnymi językami i dialektami. Wszyscy petenci znali trochę greki, ale najczęściej ich zapas słów

---

<sup>1</sup> Dzisiejszy Suez.

wyczerpywał się już po kilku ceremonialnych słowach powitania, a wtedy rozmowa zaczynała się toczyć płynnie w takim języku, jaki najbardziej danemu człowiekowi odpowiadał. Przez cały czas w tle słychać było dźwięki fletu.

W końcu ostatni z wysłanników oddał pokłon i oddalił się, odprowadzany przez Potejnosa. Eunuch już miał zawrócić, gdy podszedł doń goniec, który wyszeptał mu do ucha jakąś wiadomość, najwyraźniej długą i skomplikowaną. Nowina z początku go zaniepokoiła, ale potem wydał mi się nawet rozbawiony. Wreszcie pospieszył z powrotem do króla.

- Wasza królewska mość! Wkrótce będziesz mógł ujrzeć pana Rzymu na własne oczy. Twoja straż przednia dotarła do stolicy i przesyła wiadomość. W porcie stoją okręty Cezara.

Ptolemeusz głośno wciągnął powietrze.

- W porcie? Czy Cezar czeka z zejściem na ląd na moje przybycie, jak Pompejusz?

Potejnos błysnął zębami w uśmiechu.

- Właściwie to on przyплыł już kilka dni temu. Podobno postawił nogę na publicznym nabrzeżu, a nawet próbował przechadzki na rynek. Zdaje się, że chciał wzbudzić podziw... a może strach... pojawił się bowiem w całej gali rzymskiego konsula. Miał na sobie togę z purpurowym szlakiem, a dwunastu zbrojnych, zwanych liktorami, niosło przed nim *fascēs*.

- Co to takiego? - spytał król.

- Wiązki brzoźowych różeg, z żelaznym toporem w środku. To dawna ceremonialna broń, oznaka godności rzymskich urzędników, kiedy ukazują się publicznie. Może to dobre w Rzymie, ale na pewno nie u nas. Tak w każdym razie musieli sobie pomyśleć Aleksandryjczycy. Tłum był tak rozzłoszczony uchybieniem twojej godności, panie... to znaczy tym, że Rzymianin oficjalnie paraduje po mieście pod nieobecność króla, jakby Egipt był ich prowincją... że zaczęli obrzucać Cezara i jego orszak, czym się dało: owocami, rybami, jajkami, kamykami, aż w końcu Rzymianie podali tyły i umknęli na swoje statki. Teraz Cezar czeka na twoje przybycie, panie, nie śmiać nosa wychylić na miasto!

Ptolemeusz się roześmiał.

- A więc była bitwa i Cezar został zmuszony do odwrotu! Jak zwykł mawiać mój ojciec, nie opłaca się zadzierać z aleksandryjskim pospólstwem. Musimy się zatem zastanowić, jak przywitać rzymskiego konsula.

Król popatrzył z uśmiechem na gliniany słoju u swych stóp.





## ROZDZIAŁ 10

**P**odróż do Aleksandrii na pokładzie królewskiej barki była dla mnie nowym doświadczeniem, przyjemnym, ale i gorzkim. Za każdym razem, kiedy ekscytowałem się jakimś nie znanym mi wcześniej widokiem, czułem jednocześnie ukłucie żalu, nie było już bowiem Bethesdy, z którą mógłbym się podzielić tymi wrażeniami.

Piętnaście mil przed Aleksandrią kanał przecina Kanopos, znane jako miejscowość wypoczynku i rozrywki dla stołecznych bogaczy. Wiedziony ciekawością odwiedziłem je kiedyś za młodu, ale wtedy nawet byle świecidełka w sklepikach z różnościami były dla mnie zbyt kosztowne. Mogłem tylko zaglądać do tawern, domów gry i domów miłości, których nie brakowało nad kanałem. Minęło czterdzieści lat i oto znów mijam Kanopos, ale tym razem u boku samego króla!

Goście miejscowych przybytków tłoczyli się na nabrzeżu, by gapić się na królewską łódź w nadziei na ujrzanie władcy. Ptolemeusz siedział niewzruszony na tronie, nie zwracając uwagi na wymachujących radośnie rękami ludzi, ale kiedy wykrzykiwano jego imię, zauważyłem, że się uśmiecha kącikami ust. Tak, Egipt może jest ogarnięty wojną domową, ale dla aleksandryjskich wyższych sfer prawo Ptolemeusza do tronu najwyraźniej nie podlega dyskusji.

Po minięciu Kanopos kanał, wyraźnie szerszy, mógł pomieścić liczne barki i łodzie płynące w obie strony. Wszystkie usuwały się pod brzegi, aby przepuścić królewską barcę, posuwaliśmy się więc naprzód dość szybko. Mijaliśmy najróżniejsze jednostki, od luksusowo wyposażonych prywatnych łodzi po publiczne promy oferujące zróżnicowane warunki przewozu. Za mojego poprzedniego pobytu płynąłem do Kanopos na stojąco barką tak zatłoczoną, że ledwo się trzymała na wodzie. Teraz też widziałem kilka podobnych; ich pasażerowie zdawali się znacznie mniej entuzjastycznie witać swego monarchę niż biesiadnicy i hazardziści z nadbrzeżnego bulwaru. Niektóre twarze wyrażały otwartą wrogość. Czy ci ludzie byli zwolennikami Kleopatry w jej walce o spuściznę po ojcu? A może w ogóle mieli dość Ptolemeuszów i chaosu, na jaki narazili Egipt przez ostatnie lata?

Przed samą Aleksandrią kanał rozdzielał się na dwie odnogi; skęciliśmy w tę prowadzącą w lewo. Na płaskim widnokregu pojawił się gaj palmowy, porastający brzegi jeziora Mareotis. Odbijająca słoneczne promienie woda rysowała się świetlistą smugą, pociętą czarnymi kreskami pni. Drzewa rosły nam w oczach, lśniąca smuga rozszerzała się coraz bardziej, brzegi kanału stawały się dziksze, porośnięte trzcina i sitowiem, aż wreszcie po łagodnym zakręcie wypłynęliśmy na rozległą przestrzeń Mareotis, bardziej przypominającą małe morze niż zwykłe jezioro. Przed nami na odległym brzegu widniała niska, poszarpana linia miejskiej zabudowy, nad którą górowała latarnia Faros. Na wodzie pełno było rybackich łódek i małych stateczków, które spiesznie ustępowały nam z drogi. Z portu wypłynęły na

spotkanie królewskiej barki dwa małe okręty, obsadzone przez żołnierzy w paradnych półpancerzach; zrównawszy się z nami, zawróciły, by nam towarzyszyć jako honorowa eskorta króla.

U stóp murów miejskich, na zdobnym w barwne proporce nabrzeżu w tętniącym życiem porcie oczekiwali nas dworzanie i żołnierze. Barka łagodnie dobiła do nabrzeża. Ptolemeusz powstał z tronu, chwytając królewskie insygnia. Dworzanie w mig ustawili się za nim; zauważyłem, że każdy zna swoje miejsce w tej hierarchii. Trzymałem się na uboczu, nie mając pewności, gdzie powinienem stanąć. Potejnos szepnął mi do ucha, bym szedł za nim i się nie odzywał.

Zejsście króla na ląd wiązało się z całą ceremonią powitalną ze strony dworu. Ptolemeusz wsiadł potem do bajecznej lektyki z hebanu inkrustowanego srebrem, z baldachimem obszytym na brzegach różowo-żółtymi frędzlami, niesionej przez wyjątkowo umięśnionych niewolników, nagich jak ich bogowie stworzyli, jeśli nie liczyć skąpych kawałków płótna umocowanych rzemykami na biodrach.

Za królewską lektyką stała inna, również wspaniała, choć mniej ozdobna. Potejnos polecił mi wsiąść do niej, po czym sam zajął miejsce obok mnie. Natychmiast zostaliśmy podniesieni i, poprzedzani przez całą orkiestrę flecistów, ruszyliśmy długim molo w stronę miasta. Przed nami na lewo i prawo rozciągały się mury obronne Aleksandrii. Na wprost widziałem wysokie, odlane z brązu wrota Bramy Słońca, które otworzyły się z wolna przed królewskim orszakiem. Poczulem na twarzy lekki ciepły powiew, jak gdyby samo miasto odetchnęło z ulgą, witając powracającego władcę. Po chwili byliśmy już za murami.

Tak więc po dziesięcioleciach, z dużym opóźnieniem i po solidnym nadłożeniu drogi znów byłem w Aleksandrii. Zapach miasta - albowiem jak kobieta, ma ono własną, niepowtarzalną woń, złożoną z morskiej soli, aromatu kwiatów i gorącego tchnienia pustyni - owionął mnie od razu, a wraz z nim ogarnęła mnie nostalgia o wiele silniejsza, niż się spodziewałem. Fala wspomnień przyprawiła mnie o drżenie, nieobecność Bethesdy zaś o łzy. Gdybym miał ze sobą jej szczątki, przynajmniej pośmiertnie mogłaby wrócić do miejsca swego dzieciństwa, do którego tak tęskniła. Niestety, nawet tej drobnej pociechy los mi odmówił. Nie miałem urny z popiołami ani skrzyni z zabalsamowanym ciałem. Tłumiąc szloch, szepnąłem w przestrzeń:

- Wreszcie jesteśmy na miejscu, po tylu długich latach!

Nikt mnie jednak nie słyszał oprócz Potejnosa, który rzucił mi zdziwione spojrzenie i szybko odwrócił wzrok. Jechaliśmy teraz ulicą Argeus, główną arterią miasta w kierunku północ-południe, wspaniałą promenadą szeroką na sto stóp, z fontannami, obeliskami i rosnącym pośrodku rzędem palm, a po obu stronach obramowaną malowanymi marmurowymi posągami i żłobkowanymi kolumnami. Tłumy mieszkańców zgromadziły się wzdłuż trasy orszaku królewskiego w bezpiecznej odległości od kolumn zbrojnej straży maszerujących po bokach. Wielu ludzi wiwatowało, niektórzy cofali się z niechętnymi minami, byli i tacy, którzy krzyczeli coś niezrozumiale i padali na twarze, jakby ogarnięci religijnym uniesieniem. Zrozumiałem, że jedni widzą w Ptolemeuszu króla, bohatera, inni - uzurpatora,

prześladowcę, wreszcie - boga. Czy tak samo Rzym powita powracającego w chwale Cezara? Trudno sobie wyobrazić rzymskiego obywatela bijącego pokłony przed innym człowiekiem jak przed bogiem, ale losy świata toczyły się ostatnimi laty tak krętymi drogami, że wszystko wydawało się możliwe.

Aleksandria tym się różni od innych wielkich miast, że dzięki usytuowaniu na płaskim terenie jej ulice zostały wytyczone na planie siatki prostokątnej. W Rzymie, mieście wzgórz i dolin, ulice zbiegają się i przecinają pod różnymi kątami, każda wąska alejka prowadzi w innym kierunku, jedne się wspinają, inne opadają; każde skrzyżowanie jest niepowtarzalne, a w sumie dają nie kończący się korowód intrygujących wrażeń. W Aleksandrii horyzont jest niski, a w jej szerokich alejach niemal z każdego miejsca ma się rozległy widok na wszystkie cztery strony świata, nad wszystkim zaś dominuje niemożliwie wysoka latarnia Faros, swym płomieniem rywalizująca z samym słońcem.

Trudno powiedzieć, które z dwóch miast jest większe. Rzym to labirynt ciasno stłoczonych sklepów, kamienic, świątyń i pałaców podobnych willi budowanych, zda się, jedno na drugich, bez żadnego poczucia proporcji; niegdysiejsza wioska rozrastająca się w niekontrolowany sposób, tętniąca życiem i tchnąca butną witalnością. Aleksandria jest miastem szerokich, prostych jak z łuku strzeł ulic, wielkich placów, wspaniałych świątyń, imponujących fontann i ustronnych ogrodów. Precyzja greckiej architektury wytwarza aurę starego bogactwa i zamięłowania do porządku. Nawet w ubogich kamieniczkach Rakotis czy w biedniejszej części dzielnicy żydowskiej niezwykła schludność trzyma nędzę w ryzach. Aleksandryjczycy kochają piękno i proporcje, ale z drugiej strony żar egipskiego słońca wprowadza rozleniwienie; właśnie to napięcie między dwoma biegunami, dyscypliną i ospałością, nadaje miastu jego jedyny w swoim rodzaju, często zdumiewający przybysza charakter. Dla Rzymianina jest ono raczej senne i pełne samozadowolenia, a przy tym zbyt wyrafinowane, aż do zmęczenia życiem i światem, niczym podstarzała kurtyzana, której już wszystko jedno, co sobie kto o niej myśli. Aleksandryjczycowi Rzym musi się wydawać przesadnie wulgarny, pełen hałaśliwych, aroganckich ludzi, napuszonych polityków, architektonicznej pstrokacizny i uliczek przyprawiających o klaustrofobię.

Dotarliśmy do najważniejszego skrzyżowania w mieście, gdzie Argeus, zwana przez rdzennych Egipcjan Somą, przecina się z główną arterią w kierunku wschód-zachód, równie szeroką ulicą Kanopos, kto wie, czy nie najdłuższą na świecie. Jest w tym miejscu rozległy plac ze wspaniałą fontanną pośrodku, w której wokół wysokiego obelisku pływają marmurowe driady i najady wespół z podobiznami krokodyli i koni rzecznych (co się tłumaczy na grecki jako *hippos potamios*). Tam też zaczyna się królewska dzielnica miasta z biurami, świątyniami, koszarami i rezydencjami władców. Na wszystkich czterech rogach placu stoją otoczone kolumnadami budowle, mieszczące groby królów i królowych Egiptu z dynastii Ptolemeuszów. Najwspanialsza z nich to oczywiście grobowiec samego Aleksandra, do którego ludzie z całego świata przyjeżdżają, by zobaczyć zmumifikowane ciało wielkiego zdobywcy. Ściany grobowca

pokryte są malowanymi reliefami przedstawiającymi jego podboje, a każdego dnia długa kolejka pielgrzymów i zwykłych ciekawskich godzinami czeka, by wejść do środka. Jeden po drugim przesuwiają się przed otwartym sarkofagiem, by przez ulotną chwilę (i z daleka, dzieli ich bowiem od niego łańcuch i rząd strażników) móc spojrzeć na szczątki Macedończyka. Przez te kilka lat, kiedy mieszkałem w Aleksandrii, ani razu nie byłem w grobowcu; cena za wejście była zbyt wysoka jak na kieszeń młodego rzymskiego obywatela bez stałego źródła dochodów.

Kiedy mijaliśmy budowlę, stojący w kolejce odwracali się, by się przyjrzeć królewskiemu pochodowi. Mieli szczęście - ujrzą dziś nie tylko Aleksandra, ale i jego żywego następcę. Usłyszałem obok siebie westchnięcie i zerknąłem na Potejnosa, który patrzył z roztargnieniem na swe wypięlegnowane paznokcie.

- Pod Kasjum prawie ją mieliśmy! - mruknął do siebie.

Nie odezwałem się, ale on spojrzał na mnie i widząc moje zdziwienie, dodał:

- Mówię o Kleopatrze. Dopadliśmy ją na południe od wioski Kasjum, prawie pod naszą wschodnią granicą.

- Była bitwa? - spytałem, siląc się na uprzejmy ton.

- Ściśle mówiąc, nie było. Gdybyśmy mogli stanąć do decydującego starcia, byłby to koniec Kleopatry i jej naprędce zebranej zgrai bandytów i najemników. Armia królewska jest silniejsza, lepiej wyszkolona i wyposażona... i nieruchawa. To tak, jakby urządzić turniej jaskółki z koniem rzeźnym: bestia bez problemu zgmiotłaby ptaka, gdyby potrafiła go złapać. Raz po raz się nam wymykali. Byliśmy w trakcie organizowania pułapki w górach nieopodal Kasjum, kiedy nadeszła wieść o przyplynięciu floty Pompejusza.

- Trzeba było najpierw zgnieść Kleopatę, a potem spotkać się z Pompejuszem - zauważyłem.

- Tak radził Achilles. Ryzyko wydawało się jednak zbyt duże. Co by było, gdyby ona znów się nam wyśliznęła? Znalezlibyśmy się wtedy między nią i Pompejuszem z jednej strony, a Cezarem z drugiej. Lepiej radzić sobie z zagrożeniami po kolei.

- Poczynając od najmniejszego? - spytałem, wciąż nie mogąc się nadziwić, jak łatwym celem okazał się biedny Wielki.

- Rozważyliśmy, co nam grozi ze strony Pompejusza, i uznaliśmy, że warto mieć go... z głowy. - Potejnos uśmiechnął się, zadowolony z aluzji.

Zrozumiałem, że co prawda śmiertelny cios zadał Achilles, ale to on jest autorem pomysłu i ani myśli się tego wypierać.

- Król osobiście zatwierdził tę decyzję?

- W Egipcie nie robi się w imieniu króla niczego, co nie miałoby jego aprobaty.

- Zabrzmiało to nieco oficjalnie - stwierdziłem.

- Niemniej to prawda - odparł Potejnos. - Niech cię nie zwiedzie młody wiek naszego władcy. Jest bardzo podobny do swego ojca, ma za sobą trzynaście pokoleń monarchów. Ja jestem jego głosem, Achilles jego zbrojną ręką, ale Ptolemeusz ma własną wolę.

- Jego siostra jest taka sama?

- Ona też jest podobna do ojca. Jest starsza o parę lat i jeszcze bardziej pewna siebie.

I jeszcze mniej podatna na wpływy i podszepty różnych Potejnosów, pomyślałem. Czy właśnie dlatego eunuch wołał stanąć po stronie młodego króla?

- Pozbyliście się zatem Pompejusza i... - zawiesiłem znacząco głos.

- I mieliśmy nadzieję natychmiast wrócić do problemu Kleopatry. Okręty, które ruszyły w pościg za flotą Pompejusza, przywiozły jednak nowe wieści o Cezarze. Podobno czekał na kotwicy u brzegów Rodos, chcąc jak najszybciej przybyć do Aleksandrii. Raz jeszcze wydawało się nam rozsądniejsze, aby obrócić uwagę na „kwestię rzymską”, odkładając na przyszłość rozprawę z siostrą króla.

- Zamierzacie postąpić z Cezarem tak samo, jak z jego przeciwnikiem? - spytałem.

Wyobraziłem sobie drugi gliniany słój u stóp tronu Ptolemeusza i mimo woli zadrzałem. Co się stanie z Metonem, gdyby do tego doszło? - pomyślałem i zaraz przekląłem się w duchu za to pytanie. Meto wybrał swą życiową drogę, pełną podstępów i rozlewu krwi, i jego los już mnie nie obchodzi.

- Z Cezarem sprawa nie jest taka prosta - odrzekł Potejnos. - Tu trzeba działać subtelniej.

- Dlatego, że przybywa tu jako zwycięzca spod Farsalos?

- Bogowie najwyraźniej go lubią. - Eunuch skinął głową.

- Czyż Ptolemeusz sam nie jest bogiem?

- Wola królewska co do osoby Cezara zostanie wyrażona w swoim czasie. Najpierw musimy zobaczyć, co na nas czeka w porcie. - Potejnos zmierzył mnie badawczym spojrzeniem. - Mówią o tobie, Gordianusie Poszukiwaczu, że posiadasz szczególny dar. Przy tobie ludzie stają się rozmowni i szczerzy. Nieznajomi ci się zwierzają, wielcy jak Cezar i Pompejusz dzielą się z tobą swym brzemieniem. Nawet sam król nie jest odporny na tę twoją moc wywoływania szczerości. Nawet ja jej ulegam!

- Sam rzekłeś, że tak się o mnie tylko mówi.

- To wszystko jest w twoich aktach. Wywiad królewski sięga daleko. Jego oczy i uszy są wszędzie.

- Nawet w Rzymie?

- Zwłaszcza w Rzymie. Dlatego też twoja sława dotarła tu przed tobą. Król spędził wczoraj całą godzinę na studiowaniu twojej historii i zadawał wiele pytań na twój temat.

- Zapewne powinienem się czuć wyróżniony.

- Albo szczęśliwy, że jeszcze żyjesz. Ale oto przybyliśmy do bramy królewskiej rezydencji. Pora na dalsze ceremonie, niestety, i musimy przerwać tę rozmowę.

Brama się otworzyła i pochód wszedł na teren nadmorskiej siedziby władców Egiptu. Podobno każdy kolejny monarcha czuł się w obowiązku dodać nową budowlę do kompleksu i tak przez stulecia stał się on największym na świecie ośrodkiem bogactwa i przepychu, miastem w mieście, z własnymi świątyniami, placami, budynkami mieszkalnymi i ogrodami, pełnym sekretnych przejść i ukrytych komnat. Znaleźliśmy się

na wąskim dziedzińcu otoczonym wysokimi murami. Tragarze postawili lektyki na bruku i Potejnos wysiadł, by zająć miejsce przy królu, który właśnie się ukazał, uniżenie witany przez dworzan. Przez chwilę o mnie zapomniano. Rozparłem się na poduszkach, rozpamiętując kaprys losu, który przywiódł mnie w tak dziwne miejsce. Poczułem ukłucie niepokoju o Rupe i chłopców, które zaraz wyparła nagła i potężna fala tęsknoty za Rzymem. Co też teraz porabia moja córka Diana, nosząca pod sercem drugie dziecko? A jej synek, mały Aulus, i mąż, łagodny olbrzym Dawus? Jakże mi ich brakowało! Jak bardzo żałowałem, że nie jestem w domu z nimi i z Bethesdą i że w ogóle się tu wybraliśmy.

Gdzieś w tle usłyszałem tony fletu, odbijające się wielokrotnym echem między ścianami i ginące w oddali. Dziedziniec, który jeszcze przed chwilą pulsował życiem, teraz był prawie pusty. Odwróciłem się w drugą stronę i ujrzałem stojącą przy lektyce młodą kobietę, wpatrującą się we mnie bez żenady. Jej skóra miała barwę i połysk polerowanego hebanu; włosy osnuwały jej twarz kulistym nimbem jak czarny dym rozwiewany delikatnym zefirkiem. Oczy miały zaskakujący zielony odcień, jakiego nie widziałem u żadnego Nubijczyka, ale wysoko zarysowane kości policzkowe i pełne usta były typowe dla urody Nubijek. Obdarzyła mnie skromnym uśmiechem i spuściła wzrok.

- Nazywam się Merianis - przedstawiła się po łacinie. - Jeśli zechcesz wysiąść z lektyki, zaprowadzę cię do twojego pokoju.

- Mojego? Mam własny pokój w pałacu?

- Tak jest. Pójdziemy?

Odetchnąłem głęboko i wyszedłem na bruk.

- Prowadź więc, Merianis.

Szedłem za nią labiryntem korytarzy, dziedzińców i ogrodów. Zmierzaliśmy w stronę portu; co pewien czas przez jakieś okno czy bramę w murze widziałem trójkąty żagli i odbłask słońca na wodzie, a czasem ponad dachami mignęła mi sylwetka odległej latarni Faros. Wspięliśmy się parę razy po schodach, przeszliśmy długim korytarzem na kamienny most przerzucony nad ulicą do sąsiedniego budynku, aż wreszcie dziewczyna otworzyła jedne z drewnianych drzwi, mówiąc:

- Jesteśmy na miejscu.

Pokój był duży i prosto urządzone; pod jedną ścianą stało łóżko, pod drugą stolik i krzesło, a na podłodze leżał czerwono-żółty dywan w greckie wzory geometryczne. Brak ozdób z nawiązką rekompensował zapierający dech w piersiach widok z wysokiego okna z odsuniętymi na boki bladeżółtymi zasłonami. Żaden obraz ani mozaika nie mogłyby konkurować z majestatyczną sylwetą Faros widniejącą jak w ramie pośrodku okna.

- Wspaniała! - szepnąłem.

- Czy w Rzymie jest jakiś równie piękny widok? - spytała Merianis.

- Rzym ma wiele pięknych miejsc, ale nigdzie na świecie nie ma czegoś podobnego. Byłaś kiedyś w Rzymie? - spytałem.

- Nigdy nie opuszczałam Aleksandrii.

- Ale po łacinie mówisz świetnie.



- Dziękuję. Jeśli wolisz, możemy przejść na grekę.  
- A ty który język wolisz?  
- Dobra jest każda okazja do przeciwiczenia mojej łaciny.  
- Z przyjemnością ci to ułatwię.  
- Musisz być bardzo głodny po całodniowej podróży - powiedziała. - Mam kazać podać posiłek?

- Nie jestem głodny.  
- To może pomogę ci się rozluźnić po trudach dnia.

Przesunąłem wzrokiem od jej obutych w wysadzane lapisem sandały stóp przez prostą, cieniutką suknię z lnu aż do plisowanej płóciennej pelerynki, przylegającej do jej ramion i kształtnych piersi. Na odkrytej szyi nosiła lapisowe korale.

- Jestem raczej zmęczony, Merianis.  
- Zwykły masaż nie będzie wymagał od ciebie wysiłku.  
Rzuciłem jej szelmowski, jak mi się wydawało, uśmiech.

- Myślę, że wystarczy mi na razie wyciągnąć się na łóżku i odpocząć. Co tam jest? - spytałem, wskazując na wąskie drzwi obok łóżka, na pół ukryte za zasłonką.

- Izba dla twoich niewolników i młodego towarzysza podróży.

- Rupy i chłopaków? Gdzie oni są?

- Zjawią się niebawem z twoim kufrem. Ich wóz i muły zostaną oddane kuzynowi właściciela, zgodnie z twoją intencją.

Przyjrzałem się jej uważniej, patrząc prosto w zielone oczy.

- Wziąłem cię za niewolnicę, Merianis - powiedziałem.

- Jestem niewolnicą. Służę Izydzie i należę do niej ciałem i duszą, na tym świecie i w przyszłym bycie.

- A więc kapłanka?

- Tak. Służę w pałacowej świątyni Izydy, ale pod jej nieobecność...

- Nieobecność? Chyba bogini nie wyjechała gdzieś na wywczasy?

- Tak się składa, że nie na wywczasy, ale wyjechała.

Skinąłem głową.

- Mówisz o królowej Kleopatrze.

- Która jest też Izydą. Królowa jest jej wcieleniem tak samo, jak król Ptolemeusz jest wcieleniem Ozyrysa.

- Rozumiem. Dlaczego nie jesteś przy niej?

Merianis się zawahała.

- Pani opuściła pałac raczej... nagle. Nie mogłam jej towarzyszyć. Poza tym moje obowiązki zatrzymały mnie w pałacu, przy świątyni. Należy do mnie między innymi dbanie o wygodę szacownych gości, jak ty.

Roześmiałem się.

- Nie wiem, na czym polega moja szacowność. Wyróżniam się chyba tylko długim szeregiem trapiących mnie nieszczęść. Ale doceniam twą gościnność, Merianis.

- Ku chwale Izydy - odrzekła, pochylając głowę.

- Czy zajmiesz się też wygodami innego szacownego gościa, który właśnie odwiedził Aleksandrię?

Popatrzyła na mnie pytająco.

Podszedłem do okna.

- Tego w porcie. Zauważyłaś chyba rzymskie okręty wojenne, które tam cumują?

Merianis stanęła obok mnie.

- Trzydzieści pięć. Sama je policzyłam. To prawda, że znasz Cezara?

Nabrałem już powietrza, by odpowiedzieć, ale w porę się powstrzymałem. Zmęczenie i nadmiar emocji przytępiły mi umysł, inaczej już wcześniej zdałbym sobie sprawę, że stojąca przy mnie kobieta - piękna, egzotyczna, elokwentna, a przy tym kusząco dostępna - może być kimś innym niż tylko służką czy kapłanką. Kiedy król prowadzi wojnę z królową, w pałacu musi być pełno szpiegów. Zerknąłem z ukosa na Merianis. Czując jej bliskość, zapach jej perfum - poznałem woń nardu - łatwo mogłem sobie wyobrazić, jak mężczyzna traci w jej obecności czujność i wypowiada słowa, które należałoby przemilczeć.

Przeniosłem wzrok na rozpościerającą się za oknem panoramę portu. Dzień szedł z wolna na spotkanie zmierzchu, statki kładły długie cienie na wodzie wciąż rozbłyskującej słonecznymi refleksami. Największy cień rzuciła oczywiście latarnia, obejmując nim całe wejście do portu. Morze zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Pomyślałem o Nilu, bezustannie wlewającym się spomiędzy piaszczystych i błotnistych brzegów delty wraz ze wszystkim, co wpadło lub zostało wrzucone w jego wody...

- Jestem zmęczony, Merianis. Zostaw mnie samego.

- Jak sobie życzysz - odrzekła i wyszła, zostawiając za sobą nikły zapach nardu.

Jak długo stałem przy oknie, nie mam pojęcia. Słońce zsuwało się po niebie coraz niżej, aż wreszcie dotknęło horyzontu i zostało stopniowo połknięte przez morze, choć długo jeszcze trzymało się nieba palcami z purpurowej i karmazynowej mgły. Wielki port pogrążył się w mroku. Na rzymskich galeriach zapłonęły lampy, podobnie jak na długiej grobli łączącej miasto z wyspą Faros, zwanej Heptastadionem<sup>2</sup>. Po jej drugiej stronie leżał inny, mniejszy port zwany Eunostos, czyli „dobry powrót”, a mniej więcej w połowie długości widniał most, pod którym statki mogą przepływać z jednego portu do drugiego. Z zadumy wyrwało mnie dopiero stukanie do drzwi. Merianis wraca, pomyślałem i przyłapałem się na zadowoleniu z tej perspektywy. Kiedy jednak otworzyłem drzwi, za progiem ujrzałem nie kapłankę Izydy, ale Rupe, a za nim obu wisusów. Cała trójka stała z rozdziawionymi ustami, wyraźnie zdumiona, że znaleźli się w królewskim pałacu.

- Androkles! Mopsus! Nie macie pojęcia...

- Jak się cieszymy, że cię widzimy, panie! - weszli mi w słowa chórem i rzucili mi się w ramiona.

Rupa miał minę, jakby też chciał mnie objąć, gdyby w wąskich drzwiach było na to dość miejsca.

- Gdzie pan był tyle czasu? - spytał Androkles, ochłonawszy po pierwszym wzruszeniu.

- I rzeczywiście to ciebie zauważyliśmy na królewskiej barce? - dodał Mopsus.

- Patrz! - Młodszy chłopiec podbiegł do okna. - To latarnia, wielka jak

---

<sup>2</sup> Z gr. „siedem stadiów”, od długości grobli.

góra! A ile statków w porcie! Ktoś mówił, że to rzymskie galery i że sam Cezar jest na którejś z nich.

Niewolnicy wnieśli do pokoju mój kufer i tace parującego jedzenia. Nie wiedziałem, jak jestem głodny, dopóki nie dotarł do mnie zapach potraw.

- Kiedy byłeś z królem, panie, czy pokazał ci głowę Pompe...

- Jedz teraz, potem porozmawiamy! - przerwałem mu.

Trzeba będzie uważać, co się mówi, pomyślałem. W takim miejscu ściany mają uszy i oczy. Ale po posiłku (pochłanialiśmy żarłocznie wielkie porcje jęczmiennej polewki, pieczone na rożnie gołębie, cienkie korzenne placki z soczewicy, popijając to obficie piwem) nie było już żadnej rozmowy. Zasnąłem jak kamień, ledwo padłszy na łóżko, pozostawiając Rupie i chłopakom znalezienie własnych miejsc do spania.





## ROZDZIAŁ 11

-**T**rzydzieści trzy, trzydzieści cztery, trzydzieści pięć. Tak! W porcie stoi trzydzieści pięć rzymskich okrętów - oświadczył stanowczo Mopsus, skończywszy liczyć je po raz drugi.

Poranne słońce roziskrzyło już wodę i oblało złotym blaskiem kolumnę Faros. W pokoju pachniało świeżym chlebem, który przed chwilą przyniesiono nam na śniadanie. Siedziałem na łóżku oparty o poduszki, a obaj chłopcy wyglądali przez okno. Rupa przysiadł na kufrze i kręcił głową, ubawiony wiecznym przekomarzaniem się moich małych niewolników.

- Tak? Jednego zgubiłeś. Ja naliczyłem trzydzieści sześć! - upierał się Androkles.

- To się pomyliłeś.

- Właśnie, że nie!

- Zawsze umiałeś liczyć tylko na palcach. Powyżej dwudziestu już ci nie wychodzi!

- Akurat! To ty pominąłeś jeden okręt. Policzyłeś ten z głową Gorgony na dziobie? Jeszcze nigdy nie widziałem tak straszego tarana jak u niego.

- Gdzie go widzisz?

- Ha! Ledwo go widać, bo jest schowany za budynkami na tej wysepce. Jak ona się nazywa, panie? - spytał Androkles.

- To Antyrodos - odrzekłem. - Należy do króla, a te budowle to jego prywatna posiadłość. Ma też własny porcik, odgradzony od reszty portu.

- Musi tam być wspaniale!

- Możemy tam popłynąć, panie? - spytał zaciekawiony Mopsus.

- Podejrzewam, że trzeba być o wiele ważniejszą osobą ode mnie, żeby zostać zaproszonym na Antyrodos - rozwiąłem ich nadzieje.

- Ale mieszkamy w pałacu, prawda? We własnej komnacie - zauważył Androkles. - Tylko sobie wyobraźcie!

- Może Cezar zajmie wyspę i urządzi tam swój sztab, a wtedy...

- Milcz, Mopsusie! - uciszyłem go szybko. - Nie wolno ci ani słowem wspominać o Cezarze, dopóki jesteśmy w pałacu. Nie wymieniaj nawet jego imienia, rozumiesz?

Zmarszczył czoło, ale widząc moją śmiertelnie poważną minę, kiwnął głową. Przez ostatnie kilka lat w Rzymie obydwaj nauczyli się tego i owego o sekretach i szpiegach. Po chwili znów zainteresował się portem.

- Niektóre statki przewożą konnicę - zauważył. - Na tych najbliższych latarni widzę konie na pokładzie.

- Wieść konie z Grecji aż tutaj... - Androkles pokręcił głową. - Myślisz, że to te same, którymi... wiesz kto... stratował w bitwie pod Farsalos... wiesz, kogo?

- Te same albo i nie - odrzekł Mopsus. - Ale popatrz, z tamtej dużej galery znowu żołnierze przechodzą na łódź. Wozi ich na pomost przy pałacu od nie wiem kiedy.

- Jak to znowu? - spytałem. - Żołnierze lądują w pałacu? Jak długo to trwa?

- Już dość długo - pospieszył z odpowiedzią Androkles. - Na placu przy pomoście zaczyna się robić tłoczno. Żołnierze rzymscy, egipscy, pełno ludzi w fikuśnych strojach, sztandary, proporce... Myślisz, że dojdzie do spotkania króla z... wiesz kim? - zwrócił się znów do brata. - To może być on tam między żołnierzami na galerze. - Przymrużył oczy, by lepiej widzieć na tę odległość. - Ma jakąś wymyślną zbroję i czerwoną pelerynę... jak wiesz kto.

- I jest łysy jak wiesz kto - dodał ze śmiechem Mopsus. - Świeci w słońcu, aż mnie oślepia!

- O czym wy tam gadacie? - spytałem.

Wstałem z łóżka, by podejść do okna, ale w tej chwili rozległo się głośnie stukanie do drzwi. Skinąłem Rupie głową, a on zerwał się na nogi i poszedł otworzyć. W korytarzu stała Merianis. Rupa otworzył szeroko oczy, po czym natychmiast się wyprostował i lekko naprężył swe imponujące mięśnie. Mopsus i Androkles zapomnieli języka w gębie i tylko się na nią gapili. Dziewczyna miała na sobie nadzwyczajną suknię z jakiegoś zielonego, półprzezroczystego materiału haftowanego srebrną nicią i przewiazaną pod biustem srebrnym sznurem. Kolor sukni był idealnie dobrany do jej oczu. Na stopach miała te same sandały z lapisem i korale, ale przy zieleni sukni kamienie jakby przybrały inny odcień. Efekt, zwłaszcza w zestawieniu z jej hebanową skórą, był zaiste godny uwagi.

- Możesz się wyszykować w pół godziny? - spytała.

- Do czego?

- Potejnos radzi, abyś włożył najlepsze ubranie. Chyba znajdzie się coś odpowiedniego w tym wielkim kufrze?

- Nic tak wytwornego jak twoja suknia - odparłem.

- Ale, panie, przecież tuż przed wyjazdem z domu zdecydowałeś się zapakować najlepszą togę! - przypomniał mi Mopsus.

- Toga byłaby idealna! - orzekła Merianis. - Nasz gość poczułby się jak w domu.

- Macie gościa? - spytałem.

- Chyba widziałeś to zgromadzenie przy pomoście pałacowym? Król życzy sobie, abyś był obecny, gdy przybędzie Cezar.

- Rozumiem. Zapewne nie mam wyboru?

- Najmniejszego. Wrócę po ciebie za pół godziny.

Merianis się uśmiechnęła, a w następnej chwili już jej nie było. W oczach Rupy widziałem to samo pytanie, które chłopcy wyrzucili z siebie niemal jednocześnie:

- Kto to był, panie?

- Wyjaśnię wam podczas ubierania. Rupo, podasz mi togę z kufra? Musi gdzieś tam być, mam nadzieję, że się za bardzo nie pogniotła. Chłopcy, do roboty! Wiecie, co robić.

Mopsus i Androkles pomagali mi w nakładaniu togi od pierwszych dni w moim domu. Przez te kilka lat opanowali tę sztukę do perfekcji, jeśli nie liczyć ich ciągłego sprzecznania się o to, kto ma układać fałdy, a kto je przytrzymywać i mocować. Niewolnik, który potrafi upiąć togę na

rzymskim obywatelu tak, aby ten nie wyglądał jak góra zmiętej tkaniny, wart jest na pewno swojej ceny.

Zakazałem dzieciakom wymawiać imię tego, który miał wkrótce postawić stopę na aleksandryjskim brzegu. Był jednak jeszcze ktoś, kto mógł się zjawić wraz z nim; a jego imienia Mopsus i Androkles już dawno się nauczyli nie wypowiadać w mojej obecności. Perspektywa spotkania z samozwańczym panem świata nie robiła jakoś na mnie wrażenia, za to serce biło mi mocniej, a czoło zrosił pot, gdy pomyślałem, że już za godzinę mogę stanąć oko w oko z człowiekiem, którego kiedyś nazywałem synem.

Nie można nie podziwiać kunsztu architektów, którzy przez pokolenia służyli Ptolemeuszom. Z zewnątrz zespół pałacowy prezentuje się zarazem wspaniale, wyniośle, groźnie, jak twierdza nie do zdobycia. Mimo to, wszedłszy do środka, nie ma się wrażenia zamknięcia w murach; nasłonecznione przejścia, przytulne dziedzińce, szmer fontann i śpiew ptaków nasuwałyby raczej skojarzenie z jakąś grecką willą o świetnym wyposażeniu i schludnie utrzymanych ogrodach, gdyby nie to, że nie ma greckich willi o takich rozmiarach. Szedłem za Merianis, pozwalając myślom na błądzenie po manowcach, dzięki czemu nie musiałem się zastanawiać nad tym, co naprawdę zaprzętało mi głowę.

- Twoi dwaj niewolnicy i niemy przyjaciel byli niepokieszeni, że nie mogą iść z tobą - zagadnęła dziewczyna.

- Podejrzewam, że chcieli raczej dłużej patrzeć na ciebie. Zwłaszcza Rupa.

Uśmiechnęła się.

- Ty sam wyglądasz całkiem elegancko.

- Ja? Jestem tylko szarą, pomarszczoną twarzą wystającą z szarej, pogniecionej togi. - Tym razem ja się roześmiałem.

- Ja uważam, że jesteś dystyngowanym mężczyzną.

- A ty nieszczerą kobietą, Merianis. Jedno jest pewne: dopóki będę stał u twego boku, nikt mnie nawet nie zauważy. Daleko jeszcze?

- Nie. Właściwie to...

Skreśliśmy za róg i znaleźliśmy się na słonecznym placu. Nagła jasność po półcieniu uliczki zmusiła mnie do przymknięcia oczu, ale gdy oswoiłem się z nią, zobaczyłem nad sobą błękitne niebo i wody portu, znad których nadlatywała przyjemnie chłodząca morska bryza. Przed nami rozciągał się rozległy, brukowany plac, na którym tłoczyli się dworzanie w ceremonialnych perukach bądź barwnych nakryciach głowy i wymyślnych szatach. Na przeciwległym krańcu, gdzie szerokie stopnie prowadziły na poziom wody, stał na baczność długi szereg rzymskich legionistów. Na każdym rogu zajął pozycję oddział egipski, a na samym środku zobaczyłem baldachim z żółto-różowymi frędzlami i domyśliłem się, że Ptolemeusz na swym tronie oczekuje pod nim na lądowanie gościa. Sądziłem, że pozostaniemy na uboczu, ale Merianis śmiało pomaszerowała dalej. Widząc, że zostaję w tyle, wzięła mnie z uśmiechem za rękę i jak dziecko poprowadziła ku baldachimowi. Dworzanie i słudzy ustępowali jej z drogi, rozstąpił się przed nią nawet pierścień oszczepników otaczający króla i

jego orszak. Przy tronie stał Potejnos. Spozrzegł nas i wyszedł nam na spotkanie.

- Nareszcie! - rzucił nerwowo. - Co cię tak długo zatrzymało, Gordianusie Poszukiwaczu? Król się już niepokoił. Bardzo nalegał, abyś tu był. Bacznie wszystko obserwuj i nic nie mów. Rozumiesz?

Skinałem głową.

- I dlaczego wy się trzymacie za ręce?

Palce Merianis wysunęły się z mojej dłoni. Potejnos wrócił do swego pana. Rozległy się fanfary; do nabrzeża przybiła niewielka łódź i jej pasażerowie kolejno wysiadali na ląd. Spozrzegłem wśród nich znajomą łysinę i serce żywiej mi zabiło. Grupka przybyłych ruszyła wzdłuż szpaleru utworzonego przez legionistów w stronę królewskiego baldachimu. Na czele kroczył sam Cezar. Nie był tym razem odziany jak imperator, nie miał na sobie pancerza i czerwonej peleryny, ale togę rzymskiego konsula.

Ostatni raz widziałem go w Massilii na południowym wybrzeżu Galii, w dniu, kiedy jego armia po długim oblężeniu wkroczyła do miasta. On sam był wtedy w Hiszpanii, walcząc tam ze swymi wrogami, a do Massilii wstąpił w drodze powrotnej do Rzymu i dalej, do Grecji. Była to zaledwie kurtuazyjna wizyta, okazja do ponownego wykazania się łaskawością wobec zwyciężonych, z której słynał, ale zarazem do bezwarunkowego podporządkowania sobie dumnego miasta, które od stuleci zachowywało niepodległość. Zmuszeni przez okoliczności Massylczycy opowiedzieli się po stronie Pompejusza przeciwko Cezarowi i wszystko stracili. Ja sam byłem w mieście podczas oblężenia, poszukując Metona, pełen obaw, że już nie żyje. Okazało się jednak, że jego zniknięcie było tylko częścią planu Cezara mającego na celu zdobycie miasta i kiedy imperator triumfalnie wjeżdżał w jego mury, Meto był u jego boku, cały, zdrowy i rozpromieniony. W owej chwili bezsens tej wojny i okrutne oszustwo mojego syna dotknęły mnie tak mocno, że zamiast objąć i powitać, odrzuciłem go i wyrzekłem się go na oczach Cezara i wszystkich zgromadzonych. Od tego czasu nie widziałem żadnego z nich, choć ich cienie nieustannie padały na moje życie. I teraz, na drugim końcu świata, nasze drogi znów się przecinają.

Ostatnim razem Cezar był dumnym zwycięzcą, bogiem-wojownikiem wymierzającym surową sprawiedliwość Massylczykom, zanim wyruszył na spotkanie największego wyzwania swego życia. Do Aleksandrii przybywał jako niedawny triumfator spod Farsalos i niekwestionowany pan rzymskiego świata. Jego usta zaciśnięte były w cienką kreskę, brodę wysunął sztywno do przodu, ale oczy mu lśniły, wyraźnie zdradzając wielką satysfakcję. Wydłużony podbródek, wysoko ułożone kości policzkowe i łysiejąca głowa nadawały mu surowy wygląd, ale szedł tak sprężystym krokiem, jakby miał o połowę mniej lat. Wjazd do Aleksandrii w takiej chwili musiał być dla niego jednym z największych osiągnięć w całej długiej karierze, wydarzeniem, jakie malarze i rzeźbiarze uwieczniają dla przyszłych pokoleń. Pan nowego porządku świata miał się spotkać z władcą najstarszego królestwa; nowy Aleksander stawał naprzeciw spadkobiercy Macedończyka, w mieście przez niego założonym. Widziałem przed sobą człowieka w pełni świadomego doniosłości chwili i

promieniejącego pewnością siebie.

A Ptolemeusz? Twarz króla była bardziej nieprzenikniona. Od dzieciństwa musiał się uczyć przybierania masek odpowiednich dla rozmaitych specjalnych okazji: poświęcania świątyn, wymierzania kar, rozdawania nagród, przekazywania boskich błogosławieństw i wielu innych, ale na pewno nie był jeszcze w takiej sytuacji. Jego mina i postawa nie wyrażały jakichkolwiek uczuć i emocji; tylko od czasu do czasu w jego oczach pojawiał się błysk zdradzający chłopięce podekscytowanie. Siedział na tronie absolutnie nieruchomo, ściskając w dłoniach królewskie insygnia, jak przystało na władcę środka świata. Poruszały się tylko palce jego lewej nogi, które na przemian podkurczał i prostował.

Potejnos wysunął się do przodu. Cezar, jak wszyscy Rzymianie, żywił zapewne niechęć do eunuchów, ale nie dał nic po sobie poznać. Potejnos przemówił, ale zbyt cicho, bym mógł rozróżnić słowa, domyślałem się jednak, że pyta gościa, w jaki sposób chce być przedstawiony, i wyjaśnia dworski protokół obowiązujący przy zbliżaniu się do króla. Cezar odpowiedział równie cicho, ale po brzmieniu głosu zorientowałem się, że rozmawiają po grecku. Wyglądało na to, że teraz nastąpi wymiana prezentów. Imperator uniósł rękę, dając sygnał jednemu ze swych ludzi, by podszedł bliżej. Dech mi zaparło w piersiach, zobaczyłem bowiem, że to nie kto inny jak Meto, w lśniącym napierśniku i pełnym wojskowym rynsztunku.

Jak on młodo wygląda! Była to jedyna spójna myśl, która przemknęła mi przez głowę pośród tabunu innych, których nie umiałbym ubrać w słowa. Poczułem nagły ból w piersi i chyba krzyknąłem, ponieważ Merianis rzuciła mi pytające spojrzenie i uspokajająco dotknęła mojej dłoni. Meto był w dobrej formie, cały i zdrowy. Wyglądało na to, że udało mu się przejść przez kampanię grecką bez uszczerbku. Teraz podszedł do tronu, trzymając w wyciągniętych rękach szkatułę z kutego srebra z brązowym zamkiem w kształcie lwiej głowy. Stanąwszy u podwyższenia, przyklęknął na jedno kolano i skłonił głowę, wręczając dar Ptolemeuszowi. Potejnos wziął od niego szkatułę, zerknął do środka i się uśmiechnął.

- Piękny to dar, konsulu, godny nawet jego królewskiej mości - rzekł do Cezara. - Ciekawe, czy pochodzi z łupów zdobytych na tak zwanym Wielkim?

Na twarzy imperatora ledwo się dało zauważyć przelotny grymas poirytowania tą przenikliwością eunucha.

- Owszem - odpowiedział. - Była ona wśród rzeczy, które porzucił pod Farsalos. Podobno ten pas pochodzi z garderoby króla Partów. Dostał się w ręce Pompejusza, kiedy pokonał Mitrydatesa. To najstarszy i najcenniejszy przedmiot w jego kolekcji.

- Co za zbieg okoliczności! - Potejnos się uśmiechnął po raz wtóry. - Dary króla Ptolemeusza dla ciebie też pochodzą od Pompejusza! Jeden z nich należał do niego przez całe życie i śmiem twierdzić, że był najbardziej ceniony przez właściciela.

Cezar zmarszczył brwi, ale w tej samej chwili jego uwagę przykuło pojawienie się niewielkiej grupy ludzi. Jednym z nich był... Filip, wyzwolieniec Pompejusza. Nie widziałem go od czasu naszego pożegnania



po spaleniu zwłok jego wodza. Nie wyglądał na źle traktowanego, ale był wychudły i osłabiony.

- Oto pierwszy prezent, konsulu - rzekł Potejnos, dając Filipowi znak, by podszedł bliżej.

- Filip był kiedyś niewolnikiem, ale słyszałem, że Pompejusz go wyzwolił - odparł Cezar. - Rzymianinowi nie możesz dawać innego Rzymianina w prezencie.

- A więc darem niech ci będzie jego towarzystwo. - Potejnos uśmiechnął się kwaśno. - To człowiek o wielu zaletach. Oby się okazał tak wierny tobie, jak był temu Rzymianinowi, któremu służył przedtem.

Filip nie podnosił wzroku. Wódz przyjrzał mu się posepnie.

- Byłeś z nim do końca? - spytał.

- Tak, konsulu.

- Podobno wyprawileś mu pogrzeb?

- Zrobiłem, co mogłem, konsulu.

Cezar położył mu dłoń na ramieniu, po czym ruchem głowy wskazał, że ma dołączyć do jego orszaku. Teraz dwaj królewscy dworzanie wystąpili naprzód z kolejnymi darami. Już ta dwójka była godna uwagi: jeden, czarny jak Merianis, choć miał twarz starca, wzrostem i budową przypominał dziecko; drugi zaś był chudym, ale bardzo wysokim albinosem, przerastającym najwyższych ludzi na placu co najmniej o głowę. Karzeł dźwigał duży wiklinowy kosz, olbrzym trzymał taki sam, ale miniaturowy. Widok był groteskowy, lecz i niepokojący, przynajmniej dla mnie. Inni, także Merianis, uważali to dziwaczne zestawienie za zabawne. Dziewczyna roześmiała się nawet w głos. Potejnos też się uśmiechnął, nawet sam król wyglądał na skrycie rozbawionego.

Albinos podszedł pierwszy. Wyciągnął przed siebie długie, kościste ramię, podając Cezarowi mały koszyk, ale to Meto wysunął się do przodu i wziął go w ręce. Zmierzył drągala wzrokiem, jakby szukał oznak podstępny, po czym obejrzał się na swego wodza, który skinieniem głowy dał mu znak, by otworzył koszyk.

Meto podniósł wieko, zajrzał do środka, marszcząc brwi i, wyjął jakiś lśniący przedmiot. Przypomniałem sobie brakujący palec Pompejusza... krwawy kikut, roje much... i domyśliłem się, co to jest, zanim jeszcze zobaczyłem w palcach Metona pierścień. Cezar wyprostował się i wyciągnął dłoń, rzucając surowe spojrzenie Potejnosowi, a potem królowi. Niewiele rzeczy Rzymianin tak ceni jak swój pierścień. Nosi go każdy obywatel jako oznakę swego statusu. Ja sam mam prosty, żelazny, jak większość ludzi, ale w wyższych sferach są one z cenniejszych metali, wymyślniej odlane i grawerowane dla upamiętnienia osiągnięć właścicieli. Pierścień Pompejusza, który parokrotnie miałem okazję widzieć, był ze złota i miał wyryte słowo „Magnus” w lustrzanym odbiciu, tak by mógł służyć za pieczęć. Z tej odległości nie widziałem takich szczegółów, ale nie ulegało wątpliwości, że to właśnie on; świadczył o tym wyraz twarzy Cezara. Imperator wiedział już o śmierci Wielkiego, ale teraz trzymał w ręku dowód. W żadnych innych okolicznościach Egipcjanie nie mogliby zdjąć go z palca Pompejusza, by móc podarować go jego przeciwnikowi. Co teraz czuł Cezar? Na pewno triumfował, teraz bowiem było jasne, że

klęska Wielkiego jest ostateczna i nieodwracalna. Być może jednak poczuł się oszukany, ponieważ odebrano mu satysfakcję decydowania o losie wroga; mógł też odczuwać gniew, że tak wybitny Rzymianin został podstępnie zgładzony przez cudzoziemców na rozkaz ich króla, a jego najcenniejszą własność potraktowano z taką pogardą. Pierścień, symbol świętego związku między republiką rzymską a jej obywatelami, został zdegradowany do roli łupu zagrabionego trupowi. Czy wręczono go Cezarowi, by okazać królewski szacunek, czy też jako inne, bardziej złowrogie przesłanie?

Wódz podniósł wzrok i spojrzał badawczo na Ptolemeusza. Twarz miał teraz równie nieprzeniknioną jak młody król, który bez jednego mrugnięcia odwzajemnił mu spojrzenie.

- Czy dar królewski sprawił Cezarowi przyjemność? - spytał Potejnos.

Imperator długo nie odpowiadał, aż wreszcie rzekł:

- Cezar przyjmuje dar króla.

- To dobrze! Ale jest i drugi, który, jak śmiem przypuszczać, spodoba się Cezarowi jeszcze bardziej. Coś, co Pompejusz cenił bardziej niż swój pierścień. - Eunuch skinął na czarnego karła, który podszedł bliżej, z trudem sobie radząc ze zbyt dużym dla niego koszem. Postawił go u stóp Cezara, zdjął pokrywę i sięgnął do środka. Imperator cofnął się o krok, zdjęty podejrzliwością. Meto ścisnął głównię miecza. Potejnos się roześmiał, a karzeł wyciągnął zawartość kosza i uniósł wysoko, trzymając jedną ręką za włosy, a drugą podtrzymując za kikut szyi. Głowa Pompejusza, doskonale zachowana - Egipcjanie wiedzą wszystko o balsamowaniu ludzkich ciał - wystawiona była na pokaz dla Cezara i jego świty.

Imperator nie ukrywał zdegustowania. Wargi wykrzywiły mu się w grymasie odrazy, odsłaniając zaciśnięte zęby. Na chwilę odwrócił wzrok, ale zaraz zaczął się otwarcie wpatrywać w głowę, wyraźnie zafascynowany.

- Czy Cezar jest zadowolony? - spytał Potejnos.

Imperator zmarszczył brwi, przez twarz przemknęło mu drżenie. Jego czy załśniły, jakby nagle zaszły łzami. Eunuch spojrzał na głowę Pompejusza, potem znów na rzymskiego gościa.

- Czy Cezar przyjmuje ten dar? - spytał niepewnie.

- Cezar... - Głos wodza był ochryply z emocji. - Cezar z pewnością nie zamierza pozostawić tego... daru w rękach tych, którzy go ofiarowują. Metonie! Każ włożyć głowę na powrót do kosza i zabierz na mój okręt. Niech ją oczyszczą, na ile się da, włożą w usta monetę... i traktować ją z szacunkiem!

Znów odwrócił wzrok od „daru”, a nie chcąc patrzeć na Potejnosa, powiódł oczyma po tłumie i trafił na mnie. Może zwróciła jego uwagę moja toga; widok galowo odzianego Rzymianina wśród ciżby egipskich dworzan musiał być zaskakujący. Przyglądał mi się przez chwilę jak obcemu, ale nagle mnie poznał; był wyraźnie zdumiony moją obecnością w orszaku króla Ptolemeusza.

Meto był zajęty wykonywaniem polecenia, ale kiedy mijał Cezara, ten, nie spuszczać ze mnie oczu, dotknął jego ramienia i coś mu szepnął do

ucha. Zobaczyłem, że Meto się odwraca w moją stronę. Kierowany nagłym impulsem cofnąłem się między ludzi, schodząc im z pola widzenia.

Wciąż jednak widziałem Merianis. Stała wyprostowana i patrzyła jak urzeczona na świtę Cezara, a raczej na jedną osobę. Od razu się domyśliłem, co zaszło: wzrok Metona padł na nią zamiast na mnie. Jeśli sądzić po jej minie, ta chwila miała dla niej szczególne znaczenie.





## ROZDZIAŁ 12

-Piętnastoletni Aleksander przechodził kiedyś obok klatki, w której zamknięty był dziki koń Bucefał. Usłyszał jego rzenie i spytał stajennych: „Co to za straszny hałas?” Młody wódz Ptolemeusz wyjaśnił: „Panie, to jest koń, którego twój ojciec kazał zamknąć, jest bowiem bardzo agresywny. Nikt nie mógł go poskromić, nie mówiąc już o dosiadanu. Niebezpiecznie jest się nawet do niego zbliżyć”. Aleksander podszedł do klatki i przemówił do zwierzęcia, wypowiadając jego imię. Bucefał zarżał znowu, ale tym razem nie tak przerażająco, lecz przymilnie i łagodnie. Kiedy królewicz zbliżył się jeszcze bardziej, koń polizał go po ręce, rozpoznając w nim pana przeznaczanego mu przez bogów. Wówczas Aleksander...

- Co będzie dalej? - przerwał mi Mopsus, który siedział na parapecie okna zapatrzony na port.

Obaj chłopcy wydawali się nieodmiennie zafascynowani eskadrą Cezara, ruchem kupieckich statków wpływających i wypływających z Aleksandrii, a nawet grą światła i cienia na kolumnie latarni Faros. Po roztargnieniu w jego głosie poznałem, że pytanie nie dotyczy treści opowiadania, które czytałem im na głos. Na kolanach siedział mu szary, zielonooki kocur ze srebrną obróżką na szyi, wysadzana drobnymi kawałkami lapisu - oznaką godności świętego strażnika pałacu. Kocisko chodziło sobie, gdzie chciało, a Mopsus i Androkles bardzo je polubili. Zawsze trzymali na podorędziu jakieś smakowite kąski, by go zwabić na kolana, kiedy kocur zaszczycił nas swą obecnością.

Od przybycia Cezara upłynęło kilka dni. Mogliśmy swobodnie się poruszać po naszej części pałacu, posiłki spożywaliśmy we wspólnej jadalni dla pośledniejszej rangi dworzan. Sąsiedzi trzymali się na dystans, nikt nie nawiązywał ze mną rozmów. Merianis zaglądała do nas co jakiś czas, zapewniając, że król o mnie nie zapomniał, i delikatnie, ale niedwuznacznie dając do zrozumienia, że choć oficjalnie jestem gościem, nie więźniem, to jednak nie powinienem się wyprowadzać z pałacu. Wolno mi było wychodzić do miasta, pod warunkiem, że o zmroku wrócę do swojej komnaty. Te wycieczki stawały się jednak coraz bardziej niebezpieczne.

Aleksandria wrzała. Każdego dnia od pojawienia się okrętów Cezara w którejś z dzielnic dochodziło do zamieszek. Czasami były to drobne incydenty, z łatwością tłumione przez straż królewską, ale bywało też, że ogarniały całe kwartały ulic niczym groźna burza, niosąc pożogę, grabież i śmierć. W najkrwawszym starciu oddział rzymskich żołnierzy, który wypuścił się na pokojowy zwiad pod świątynię Serapisa, wpadł w zasadzkę i został dosłownie ukamienowany, choć wszyscy mieli zbroje i miecze u boku. Wściekłość aleksandryjskiego tłumu to rzecz straszna.

Mnie samemu podczas wypadów do miasta nic się groźnego nie przytrafiło, ale niedaleko od siebie widywałem bijące w niebo słupy dymu i

słyszałem szcęk broni, gdy żołnierze ścierali się z motłochem. Mówiłem z wyraźnym rzymskim akcentem i każdy obcy zapytany choćby o drogę mógł w odpowiedzi rzucić mi tylko nienawistne spojrzenie i splunąć pod nogi. Rupa, który żył w Aleksandrii wiele lat i miał tu jeszcze znajomych, był w lepszej sytuacji, ale nie mogłem przecież przy każdym spotkaniu polegać na niemowie. Mopsus i Androkles znali zaledwie parę słów po grecku, że o egipskim nie wspomnę, a przy tym łatwo mogli wplątać siebie i mnie w tarapaty. Tak więc w ostatnich dniach coraz rzadziej decydowaliśmy się na wycieczki i na ogół zostawaliśmy w swojej kwaterze. Poza Merianis nikt nas też nie odwiedzał, prócz owego szarego kocura, który mruczał teraz z zadowolenia na kolanach Mopsusa.

Co będzie dalej? Pytanie chłopaka odbijało się wielokrotnym echem w moich myślach. Rozsiadłem się wygodniej, opierając plecy na stosie poduszek, i odłożyłem zwój, z którego czytałem. Tuż obok pałacu znajdowała się słynna Biblioteka szczycąca się posiadaniem czterystu tysięcy ksiąg. Merianis, która miała do niej swobodny dostęp, zaopatrywała mnie w lekturę. Tego ranka przyniosła kopię książki, którą czytałem w dzieciństwie, ale nigdy nie udało mi się znaleźć jej potem w Rzymie, *Cudowne czyny Aleksandra* Klejtarchosa. Głośne czytanie pomagało mi wypełnić czas, miałem też nadzieję, że opowieść o bohaterze zainteresuje Rupę i chłopaków, wszyscy bowiem potrzebowaliśmy zajęcia. Okazało się jednak, że nawet wielkie osiągnięcia Macedończyka bledną przy wydarzeniach, jakie rozgrywały się wokół nas.

Ostatnio nieraz omawialiśmy niepewną sytuację w Aleksandrii, ale chłopcy zdawali się czerpać otuchę z tych powtarzających się rozmów.

- Co dalej? Trudno powiedzieć. Okręty Cezara panują nad portem, prawdopodobnie płyną tu też kolejne, więc...

- Myślisz, panie, że on złupi Aleksandrię? - Oczy Androklesa rozbłyły na samą myśl o takiej ewentualności.

Dosiadł się do brata na parapet i przełożył kota na swoje kolana. Zwierzak miauknął niechętnie, ale szybko się umościł na nowym miejscu i wznowił swoje wibrujące mruczenie.

- Część miejscowych chyba tak sądzi - odrzekłem. - Nie wierzę jednak, aby miał takie zamiary. Przybył tutaj grać rolę orędownika pokoju, a nie dążyć do wojny. Konflikt między Ptolemeuszem a Kleopatrami musi zostać jak najszybciej i na dobre rozwiązany, tak w interesach Egiptu, jak i Rzymu. Flecista miał też inne dzieci. Księżniczkę Arsinoe, młodszą od Kleopatry, ale starszą od Ptolemeusza, i najmłodszego syna, który także wziął imię po ojcu. Tych dwoje nie zostało jednak wymienionych w testamencie i nie wydaje się, aby liczyli się w tym sporze. Jeżeli królewskie rodzeństwo samo nie potrafi załatwić rodzinnych spraw, to Cezar chętnie weźmie na siebie rolę rozjemcy. Nagrodą będzie dlań stabilizacja w Egipcie, która z czasem pozwoli na spłacenie zaciągniętych przez zmarłego króla zobowiązań wobec Rzymu, no i wznowienie regularnych i pewnych dostaw zboża dla głodnego ludu rzymskiego.

- A więc król Ptolemeusz chce, aby Cezar tu był? - spytał Mopsus.

- Chce czy nie, Ptolemeusz może nie czuć się dostatecznie silny, żeby go stąd wyrzucić. Gdyby zaś zdołał przeciwnać Cezara na swoją stronę,

mogłoby mu to zapewnić zwycięstwo nad Kleopatrami, które do tej pory mu się wymykało. Dlatego przywitał go tu po królewsku i oddał do dyspozycji część pałacu...

- Gdzie Cezar zamieszkał i wystawił własne straże - wszedł mi w słowo Androkles. - Merianis mówi, że Egipcjanie nazywają jego kwatery małym Rzymem i że kobiety nie chcą tam chodzić, bo się boją, że legionści będą je napastować. A dlaczego my się nie przenieśliśmy do małego Rzymu, panie?

- Dlatego, że tam na pewno nie dostalibyśmy pokoju z takim wspaniałym widokiem na port - odpowiedziałem z ironicznym uśmiechem.

Prawda była taka, że od ich przybycia i zamieszkania w pałacu ani Cezar, ani Meto nie próbowali się ze mną skontaktować; ja z nimi zresztą też.

- Teraz moja kolej! - burknął Mopsus do brata. - Oddawaj Aleksandra!

- Jakiego Aleksandra? - spytałem.

- Kota, panie. To jego nowe imię. Nie umieliśmy wymówić jego egipskiego imienia, więc Merianis pozwoliła nam nazwać go po swojemu, a my wybraliśmy Aleksandra. I teraz ja chcę go trzymać! - Mopsus zabrał zwierzę i posadził sobie na kolanach. - Czy Cezar trzyma głowę Pompejusza na nocnym stoliku koło łóżka? Jak myślisz, panie?

Roześmiałem się, ubawiony tym pomysłem.

- Mopsusie, od czegoś takiego nawet Cezar mógłby mieć złe sny. Ale to nasuwa inne pytanie. Po co w ogóle król mu ją podarował?

- Bo myślał, że go w ten sposób uszczęśliwi. Czyż nie po to wszyscy dają komuś prezenty?

- Niekoniecznie - odparłem. - Dar może służyć jako ostrzeżenie. Fortuna jest kapryśną boginią, a Cezar nie jest bardziej nieśmiertelny od Pompejusza. Sądzę, że Cezar wie, iż równie dobrze to jego głowa mogła się znaleźć w wiklinowym koszu, ofiarowana komu innemu jako trofeum. Ptolemeusz i jego doradcy chcieli zapewne mu o tym przypomnieć, choć udają, że to dar przyjaźni.

- Cezar może łatwo stracić głowę, gdyby wychylił ją z pałacu - wtrącił Androkles.

- Owszem, ulice są teraz niebezpieczne nawet dla uzbrojonych żołnierzy - przytaknąłem. - Może nawet dla boga.

- I pewnie dlatego zakazujesz nam, panie, wychodzić do miasta - mruknął naburmuszony chłopak. - W Rzymie zawsze nam pan na to pozwalał, nawet w najgorszych czasach.

- To niezupełnie prawda - powiedziałem. - Poza tym Rzym znacie obydwaj jak własną kieszeń. Gdyby na Forum zaczęły się zamieszki, wiedzielibyście, którędy najlepiej uciekać. W Aleksandrii zaś jesteście po raz pierwszy. Nic nie wiecie ani o mieście, ani o jego mieszkańcach. Nawet nie mówicie ich mową. Łatwo moglibyście się zgubić albo zostać porwani przez jakiegoś handlarza niewolników, albo sami napytać sobie biedy. Gdyby tak się stało... - O mało nie powiedziałem, że Bethesda by mi tego nie wybaczyła.

Mopsus dostrzegł zmianę mojego nastroju i rzucił bratu karcące

spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Przestań się dąsać jak dzieciak, nie widzisz, że pan się przez ciebie zdenerwował?” Rupa przysłuchiwał się całej rozmowie niby to beznamiętnie, ale już nieraz się przekonałem, że niewiele uchodzi jego uwagi, zwłaszcza zaś gdy dotyczy to sfery uczuć. Teraz, żeby wyrwać nas wszystkich z niezręcznej sytuacji, wskazał na leżący na mych kolanach zwój papirusu, niemo prosząc, bym znów zaczął czytać. Odchrząknąłem i poszukałem miejsca, w którym wcześniej przerwałem.

- Ach, tutaj. No, to słuchajcie. Koń polizał go po ręce, rozpoznając w nim pana, przeznaczonego mu przez bogów. Wówczas Aleksander...

Przerwało mi stukanie do drzwi. Merianis już nas dzisiaj odwiedziła, nie było powodu, aby znów miała to zrobić; poza tym zabrzmiało to inaczej, głośniej i natarczywiej. Aleksander zeskoczył z kolan Mopsusa na podłogę.

- Rupo, zobacz, kto to - poleciłem.

Ostrożnie otworzył drzwi, po czym się cofnął, by wpuścić uzbrojonego Egipcjanina. Nie był to zwykły strażnik, ale ktoś z otoczenia króla, sądząc po świetnym stroju i ekwipunku. Kot przemknął mu między nogami i wybiegł na korytarz. Żołnierz rozejrzał się czujnie po komnacie, podejrzliwie omiatając wzrokiem Rupę i chłopców, po czym wszedł do ich izby. W chwilę później wrócił i coś powiedział do czekającego na korytarzu kolegi. Tamten kiwnął głową i odsunął się na bok, pozwalając przejść Potejnosowi.

Eunuch przyjrzał się nam wszystkim po kolei, po czym podszedł do okna. Mopsus odruchowo zsunął się z parapetu, ustępując mu miejsca. Potejnos przez chwilę patrzył na port, po czym odwrócił się do mnie.

- Kazałem przydzielić ci porządną komnatę, ale się nie spodziewałem, że będziesz miał taki wspaniały widok. Mam nadzieję, że to docenisz, Gordianusie Poszukiwaczu. Mamy w pałacu zagranicznych dyplomatów, którzy marzyliby o podobnym zakwaterowaniu.

- Jestem wdzięczny królowi za jego szczodrość - odrzekłem.

- A czy jedzenie ci odpowiada?

- Jak najbardziej. Rupa i chłopcy utyją, jeśli pozwolę im jeść wszystko, co jest dostępne, zwłaszcza że całymi dniami nie mają co robić i siedzą w pokoju.

- Ale chyba robiliście sobie jakieś wycieczki? W Aleksandrii jest tyle do zobaczenia! Faros, Biblioteka, Muzeum ze słynnym na cały świat gronem astronomów i matematyków, świątynia Serapisa, grób Aleksandra...

- W dniu, kiedy wyruszyliśmy oglądać latarnię, rozruchy zamknęły przejście przez Heptastadion. Wycieczkę do świątyni przerwały nam zamieszki na ulicy Kanopos. Grobu Aleksandra nie mogliśmy zwiedzić, był bowiem zamknięty z powodów bezpieczeństwa...

- Tak, tak, rozumiem - przerwał mi Potejnos. - Mamy teraz niespokojne czasy. - Wzruszył ramionami i dodał: - Ot, zwykła rzecz w Aleksandrii. Na pewno pamiętasz z dawnych czasów, kiedy sam tu mieszkałeś, że Aleksandryjczycy są ludem żywiołowym i skłonny do... wyrazistego demonstrowania swoich uczuć.

- Zdaje się, że wyjątkowo żywiołowo reagują na obecność Cezara w mieście - zauważyłem.

- Pewna część ludności kieruje się strachem i niezrozumieniem. Uwierzyli w plotkę, że Cezar przybył ogłosić Egipt rzymską prowincją i że król zamierza się z tym zgodzić. Nie rozumieją, że imperator jest tylko królewskim gościem.

- Z lepszym widokiem z okna niż ja? - spytałem z uśmiechem.

- Chciałbyś sam się o tym przekonać? Właśnie dlatego zresztą cię odwiedziłem. Cezar wie o twoim pobycie w pałacu. Poprosił mnie, bym przekazał ci zaproszenie na kolację w jego komnacie dziś wieczorem.

Nie odpowiedziałem. Zapatrzyłem się na trzymany w ręku papirus, zwijając go w ciasną rolkę.

- Nie w smak ci to zaproszenie? - spytał eunuch.

- Kto jeszcze miałby tam być? - odpowiedziałem pytaniem.

- To nie jest dyplomatyczne przyjęcie. Nie będzie żadnego Egipcjanina, sami Rzymianie. Nic więcej nie wiem, poza tym że Cezar specjalnie podkreślił nieformalność tego spotkania. Przypuszczam, że ograniczy się ono do jego najbliższego kręgu.

- Najbliższego kręgu... - powtórzyłem tępo.

- To twój syn wręczył królowi złoty pas, prawda? - Potejnos przyglądał mi się badawczo. - On też potem odebrał dla Cezara głowę Pompejusza.

- Ten młody oficer nazywa się Meto. Kiedyś był moim synem. Teraz już nim nie jest.

- Oczywiście. Czy mam przekazać Cezarowi, że przyjmiesz zaproszenie, pod warunkiem że Metona tam nie będzie?

- Trudno, żebym narzucał imperatorowi, kogo ma przyjmować u swego stołu. Poza tym w ogóle nie mam ochoty na spotkanie z Cezarem.

- To raczej niewdzięczne z twojej strony, Gordianusie Poszukiwaczu.

- Niewdzięczne? A to dlaczego? To nie Cezar jest moim gospodarzem.

- Oczywiście. Jest nim król Ptolemeusz... i zapewniam cię, że sprawisz mu wielką przyjemność, przyjmując to zaproszenie.

Poczułem mrowienie w karku. Nauczony częstym w ostatnich latach doświadczeniem wyczułem, do czego zmierza Potejnos. Ptolemeusz oszczędził mnie, zamiast kazać zabić. Wyświadczył mi wielki zaszczyt, pozwalając wpłynąć do Aleksandrii na pokładzie królewskiej barki, przydzielił kwatery ponad mój stan, a w zamian prawie nic nie zażądał. Do tej pory. Cezar zaprasza mnie na kolację, a król będzie zadowolony, gdy przyjmę zaproszenie. Czego zaś jego królewska mość oczekuje ode mnie w związku z tym? Raportu o stanie umysłu Cezara? Streszczenia rozmowy? Listy biesiadników i wypowiedzianych przez nich opinii?

- A jeśli odmówię?

- Na pewno tego nie zrobisz, Gordianusie. Przybyłeś tu, daleko od domu, w bardzo niepewnych, a nawet niebezpiecznych czasach, z trójką młodych ludzi pod opieką, których życie zależy od twoich decyzji... i niewiarygodnym zbiegiem okoliczności znalazłeś się pod protekcją samego króla Egiptu! Cezar jako inny gość królewski poprosił jego wysokość o przysługę... aby nakłonił cię do spożycia z nim kolacji... a król, zawsze starający się okazywać jak największą gościnność, pragnie, abyś się na to zgodził. Nie widzę powodu, byś miał mu odmówić... chyba że przytrafi ci się jakiś... okropny wypadek... albo nagła i ciężka choroba spadnie na



kogokolwiek z was... A jakie jest twoje zdanie, Gordianusie Poszukiwaczu?

Pokręciłem głową.

- Oczywiście, że nie ma powodu, abym miał odmówić Cezarowi przyjemności mojego towarzystwa. O której mam być gotów?





## ROZDZIAŁ 13

Wieczorem przysłała po mnie Merianis. Stała w drzwiach i przyjrzała mi się badawczo.

- Bardzo ładna tunika - orzekła w końcu. - Dobrze ci w granatowym, a ten szlaczek w żółte koniki morskie wygląda bardzo modnie. Ale czy nie odpowiedniejsza byłaby toga?

Nie mogłem się nie roześmiać.

- Na nieoficjalną kolację, w tym klimacie? Raczej nie. Czy to znaczy, że będziesz mi towarzyszyć?

- Tylko do rzymskiej granicy - zażartowała, mając na myśli skrzydło pałacu zamieszkanego przez Rzymian. - Gdy tylko przekażę cię w ręce straży granicznej, moja rola będzie skończona.

- Szkoda. Mężczyzna zawsze się czuje pewniej w towarzystwie z piękną damą u boku. Ale podejrzewam, że tym razem panie nie będą obecne.

- Żadna kobieta nie została... zaproszona - powiedziała Merianis.

Zdawało mi się, że jej słowa miały jakieś ukryte znaczenie, ale nie mogłem się domyślić jakie.

- No, dobrze. Skoro akceptujesz mój wygląd, to chyba jestem gotów. Rupo, pilnuj chłopaków. A wy dwaj nie narozrabiajcie mi tutaj!

Szliśmy przez oświetlone pochodniami korytarze, pachnące jaśminem ogrody i dziedzińce udekorowane greckimi posągami i egipskimi obeliskami. Merianis wzięła mnie pod rękę.

- To miłe, jak się o nich troszczysz - powiedziała.

- Masz na myśli Mopsusa i Androklesa?

- Tak, i Rupe też. Zupełnie jakby był twoim dzieckiem.

- Formalnie jest moim synem. Adoptowałem go.

- Rozumiem. Wziąłeś go do siebie jakby w zastępstwie za... - Nie dokończyła zdania.

- Mylisz się - odparłem. - Zaopiekowałem się Rupa, ponieważ życzyła sobie tego jego zmarła siostra. Zawarła to w swoim testamencie. To nie miało nic wspólnego z...

Merianis skinęła głową.

- Czy Meto będzie tam dzisiaj? - spytałem.

- Chyba nie. Potejnos przekazał twoje zastrzeżenia Cezarowi. Niemniej Cezar życzy sobie zjeść z tobą kolację, nawet bez Metona.

Westchnąłem ciężko.

- No cóż, chyba jakoś przeżyję ten wieczór. Siada się, je, zmusza się do minimum uprzejmej konwersacji. Czas biegnie, aż wreszcie przyjęcie się kończy i można sobie iść.

- Aż tak się boisz tego spotkania z Cezarem? Ja bym bardzo chciała być na twoim miejscu! Nie ma na świecie sławniejszego męża i chyba nigdy nie będzie. Ludzie mówią, że przy jego sukcesach błędą nawet osiągnięcia Aleksandra. Ach, móc zamienić z nim chociaż parę słów! To by było... - Nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, zadrzała tylko z teatralną przesadą.

Popatrzyłem na nią z ukosa, zastanawiając się, ilu mężczyzn na świecie, mając taki wybór, wolałoby spędzić wieczór raczej z Cezarem niż z Merianis.

- Ja zaś mam tylko nadzieję, że wieczór upłynie w miarę spokojnie - powiedziałem. - I że Cezar nie szykuje mi żadnych niespodzianek.

- Nie martwiłabym się niespodziankami akurat z jego strony.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czyż mężczyźni nie lubią być zaskakiwani? - Uśmiechnęła się.

- To zależy.

- Od mężczyzny?

- Od niespodzianki. Merianis, czemu się wciąż tak chytrze uśmiechasz?

- Widocznie jestem dziś w wyjątkowo dobrym nastroju.

- Z jakiego powodu?

- Ach, oto jesteśmy u bram małego Rzymu!

Znaleźliśmy się na dziedzińcu w jednej ze starszych części pałacu, mury i posągi były tu bowiem wyraźniej nadgryzione zębem czasu. Drzwi, przez które weszliśmy, strzegli egipscy żołnierze z włóczniami. Po przeciwnej stronie widać było podobną straż w rynsztunku rzymskich legionistów. Kiedy się do nich zbliżyliśmy, Rzymianie wymienili między sobą spojrzenia, które nie miały nic wspólnego ze mną, za to wszystko z Merianis. Nie ulegało wątpliwości, że podoba im się to, co widzą.

- To jest Gordianus zwany Poszukiwaczem - zaanonsowała mnie dziewczyna. - Wasz pan go oczekuje.

- Jesteśmy Rzymianami - odparł dowódca straży z wyższością. - Nie mamy panów.

- No to wasz imperator.

Legionista spojrzał na mnie przelotnie, po czym wrócił do oględzin Merianis.

- A kto oczekuje ciebie, moja słodka?

- Nie bądź impertynentem! - warknąłem. - Ta kobieta jest kapłanką królewskiej świątyni Izydy.

- Nie chciałem jej obrazić. - Wartownik spojrzał na mnie nieufnie.

- Więc nie marnuj naszego czasu. Uprzedzono was, że mam przyjść?

- Tak.

- Prowadźcie mnie zatem natychmiast do Cezara.

Legionista przekazał służbę koledze z posterunku po drugiej stronie drzwi i kiwnął na mnie, bym szedł za nim. Obejrzałem się przez ramię na Merianis, która rzuciła mi ostatni tajemniczy uśmiech. Zaraz potem skręciliśmy za róg i straciłem ją z oczu.

Tę część pałacu dzielił od zajmowanych przeze mnie pokojów tylko krótki spacer, ale wydawało mi się, że wkroczyłem do innego świata. Nie było tu już szepczących między sobą dworzan sunących korytarzami z szelestem długich płóciennych szat i zostawiających za sobą smugę zapachu olejku chryzantemowego oraz wody różanej; nie było spieszących tam i z powrotem królewskich niewolników z ważnymi minami, nie słyszało się tajemniczych tonów egzotycznej muzyki i śmiechów dochodzących z niedostępnych komnat przez zalane księżycową poświatą dziedzińce. Znalazłem się w szorstkiej i typowo męskiej atmosferze

rzymskiego obozu wojskowego. W powietrzu unosiła się woń gotowanych ryb, słychać było rubaszny rechot, czasami szczęk czyszczonych zbroi. Na jednym z większych dziedzińców ustawiono namioty dla żołnierzy. Bezcenne posągi Ozyrysa i Serapisa z kamiennym spokojem patrzyły z góry na półnagich legionistów siedzących na prastarej mozaice i grających w kości; to zestawienie wydało mi się absurdalne i niestosowne. Posterunków było po drodze więcej, a na każdym byłem bezceremonialnie rewidowany.

W końcu mój przewodnik przekazał mnie jakiemuś wyższemu oficerowi, który wylewnie przeprosił mnie za wszelkie niedogodności, jakie mogły mnie spotkać, i zapewnił, że imperator pragnie mnie jak najszybciej powitać i z całego serca ugościć. Ruszyliśmy w górę niezwykle długimi schodami, potem skręciliśmy w bok, by znów wejść na inne schody. Oficer zauważył, że wspinaczka mnie zmęczyła, zatrzymaliśmy się więc na chwilę dla złapania oddechu. Przydało mi się to, gdyż musiałem potem wejść na kolejne piętro. Wreszcie doszliśmy na miejsce. Na końcu długiego korytarza obramowanego kolumnadą otworzyły się przed nami wysokie drzwi z brązu. Oficer wpuścił mnie do środka, po czym się dyskretnie ulotnił.

Komnata była oszałamiająca. Podłogę ułożono z ciemnozielonego marmuru z purpurowymi i pomarańczowymi żyłkami. Na kolumnach wyciętych z tego samego kamienia - nigdy jeszcze nie widziałem czegoś równie wspaniałego - wspierały się masywne belki sufitu, malowane na złoto i intarsjowane elementami z hebanu i kości słoniowej. Tu i ówdzie leżały dywany o tak skomplikowanych wzorach, że trudno było zatrzymać na nich oko, a pod ścianami stały ciężkie meble: trójnożne stoły, chyba z litego srebra, krzesła i sofy wysadzone drogimi kamieniami i zarzucone miękkimi poduszkami w poszewkach z jakiegoś połyskliwego materiału. Oświetlenie zapewniał tuzin lub więcej srebrnych lamp, podwieszonych na łańcuchach pod sufitem; każda z nich miała formę czterech ibisów lecących w cztery strony świata, stykających się końcami skrzydeł. Z ich uchylonych dziobów wydobywały się migotliwe płomyki. Światło było równomiernie rozproszone, co stwarzało przyjemną, relaksową atmosferę, dzięki której przepych komnaty był trochę mniej przytłaczający. Księżycowy blask wlewał się do wnętrza przez wysokie okna, których było po kilka w każdej z czterech ścian. Każde było obramowane zasłonami z zielonego płótna obszywanego na brzegach srebrną nicią. Podszedłem do najbliższego, wychodzącego na południe; rozpościerała się zeń panorama dachów, wiszących ogrodów i obelisków, z szeroką płachtą jeziora Mareotis w tle. W jego czarnej, gładkiej powierzchni odbijały się tysiące gwiazd.

- Gordianusie! Mimo wszystkich moich zabiegów wokół tego nędznego eunucha do końca nie byłem pewien, czy zgodzisz się przyjść!

Odwróciłem się i ujrzałem Cezara. Siedział w kącie komnaty z peleryną skrywającą całą górną część ciała, tak że tylko głowa była widoczna. Stał przy nim niewolnik w zielonej tunice, wymachując nożycami i grzebieniem wokół jego głowy.

- Chyba nie będzie ci przeszkadzało, Gordianusie, że dokończę najpierw

strzyżenia. Ostatnio byłem tak zajęty, że zaniedbałem te sprawy. Samuel jest najlepszym balwierzem w całym znanym nam świecie. To Żyd z Antiochii. Podbiłem Galię, pokonałem Pompejusza, ale z jednym wrogiem nie mogę sobie dać rady: z tą przeklętą łysiną. Jest niezwykczona i niestrudzona. Bezlitosna. Z każdym miesiącem wypada mi więcej włosów, linia frontu przesuwa się do tyłu, a ona zdobywa nowe terytoria. Jeśli jednak nie można wroga pokonać, to czasem da się odebrać mu satysfakcję ze zwycięstwa. Tylko Samuel wie, jak trzymać go w ryzach. Przycina i przyczesuje akurat tak, jak trzeba i *eureka!* Nikt się nie zorientuje, że łysina jest już taka duża.

Uniosłem brwi; kusiło mnie, by mu zaprzeczyć. Z daleka widziałem, jak mu świeci potylicca, ale skoro Cezar uważa, że zaczesanie kilku przydługich kosmyków gdzieś znad szyi na gołą czaszkę stwarza wrażenie pełnej czupryny, to nie mnie kwestionować jego zdanie.

- Gotowe! - obwieścił Samuel.

Balwierz był drobnej postury i musiał stać na drewnianym bloku, żeby dosięgnąć głowy Cezara. Teraz zszedł na podłogę, odłożył swoje przybory, ściągnął mu pelerynę z ramion i strzepnął parę razy. Z pewną ulgą zobaczyłem, że gospodarz ubrany jest równie nieformalnie jak ja, w długą szafranową tunikę przewiazaną luźno w pasie. Wyglądał całkiem szczupło. Słyszałem kiedyś od Metona, że Cezar zwykł się przechwalać, iż wciąż ma taką samą talię jak przed trzydziestką, podczas gdy Pompejusz z wiekiem dorobił się dwukrotnie grubszej.

- A może ty też zechcesz skorzystać z usług Samuela? - spytał. - Nie obraż się, ale wyglądasz na dość zaniedbanego. Samuel nie tylko strzyże, ale świetnie potrafi usuwać zbędne owłosienie z nosa, uszu i z dowolnych innych części ciała.

- Dziękuję za propozycję, imperatorze, ale może innym razem.

- Jak chcesz. Zmykaj więc, Samuelu. Po drodze powiedz służbie, żeby podano kolację. Zjemy chyba na tarasie. - Odwrócił się do mnie i rzekł: - Nie musisz zwracać się do mnie tytułem wojskowym, Gordianusie. Moja misja w Egipcie ma charakter pokojowy. Przybywam tu jako konsul ludu rzymskiego.

- Dobrze, konsulu.

Cezar ruszył na drugą stronę komnaty. Poszedłem za nim, ale stanąłem jak wryty, ujrawszy naturalnej wielkości posąg nagiej Afrodyty stojący w innym rogu pokoju. Statua zapierała dech w piersiach; była tak zmysłowa i żywa, że zdawało mi się, iż biały marmur oddycha. Jej ciało sprawiało wrażenie ciepłego, usta były gotowe do szeptu lub do pocałunku, a oczy patrzyły na mnie, jakby chciały mi zajrzeć w duszę. Bogini była zarazem pogodna i pełna namiętności. W Rzymie pełno jest nowszych kopii takich posągów. Ogrody bogaczy i miejsca publiczne są nimi usiane jak ciasto makiem. Ale kopia nigdy nie dorównuje oryginałowi, a ta Afrodyta z całą pewnością kopią nie była. Mogła wyjść tylko spod dłuta któregoś z wielkich greckich mistrzów Złotego Wieku.

Cezar spostrzegł moją reakcję i dołączył do mnie.

- Robi wrażenie, co?

- Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego - odrzekłem.

- Ja też nie. Podobno należała ongiś do samego Aleksandra Wielkiego i to właśnie on wstawił ją do pierwszego pałacu, jaki tu zbudował. Wyobrażasz sobie? Patrzył na nią sam Macedończyk!

- A ona na niego - dodałem, spoglądając jeszcze raz w marmurowe oczy bogini; poczułem się irracjonalnie podrażniony tym, że to ja pierwszy musiałem w końcu mrugnąć i odwrócić wzrok.

- Po śmierci Aleksandra Egipt przeszedł pod rządy jego wodza Ptolemeusza a ten posąg wszedł do rodzinnego dziedzictwa. Kiedy tu wszedłem po raz pierwszy, sądziłem, że przyniesiono go tutaj specjalnie po to, aby wywrzeć na mnie wrażenie, jako że Wenus jest moją przodkinią. Ale kiedy obejrzałem postument i zobaczyłem, jak ściśle przylega do podłogi, zrozumiałem, że bogini stoi tu od dawien dawna, może od wielu pokoleń. Wygląda zatem na to, że to gościa dopasowano do komnaty, a nie odwrotnie - rzekł z uśmiechem. - A jeśli przyjrzyś się dobrze... podejdź bliżej, Gordianusie, ona cię nie ugryzie... zobaczysz delikatną, ledwo się odcinającą od reszty jaśniejszą linię. Widzisz?

Wpatrzyłem się we wskazane miejsce, wyęzając wzrok.

- Tak. Głowa musiała kiedyś odpaść i została na nowo umocowana.

- Właśnie. Kiedy to zauważyłem, dało mi to do myślenia: czy ten parszywy eunuch dał mi tę komnatę, bo wie, że zaliczam się do potomków Wenus, i chciał mi się przypodobać? Czy też chodziło mu o jeszcze jedno nie tak znowu subtelne przypomnienie, że każdy, nawet bóstwo, może stracić głowę?

Oderwałem wzrok od Afrodyty i podszedłem do innego okna. Wychodziło na wschód, w kierunku dzielnicy żydowskiej. Dalej, za murami miasta, dostrzegłem meandrujące koryto kanału prowadzącego do Kanopos i dalej, do Nilu.

- Masz wspaniałe widoki, konsulu - powiedziałem.

- Trzeba ci je widzieć za dnia - odrzekł Cezar. - Port po jednej stronie, jezioro po drugiej. Trudno sobie wyobrazić lepszą lokalizację dla miasta. Widać, dlaczego Aleksander myślał, by kiedyś rządzić stąd całym światem, kiedy już zakończy jego podbój.

- Nie było mu to jednak dane - przypomniałem. - Zmarł, zanim mógł się nacieszyć owocami swych zwycięstw.

W komnacie zapanowała cisza. Nawet marmurowa Afrodyta jakby wstrzymała oddech, zaskoczona słowami niosącymi tak zły omen.

- Wieczór jest ciepły - odezwał się po chwili Cezar. - Usiądziemy do kolacji na zewnątrz? Jest tu taras z widokiem na port.

Wszedłem za nim na wyłożony kamiennymi płytami balkon, oświetlony przez bierwiona płonące w koszach ustawionych na trójnogach z brązu wymodelowanych na lwie łapy. Poświata księżycy oblewająca korpus odległej latarni Faros zniekształciła moje poczucie perspektywy; zdawało mi się, że patrzę na jej miniaturkę i gdybym dobrze się wychylił za balustradę, mógłbym jej dotknąć palcami. Spojrzałem na zachód, gdzie wznosiła się budowla jeszcze wyższa od pałacu.

- Co tam jest? - spytałem.

- To teatr. Zwrócony jest stromym murem do miasta, otwiera się zaś na port, do którego ma dostęp. Przylega bezpośrednio do tego budynku.

Przestrzeń między nimi jest tak wąska, że z łatwością można ją ufortyfikować.

- Ufortyfikować?

- Tak. Zasypać kamieniami, gruzem, czymkolwiek. Pomyślałem sobie, że teatr może posłużyć za cytadelę, łatwą do obrony od strony miasta i do zaopatrywania z morza.

- Przewidujesz, że taka forteca może się okazać potrzebna?

- Oficjalnie? Nie. Ale ocena topografii terenu stała się moją drugą naturą. Gdziekolwiek się zjawiam, szukam miejsc obronnych, słabych punktów, kryjówek, punktów obserwacyjnych. - Uśmiechnął się. - Przyplłynąłem do Egiptu z oddziałkiem, nieco większym ponad honorową eskortę. Jednak nawet niewielka grupa dobrze wyszkolonych ludzi może stawić czoło przeważającym siłom wroga, jeżeli pozycja jest dobrze wybrana.

- Będzie zatem wojna?

- Nie, jeżeli da się jej uniknąć. Ale trzeba być gotowym na wszelkie ewentualności, zwłaszcza w tak zapalnym miejscu jak Aleksandria.

- Rozumiem - powiedziałem i zmieniłem temat: - Widzę tylko dwie sofy, konsulu. Czy będziemy spożywać posiłek tylko we dwóch?

- Czemu nie? Od chwili mojego przybycia do Aleksandrii to będzie pierwszy wieczór, który spędzę z kimś, kto nie jest ani wojskowym, ani dyplomata, eunuchem czy szpiegiem.

Znieruchomiałem, słysząc ostatnie słowo. Cezar rzucił mi ironiczne spojrzenie.

- Mam chyba rację, Gordianusie? Nie jesteś przecież... eunuchem, prawda?

Roześmiał się, a ja starałem się śmiać razem z nim. Klasnął w dłonie i po chwili wniesiono pierwsze danie, tacę marynowanej w szafranowej zalewie ryby tilapia. Sługa, który nam ją podawał, musiał być tym, który próbuje wszystkich potraw, aby wykluczyć ich zatrucie. Pokazując danie swemu panu, szepnął: „Absolutne delicje!” Cezar się uśmiechnął.

- Dzisiaj pozwalam sobie na ucztę, Gordianusie. Potejnos skąpo wydziela żywność dla moich żołnierzy, tłumacząc się niedoborami w mieście, choć wydaje mi się, że dworzanie jedzą raczej nieźle. Dopóki jednak eunuch chce nas głodzić, jadam to samo, co moi ludzie... z wyjątkiem specjalnych okazji, jak dzisiejsza.

Jadł z apetytem, ale ja niewiele mogłem przełknąć.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego chciałeś się ze mną widzieć - powiedziałem.

- Gordianusie, zachowujesz się, jakbym cię tu wezwał na przesłuchanie. Poprosiłem tylko Potejnosa, żeby przekazał ci zaproszenie, bo chciałem z tobą porozmawiać.

- O czym?

- Wtedy, na placu, byłem zaskoczony, kiedy cię zobaczyłem w orszaku króla. Zanim zdążyłem cię wskazać Metonowi, zniknąłeś. Pytałem później eunucha o to, a on potwierdził, że to rzeczywiście ciebie widziałem, w todze, u boku tej nadzwyczajnej dziewczyny. Byłem ciekaw, skąd się wzięłeś w Aleksandrii.

- Potejnos ci nie powiedział?

- Powiedział, ale nie mam powodu, by wierzyć we wszystko, co mówi ten eunuch. Wolałbym usłyszeć prawdę od ciebie.

Przestałem udawać jakiegokolwiek zainteresowanie tilapią i zapatrzyłem się na Faros.

- Przyjechałem do Egiptu z żoną Bethesdą. Była chora i pragnęła obmyć się w Nilu, wierząc, że jego wody ją uleczą. Rzeka jednak ją zabrała, zamiast uzdrowić.

Cezar dał znak słudze, by sprzątnął rybę.

- A więc to prawda. To samo słyszałem od Potejnosa. Współczuję ci, Gordianusie. Wiem od Metona, jak bardzo kochałeś żonę. - Milczał przez chwilę, po czym rzekł: - Zrozum, że to mnie stawia w delikatnej sytuacji. Meto jeszcze nie wie, że jesteś w Aleksandrii.

- Nie? Przecież wtedy widziałem, jak coś do niego mówisz, zaraz potem, gdy mnie poznałeś. Zaczął się odwracać w moją stronę...

- I nie zobaczył nikogo poza tą wspaniałą kobietą, która nagle została sama, ty bowiem gdzieś się ulotniłeś. Poleciałem mu tylko spojrzeć na faceta w todzie i potwierdzić, że mnie oczy nie mylą. Popatrzył, a gdy nie zobaczył nikogo takiego, więcej na ten temat nie rozmawialiśmy. Może pamiętasz, że byłem akurat zajęty inną drobną sprawą, czyli wymianą powitań z egipskim królem. Kiedy później spotkałem się z Potejnosem na stronie, bez Metona, zapytałem o ciebie, a on zdał mi relację z twoich perturbacji. Nie widziałem sensu w informowaniu o tym Metona, przynajmniej zanim mógłbym się z tobą rozmówić. Tak więc on nic nie wie o twojej obecności, nie wie też o śmierci twojej żony. Nie wydaje mi się właściwe, by miał się o tym dowiedzieć ode mnie, skoro ty tu jesteś. Tę smutną wiadomość powinien mu przekazać ojciec.

Serce podskoczyło mi w piersi.

- Nie zaprosiłeś go tu chyba?

- Nie. Meto wie tylko, że zażyczyłem sobie, by absolutnie nikt nam nie przeszkadzał. - Roześmiał się. - Może sądzi, że mam schadzkę z tą pięknoscią.

- Ma na imię Merianis - powiedziałem.

- Z zasady lubię mieć Metona przy sobie przez cały czas. Utrzymuje oficjalny dziennik moich poczynań. Bez jego notatek nie mógłbym pisać swoich pamiętników. Ale od czasu do czasu odpoczywam lub jem posiłek bez niego. Nie, twój syn nie dołączy do nas dzisiejszego wieczoru.

- Nie nazywaj go moim synem.

- Gordianusie! - Cezar pokręcił głową. - Ta wojna nie była dla ciebie łatwa, co? Jesteś poniekąd podobny do Cycerona. Dobrze ci się żyło za dawnych dni, kiedy wszyscy wzajem ciągaliby się od sądu do sądu, naginali prawo, aby zaszkodzić politycznym przeciwnikom, rzucali wyssane z palca oskarżenia i sypali sędziom piaskiem w oczy. Teraz to się zmieniło. Obawiam się, że już nie pasujesz do czasów, w których żyjemy. Jesteś niezadowolony, gderliwy, a nawet zgorzkniały, ale nie powinieneś wyładowywać się na biednym Metonie. Ach, otóż i następne danie, serca palmowe w korzennej oliwie. Może bardziej przypadną ci do gustu niż tilapia.



I znów Cezar zajadał ze smakiem, a ja się gapiłem w talerz. Dotknął tematu, który nie dawał mi spać, odkąd ujrzałem Metona na nabrzeżu. Między nim a Bethesdą nie było więzów krwi, ale we wszystkim, co najważniejsze, była dla niego matką. Trzeba mu będzie powiedzieć o jej odejściu. Na pewno będzie się chciał dowiedzieć, jak to się stało, zadawać pytania, na które tylko ja mogę odpowiedzieć, mieć wątpliwości, które ja jeden mogę rozwiązać. Czy nie zasługuje, abym mu o wszystkim powiedział osobiście?

Cezar upił łyk wina.

- Może powinniśmy porozmawiać o czymś innym - powiedział. - Podobno byłeś świadkiem śmierci Pompejusza, a nawet pomogłeś zbudować dla niego stos pogrzebowy.

- Filip ci o tym powiedział?

- Tak.

- Na pewno kazałeś go dokładnie przesłuchać, kiedy Potejnos ci go przekazał.

- To było niefortunne. Jako członek domostwa Pompejusza, a więc renegat i wróg ludu rzymskiego, powinien trafić do mnie w bardziej dyskretny sposób, na przykład razem z innymi jeńcami. Potraktowałem go jednak z szacunkiem. Nie był przesłuchiwany, przynajmniej nie w takim sensie, o jakim myślisz. Ja sam przeprowadziłem z nim długą rozmowę w cztery oczy, jak teraz z tobą.

- Na pewno powiedział ci wszystko, co chciałbyś wiedzieć o ostatnich dniach Pompejusza.

- Filip wiele rzeczy mi wyjaśnił, w wielu innych był powściągliwy. Ponieważ ty też tam byłeś, bardzo bym chciał usłyszeć twoją wersję.

- Po co? Żebyś mógł się napawać klęską wroga? A może ma ci to pomóc uniknąć takiego samego losu z rąk naszych egipskich gospodarzy?

Cezar spochmurniał.

- Kiedy spojrzałem na głowę Pompejusza, zapłakałem - powiedział. - Nie powinien skończyć tak niegodnie.

- Chcesz powiedzieć, że lepiej by mu było zginąć od rzymskiego ramienia niż egipskiego?

- Tak, wolałbym, aby znalazł śmierć w bitwie, a nie w wyniku zdradzieckiego zamachu.

- A ty wtedy mógłbyś przypisać sobie całą chwałę.

- Jestem pewien, że on sam też wolałby paść w boju.

- Tak? Przecież miał taką szansę pod Farsalos, a jednak wybrał ucieczkę. Skończył makabrycznie, ale szybko. Ilu ludzi, których wysyłasz do boju, umiera tak szybko i czysto, konsulu, i po ilu z nich zapłakałeś? Na pewno nie po wszystkich, bo inaczej musiałbyś płakać bez przerwy.

Popatrzył na mnie chłodno, nie zdradzając ani gniewu, ani urazy. Przypuszczam, że nie przywykł, by ktokolwiek doń mówił w taki sposób, i nie wiedział, co o tym sądzić. Możliwe, że uznał mnie za lekko nie zrównoważonego.

- Są inne sprawy, o których możemy rozmawiać, Gordianusie. Na przykład taka. Podczas mojej nieobecności w Rzymie żona dostarczała mi informacje o bieżących wydarzeniach w mieście. Raz dostałem szczególnie

interesujący list, w którym Kalpurnia pisała mi o kłopotach, w jakie się wpakowałeś, kiedy Milo z Celiuszem usiłowali wzniecić bunt przeciwko mnie. Opowiedziała mi też szczegółowo o twoim związku z tą nieprzeciętną młodą kobietą, Kasandrą. Wiem od Potejnosa, że twoja podróż do Egiptu miała także umożliwić jej bratu rozsypanie prochów Kasandry nad Nilem.

- Tak. Zrobił to w tym samym dniu, kiedy zginęła Bethesda.

- Jakiż to musiał być dla ciebie okropny dzień! Mogę sobie tylko wyobrazić twój żal, wiedząc, co cię łączyło z Kasandrą. Cieszę się jednak, że moja żona mogła załatwić sprawę spadku po niej. Wiem, że dopilnowała, abyś otrzymał wszystko, co zostawiła dla ciebie, w zamian za zaopiekowanie się jej bratem.

To był Cezar, jakiego znałem: wytrawny polityk, umiejący bezbłędnie wyszukać słabości przeciwnika i albo go rozbroić, albo zniszczyć. Wobec mnie nie miał powodu do tego drugiego, ale gdyby mógł pokonać moją niechęć przez odwołanie się do mych uczuć i przeciągnąć mnie na swoją stronę, to na pewno by próbował. Podczas całego spotkania zachowywał się wobec mnie nienagannie, a mimo to udało mu się trącić strunę winy, jaką odczuwałem w związku z unikaniem Metona, a teraz jednym zdaniem przypomniał mi i o tym, że łączy nas osoba Kasandry, i o szczególnej przysłudze, jaką wyświadczyła mi Kalpurnia po jej śmierci. Takie subtelne słowne manipulacje stały się jego drugą naturą; może nawet robił to podświadomie, niemniej jego słowa ugodziły mnie boleśnie.

- O Kasandrze można było powiedzieć wiele rzeczy - rzekł ze smutkiem w głosie. - Piękna, utalentowana, zadziwiająco inteligentna. Łatwo mi zrozumieć, dlaczego mogłeś ją podziwiać, pożądać, a może nawet pokochać...

- Wolałbym raczej o niej nie rozmawiać. Nie tutaj i nie z tobą.

Cezar patrzył na mnie przez dłuższą chwilę w milczeniu, po czym rzekł:

- Dlaczego? Z kim innym będziesz mógł kiedykolwiek o niej rozmawiać, jeśli nie ze mną? Ty i ja wiele widzieliśmy, Gordianusie. Obydwaj mamy dar przetrwania. Mamy tyle wspólnych tematów! Powinniśmy być przyjaciółmi, nie wrogami. Do dzisiaj nie wiem, czym ci właściwie zawiniłem. Obdarzyłem twego syna zaufaniem, wyniosłem go do pozycji o wiele wyższej, niż większość wyzwolenców może marzyć. Droga jego życia prowadzi stale w górę nie tylko dzięki mnie, mojej hojności, ale i jego własnemu silnemu duchowi. Powinieneś być z niego dumny, a mnie wdzięczny! Nie wiem, co o tobie sądzić. Meto też zachodzi w głowę, co się stało. Każdy Rzymianin pragnie zadowolić swego ojca i on też nie jest inny. Twoje odwrócenie się przysparza mu wiele bólu...

- Dość, Cezarze! Czy musisz wygrywać każdą dyskusję? Czy każdy człowiek na świecie musi dawać ci swą miłość i przywiązanie? Ale nie ja! Nie chcę i nie mogę. Widzę, coście z Pompejuszem i wam podobnymi zrobili ze światem, i nie czuję miłości, ale głęboką niechęć. Mój syn cię kocha, imperatorze, całym sercem i duszą, a jeśli wierzyć plotkom, także ciałem. To ci nie wystarcza?

Mierzyliśmy się wzrokiem, a Cezar słuchał tej przemowy, jakby sam zaniemówił. W pewnej chwili obaj wyczuliśmy czyjaś obecność i jak na

komendę odwróciliśmy głowy. W drzwiach stał Meto.





## ROZDZIAŁ 14

-Tato? - szepnął Meto.

Ubrany był jak do służby, w lśniącym półpancerzu, z krótką peleryną na ramieniu i z mieczem u boku. Wojenny rygor mu służył; wyglądał na zdrowego i niezwykle sprawnego, choć ciało miał szczupłe. Miał teraz trzydzieści jeden lat, ale ja wciąż widziałem w nim chłopca i pewnie tak już będzie zawsze. Twarz miał ciemną od słońca, a opalenizna podkreślała kilka blizn po bitewnych ranach na rękach i nogach. Zawsze, kiedy się spotykaliśmy po długiej rozłące, liczyłem je wszystkie, bojąc się, że znajdę nowe. Nie znalazłem. Wyszedł z kampanii greckiej i spod Farsalos bez jednego draśnięcia. Nie odezwałem się.

- Co tu robisz, Metonie? - spytał Cezar, marszcząc brwi. - Mówiłem ci, żeby mi nie przeszkadzano.

Meto patrzył to na mnie, to na swego wodza. Odwróciłem wzrok, nie mogąc znieść wyrazu zmieszania i niepewności, jaki malował się na jego twarzy. W końcu pytanie Cezara przedarło się do jego świadomości.

- Mówiłeś, imperatorze, ale z wyjątkiem...

Oczy Cezara rozbłysły, jakby odbijał się w nich płomień Faros.

- Nareszcie! Jest wiadomość od królowej?

- Nie tylko wiadomość, ale posłaniec z darem.

- Gdzie on jest?

- Czeka za drzwiami. Potężny dryblas zwany Apollodorosem. Twierdzi, że dar, który przyniósł, pochodzi od samej królowej.

- Cóż to za dar?

- Dywan zwinięty w rulon.

Cezar usiadł na sofie i złożył dłonie.

- Co to za jeden, ten Apollodoros? - spytał. - Wiemy coś o nim?

- Według naszego wywiadu pochodzi z Sycylii. Jak trafił do Aleksandrii i do służby u Kleopatry, nie wiadomo, ale wygląda na to, że stał się jej stałym towarzyszem.

- Ochroniarz?

- Wśród dworzan Ptolemeusza mówi się, że jest dla królowej czymś więcej. Trzeba przyznać, że robi wrażenie.

- Być może, ale musimy traktować takie plotki jak złośliwe wymysły - powiedział Cezar, który sam był celem takiej szeptanej propagandy w trakcie całej kariery politycznej.

- W każdym razie Apollodoros na ogół nie odstępował królowej Kleopatry - zakończył Meto.

- Chodzi z nią wszędzie?

Meto kiwnął głową.

- Aha. A jak on się przedostał do pałacu?

- Mówi, że przyplłynął małą łódką do lądowiska na uboczu i po prostu przyszedł. Jak ominął strażę Ptolemeusza, nie wiem, ale on najwyraźniej dobrze zna pałac, a tu jest ponoć cały labirynt tajnych przejść. Zjawił się na

naszym posterunku, oddał nieprzyjemnie wyglądający sztylet, pozwolił się zrewidować i oświadczył, że niesiony przez niego dywan jest darem od królowej, która kazała mu oddać go tylko tobie osobiście, nikomu innemu.

- Rozumiem. Musi to być bardzo cenny dywan. Chcę go zobaczyć. Wpuść go.

Kiedy Meto się odwrócił, Cezar spojrział na mnie i zapytał:

- Nie masz nic przeciwko tej drobnej przerwie w naszej konwersacji, Gordianusie? I tak się nam nie kleiła...

- Może już sobie pójdę - odparłem.

- Jak chcesz. Naprawdę nie jesteś ciekaw, co będzie dalej?

- Prezentacja dywanu.

- Ale nie byle jakiego! To dar od samej królowej Kleopatry! Ptolemeusz... a raczej ten eunuch Potejnos... robił wszystko, aby nikt, kto mógłby ją reprezentować, nie przedostał się do pałacu, a już na pewno nie do mnie. Dworzanie lojalni wobec niej zostali zatrzymani, niesione przez nich wiadomości przechwycone i zniszczone, a oni sami zgładzeni. Składałem protesty u króla... Jak on śmie zatrzymywać listy adresowane do rzymskiego konsula?... ale bezskutecznie. Król chce, abym słuchał tylko jednej strony w jego konflikcie z siostrą, ale ja bardzo bym chciał się z nią spotkać. Słyszy się o niej tyle fascynujących rzeczy! Marek Antoniusz poznał ją kilka lat temu, kiedy pomagał jej ojcu wrócić na tron, i powiedział coś bardzo dziwnego...

Skinałem głową.

- Chodzi ci chyba o to samo, co ja od niego słyszałem - powiedziałem. - Mimo że miała wtedy tylko czternaście lat... mniej więcej tyle, ile teraz ma Ptolemeusz... było w niej coś, co przypominało Antoniuszowi... ciebie.

- Wyobrażasz to sobie? - Cezar się uśmiechnął.

Popatrzyłem na niego, mężczyznę po pięćdziesiątce z kosmykami włosów zaczesanymi na postępującą łysinę, silnie zarysowaną szczęką i twardym, wyrachowanym spojrzeniem, tylko odrobinę zmięczonym przez tę zasłonę znużenia światem, jaka spada na oczy tych, co za wiele widzieli życia.

- Nie bardzo - przyznałem.

- Ja też nie! Ale któż oparłby się pokusie zobaczenia swego młodszego wcielenia, zwłaszcza płci przeciwnej?

- Z tego co wiem, Kleopatra jest wcieleniem Izydy - sprostowałem.

- Niektórzy filozofowie utrzymują, że Izyda jest w rzeczywistości egipską wersją greckiej Afrodyty, która jest też naszą Wenus... od której się wywodzę. - Cezar spojrział na mnie z góry. - Świat jest mały, Gordianusie. Jeżeli Kleopatra jest Izydą, a Izyda Wenerą, to wychodzi na to, że jestem z nią poniekąd... niebiańsko... spokrewniony.

Uśmiechnąłem się niepewnie. Nie wiedziałem, czy mówi poważnie, czy tylko bawi się słowami. Jednak wyraz jego twarzy daleki był od figlarnego.

- Imperatorze! - W drzwiach znów stanął Meto, tym razem starannie unikając mego wzroku. - Przedstawiam ci Apollodorosa, sługę Kleopatry, który przynosi ci dar od jej królewskiej mości.

Odsunął się na bok, przepuszczając wysokiego mężczyznę imponującej postury. Apollodoros był przystojny w jakiś mroczny sposób, z grzywą

gęstych czarnych włosów zaczesanych do tyłu i starannie przystrzyżoną brodą. Miał na sobie króciutką tunikę bez rękawów, ukazującą jego muskularne uda i ramiona w pełnej krasie. Na wielkich bicepsach wyraźnie widać było nabrzmiałe żyły; dywan musiał być ciężki. Przypomniałem sobie, ile schodów musiałem pokonać po drodze do komnaty Cezara. Ciemna skóra Apollodorosa lśniła od potu, ale oddychał równo i spokojnie.

Dywan był przewiązany w trzech miejscach cienką linką. Apollodoros przyklęknął i złożył go delikatnie na podłodze.

- Królowa Kleopatra wita Gajusza Juliusza Cezara w Aleksandrii - powiedział po łacinie z nieporadnym akcentem, sugerującym, że wyuczył się tego zdania na pamięć, nie rozumiejąc ani słowa. Zwracając się po grecku do Metona, dodał: - Czy mogę dostać z powrotem mój nóż? Chciałbym przeciąć sznurki...

- Sam to zrobię - odparł Cezar.

Meto wyciągnął miecz i podał go wodzowi, który przytknął czubek ostrza do pierwszej linki.

- Proszę, Cezarze, ostrożnie! - Apollodoros aż wstrzymał oddech.

- Czyż to nie mój dywan? - Konsul się uśmiechnął do Metona. - Czy ja się nie znam na cennych rzeczach?

- Znasz się, imperatorze - przytaknął zagadnięty.

- A więc...

Cezar zręcznie przeciął sznurki i cofnął się, by pozwolić posłańcowi rozwinąć dywan. Gdy tylko Apollodoros zabrał się do tego, stało się jasne, że coś jest w środku... i to nie przedmiot, ale coś żywego. Odskokczyłem przestraszony, ale zobaczyłem, że Cezar i Meto tylko się uśmiechają. Nie byli specjalnie zaskoczeni widokiem królowej Kleopatry, która przetoczyła się na podłogę z dywanu i jednym płynnym ruchem wstała na nogi.

Zwinięty dywan nie zdradzał ani trochę swojej zawartości. Wydawało się niemożliwe, aby zmieściła się w nim osoba zajmująca tak wiele miejsca w ludzkiej wyobraźni jak Kleopatra. Jednakże kojarzący się z jej imieniem wizerunek okazał się nieproporcjonalnie wielki w porównaniu z rzeczywistym, fizycznym wcieleniem. Kleopatra wydała mi się na pierwszy rzut oka nawet nie kobietą, lecz dziewczyną; mała, smukła o drobnych dłoniach i stopach, z włosami zaczesanymi do tyłu i związanymi w kok (zapewne najwłaściwsza fryzura do takiego środka transportu), na których przypięty był prosty diadem, korona z ureusem, ale nie wyobrażającym atakującej kobry, tylko głowę świętego sępa. Od szyi do stóp okryta była ciemnoniebieską suknią, przewiazaną złotymi sznurami w talii i pod biustem. Teraz widziałem, że choć jest niewysoka, budowę ma bynajmniej nie dziewczęcą. Pełność jej bioder i piersi zadowoliłaby twórcę Afrodyty, która tak mnie wcześniej zachwycała. Rysy twarzy też mogłyby przykuć uwagę rzeźbiarza. Nie była może największą z piękności - Bethesda w swych najlepszych latach była od niej ładniejsza. Kasandra zresztą też - ale w jej wyrazistych, mocnych liniach było coś intrygującego. Uroda Kleopatry należała do takich, które fascynują tym mocniej, im dłużej się na nie patrzy, zdawała się bowiem jakoś subtelnie zmieniać za każdym razem, gdy światło padało na nią inaczej albo gdy poruszyła głową.

Stała wyprostowana, odchyliła ramiona i zadrżała, jakby chciała się otrząsnąć z resztek uczucia uwięzienia, jakie musiała przeżywać w dywanie. Sięgnęła na tył głowy i rozpuściła włosy, pozwalając im opaść na ramiona, tak jednak, by diadem pozostał na miejscu, po czym przecesała je obiema dłońmi. Zerknąłem w bok na Cezara i Metona; obaj wydawali się równie nią oczarowani jak ja, zwłaszcza Cezar. Kimże ona jest, zadałem sobie w duchu pytanie. Ryzykowała życie, aby się przemycić przed oblicze Cezara, a teraz stoi tu przed trójką obcych mężczyzn i na dobrą sprawę się do nich wdzięczy, ale tak niewinnie i, rzekłbyś, nieświadomie jak kotka przyglądająca sobie futerko.

Kleopatra zmierzyła nas kolejno wzrokiem. Widok Metona sprawił jej wyraźną przyjemność, przez długą chwilę mu się przyglądała, wodząc spojrzeniem od stóp do głowy. Ja byłem znacznie mniej ciekawym obiektem, szybko przeniosła uwagę na Cezara i tam już ją zatrzymała. Wymienili tak intensywne spojrzenie, że wszystko inne dookoła jakby zniknęło. Wyczułem, że stałem się dla nich niczym więcej jak cieniem.

- Metonie, co sądzisz o darze królowej Kleopatry? - Cezar przerwał milczenie, uśmiechając się.

- *Timeo Danaos et dona ferentes* - odpowiedział cytatem Meto. - Boję się Greków, nawet gdy przynoszą dary...

Sądziłem, że to odniesienie do konia trojańskiego jest zwykłym żartem, ale spojrzawszy na niego, stwierdziłem, że bynajmniej się nie śmieje.

Królowa nie zwróciła uwagi na te komentarze. Przyjęła swobodniejszą postawę, wysuwając jedną stopę lekko do przodu, odchyliła głowę i rozłożyła ręce płynnym, wdzięcznym ruchem.

- Witaj w Aleksandrii, Gajuszu Juliuszu Cezarze. Witaj w moim pałacu.

- W jej pałacu? - dobiegł mnie szept Metona.

Cezar rzucił mu karcące spojrzenie, po czym zwrócił się do mnie.

- Wybacz mi, Gordianusie. Chciałem spędzić ten wieczór tylko w twoim towarzystwie, dzieląc z tobą posiłek i myśli. Nigdy się jednak nie wie, kiedy wynikną ważne sprawy państwowe, i tak się właśnie dzisiaj stało, choć w bardzo niekonwencjonalny sposób.

- Nie musisz się sumitować, konsulu - odrzekłem. - Kiepski był ze mnie gość. Moja chęć konwersacji okazała się równie słaba jak mój apetyt. Pójdę już do siebie.

Wróciłem z tarasu do jego wspaniałej komnaty, nie oglądając się za siebie. Zwolniłem kroku na chwilę, mijając Afrodytę. W królowej było coś, co mi ją przypomniało, jakaś nieuchwytna cecha, na którą tylko wielki artysta ma wyczulone zmysły. Zwykli ludzie nazywają ją boskością i ją rozpoznają, choć nie potrafią opisać jej słowami ani oddać wiernie dźwiękiem czy pędzlem. Kleopatra ją posiadała... a może byłem tylko oszołomiony tą niezwykłą chwilą, jak każdy mężczyzna, gdy ujrzy obiekt pożądania? Przecież w Kleopatrze nie było więcej z bogini niż w Bethesdzie, tak samo jak Cezar nie był bardziej boski ode mnie.

Pchnąłem metalowe drzwi i wyszedłem z komnaty. Nie zdawałem sobie sprawy, że ktoś za mną idzie, dopóki nie usłyszałem szeptu: „Ona przyniesie kłopoty”. Zatrzymałem się i odwróciłem. Meto omal nie wpadł na mnie, ale złapał równowagę i cofnął się na pełen szacunku dystans.

- Tato... - szepnął, spuszczać oczy.

Nie odpowiedziałem. Pomimo jego zbroi, silnych mięśni, zabliźnionych ran i gęstego parodniowego zarostu widziałem w nim chłopca, nieśmiałego i niepewnego. Zagryzłem wargę, zbierając się na odwagę.

- Może to i dobrze, że się spotykamy - powiedziałem. - Muszę ci o czymś powiedzieć. Nie będzie to łatwe...

- Co masz zrobić, zrób szybko - odparł Meto, cytując powiedzenie, którego nauczyłem go w dzieciństwie, kiedy trzeba było wyciągnąć cierń z nogi albo połknąć gorzkie lekarstwo.

Nie podnosił wzroku, ale na jego usta wypłynął słaby, przymilny uśmiech. Staralem się nie zwracać na to uwagi.

- Przyjechałem do Egiptu dlatego, że... - Podniósł głowę i spojrzał mi w oczy. Odwróciłem wzrok. - Bethesda źle się czuła od dłuższego czasu. Trafiła ją jakaś choroba, której medycy nawet nie umieli nazwać. Umyśliła sobie, że gdyby mogła wykapać się w Nilu...

- Bethesda jest z tobą w Egipcie?

Język zdrewniał mi w ustach. Usiłowałem przełknąć ślinę, ale nie mogłem.

- Bethesda przyjechała do Egiptu i wykapała się w Nilu, jak sobie tego życzyła. Jednak rzeka mi ją zabrała. Po prostu w niej zniknęła.

- Co ty mówisz, tato! Utonęła?

- Rzeka ją zabrała - powtórzyłem. - Może tak jest najlepiej, skoro jej choroba była nieuleczalna. A może Bethesda od początku nosiła się z takim zamiarem.

- Bethesda nie żyje?

Wargi mu zadrżały, a brwi zlały się w jedną linię. Mój syn, który przestał być moim synem, faworyt Cezara, który widział śmierć tysięcy ludzi, nieraz przerąbywał się przez zwały trupów i brodził we krwi, zaczął płakać.

- Metonie! - szepnąłem, ale trzymałem się na dystans.

- Nigdy nie sądziłem... - Pokręcił głową, łzy pociekły mu po policzkach. - Kiedy się jest z dala od domu, nie można sobie nie wyobrazić, co się tam dzieje, ale człowiek się uczy myśleć tylko o dobrych rzeczach. Tam, w polu, kiedy się szykujemy do bitwy, toczymy ją, a potem zajmujemy się jej skutkami, wokoło jest tyle grozy, tyle zamieszania, krwi i bólu, że myśląc o domu, myślimy o wszystkim, co jest tego przeciwieństwem. O miejscu bezpiecznym i szczęśliwym, gdzie są wszyscy, których kochamy, i gdzie nic się nigdy nie zmienia. Oczywiście to tylko sny i marzenia. Wszystkie miejsca są takie same. Nigdzie nie jest bezpiecznie. Ale nigdy nie myślałem, że Bethesda... - Meto rzucił mi gniewne spojrzenie. - Nawet nie wiedziałem, że choruje! Mogłeś mi o tym napisać... gdybyś nie przestał przysyłać mi listów.

Wyprostowałem się.

- No więc ci powiedziałem. Nie ma Bethesdy. Jej ciało zaginęło, inaczej kazałbym ją zabalsamować, jak sobie tego zawsze życzyła.

Meto znów pokręcił głową, jakby w oszołomieniu.

- A Diana? Co u niej? I mały Aulus? I...

- Twoja siostra... - zacząłem, ale szybko się poprawiłem. - Moja córka i



jej synek mieli się dobrze, kiedy wyjeżdżałem z Rzymu. Spodziewa się drugiego dziecka; gdyby nie to, być może towarzyszyłyby nam w tej podróży.

- A Dawus? I Eko? I...

- Wszyscy się dobrze czują - wszedłem mu w słowo, pragnąc zakończyć tę rozmowę.

Meto westchnął.

- Tato, wiem, ile ci to musiało przynieść cierpienia. Mogę tylko...

- Nic więcej nie mów - przerwałem. - Trzeba ci było o tym powiedzieć, więc ci powiedziałem. Wracaj teraz do Cezara.

- Wracać? - Meto zaśmiał się ponuro, ocierając łzę z policzka. - Nie widziałeś wyrazu jego twarzy? I jej twarzy? Będą z nią kłopoty. Mieć do czynienia z tym chłopaczkiem w koronie i z głową w chmurach to jedno, ale obawiam się, że królowa Kleopatra to zupełnie inna sprawa. Trzeba przyznać, że ma tupet...

- Widzę, jak długo przetrwał twój żal po Bethesdzie. Teraz znów mowa o Cezarze, królowej i tych waszych gierkach.

- Tato! To niesprawiedliwe!

- Myśl sobie, co chcesz, ale nie mów do mnie „tato”.

Skrzywił się z bólu, jakbym wbił mu nóż w serce.

- Tato... - wyszeptał, kręcąc bezsilnie głową.

Mógłbym przysiąc, że stoi przede mną dziecko nie mające więcej niż dziesięć, może dwanaście lat. Niepewny chłopczyk w zbroi wojownika. Musiałem zebrać resztki stanowczości, aby oprzeć się nagłej chęci objęcia go. Odwróciłem się i odszedłem zdecydowanym krokiem ku schodom, zostawiając Metona jego imperatorowi i królowej.





## ROZDZIAŁ 15

- **W**iedziałaś - powiedziałem do Merianis.

Czekała na mnie przy ostatnim posterunku, znaczącym granicę rzymskiej enklawy. Szliśmy teraz obok siebie przez dziedzińce i korytarze pałacu w drodze powrotnej do mojej komnaty.

- Wiedziałaś - powtórzyłem, spoglądając na nią z boku. - Stąd ten twój chytry uśmieszek i tajemniczy komentarz o niespodziankach.

- O czymże ty mówisz, Gordianusie?

- Wiedziałaś, że oprócz mnie jeszcze jeden gość wybiera się z wizytą do Cezara.

- I kto tu jest teraz tajemniczy? Chcesz powiedzieć, że dołączył do was ktoś niespodziewany? - Mówiąc to, nie mogła się powstrzymać od szerokiego uśmiechu. Jej olśniewająco białe zęby w zestawieniu z hebanowym połyskiem skóry robiły piorunujące wrażenie.

- Cezarowi przyniesiono dar, którego się nie spodziewał.

- Dar?

- Niespodzianka ze schowaną wewnątrz inną niespodzianką. Została porównana do konia trojańskiego.

- Cezar tak powiedział? - Merianis się roześmiała.

Zmarszczyłem brwi.

- Nie, jeden z jego ludzi.

- I ten koń dotarł do niego szczęśliwie?

- Tak jest.

- A... jego zawartość ujawniła się cała i zdrowa?

- Owszem, i równie gotowa, by siać spustoszenie, jak owi greccy wojownicy wyskakujący z prawdziwego konia trojańskiego. Kiedy odchodziłem, Cezar trzymał się resztkami sił. Do tej pory pewnie już uległ przeważającym siłom nieprzyjaciela.

Merianis klasnęła w dłonie z radości.

- Wybacz, że się śmieję, ale twoja metafora jest taka świeża. Zazwyczaj to kobietę porównuje się do obłożonej twierdzy z burzonymi murami i pękającą pod naporem bramą. Myśl o mocarnym Cezarze w takiej roli rozśmieszyła mnie do łez.

- On jest tylko człowiekiem, Merianis.

- Na razie - odrzekła, po czym mruknęła pod nosem coś po egipsku, co wzięłem za krótkie, ale ekstatyczne dziękczynienie dla Izydy.

Przed komnatą czekała drużyna straży królewskiej. Zanim zdążyłem wejść, jej dowódca grzecznie, ale stanowczo zagroził mi drogę, jego ludzie otoczyli mnie i zaraz ruszyliśmy z powrotem w głąb pałacu, zostawiając Merianis samą.

- Zajmę się Rupą i chłopcami! - krzyknęła za mną.

Szliśmy do części pałacu, której dotąd nie widziałem. Korytarze były tu szersze, ogrody bujniejsze, a draperie i inne ozdoby wspanialsze niemal z

każdym krokiem. Wprowadzono mnie do dużej komnaty, gdzie grupkami stali liczni dworzanie. W powietrzu rozbrzmiewał gwar wielu rozmów. Czulem na sobie zaciekawione spojrzenia. Dowódca straży gdzieś się oddalił, zostawiając mnie pośrodku komnaty w kręgu zbrojnych.

- To ten Rzymianin - usłyszałem czyjś głos. - Ten, którego król wpuścił na baręk. Czy to nie jakiś wróżbita?

- Nie, to raczej jakiś szpieg albo też słynny zabójca.

- Trochę chyba na to za stary?

- Kto ich tam wie, tych Rzymian! Podstępne, zdradzieckie typy, a im starsi, tym chytrzejsi.

W końcu oficer wrócił i skinął, bym szedł za nim. Przepychaliśmy się przez tłumek, dopóki nie stanęliśmy przed dużymi, złożonymi drzwiami, które zaraz się otworzyły. Oficer został na zewnątrz, wskazując mi, abym wszedł do środka. Przekroczywszy próg, znalazłem się w komnacie, w której wszędzie było pełno złota: złote urny na złotych stołach, złote krzesła kryte złotogłównem, ściany obite złotą blachą, sufit złożony, lampy z kutego złota. Nawet podłoga, ułożona z olśniewająco białego marmuru, miała żyłki złotej barwy. Zauważyłem po chwili, że płaskorzeźby na ścianach przedstawiają sceny z życia pierwszego Ptolemeusza, wodza i następcy Aleksandra. Wryte były w kamieniu, ale tak dokładnie pokryte złotą farbą, a gdzieniegdzie obite złotą folią, że połyskiwały w świetle lamp, sprawiając wrażenie ożywionych. Nie było tu cieni, bo wszystkie powierzchnie odbijały światło. Samo powietrze zdawało się lśnić metalicznie blaskiem płynącym z niewiadomego źródła. Usłyszałem znajome tony fletu; była to znana mi już melodia ojca obecnego króla. W przeciwległym końcu komnaty na złotym tronie siedział Ptolemeusz. Miał na sobie plisowaną białą szatę ze złotą peleryną na ramionach. Musiał niedawno zakończyć jakąś religijną ceremonię w swej boskiej roli Ozyrysa, na głowie miał bowiem koronę *atef*, pod którą jego młodziutka twarz nabierała surowego wyrazu. Za tronem stała eskorta, u jego stóp siedzieli skrybowie, a w przedzie stał Potejnos z założonymi na piersiach rękami i uniesioną brodą, patrząc z rozbawieniem na mą zdumioną minę. Komnata miała przytłaczać przepychem maluczkich jak ja. Efekt był murowany.

- Twoja uczta z Cezarem szybko się skończyła - rzekł na powitanie.

- Przerwano ją nam.

- Ach... jakiś niespodziewany gość?

Spojrzałem bystro na eunucha. Czy tylko dla mnie przybycie królowej było czymś zaskakującym? Dopiero po chwili zorientowałem się, że ma na myśli Metona, a wiedział, że nie chciałem się z nim spotykać.

- Człowiek, którego kiedyś zwałem mym synem, istotnie się zjawił u...

- Dla mnie to smutne - odezwał się Ptolemeusz. - Mówię o tym rozdźwięku między tobą i twoim synem. Ja dałbym wiele za to, by móc znów widzieć ojca wśród żywych. Chciałbym patrzeć mu w oczy, słyszeć, jak się śmieje, jak gra na flecie.

Pamiętając, że mówi to człowiek, którego ojciec zabił jego najstarszą siostrę, a on sam wojuje ze swą drugą siostrą i jednocześnie żoną, nie byłem w nastroju do wysłuchiwania jego komentarzy na temat moich decyzji życiowych. Trzymałem jednak język za zębami i wpatrywałem się

weń w milczeniu. Dopiero co poznawszy Kleopatę, nie mogłem nie dostrzec dużego podobieństwa między nimi dwojgiem. Żadne nie było uderzająco piękne, ale oboje mieli w sobie owo niezaprzeczalne „coś”. Silniej wyczuwałem to u Kleopatry, ale może tylko dlatego, że jest kobietą? Przed oczyma stanęła mi jej zgrabna sylwetka, gdy potrząsała głową, aby włosy rozsypały się jej na ramionach...

Potejnos chrząknął głośno. Musiał powiedzieć coś, co uszło mej uwagi.

- Jeśli Gordianus Poszukiwacz mógłby powrócić do teraźniejszości... - powiedział, rzucając mi protekcjonalne spojrzenie, które ustawiło mnie na właściwej pozycji: oszołomionego rzymskiego śmiertelnika, podekscytowanego widokiem złotej komnaty króla.

Rozzłościło mnie to.

- Wybacz mi. Zamyśliłem się trochę. Zastanawiałem się, w czym jego królewska mość jest, a w czym nie jest podobny do swej siostry Kleopatry.

Przez chwilę znaczenie moich słów do nich nie docierało, ale nagle Potejnos aż podskoczył, a Ptolemeusz wychylił się do przodu ze swego złotego tronu.

- Co powiedziałeś? - krzyknął król.

- Podobieństwo rodzinne jest oczywiste. Ten sam nos, oczy... ale jest i różnica, tylko nie bardzo mogę ją uchwycić.

- Widziałeś ją? Kleopatę? - Głos Potejnosa się załamywał po chłopięcemu, jak to się czasem słyszy u eunuchów. - Gdzie? Kiedy?

- Dziś wieczorem, w komnacie Cezara.

Ptolemeusz opadł ciężko na tron, gryząc palec. Prawe kolano podrygiwało mu w nerwowym tiku.

- Mówiłem ci, Potejnosie, że ona znajdzie drogę - powiedział.

- Niemożliwe, wasza królewska mość! Wszystkie wejścia są pod strażą, każdy pakunek jest sprawdzany, wszystkie...

- Najwyraźniej nie wszystkie! Coś przeoczyliśmy, a ona to wykorzystała. Jest jak wąż wężący wzdłuż ściany, aż w końcu znajdzie choćby najdrobniejszą szczelinę, by się w nią wśliznąć!

- Tak naprawdę to przybyła od strony morza - wtrąciłem. Czy działałem nierozważnie, ściągając na królową, a może i na Cezara niebezpieczeństwo? Czyż nie o to właśnie im chodziło, kiedy zmuszali mnie do tej wizyty... o szpiegowanie? Możliwe, ale satysfakcja, jaką czerpałem z ich wyraźnego zdenerwowania, była zbyt wielka i nie mogłem się powstrzymać. - Niejaki Apollodoros przywiózł ją do portu łódki. Znaleźli jakiś nie strzeżony pomost i spokojnie trafili do rzymskiego sektora.

- Tak bezczelnie? - Ptolemeusz klepnął się otwartą dłonią w koronę gestem absolutnie niegodnym boga. - Ona i ten sycylijski ogier spacerkiem doszli sobie aż pod drzwi Cezara?

Potejnos zniżył głos.

- Są sposoby, jak wasza królewska mość wie, żeby móc się poruszać po pałacu, nie będąc widzianym. Niektóre z tych tajnych przejść są bardzo stare. Mogą istnieć i takie, o których nawet ja nie wiem. Twój ojciec, panie, przebudowując swoją komnatę, zburzył ścianę i natrafił na całą sieć tuneli, których istnienia sam nie podejrzewał...

- Tak czy siak, Potejnosie, zapewniałeś mnie, że to się stać nie może!  
- Właściwie to oni nie szli sobie spacerkiem - wtrąciłem, nie mogąc się oprzeć pokusie. - Apollodoros ją niósł.

- Co takiego? - Potejnos popatrzył na mnie, nie rozumiejąc. - Jak to niósł? Na rękach?

- Raczej na ramieniu.

Król i jego kanclerz spojrzeli na mnie jak na wariata. Jeden z ochroniarzy parsknął urywanym śmiechem, ale szybko zamaskował to udawanym kaszlem.

- Była zawinięta w dywan - wyjaśniłem. - Apollodoros niósł rulon na ramieniu i powiedział rzymskim strażom, że to dar od królowej dla Cezara. Byłem tam, kiedy go przyprowadzono. Dywan został rozwinięty przed Cezarem i ukazała się Kleopatra. Krótco potem odszedłem.

- Kto jeszcze przy tym był?

Wzruszyłem ramionami.

- Meto. Wszedł zaraz za mną. Nie wiem, co się stało z Apollodorosem. Może zniknął w którymś z tych tajnych przejść, o których mówiliście.

Król rozchylił usta, ukazując zaciśnięte zęby.

- Kleopatra jest tam z nim sama? - spytał.

- I to w tej chwili - odrzekłem.

- Ona jest jak plama od wina na białym płótnie - westchnął Potejnos. - Nigdy się jej nie pozbędziemy.

- Lepiej więc spalić płótno razem z plamą! - warknął Ptolemeusz, ale zaraz potem odetchnął drżąc i wydał coś w rodzaju owczego beknięcia. Pociągnął głośno nosem, ledwo wstrzymując łzy.

Wydawał się teraz zwykłym chłopcem. Był nie tylko zły, ale i załamany. Na wieść o siostrze przebywającej sam na sam z Cezarem Ptolemeusz zapłakał! Gapiłem się na niego zdezorientowany.

- Kleopatra! - szepnął Potejnos. - Niestrudzona, bezlitosna... Będą z nią kłopoty.

Meto powiedział o niej to samo.





## ROZDZIAŁ 16

Ci sami strażnicy odprowadzili mnie z powrotem. Zrobiło się już dość późno; korytarze opustoszały, w pałacu zapanowała cisza. Dlatego też na długo przedtem, zanim zobaczyłem otwarte drzwi mojej komnaty, dobiegły mnie podniecone głosy Mopsusa i Androklesa, zasypujących jakiegoś gościa pytaniami.

- Zabiłeś kogoś pod Farsalos? - spytał Androkles.

- Pewnie, że tak, ty głupku! Tylko ilu? - poprawił go Mopsus. - A zabiłeś kogoś sławnego?

- Ja to bym się chciał dowiedzieć - ciągnął niezrażony Androkles - czy byłeś z Cezarem, kiedy ten wpadł do namiotu Pompejusza i zobaczył jego tyłek znikający w tylnym wyjściu. To prawda, że oni się właśnie szykowali do uczyty i greccy niewolnicy grali na lirach, a na stołach stała najlepsza srebrna zastawa Wielkiego?

Podszedłem bliżej i w końcu usłyszałem głos gościa, choć serce robiło, co mogło, żeby go zagłuszyć.

- Chłopaki, chłopaki, jak ja się za wami stęskniłem! Nie wiem tylko, jak tato wytrzymuje to wasze wieczne natręctwo!

Zatrzymałem się o kilka kroków przed wejściem.

- Odejdźcie - szepnąłem do dowódcy straży. - Odprowadziliście mnie do komnaty zgodnie z poleceniem. Nie mów ani słowa, zabieraj swoich ludzi i odmaszerujcie!

Oficer uniósł brwi w zdziwieniu, ale posłuchał. Ruszyłem naprzód i wszedłem do komnaty.

Meto stał oparty o ścianę. Mopsus i Androkles gapili się na niego i kręcili się jak dwie frygi, dopóki mnie nie ujrzeli; zderzyli się wtedy i omal nie przewrócili. Rupa, który nie miał okazji wcześniej spotkać Metona, trzymał się z boku; jego nieśmiały, ale dobrotliwy uśmiech zniknął natychmiast, gdy spojrzał na mnie. Merianis stała nieopodal z kotem Aleksandrem na ręku. Widząc moją minę, postawiła zwierzę na podłodze i podeszła do chłopców, łapiąc każdego za ramię, by ich zatrzymać i uspokoić. Kocur jednym susem schował się pod moje łóżko.

- Co ty tutaj robisz? - zapytałem sucho.

Meto patrzył na mnie przez długą chwilę z miną najpierw błagalną, a potem, kiedy nie reagowałem, poirytowaną.

- Tato, to jakieś szaleństwo! Na kolanach błagałbym cię o przebaczenie... gdybym choć wiedział, w czym ci zawiniłem!

Czy on zapomniał wszystko, co mu powiedziałem w Massilii? Ja nie zapomniałem. Ileż nocy przeleżałem bez snu u boku Bethesdy, przypominając sobie słowa, które z siebie wyrzuciłem przy tamtym spotkaniu? Słów raz wypowiedzianych nie da się cofnąć, ostrzega poeta, ale w gorączce chwili odrzuciłem wszelkie zahamowania i to, co się we mnie kłębiło, wyrwało się na zewnątrz, prowadząc mnie do decyzji, której nie przewidywałem...

„Metonie! Najpierw zostałeś żołnierzem i tym tylko żyłeś, zabijając Galów na chwałę Cezara. Palenie wiosek, zabieranie dzieci w niewolę, pozostawianie wdów na pastwę głodu... to mnie zawsze mierziło, choć ani razu nie wyrzekłem krytycznej uwagi. Teraz znalazłeś sobie nowe powołanie: szpiegowanie dla Cezara, niszczenie innych podstępem. To mierzi mnie jeszcze bardziej...

Co znaczy dla mnie najwięcej? Odkrywanie prawdy! Robię to nawet wtedy, gdy to nie ma sensu, nawet wtedy, gdy jedynym zyskiem jest ból. Robię to, bo muszę. Ale ty, Metonie? Czym jest dla ciebie prawda? Ty nie możesz jej znieść tak samo, jak ja nie cierpię kręactwa. Jesteśmy absolutnymi przeciwieństwami. Nic dziwnego, że znalazłeś swoje miejsce na ziemi u boku kogoś takiego jak Cezar...

To nasza ostatnia rozmowa, Metonie. Od tej chwili nie jesteś moim synem. Wyrzekam się ciebie. Przystajesz mnie obchodzić. Odbieram ci moje nazwisko. Jeżeli potrzebujesz ojca, niech cię Cezar adoptuje!”

Aż do tego dnia, do naszego spotkania w Aleksandrii, były to ostatnie słowa, jakie ode mnie usłyszał.

- Nie ma o czym dyskutować i nie ma to nic wspólnego z winą i przebaczeniem - powiedziałem. - Sprawa jest prosta. To jest mój pokój, przynajmniej tymczasowo, a ty do niego nie pasujesz. Nie trzeba było tu przychodzić. Pewnie mnie śledziłeś albo zleciłeś to komuś, bo to w twoim stylu...

- Nie! - przerwała mi Merianis. - To ja go tu przyprowadziłam.

- Ty? Ale jak...

- Wcześniej, kiedy szedłeś na kolację do Cezara, czekałam na ciebie przy posterunku. Nieco później nadszedł Apollodoros z darem Kleopatry, a potem Meto. Rozpoznał mnie z pierwszego dnia, kiedy król witał oficjalnie Cezara na nabrzeżu. Zamieniliśmy kilka słów...

- Ale wystarczająco dużo, żeby się dowiedział o tobie wszystkiego, czego chciał - burknąłem. - Stał się ekspertem od wyciągania cennych informacji. To jeden z jego obowiązków.

Jak i twoich, pomyślałem, ale nie wypowiedziałem tego na głos. Było już dla mnie jasne, że Merianis jest nie tylko kapłanką Izydy, ale i szpiegiem jej wcielenia, królowej Kleopatry.

Dziewczyna zignorowała moje słowa i ciągnęła:

- Później, to znaczy wtedy, gdy odprowadziłam cię tutaj, a straż zabrała cię do króla, Meto przysłał posłańca z prośbą, abym wróciła na granicę. Spotkaliśmy się tam i on poprosił mnie o wskazanie drogi do twojej kwatery. Czy to źle? Przecież jest twoim synem, prawda?

Ptolemeusz i Potejnos wiedzieli o moim odwróceniu się od Metona. Czyżby Merianis nie miała takiej informacji? Może jest bardziej niewinna, niż mi się wydaje... a może wprost przeciwnie. Złapałem się nagle na tym, że zaczynam podejrzewać wszystkich, i wcale mi się to nie podobało. Właśnie w takim bagnie wątpliwości i dwulicowości znalazłem się wtedy w Massilii, a skutkiem tego był rozłam między mną a Metonem i Cezarem. Teraz ci dwaj dogonili mnie w Aleksandrii, przywożąc swą truciznę zdrady do miasta i tak już przesyconego fałszem. Czuję się jak człowiek walczący z wsysającymi go lotnymi piaskami, bezskutecznie szukający

oparcia dla stóp. Chciałem już tylko, żeby wszyscy dali mi święty spokój.

- Odejdź, Merianis.

- Gordianusie Poszukiwaczu, jeżeli przyprowadzając tu twojego syna, w czymś cię uraziłam, to...

- Odejdź! - powtórzyłem podniesionym głosem.

Zmarszczyła brwi, ale odwróciła się i wyszła.

- A co do ciebie, Metonie... - zacząłem.

- Tato, nie mów nic w gniewie. Proszę cię, błagam...

- Milcz!

Zagryzł wargę i spuścił oczy, ale coś zmuszało go do mówienia.

- Tato, jeśli to dla ciebie cokolwiek znaczy, to zacząłem podzielać twoje... wątpliwości dotyczące Cezara.

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym odwrócił wzrok, jakby sam przestraszony znaczeniem i zuchwałością swoich słów. Nie spuszczałem z niego oczu, dopóki znów na mnie nie spojrzał.

- Wytłumacz się - powiedziałem sucho.

Meto zerknął z ukosa na Rupe.

- Rozumiem. - Skinąłem głową. - Twoje szpiegowskie wyszkolenie nie pozwala ci mówić w obecności obcego. Ja jednak nie poproszę Rupy, aby opuścił pokój. Chłopców zresztą też. Cokolwiek masz mi do powiedzenia, możesz powiedzieć przy nich.

- To jest dla mnie wystarczająco trudne i bez tego!

Meto rzucił Rupie złe spojrzenie, naładowane emocjami wykraczającymi poza zwykłą nieufność. Ja go odrzuciłem, za to adoptowałem tamtego. Czy Meto czuł się wyparty przez Rupe? Pokręciłem głową.

- Mów, co masz powiedzieć.

Nabrał dużo powietrza i zaczął:

- Już od Farsalos... Nie, jeszcze wcześniej. Od operacji pod Dyrrachium... a może wtedy, gdy Cezar był w Rzymie i wykorzystywał swą władzę dyktatora do rozwiązywania problemów, które narosły podczas jego nieobecności? Nie, jeszcze wcześniej. Myślę, że to się musiało zacząć już w Massilii, kiedy się z nim połączyłem po zakończeniu misji. Kiedy... wyrzekłeś się mnie publicznie, gdy Cezar pławiał się w triumfie po kapitulacji miasta. Te rzeczy, które mówiłeś... o mnie, o Cezarze... myślałem, tato, że oszalałeś. Dosłownie. Byłem przekonany, że trudy oblężenia odebrały ci zmysły. Cezar potem powiedział: „Nie martw się, twojemu ojcu jeszcze wróci rozsądek. Daj mu trochę czasu”. Ale to był chyba moment, w którym to ja odzyskałem swój. - Przerwał na chwilę, jakby zbierając siły. - Czy to ja się zmieniłem, czy Cezar? Nie zrozum mnie źle, tato, wciąż uważam go za największego człowieka, jakiego spotkałem na tym świecie. Jego intelekt, odwaga, intuicja... wyrasta nad resztę niczym kolos. A mimo to... - Zamilkł na długo, aż wreszcie wzruszył ramionami. - To ja. Po prostu nie mogłem już tego dłużej znosić. Widziałem za dużo krwi, za dużo cierpienia. Nawiedza mnie powtarzający się sen o małym miasteczku w Galii, zupełnie bez znaczenia w porównaniu z Rzymem czy Aleksandrią, ale nie na tyle, aby patrzeć przez palce, gdy rzuciło wyzwanie Cezarowi. Otoczyliśmy je i zdobyliśmy przez zaskoczenie. Była bitwa, ale krótka i łatwa. Wyróżniliśmy tych, którzy



ośmielili się podnieść na nas oręż, a pozostałych zakuliśmy w żelaza. Wyrzuciliśmy potem kobiety, dzieci i starców z domów i spaliliśmy wszystko do gołej ziemi. Dla przykładu, rozumiesz? Ci, co przeżyli, zostali sprzedani w niewolę, prawdopodobnie innym Galom. Tak się to robiło w Galii. Poddaj się i uzależnij od Rzymu albo walcz i zostań niewolnikiem. Jak mi kiedyś Cezar powiedział, trzeba im dawać jasny wybór. Albo są z Rzymem, albo przeciw Rzymowi. Trzeciej możliwości nie ma. Kiedy jednak śni mi się to miasteczko, widzę twarz pewnego dziecka, chłopca za małego jeszcze, by walczyć, a nawet by cokolwiek rozumieć z tego, co się dzieje. Jego ojciec zginął w bitwie, matka oszalała z żalu. Chłopiec w ogóle nie płakał. Patrzył tylko, jak ogień pożera dom, w którym się urodził i mieszkał. Sądząc po warsztacie dobudowanym do chaty, jego ojciec musiał być kowalem. On sam pewnie odziedzyczyłby warsztat, miałby żonę i dzieci w tym samym miasteczku. Stało się jednak inaczej. Zobaczył śmierć ojca, rozłączono go z matką i na całe życie uczyniono niewolnikiem. Pieniądze, jakie za niego zapłacił nowy pan, poszły na kolejne kampanie przeciwko innym wsiom i miastom Galii, aby więcej takich samych chłopców zostało niewolnikami. W moim śnie stoi mi przed oczyma jego buzia, wytrzeszczone, zdziwione oczy, w których odbijają się płomienie. Oczywiście nie zniszczyliśmy tego miasteczka bez powodu. Wszystkie takie akcje w Galii służyły wyższemu celowi, tak mi zawsze powtarzał Cezar. On ma wielką wizję. Cały świat będzie zjednoczony pod rzymskim panowaniem, a Rzym pod panowaniem jego, Cezara. Jednak aby to się mogło urzeczywistnić, trzeba najpierw zrobić różne inne rzeczy. Galia musiała być spacyfikowana i poddana Rzymowi, i tak się stało. Kiedy senat rzymski obrócił się przeciwko Cezarowi, trzeba było wygnać senatorów z miasta, i tak się stało. Kiedy Pompejusz stawiał mu czoło, trzeba go było zgnieść, został więc zgnieciony. Teraz Cezar musi zdecydować, co zrobić z Egiptem i kto ma nim rządzić, i jak najlepiej wciągnąć ten kraj w swoją sieć. Gwiazda Cezara świeci teraz najjaśniejszym światłem i powinno mnie to cieszyć, we wszystkim miałem bowiem swój udział. A tu ten sen... teraz niemal co noc. Ogień płonie, chłopiec patrzy w płomienie, otepiały w szoku. W wielkiej grze jego niewola nie ma żadnego znaczenia. Rzym będzie rządził światem, a Cezar Rzymem i aby do tego doprowadzić, trzeba było tej niewoli obok tysięcy innych takich zaburzonych losów. Czasami jednak... budzę się z szaloną myślą w głowie: a jeśli życie tego dziecka ma takie samo znaczenie jak każdego innego człowieka, jak samego Cezara? Gdyby ktoś dał mi wybór, skazać tego chłopca na życie w nędzy albo uratować go, ale tym samym skazać wszystkie plany Cezara na niepowodzenie... co by było? Ta myśl mnie prześladowa, choć to śmiechu warte! Jasne, że Cezar znaczy nieskończenie więcej od jakiegoś tam Gala. Jednemu przeznaczona jest władza nad światem, drugi jest byle niewolnikiem, jeśli w ogóle jeszcze żyje. Są ludzie wielcy i są mali, a my wszyscy pośrodku musimy sprzymierzać się z największymi i gardzić najmniejszymi. Nawet sama myśl o tym, że galijski malec miałby znaczyć tyle co Cezar, oznaczałaby przyjęcie, iż w każdym człowieku mieszka jakaś mistyczna cecha czyniąca go równym wszystkim innym ludziom, a przecież życie nas uczy, że tak nie jest! Nie ma mowy o równości pod

względem siły i intelektu, bogowie darzą niektórych większymi łaskami niż innych... A mimo to...

Meto pochylił głowę i ten potok słów wysechł w jednej chwili. Widziałem, że jest mocno zdenerwowany, a kierunek, w jakim biegły jego myśli, zdumiał mnie niepomiernie.

- Czy Cezar kiedykolwiek sam miewa takie wątpliwości? - spytałem.

- On? - Meto zaśmiał się gorzko. - Cezar nigdy nie kwestionuje swojego szczęścia. Kocha bogów, a oni jego. Triumf jest sam dla siebie nagrodą. Dopóki człowiek triumfuje, nigdy nie musi się zastanawiać nad swoimi celami i środkami ich osiągnięcia. Kiedyś taka filozofia wystarczała, ale dziś... - Meto pokręcił głową. - Cezar zapomniał znaczenia tego starego greckiego słowa: *hybris*.

Tym razem to ja się roześmiałem.

- Jeżeli Cezar do tej pory nie sprowokował gniewu bogów, to...

- Ale do tej pory nigdy sam się nie uważał za boga - przerwał mi Meto.

- O czym ty mówisz? - Popatrzyłem na niego badawczo.

- Odkąd tylko wyruszyliśmy do Egiptu, stale do tego wraca. Z początku robił to żartobliwie. Ci Ptolemeusze nie tylko żyją jak bogowie, mawiał, oni są bogami. Muszę się przekonać, jak ich boskość wygląda w praktyce. Ale to nie jest żart, nie uważasz? Teraz, kiedy nie ma Pompejusza senat się nie liczy, a Cezarowi są posłuszne wszystkie legiony, musi się mocno i długo zastanawiać, co to znaczy rządzić jak król, niezależnie od tego, czy się nim nazywa, czy nie. Przykład Aleksandra niczego nie wyjaśnia, umarł on bowiem zbyt młodo. To Ptolemeusze mogą być modelem długowiecznej i odnoszącej sukcesy dynastii, nawet jeśli ich dawna chwała zdegenerowała się do poziomu tych dwóch podupadłych egzemplarzy, wydzierających sobie właśnie władzę i tron.

- Nie masz najlepszego zdania o królu Ptolemeuszu i jego siostrzyczce?

- Sam widziałeś ten jej spektakl! Oboje zdają się działać w myśl tej samej zasady: uwieść mężczyznę, aby zapewnić sobie przychyłność stratega.

- Sugerujesz, że młody król... - zawiesiłem głos, marszcząc brwi.

- Jest absolutnie zauroczony Cezarem. To w sumie dość żalosne. Trzeba ci było widzieć, jak się do niego przymila, kiedy są razem, z jakim uwielbieniem nań się gapi!

Skinałem głową, przypominając sobie reakcję króla, kiedy mu oznajmiłem, że Kleopatra jest sam na sam z Cezarem.

- Myślę, że Cezar zdążył się uodpornić na takie rzeczy, skoro od lat odbiera tyle wyrazów uwielbienia od tak wielu młodych mężczyzn.

W tym niezłą porcję od ciebie, dodałem w duchu.

- Możesz tak myśleć, ale z Ptolemeuszem jest trochę inaczej - zaprotestował Meto. - Cezar wydaje się tak samo nim zafascynowany. Rozjaśnia się, gdy król wchodzi do jego komnaty. Pochylają ku sobie głowy, opowiadają sobie żarciki, śmieją się i wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Nie mogę tego zrozumieć. Przecież to nie z powodu urody chłopaka. Oboje z Kleopatram są raczej przeciętni pod tym względem, jeśli chcesz znać moje zdanie. Teraz oboje będą wokół niego krążyć i brzęczeć jak muchy nad garncem miodu!

Rozważałem w myślach tę zaskakującą wiadomość. Jeśli to prawda, nie byłby to pierwszy raz, kiedy Cezar wdaje się w królewski romans. Jego erotyczne wyczyny jako młodzieńca na dworze króla Bitynii Nikomedesa przeszły do legendy i zainicjowały zjadliwe plotki wśród jego politycznych przeciwników i rubaszne pieśni marszowe w jego własnym wojsku. Według jednego z refrenów, ich nienasycony wódz był „mężem wszystkich żon i mężów”. W przypadku króla Nikomedesa Cezar był młodszym kochankiem i prawdopodobnie biernym (stąd wziął się cały skandal i żołnierskie kpinki, jako że Rzymianin nigdy nie powinien ulegać innemu mężczyźnie, może grać tylko aktywną, dominującą rolę). Teraz, w Aleksandrii, role się zapewne odwróciły i to Cezar jest starszym, obytym w świecie partnerem, Ptolemeusz zaś zafascynowanym, głodnym doświadczenia chłopcem. Kiedy poeci piszą o kochankach, opiewają Harmodiosa i Aristogejtona<sup>3</sup> albo Tezeusza i Ariadnę. Kochankowie nie zawsze jednak muszą być tak doskonale dobrani pod względem wieku i urody. Pomyślałem o moim własnym romansie z Kasandrą, kobietą niemal trzykrotnie ode mnie młodszą, i zrozumiałem, że między Cezarem i Ptolemeuszem mogła zapłonąć iskierka wzajemnego pożądania. Pomimo swych wszystkich sukcesów imperator jest w wieku, kiedy nawet najsprawniejsi i najodporniejsi mężczyźni boleśnie czują narastającą słabość ich niegdyś niezwykłych ciał i zaczynają patrzeć zazdrośnie (a czasami także pożądliwie) na silne, pełne wigoru ciała młodszych od siebie. Sama młodość staje się afrodyzjakiem dla człowieka, który ma ją już za sobą; kiedy zaś w parze z młodością idzie odwzajemnione pożądanie, jakże się oprzeć tej kombinacji?

Dla obserwatora podobne miłości mogą się wydawać niemądre albo upokarzające: trzęsący się staruch z forsą napastuje jakiegoś nieszczęsnego młodzieńczego niewolnika. Tym razem jednak spotkali się dwaj nadzwyczajni mężczyźni. Pomyślałem o młodzieńczym entuzjazmie Ptolemeusza połączonym z powagą i zdecydowaniem, pewnością siebie i naiwnością; o niewymuszonej elegancji Cezara i jego przekonaniu o własnej wartości, a także nieco śmiesznej próżności, przejawiającej się w sposobie układania fryzury mającym zamaskować łysinę. Obydwaj są nie tylko mężczyznami, ale też władcami, choć można tu wypowiedzieć zdanie odwrotne: są nie tylko władcami, ale i ludźmi, mają apetyt, słabe punkty, swoje niepewności i potrzeby. Są też poza tym... a w każdym razie wierzą, że są... potomkami bądź wcieleniami bogów. Nie można też zapominać, że Ptolemeusz stracił ukochanego ojca, a Cezar nigdy nie miał syna. Łatwo mogłem sobie wyobrazić, że obydwoj mogą sobie ofiarować coś wyjątkowego, w prywatnym domu oddalonym od publicznej areny fortun, broni i dyplomacji, i że w spędzanych sam na sam chwilach mogą osiągać stopień porozumienia niedostępny dla wszystkich pozostałych.

Dlaczego Meto z taką pogardą wypowiadał swoje podejrzenia? Czy rzeczywiście miał tak intymne stosunki z Cezarem, jak mi to nieraz sugerowano? Czy ta zażyłość ochłodziła albo nawet się zupełnie skończyła? Może przemawia przez niego zwykła zazdrość? A jeśli tak, to czy dzięki

---

<sup>3</sup> Para ateńskich arystokratów, której przypisuje się stworzenie podwalin greckiej demokracji po zamordowaniu tyrana Hipparcha w 514 r. p.n.e.

niej jego rewelacje są bardziej, czy mniej wiarygodne? Zadrżałem, jakby budząc się ze snu. Meto i droga życia, jaką wybrał, już mnie przecież nie obchodzą. Nawet jeśli wszystko, co usłyszałem, jest prawdą i rzeczywiście zaczął kwestionować swój wybór, nie miało to dla mnie znaczenia. Musiałem to sobie wyraźnie powiedzieć.

- Mówisz, jakby między tobą i Cezarem otwarła się nagle otchłań. A przecież zaledwie godzinę temu na własne oczy widziałem, jak wam dobrze ze sobą. Byliście jak dwaj najlepsi przyjaciele, żeby nie powiedzieć, jak stare dobre małżeństwo.

- Tak to wyglądało? Pozory mogą mylić. - Meto spuścił wzrok, a ja nagle poczułem ukłucie wątpliwości.

Czy Meto zaczął zwodzić Cezara, używając zawodowych sztuczek, które stały się jego drugą naturą, i przybierał maskę wobec człowieka, którego niegdyś podziwiał, a teraz w niego zwątpił? A może to mnie oszukuje? Wszystko wskazywało na to, że wciąż jest zaufanym szpiegiem Cezara, ja zaś - jeszcze jednym źródłem informacji, które należy pielęgnować. Wyprostowałem się i zebrałem w sobie.

- Powiedziałeś, co miałeś mi do powiedzenia. Ja też. To był długi dzień... zbyt długi i pełen wrażeń jak na starego człowieka. Muszę teraz odpocząć. Odejdź, Metonie.

Meto był przygnębiony.

- Tyle ci jeszcze chciałem powiedzieć, tato... Może... następnym razem?

Patrzyłem na niego bez słowa. Ręką wskazałem otwarte drzwi. W końcu uściśnął obu chłopaków, skinął głową Rupie i odwrócił się do wyjścia.

- Zaczekaj chwilę - zatrzymałem go. - Skoro już tu jesteś... Rupo, przesunij kufer bliżej łóżka... Otwórz wieko.

Odkąd zamieszkaliśmy we własnym pokoju, nie zamykałem już kufra na klucz. Przysiadłem na brzegu łóżka i zacząłem szperać w naszych rzeczach.

- Czego szukasz, tato?

- Są tu rzeczy po Bethesdzie. Chciałaby na pewno, abyś miał po niej jakąś pamiątkę.

Wyjmowałem kolejno różne drobiazgi i układałem je na łóżku. Trafiłem na jej grzebień z hebanu i srebra. Palce mi zadrżały, gdy go podnosiłem. Czy dla Metona znaczyłby tyle co dla mnie? Możliwe, ale ja nie mógłbym się z nim rozstać. Trzeba będzie znaleźć coś innego.

- Co to jest? - spytał nagle.

- O czym mówisz?

- O tym flakoniku z alabastru. Należał do niej?

- Nie.

- Jesteś pewien? Wygląda na coś, w czym mogła trzymać perfumy. Ich zapach przypominałby mi ją zawsze.

- Ten flakonik nie był jej!

- Nie musisz krzyczeć, tato.

- Dostałem go od Kornelii - odrzekłem z westchnieniem.

- Żony Pompejusza?

- Tak. Cała historia jest zbyt skomplikowana, by ją teraz przytaczać, ale nie są to perfumy, możesz mi wierzyć.

- Trucizna?

Spojrzałem na niego z chmurną miną.

- Cezar zaiste nauczył cię myśleć jak szpieg - burknąłem.

- Pewnych rzeczy nauczyłem się od ciebie, tato. Jedną z nich jest dedukcja. Jeśli to nie perfumy, cóż innego mogłaby nosić kobieta w rodzaju Kornelii w takim flakoniku? A skoro ci go dała...

- Nie wynajęła mnie do zamordowania kogokolwiek, jeśli to ci chodzi po głowie.

- Myślałem raczej, że dała ci go z litości albo aby oszczędzić ci gorszej śmierci. Trucizna była przeznaczona dla ciebie, prawda?

Omam się nie uśmiechnąłem. Jego spryt sprawił mi przyjemność, choć tego nie chciałem.

- To coś o nazwie „płynna Nemezis”, działa szybko i stosunkowo bezboleśnie, tak mi w każdym razie mówiła Kornelia. Twierdziła, że trzymała ją dla siebie na wszelki wypadek.

- Biedaczka! Musi teraz żałować.

- Być może, choć to wątpliwe. Kornelia przeżyła Publiusza Krassusa, przeżyła Pompejusza i pewnie przeżyje jeszcze trzeciego męża spod niefortunnej gwiazdy.

- Jeśli znajdzie się następny amator tak pechowej żony!

Wyprostowałem się i zacisnąłem szczęki. Nie po to zatrzymałem go dłużej, by się z nim wdawać w pogawędki. Spojrzałem na łóżko zasłane najróżniejszymi przedmiotami i mój wzrok padł na niewielki słoiczek z malachitu, zamykany na wieczko z tego samego kamienia, zamocowane brązową sprzączką. Podniosłem go, patrzyłem przez dłuższą chwilę, a potem wręczyłem Metonowi.

- Może to będzie odpowiednią pamiątką - powiedziałem. - Zawiera wosk pszczeli nasycony perfumami Bethesdy na specjalne okazje. Radziłem, żeby zostawiła go w domu, ale ona uparła się, że weźmie. Powiedziała, że może się przydać, bo kto wie, czy nie będzie nam dane ucztować z królową Kleopatą. Żartowała oczywiście.

Meto otworzył pokrywkę i przytknął słoiczek do nosa. Zapach był delikatny, ale wyraźny. Nie wiedziałem nawet, jakie ma składniki. Poczułem go teraz i łza zakręciła mi się w oku. Meto zatrasnął wieczko, a kiedy się odezwał, głos mu się łamał ze wzruszenia.

- Jeżeli na pewno chcesz mi go dać...

- Bierz.

- Dziękuję, tato.

Odwrócił się i zrobił krok, ale stanął i obejrzał się przez ramię.

- A ten flakonik powinieneś wyrzucić - powiedział.

A ty powinieneś pilnować własnego nosa, chciałem powiedzieć, ale głos uwiązał mi w gardle. Jedyne, na co mnie było stać, to zdawkowy gest odprawienia.

Meto przeszedł przez próg i zniknął mi z oczu.

Dlaczego nie zrobiłem, jak mi radził? Z mojego okna łatwo mogłem cisnąć flakonik w wody portu, gdzie zatonałby jak kamień. Zgarnąłem go jednak z innymi rzeczami i wrzuciłem z powrotem do kufra, po czym zamknąłem wieko i rzuciłem się na łóżko. Rupa stanął przy mnie

zatroškany, ale poleciłem mu odejść do swego pokoju. Mopsus chrząknął i podszedł, otwierając usta, by coś powiedzieć, kazałem mu jednak zabrać Androklesa i iść za Rupą. Po chwili byłem w komnacie sam. Nakryłem twarz ręką i zapłakałem. W powietrzu wciąż unosił się ledwo wyczuwalny zapach pachnidła Bethesdy.





## ROZDZIAŁ 17

Następnego ranka Mopsus i Androkles zachowywali się bardzo cicho, pozwalając mi dłużej spać. Byłem wciąż jeszcze ociążony po nocy pełnej niespokojnych snów, kiedy zjawiała się Merianis. Przyniosła mi złożony i zapieczętowany kawałek papirusu. Na wosku widniał odcisk pierścienia Cezara: wizerunek Wenus w otoczce z liter jego imienia.

- Co to jest? - spytałem.

- Nie mam pojęcia - odrzekła. - Pismo z małego Rzymu. Ja jestem tylko posłańcem. Mam poczekać na odpowiedź?

- Tak, będę mógł wtedy cieszyć się widokiem twojego uśmiechu. Przynajmniej jedna osoba w tym pałacu wygląda na szczęśliwą. Czyżby twój nastrój miał coś wspólnego z powrotem twojej pani?

Uśmiechnęła się szelmowsko.

- Kiedy królowej Kleopatry nie było, świątynia Izydy straciła swą magię - odparła.

- A teraz ją odzyskała - mruknąłem, przełamując woskową pieczęć.

List był napisany ręką Cezara.

„*Gordianusie,*

*Przepraszam za przerwana kolację. Wiele pozostało niewypowiedziane. Ale nieoczekiwane spotkania przynoszą radosne skutki. Dziś się odbędzie królewskie przyjęcie i bardzo bym chciał, abys wziął w nim udział. Nazwijmy to lekcją sztuki pojednania. Włóż togę i przyjdź do wielkiej sali tronowej o ósmej godzinie dnia”.*

Odłożyłem list. Merianis patrzyła na mnie wyczekująco.

- To zawiadomienie o jakimś przyjęciu. Ma się odbyć dziś po południu - powiedziałem.

Skinęła głową na znak, że już o nim wie.

- Będiesz tam? - spytałem.

- Żadna siła na ziemi i niebie by mnie nie powstrzymała!

- No, to i ja pójdę. Mopsusie! Androklesie! Zostawcie w spokoju tego kota i przygotujcie moją togę.

Sala tronowa była rzeczywiście wielka i wspaniale urządzone. Widać było efekt setek lat ulepszania i upiększania przez kolejne pokolenia Ptolemeuszów. Tu właśnie władcy Egiptu odbierali hołdy od poddanych, ogłaszali zawarte traktaty i umowy handlowe, świętowali monarsze wesela i występowali z największym przepychem. Wszystkie powierzchnie lśniły odbitym światłem: podłogi z polerowanego marmuru, cokoły wysadzone półszlachetnymi kamieniami, srebrne lampy i okucia, złożone niszce wypełnione złożonymi statuami. Wysoki sufit wsparty był na istnym gaju smukłych kolumn udekorowanych rzeźbionymi kwiatami lotosu i malowanych na żywe kolory.

Kiedy weszliśmy, sala już szumiała gwarem podekscytowania. Wypełniający ją tłum składał się w większości z Egipcjan w paradnych

strojach, ale było też sporo Rzymian. „Lekcja pojednania”, napisał Cezar; jego oficerowie chyba działali w myśl takiej samej instrukcji, starając się mieszać z miejscowymi i nawiązywać konwersację. Wśród Egipcjan widać było jednak wyraźny podział na dwie nierówne grupy. Domyśliłem się, że większa to zwolennicy króla, mniejsza zaś lojalna jest wobec jego siostry. Rzymscy goście rozmawiali z przedstawicielami obu frakcji, ale ci trzymali się oddzielnie, obrzucając się podejrzliwymi, ukradkowymi spojrzzeniami.

Merianis wzięła mnie za rękę i pociągnęła ku przeciwległemu końcowi sali, gdzie na niskim podium ustawione były cztery złożone trony obite krokodylą skórą, z poręczami w kształcie rozwartych, zębatych szczęk tych nilowych gadów. Zęby oczywiście zrobione były z kości słoniowej. Na ścianie za podium wymalowana była panorama miasta z lotu ptaka, z górującą nad wszystkim latarnią Faros. Dalej, poza portem, niebieszczyła się płaszczyna morza z malutkimi, lecz wiernie oddanymi statkami, a w dali widniały Kreta i Rodos, podpisane greckimi literami.

Przez salę przebiegł dreszcz podniecenia tak namacalnego jak ciepły powiew wiatru, a w ślad za nim zaczął narastać gwar. Pośród rozstępującego się tłumu zbliżał się orszak. Na przedzie szedł Potejnos, a za nim król w koronie z ureusem. Dalej maszerował Cezar, ubrany znów w togę konsula z purpurowym szlakiem na brzegu. Za nim szła Kleopatra, też w koronie z ureusem, ale znów zamiast atakującej kobry przedstawiał on głowę sępa. Miała na sobie wspaniałą purpurową suknię i sporo biżuterii.

Za starszym rodzeństwem podążali młodszy członkowie dynastycznej rodziny, których do tej pory nie widziałem: księżniczka Arsinoe, nieco starsza od króla, i najmłodszy z nich wszystkich chłopiec również nazwany Ptolemeuszem. Nie mógł mieć więcej niż dziesięć, może jedenaście lat. Ci dwoje nie mieli na głowach diademów, ale ich szaty były równie wspaniałe jak ich koronowanych brata i siostry.

Kiedy ta procesja mnie mijała, starałem się odczytać, co się maluje na ich twarzach. Z Potejnosem było najłatwiej: wyglądał, jakby połknął coś, co mu wyraźnie zaszkodziło. Król Ptolemeusz miał zaciśnięte usta i patrzył nieruchomo wprost przed siebie, jakby celowo przybrał nieprzeniknioną maskę. Cezar... z nim też nie było kłopotu: był wyraźnie z siebie zadowolony. Kleopatra zaś...

Poprzedniego wieczoru widziałem ją z włosami związanymi w kok, ubraną w praktyczną suknię odpowiednią do niewygód podróży i prawie bez ozdób, ale i tak miała wygląd królowej. Teraz, w królewskiej szacie, z naszyjnikiem ze złotych skarabeuszy i licznymi złotymi i srebrnymi pierścieniami na palcach, zdawała się wypełniać całą wielką salę tronową. Rozejrzałem się wokół i stwierdziłem, że niektórzy z Egipcjan patrzają na nią wrogo, inni z uwielbieniem, rzymscy oficerowie przyglądają się jej z minami wyrażającymi całe spektrum uczuć, od fascynacji po zwykłą ciekawość; nie było jednak ani jednej pary oczu, która nie spojrzałaby na królową.

Twarz Kleopatry była równie nieprzenikniona jak jej brata, ale emanowała całkowitym spokojem. Od Ptolemeusza biło napięcie, jak od gotowej do strzału katapulty, podczas gdy ona płynęła bez wysiłku przez komnatę niczym chmura po niebie.



Król i królowa weszli na podium i zajęli miejsca na dwóch środkowych tronach. Arsinoe i Ptolemeusz młodszy usiedli po bokach. Teraz zauważyłem, że ich trony są niższe i mniej bogato zdobione. Widząc całą czwórkę razem, nie mogłem się nadziwić ich wzajemnemu podobieństwu. Wyglądało to tak, jakbym patrzył na cztery wcielenia tej samej istoty, różniące się wiekiem i płcią, ale niczym innym. Czy to ich podobieństwo odpychało rodzeństwo od siebie i podsycalo wzajemną wrogość?

Potejnos, stojący twarzą do królewskiej pary, uderzył laską o podłogę. Wszyscy Egipcjanie skłonili głowy i uklękli. Rzymianie się zawahali, szukając wskazówek u swego wodza. Ruchem dłoni dał im znak, by naśladowali Egipcjan, po czym sam z gracją pochylił łysiejącą głowę i przykląkł na jedno kolano. Poszedłem za jego przykładem, ale trzymałem się prosto. Cezar najpierw uklonil się Ptolemeuszowi, który patrzył nań bez wyrazu, a potem Kleopatrze. Spojrzenie, jakie w nim utkwiła, nie pozostawiało wiele wątpliwości, przynajmniej mnie, co zaszło między nimi po moim odejściu.

- Historia tworzy się nocą - mruknąłem.

- Co powiedziałaś? - szeptem spytała Merianis.

- Nic takiego. Przypomniało mi się stare etruskie przysłowie.

Potejnos wstał i ponownie stuknął laską w podłogę. Wszyscy podnieśli się z kolan. Cezar wystąpił naprzód. Dzięki wieloletniemu doświadczeniu oratora i wodza z łatwością wypełniał głosem tę wielką salę.

- Wasze wysokości, stoję dziś przed wami w podwójnej roli: jako rzymski konsul i przyjaciel waszego zmarłego ojca. Jedenaście lat temu, w roku mojego pierwszego konsulatu, przybył on do Rzymu wygnany z Aleksandrii w wyniku społecznych niepokojów, szukając u nas pomocy. I uzyskał ją. Senat ogłosił go sprzymierzeńcem i przyjacielem ludu rzymskiego, co jest u nas wielkim zaszczytem. W zamian za to uczynił Rzym opiekunem swoich dzieci. W ten sposób oba nasze kraje połączyła więź i prawa, i przyjaźni. Fortuny osób prywatnych również otworzyły się przed zmarłym królem. Ja sam nie szczędziłem złota i użyłem wszystkich moich wpływów, aby pomóc mu się utrzymać na wygnaniu, a w końcu powrócić na tron. Jego odejście było tragedią dla wszystkich, którzy go znali i kochali, ale zwłaszcza dla tego królestwa, które on sam darzył wielką miłością, a od tamtej pory panują w nim chaos i niezgoda. Ale król nie umarł, nie pozostawiwszy testamentu. Jedna jego kopia trafiła do Rzymu i została zdeponowana w skarbcu, a druga została tu, w Aleksandrii. Niestety, pierwsza dostała się w ręce Pompejusza i jest dla nas stracona. Ale po moim przybyciu do Aleksandrii odnalazłem drugą kopię, złamałem pieczęcie i przeczytałem bardzo uważnie, choć bynajmniej nie musiałem sobie przypominać postanowień testamentu. Ostatnia wola króla Auletesa została ogłoszona po jego śmierci i wiele się o niej w Rzymie mówiło. Pech chciał, że Rzymianie nie mogli dopilnować prawidłowego jej wypełnienia, sami bowiem dotknięci byli nieszczęściem wojny domowej. Przybywszy do Egiptu, zasmuciłem się, widząc, że życzenia zmarłego króla nie zostały spełnione. Ci, którzy mieli dziedziczyć równe części, prowadzili zbrojny spór o to, komu ma przypaść cały spadek. Do pewnego stopnia to lud rzymski ponosi odpowiedzialność za taki stan rzeczy, jako że

nie wywiązał się ze swych obowiązków jako wykonawcy testamentu i opiekuna rodziny królewskiej. Teraz jednak zamierzam naprawić ten błąd. Jako wyraziciel woli ludu rzymskiego, jestem upoważniony do przeprowadzenia egzekucji testamentu Ptolemeusza Auletesa i dopilnowania, aby wszystkie jego postanowienia zostały wypełnione sprawiedliwie, polubownie i ku wspólnej korzyści wszystkich zainteresowanych. Kiedy zjawiłem się w Egipcie, jego królewska mość Ptolemeusz powitał mnie ciepło i przydzielił wspaniałą kwaterę. Sam przeżyłem ostatnio trochę zamieszania i konfliktów, i takie przyjęcie w waszym pięknym mieście było dla mnie łaską, której długo nie zapomnę. Dziękuję ci, królu Ptolemeuszu. Ale jeszcze cenniejsze są dla mnie godziny spędzone wspólnie z waszą królewską mością i narodziny między nami czegoś, co, jak mam nadzieję, będzie długą i trwałą przyjaźnią. W naszych osobach spotykają się Egipt i Rzym. Nie tylko dla naszego dobra, ale i dla naszych narodów powinniśmy zadzierzgnąć silne więzi wzajemnego szacunku i miłości.

Cezar ponownie skłonił głowę przed Ptolemeuszem, który patrzył na niego z twarzą bardziej nieruchomą i pozbawioną wyrazu niż przedtem. Cezar zwlekał z podjęciem przemowy, najwidoczniej czekając na jakiś znak od króla. Chwila się przeciągała, ale młody władca się nie poruszył; zaczęła mu tylko lekko drgać broda. W końcu Cezar odchrząknął i zaczął mówić dalej.

- Moja rosnąca zażyłość z waszą królewską mością przyniosła mi wiele radości. Jednak odczuwam też smutek z powodu nieustającej niezgody w łonie królewskiej rodziny. Jak powiedział poeta, kiedy bogowie zwracają się przeciwko sobie, na ziemi brat powstaje przeciw bratu. Tak, jak niezgoda w niebiosach odbija się echem na ziemi, waśń w aleksandryjskim pałacu wywołuje nieszczęścia w całym Egipcie i dotyka nawet Rzymu. Zaburzone są nie tylko ludzkie sprawy, ale i naturalny porządek rzeczy. Jak słyszę, nawet najstarsi ludzie nie pamiętają tak niskiego wylewu Nilu jak w tym roku. Mędrzy przypisują to niepokojące zjawisko niezadowoleniu boskiej rzeki ze sporu między prawowitymi władcami Egiptu. Trzeba przywrócić harmonię i równowagę, jak to było wolą waszego mądrego ojca, który zdecydował, że krajem mają wspólnie rządzić król i królowa, jego najstarsze dzieci. Oczywiście Ptolemeusz Auletes nie pozostawił Egiptu na zupełnie solidnym gruncie. Odzyskanie tronu kosztowało немало i spowodowało poważne zadłużenie. Rzymski oręż został wezwany, przelana rzymska krew. Dzisiaj te rzymskie legiony wciąż przebywają w Egipcie, choć teraz słuchają rozkazów egipskiego wodza. Armia, która utrzymuje w Egipcie porządek, jest praktycznie darem rzymskiego senatu. Poza tą pomocą wojskową Rzym pożyczył waszemu ojcu poważne sumy w złocie i srebrze, przekazano mu też na kredyt różne inne aktywa. Cały ten ogromny dług wobec Rzymu, w tym osobisty dług króla wobec mnie, pozostaje niespłacony. W obecnej napiętej sytuacji jego spłata wydaje się niemożliwa, dopóki nie zapanuje tu spokój i porządek. To zadłużenie kładzie się cieniem na rzymsko-egipskiej przyjaźni. Byłbym nieszczerzy, gdybym temu zaprzeczał. Właśnie z powodu tego cienia niektórzy z Egipcjan mogą się obawiać, że przybyłem tu z innymi jeszcze

intencjami poza ugodą i pojednaniem. Mogą się obawiać, że po zwycięstwie nad Pompejuszem zdobywca Galii ląduje w Egipcie z zamiarem zakwestionowania władzy jego prawowitych monarchów. Niech mi będzie wolno zapewnić wasze królewskie wysokości wobec tu zgromadzonych waszych dworzan i moich własnych zaufanych oficerów, że nie zamierzam próbować narzucić rzymskiej władzy zbrojną ręką. Gdyby tak było, nie tylko zawiódłbym wasze zaufanie, ale postąpiłbym wbrew wyraźnej woli rzymskiego ludu i senatu, który życzy sobie jedynie pokojowego współżycia i handlu między naszymi krajami. Nie przybywam do was, aby nieść wojnę, lecz by położyć jej kres. Nie chcę obalić spadkobierców króla Ptolemeusza, ale ich pojednać. Nie chcę grozić Egipcjom, ale go przytulić do serca. - Cezar zwrócił się do Kleopatry. - I dlatego też witam królową Kleopatę w mieście jej przodków. - Jak poprzednio Ptolemeuszowi, teraz uklonił się królowej; w odróżnieniu od brata odwzajemniła ten gest ze słabym uśmiechem satysfakcji, który przypomniał mi nie kogo innego, jak... Cezara. - Królowa była nieobecna w stolicy przez wiele dni. Zaniedbywane były religijne ceremonie i modły, które wymagają jej udziału. Projekty zapoczątkowane przez jej ministrów zostały odłożone *ad acta*. Życie miasta i dobrobyt jego mieszkańców ucierpiały. Wróciła więc do pałacu minionej nocy, jak mi powiedziała, wiedzona geniuszem i uporczywymi ponagleniami samej bogini Izydy. Dziś królowa znów zasiada na swym tronie. Jej lud się raduje, a ja wraz z nim. A co z resztą rodzeństwa, księżniczką Arsinoe i młodym księciem Ptolemeuszem? W testamencie ojca nie ma dla nich konkretnych postanowień. Przekonałem się jednak, że są oni osobami o prawdziwie królewskiej naturze, i uważam, że należy im się własne terytorium. Dlatego też ogłaszam niniejszym, że wyspa Cypr, która od dziesięciu lat jest rzymską prowincją, zostanie zwrócona dynastii ptolemejskiej i że księżniczka Arsinoe wraz z księciem Ptolemeuszem będą nią wspólnie władać jako król i królowa. Oby ich panowanie stało się odbiciem harmonijnego współdziałania ich starszego rodzeństwa tu, w Egipcie. Niech się stanie wola zmarłego króla. Niech jego dzieci panują razem i niech w Egipcie zapanuje pokój, a senat i lud rzymski będzie się radować wraz z wami i uzna wspólną władzę króla i królowej...

- Nie! - krzyknął łamiącym się głosem król Ptolemeusz.

Zerwał się z tronu, przyciskając wyprostowane ręce do boków. Pięści miał zaciśnięte, a nieprzenikniona maska opadła z jego twarzy, ukazując lśniące gniewem oczy i drgające usta.

Potejnos rzucił się ku niemu i rzekł przez zęby:

- Wasza królewska mość! To wszystko jest może niesmaczne, ale zgodziliśmy się, że...

- Ty się zgodziłeś! Ja nic nie mówiłem!

- Ale kiwałeś, panie, głową za każdym razem, gdy...

- Kiwałem, bo byłem zbyt rozgniewany, by mówić! Zbyt zraniony, by powiedzieć, co naprawdę myślę!

- Wasza wysokość, błagam! Jeśli są jeszcze sprawy do przedyskutowania, powinniśmy to zrobić na osobności. Wróć, panie, na tron i pozwól mi odesłać tych ludzi...

- Nie, niech tu zostaną! Niech dalej słuchają tych bzdur! Niech się wdzięczą i posyłają całusy tej dziwce, mojej siostrze, i jej rzymskiemu kochankowi, jeśli tego właśnie chcą. To ja odejdę, abyście wy wszyscy mogli oddawać się tej orgii wzajemnych gratulacji!

Ptolemeusz ruszył przed siebie, potykając się lekko przy schodzeniu z podium. Osłupiały tłum rozstępował się przed nim; straż przy drzwiach odsunęła się i opadła na kolana. Był jak dziób statku, tnący fale i wiatr i odpychający je na boki.

Merianis schwyciła mnie za ramię.

- Chodźmy!

- Dokąd? Co ci przyszło do głowy, Merianis?

- Chodź! Nie chcesz zobaczyć, co się dalej stanie?

Obejrzałem się przez ramię, gdy już spieszyliśmy śladem odchodzącego króla. Potejnos stał blady, z ponurą miną. Cezar był wyraźnie zdezorientowany, co do niego absolutnie nie pasowało. Kleopatra, która ani drgnęła na swoim tronie, miała na twarzy uśmiech sfinksa.

- Szybciej! - Merianis pociągnęła mnie za rękaw.

Uparcie podążaliśmy za królem. Jego ceremonialne szaty powiewały, gdy spieszył przez pałacowe korytarze, nie zwalniając ani na chwilę, dopóki nie dotarł na dziedziniec przed główną bramą. Z daleka już krzyknął na strażę, aby natychmiast ją otworzono. Kiedy żołnierze się wahali, zagroził, że każe ich ściąć; dopiero wtedy rzucili się do kołowrotów i ciężkie wierzaje z wolna się rozchyliły.

Ptolemeusz wybiegł na ulicę, a my za nim. Wielu innych dworzan zrobiło to samo. Król ruszył szeroką ulicą Argeus w kierunku centrum miasta. Jego nagłe pojawienie się w koronie i w paradnych szatach, ale pieszo i bez żadnego orszaku, wzbudziło sensację. Ktokolwiek go ujrzał, przerywał swoje zajęcie. Jedni padali na kolana, inni uśmiechali się i wiwatowali, jeszcze inni po prostu się gapili w zdumieniu. Wszyscy jednak dołączali do sunącego za władcą coraz większego tłumu.

Ptolemeusz w końcu dotarł do słynnego skrzyżowania Argeus z ulicą Kanopos, którego cztery rogi zajmują grobowce jego przodków. Zmierzał do gmachu, w którym spoczywało ciało Aleksandra Wielkiego. Ominął kolejkę czekających na wejście i szybko znalazł się u drzwi. Strażnicy, zaskoczeni jego niespodziewanym pojawieniem się, szybko odzyskali kontenans. Przepuścili króla, ale wszystkich innych wyrzucili na ulicę. Gdyby nie to, Merianis pociągnęłaby mnie chyba do wnętrza w ślad za nim. Stanęliśmy jednak ze wszystkimi na wielkim placu, już zatłoczonym, ponieważ miasto szybko się zwiedziało o niezwykłym wydarzeniu i ludzie napływali ze wszystkich stron.

Kilka minut później król pojawił się na balkonie na piętrze budynku. Nawet z daleka widać było ciekące mu po policzkach łzy.

- Ludu egipski! - krzyknął nadspodziewanie silnym głosem. - Mój umiłowany narodzie! Rzymianie ograbili mnie z tronu! Egipt został podbity w jedną noc! Teraz wszyscy jesteście rzymskimi niewolnikami!

W jednej chwili zerwała się wrzawa. W uszach dźwięczały mi okrzyki gniewu i rozpacz, pojedyncze wybuchy śmiechu i gwizdy. Większość zebranych zdawała się być po stronie króla, choć nie brakowało i takich, co

nim gardzili. Przez tę kakofonię znów przebił się głos Ptolemeusza.

- Oto stoję tu, w grobowcu naszego czcigodnego Aleksandra, największego ze zdobywców, najbardziej kochanego ze wszystkich herosów, półboga, od którego nasze miasto wzięło nazwę, a dynastia Ptolemeuszów wywodzi swą władzę. Teraz jednak zjawił się człowiek, który uważa się za większego od samego Aleksandra! O nas ma tak niskie mniemanie, że nie przybył tu z wielką flotą ani na czele wielkiej armii. Zamierza podbić nas oszustwem i podstępem! Przyznaję przed wami, że przez chwilę i mnie omamił, a ja przywitałem go cieplej, niż na to zasługuje. Dałem mu miejsce w królewskim pałacu, dzieliłem z nim jadło i napitek, słuchałem jego próżnych przechwałek. Teraz jednak oczy mi się otworzyły! Gdyby mu na to pozwolić, ten Rzymianin wyrzuciłby ciało Aleksandra na stertę gnoju, zburzył jego grób, a na tym miejscu wystawił własny pomnik! Kto wie, czy nie zmieniłby nawet nazwy naszego miasta. Któregoś dnia obudzilibyście się jako mieszkańcy Cezaropolis!

Odpowiedziały mu gromkie krzyki. Ptolemeusz patrzył ponuro na plac, otoczony aurą autorytetu nad swój młody wiek.

- Ludu Aleksandrii! Cezar jest przebiegły i zachłanny, ale dobrze wie, że nigdy nie poddalibyście się Rzymianinowi, który śmiałby otwarcie zająć tron Egiptu. Stara się więc usunąć mnie i posadzić na moim miejscu uzurpatora. Kogo, spytacie? Jaka kreatura przypisująca sobie królewską krew okazałaby się tak niegodna, by spiskować z naszym wrogiem? Myślę, że znacie jej imię! Ze wstydem nazywam ją moją siostrą. Za jej poprzednią próbę przechwycenia tronu wygnaliśmy ją z miasta na pustynię. Niestety, nie uśmierciliśmy tej żmii, a ona znów wróciła, wijąca się, sycząca i nabrzmiała jadem. Nie cofnie się przed niczym, by odebrać mi władzę! Tak, Kleopatra wróciła do pałacu!

Po tym obwieszczeniu w tłumie rozległy się skąpe wiwaty, ponieważ i Ptolemeusz, i Kleopatra mieli swoich oddanych zwolenników. Inni gwizdali i krzyczeli, tu i ówdzie wybuchały walki na pięści.

- Żmija wróciła! - krzyknął Ptolemeusz. - Wczorajszej nocy jak ladacznica oddała się Cezarowi. Dziś on płaci jej za usługę... koroną, która powinna być tylko moja!

- Co to więc za kobra siedzi ci na głowie? - krzyknął jakiś zuchwalec z tłumu.

- To? - odkrzyknął król. - Ta nędzna zabawka, ten kawał złomu?

Zdjął koronę i uniósł ją wysoko nad głowę, po czym cisnął z całych sił na posadzkę balkonu. W nagłej ciszy szcęk metalu o kamień rozległ się z siłą grzmotu. Po chwili osłupiały tłum ożył i zafalował gwałtownie. Omal się nie przewróciłem. Odzyskawszy równowagę, rozejrzałem się szybko i zobaczyłem twarz Merianis znikającą w ciżbie zdezorientowanych, gniewnych i przerażonych ludzi.

- Żołnierze nadchodzą od pałacu! - krzyknął ktoś niedaleko.

- Rzymianie! Chcą zabić króla!

- My ich najpierw zabijemy! Zabić każdego Rzymianina w mieście!

- Niech żyje Kleopatra!

- Niech żyje Ptolemeusz! Śmierć Kleopatrze!

- Śmierć Cezarowi!

- Śmierć wszystkim Rzymianom!

Zabłyśły miecze. W powietrze poleciały kamienie. Na bruku pojawiły się pierwsze plamy krwi. Jakaś kobieta wrzasnęła mi prosto w ucho. Potknąłem się o czyjeś dziecko, ktoś mnie podtrzymał, ktoś inny popchnął. Usłyszałem w pobliżu głośny plusk i zorientowałem się, że stoję nieopodal wielkiej fontanny pośrodku placu. Między baraszkującymi kamiennymi driadami i szczyzącymi kły krokodylami pływało martwe, zwrócone twarzą w dół ciało, wokół którego unosiła się okropna różowa zawiesina. Kamyk świsnął mi tuż nad głową - za szybko, jak na ciśnięty ręką; musiał być wystrzelony z procy - i trafił z brzękiem w hełm rzymskiego legionisty. Uderzony wściekle machnął mieczem w stronę, skąd kamyk nadleciał. Skuliłem się, chowając głowę. Spostrzegłem przy tym ruchu, że balkon, z którego przemawiał Ptolemeusz, jest pusty. Co się stało z królem?

I co się stanie ze mną? Mogłem się spodziewać, że wybuchną poważne zamieszki, które w końcu pogrążą całe miasto w chaosie. Wyciągnąłem się jak najwyżej, aby móc się rozejrzeć ponad głowami ludzi i poszukać pałacu. Ulica Argeus na całej długości od fontanny aż pod pałacową bramę nabita była gniewnym tłumem. Gdy tak stałem chwiejnie na palcach, obok mnie przebiegła grupka młodzieży z kijami.

- Z drogi, starcze! - krzyknął jeden z nich. - Rzymianie porwali króla i chcą go zabić!

- Pierwej my ich pozabijamy! - odkrzyknął drugi.

Potrącali mnie w biegu, popychali i omal nie przewrócili.

Czyjaś ręka złapała mnie za ramię, pociągając z powrotem do pozycji pionowej. Chwył był silny, męski, więc nie mogła to być Merianis. Próbowałem się uwolnić szarpnięciem, ale tamten tylko mocniej zacisnął palce. Nie było rady - odwróciłem się, by zobaczyć, kto to taki.

- Rupa! - krzyknąłem. - Skąd tyś się tu wziął, na Hades?





## ROZDZIAŁ 18

Rupa mruknął po swojemu w odpowiedzi i wskazał na grobowiec Aleksandra.

- Nie rozumiem.

Pokazał palcem jeszcze raz, dobitniej, po czym złapał mnie za rękę i pociągnął w tamtym kierunku. Dzięki jego wzrostowi i posturze nie mieliśmy problemów z dotarciem do celu: ludzie sami się rozstępowali, robiąc nam przejście. Każdy, kto nierozumnie stanąłby nam na drodze, zostałby błyskawicznie i bezceremonialnie odtrącony na bok. Rupa jest z natury najłagodniejszym z ludzi, ale jeśli trzeba, umie używać danej mu przez bogów siły.

Jednak nawet on nie dałby rady bandzie zbirów, która nagle zastąpiła nam drogę. Wyglądali na robotników portowych, sądząc po muskulaturze ramion, a przede wszystkim po zapachu słonej wody bijącym od ich poszarpanych tunik. Było ich siedmiu czy ośmiu, zbrojnych w narzędzia swojego fachu: haki, łańcuchy, sznurowe sieci i tyczki barkarzy grube jak męskie przedramię. We wprawnych rękach wszystko to mogło być śmiertelnie groźną bronią.

- Hej, ty! - krzyknął ich prowodyr do Rupy, który rzucił mu się w oczy z tego samego powodu, dla którego łatwo było nam iść przez tłum; mnie poświęcił tylko przelotne, ale wzgardliwe spojrzenie. - Dokąd poszli ci Rzymianie, którzy śmieli porwać naszego króla?

- Gadaj! - wtrącił inny z nich. - Zapolujemy na Rzymian! Wybijemy ich, ilu się da, i będziemy to robić, dopóki się nie wyniosą z Egiptu tam, skąd przyszli!

Rupa patrzył na nich i się, oczywiście, nie odzywał.

- Co jest z tobą? Za dobry, by gadać z takimi jak my, co? - Prowodyr owinał łańcuch wokół dłoni, drugą ręką naciągnął mocno luźny kawałek. - A może wy dwaj lubicie tych Rzymian? Może wam się zdaje, że to w porządku, jak ten dupek Cezar pieprzył siostrę króla i zaczyna się u nas rządzić, co?

Łańcuch świsnął złowrogo w powietrzu.

- To niemowa... - zacząłem mówić, ale w porę się ugryzłem w język. Mój akcent od razu by mnie zdradził. Skoro oni tak chcą zabijać Rzymian, to wcale mi się nie uśmiecha, by zaczęli ode mnie, pomyślałem.

Chrząknąłem i szturchnąłem Rupę, by zwrócić na siebie jego uwagę, po czym zacząłem serię gestów i znaków, mówiąc doń w języku, który on sam wymyślił, używając rąk i mimiki zamiast głosu.

„Uwaga, są silni”, ostrzegłem go.

„Nie boję się ich”, odrzekł Rupa.

„Ale ja się boję”, nie ustępowałem.

- Co to jest? - spytał prowodyr, patrząc na nas podejrzliwie.

- To chyba dwóch głuchoniemych - wyjaśnił jeden z jego kompanów. - Mam takiego kuzyna. Ożenił się z taką samą kobitką. Gadają ze sobą

rękami.

Herszt zmierzył nas złym spojrzeniem, po czym prychnął wzgardliwie i krzyknął:

- Dobra, zostawmy ich. Idziemy szukać Rzymian!

Pobiegli w stronę pałacu.

„Naprawdę się ich nie bałem”, pokazał na migi Rupa.

- Jak chcesz, mogę ich jeszcze zawołać - burknąłem. - Ty wielki, durny osiłku...

Rupa złapał mnie za rękę i pociągnął dalej ku grobowcowi Aleksandra. Strażnicy strzegący normalnie wejścia zniknęli gdzieś w zamieszaniu, a wraz z nimi rozplynęła się wiecznie tam stojąca kolejka. Wielkie drzwi z brązu stały otworem. Przystąpiliśmy przez próg. W pustym pomieszczeniu nasze kroki odbijały się wielokrotnym echem. Zgiełk panujący na zewnątrz tu był tylko odległym pomrukiem. Po lewej stronie dostrzegłem drzwi, za którymi widać było schody; zapewne tamtędy Ptolemeusz dostał się na balkon. Rupa pociągnął mnie ku innym drzwiom. Dalej był duży hol z kolumnadą. Zeszliśmy w dół innymi schodami, przeszliśmy przez niewielki westybul z alabastru i znaleźliśmy się w podziemnej komorze. Powietrze było tu chłodne i pachniało chryzantemami. Długie i wąskie pomieszczenie oświetlone było słabymi płomykami wiszących lamp. Na przeciwległym końcu stał pozłacany posąg. Rozwiana czupryna, pogodne oblicze i pięknie ukształtowane ramiona i kończyny nie pozostawiały wątpliwości: przed nami stał nagi wizerunek Aleksandra Wielkiego w pełni młodych sił. U stóp posągu zobaczyłem otwarty sarkofag, a w nim zabalsamowane ciało zdobywcy, owinięte w lśniąca szatę, ze złotym wawrzynowym wieńcem na głowie. Wokół pełno było świeżych i suchych kwiatów, przyniesionych przez pielgrzymów: maków, irysów, lotosów, mandragor, malw i nasturcji.

Mumia Aleksandra nie była jedynym trupem w komorze. Światło było tak słabe, a posąg i sarkofag tak przykuły moją uwagę, że nie zauważyłem przeszkody pod nogami i byłbym rymnął jak długi, gdyby nie szybki jak zawsze refleks Rupy. Złapałem równowagę i pozbierałem się jakoś, po czym cofnąłem się, by obejrzeć ów tajemniczy obiekt. Było to ciało egipskiego żołnierza. Leżał na wznak z otwartymi oczami utkwionymi martwo w sufit i z ręką wciąż zaciśniętą na rękojeści miecza. Jeśli się bronił, to nie udało mu się zranić przeciwnika, na ostrzu nie było bowiem ani śladu krwi. Jego własnej było za to pełno na podłodze; płynęła obficie z rany na brzuchu.

- Czemu mnie tu przyprowadziłeś, Rupo? - spytałem.

Zamiast odpowiedzi dał mi tylko znak, bym szedł za nim. Podeszliśmy do złotego łańcucha, dzielącego komorę na dwie części i stanowiącego barierę dla odwiedzających. Z tego miejsca do sarkofagu było jeszcze kilka kroków, ale wyraźnie widziałem znajomy profil Aleksandra i grę światła na kosmykach jego blond włosów wystających spod złotego wawrzynu. Zadrzałem mimo woli; teraz zrozumiałem, dlaczego takie tłumy cierpliwie czekały każdego dnia na możliwość stanięcia na krótką chwilę w tym miejscu, aby spojrzeć w twarz wieczności.

Rupa bez wahania zanurkował pod łańcuch i podszedł do samego



sarkofagu. Poczulem ukłucie przesadnego strachu, ale zrobiłem jak on. Nie było straży, które by nas zatrzymały, a w uważnym spojrzeniu władcy nie dostrzegłem pretensji za inwazję na jego sanktuarium. Stałem obok Rupy i razem spojrzeliśmy w twarz Aleksandra Wielkiego.

Zmarszczyłem brwi. Widok królewskiego oblicza z bliska nie był już tak budujący. Pewne podobieństwo zostało zachowane, ale wrażenia życia absolutnie nie dało się utrzymać. Skóra miała wygląd wytartego papirusu naciągniętego na wystające kości policzków i podbródka. Ludzie odpowiedzialni za dopuszczanie zwiedzających idealnie dobrali odległość, z jakiej wolno im było patrzeć na króla, aby w pełni wykorzystać dobroczynne działanie przyćmionego światła.

- I co o nim myślisz, Rupo? Trochę nadgryziony zębem czasu, co?

Niemowa skinął głową i nagle w ciszy rozległ się czyjś młodzieńczy głos:

- Ale wcale nie wygląda źle, jeśli pamiętać, że ma już trzysta lat!

Drgnąłem przestraszony.

- Co, na Hades...

Z mroku za sarkofagiem i statuą wysunęła się czyjaś twarz, a zaraz za nią druga.

- Mopsus i Androkles! Mogłem się domyślić. Ale jak...

- Przyszliśmy tunelem, panie - wyjaśnił starszy.

- Jakim tunelem?

- Tajnym przejściem, które zaczyna się w ogrodzie różanym w pałacu, ma odnogę do Biblioteki i biegnie prosto do tego miejsca. Wyjście jest zaraz za posągiem. Odchyła się niewielki panel, trzeba wejść po kilku schodkach... Jak się jest takim wysokim jak Rupa, to trzeba się trochę wygiąć i schylić przy wychodzeniu... i już się jest w grobowcu Aleksandra. To jedno z pierwszych przejść, które odkryliśmy.

- My odkryliśmy? - oburzył się Androkles. - To ja znalazłem ten tunel.

- Powiedziałem: jedno z przejść, które odkryliśmy - powtórzył Mopsus z akcentem na ostatnią sylabę. - My, czasem ja, czasem ty, trafiliś... my na niemało tajnych przejść, odkąd zaczęliś... my myszkować po pałacu.

- Tak, ale to ja znalazłem tunel do Aleksandra. Nikt mi nie pomagał, ani ty, ani ktokolwiek inny i tylko dzięki mojemu dobremu sercu znasz to przejście. Powinieneś więc powiedzieć, że to jedno z pierwszych przejść odkrytych przez Androklesa. Przyznaj się!

- Nie będę się do niczego przyznawał. Jesteś głupi i tyle. Prawda, panie? Westchnąłem ciężko.

- Więc to tym się zajmowaliście od naszego przybycia do pałacu? Myszkowaliście po wszystkich zakamarkach w poszukiwaniu ukrytych drzwi i ruchomych ścian? Macie szczęście, że jeszcze żyjecie!

- Ale nikt nas nigdy nie zatrzymał, panie! - zaprotestował Androkles. - Wszyscy w pałacu nas lubią. Niektórzy strażnicy dają nam nawet słodycze.

- O, tak! - przytaknął Mopsus. - Zwłaszcza ten w ogrodzie z tą długą sadzawką. Nazywamy go Słodki Ząbek, bo zawsze ma najlepsze rzeczy. Takie miodowe kulki zagęszczane mąką i obtaczane w tłuczonych migdałach. Pycha!

Wyobraziłem sobie tę dwójkę roześmianych urwisów, wcielenie

niewinności, przymilających się do każdego napotkanego strażnika. Z czasem wszyscy tak się do nich przyzwyczaili, że pozwalali im chodzić wszędzie, gdzie im się podobało, a nawet zabierać ze sobą olbrzymiego, lecz nieszkodliwego przyjaciela Rupe. Pokręciłem głową w zadziwieniu.

- A więc byliście tu już wcześniej?

- O, tak, panie! - odrzekł z entuzjazmem Androkles. - Lubimy tu przychodzić po zachodzie słońca, kiedy grobowiec jest niedostępny dla odwiedzających. Straże zamykają drzwi do holu i w tej komorze jest zupełnie pusto.

- I ciemno! - dodał Mopsus.

- Tak jest, trzeba mieć swoją lampę. Ale to fajnie tak przyglądać się freskom na ścianach i odwiedzać Aleksandra Wielkiego bez tego całego tłumy. Na noc zamykają też sarkofag, ale Rupa jest wystarczająco silny i może odsunąć wieko. Ja uważam, że Aleksander jest w świetnej formie. Sam chciałbym tak wyglądać, jak będę miał trzysta lat! Można sobie wyobrazić, jak nagle siada i zaczyna mówić!

- Nie wiem, czy to źle, czy dobrze - powiedziałem - ale egipska sztuka balsamowania chyba zaginęła w ciągu tych stuleci dzielących nas od czasów Aleksandra. Dziś już nikt nie zna takich sztuczek. I dobrze; możecie sobie wyobrazić przyszłe pokolenia stojące w kolejce, aby ujrzyć idealnie zakonserwowane ciało Cezara? Ale wszystko to mi jednak nie wyjaśnia, jak to się stało, że się tu dzisiaj znaleźliście. I gdzie się wszyscy podzieli?

- Byliśmy we trójkę w pałacu, zajęci... no, własnymi sprawami - odrzekł Androkles. - Właściwie to siedzieliśmy sobie w ogrodzie różanym i patrzyliśmy, jak kot Aleksander poluje na motyle, kiedy nadbiegł jeden z dworzaków, krzycząc do wszystkich, że król Ptolemeusz przemawia z balkonu na grobowcu Aleksandra i podburza lud przeciwko Rzymianom. I nagle w ogrodzie zrobiło się pusto i zostaliśmy sami, akurat na ławce, która maskuje wejście do tunelu. Oczywiście my też musieliśmy zobaczyć na własne oczy, co się dzieje, a to była najkrótsza droga. Kiedy wyszliśmy z tunelu, w komorze grobowej nie było nikogo poza egipskim strażnikiem. Wszyscy inni wyszli słuchać króla. Schowaliśmy się w cieniu za jedną z tych grubych kolumn i kombinowaliśmy, jak by tu się przekraść obok strażnika, gdy nagle na górze rozległ się jakiś hałas i po chwili wbiegł tu sam król. Poznaliśmy go od razu, choć nie miał korony na głowie. Myślę, że chciał wracać do pałacu tunelem. Ale ścigali go rzymscy legionieści. Strażnik chciał im zastąpić drogę... i leży tam teraz we krwi. Przez chwilę myśleliśmy, że zabiją i króla, on chyba zresztą też... Ale miał minę!

- A jak przeklinał swoją siostrę i Cezara! - dodał Mopsus.

- Legionieści jednak tylko go otoczyli i sformowali żółwia, po czym wyszli z powrotem na górę, zabierając króla ze sobą. Pewnie z powrotem do pałacu. My odczekaliśmy jeszcze trochę i też ruszyliśmy za nimi... i na kogo się natknęliśmy w holu?

- Na Merianis - domyśliłem się.

- Właśnie! I powiedziała nam, że byłaś z nią, panie, ale się zgubiliście, a przy takim zamieszaniu na placu to kto wie, co ci się może stać. Posłaliśmy więc z nią Rupe na poszukiwania, a my z Mopsusem postanowiliśmy

zostać tutaj, żeby móc cię od razu zaprowadzić tunelem do pałacu.

- Właściwie to zostaliśmy tutaj, bo Androkles bał się iść na plac - poprawił go Mopsus. - Powiedział, że mogą nas stratować, bo jest mały, i lepiej posłać Rupe, który da sobie radę sam.

- Wcale się nie bałem! - zaprotestował młodszy. - To była część mojego planu i teraz sam widzisz, jak wszystko dobrze wyszło.

- Rzeczywiście - uspokoiłem go. - Ale co się stało z Merianis? - Spojrzałem na Rupe, który wzruszył ramionami. - Pewnie szybko ją zgubiłeś w tłumie?

Zmarszczył brwi, ale kiwnął głową.

- Nie musisz się tłumaczyć, Rupo. Gdyby jej na tym zależało, szukałaby mnie od początku, zamiast zakradać się do grobowca, żeby sprawdzić, co się dzieje z Ptolemeuszem i co robią wysłani po niego żołnierze. Miło z jej strony, że was zawiadomiła, iż mogę być w niebezpieczeństwie, ale wcale mnie nie dziwi, że zajęła się swoimi sprawami. Na pewno chce zdążyć do pałacu przed tym żółciem i powiedzieć o wszystkim swojej pani. Ciekawe... wygląda na to, że nie wie o tym tunelu, bo inaczej wybrałaby tę drogę. - Zmarszczyłem brwi. - Merianis była dla nas dobrą przyjaciółką, pomocną, troskliwą i wesołą, ale nie zapominajmy, że naprawdę jest lojalna wobec kogoś innego.

- Mówisz o niej, panie, jak o żołnierzu.

- Bo myślę, że nim jest, Mopsusie. Nie trzeba do tego nosić tarczy i miecza.

- Nigdy nie zrobiła ci nic złego, panie - dorzucił swoje Androkles.

- I jestem pewny, że nie zrobi... dopóki nie popadnę w konflikt z jej panią. Ale kawał mi bogowie zrobili tym razem! Udało mi się przetrwać jedną krwawą wojnę domową, aby nagle się znaleźć w samym środku innej, która nic mnie nie obchodzi. Wiem jednak z doświadczenia, że nawet najmniej zaangażowanemu obserwatorowi rzadko dane jest zachować neutralność. Pałac jest polem bitwy. Ptolemeusz i Kleopatra to wrodzy wobec siebie wodzowie, zbierający swe armie. Cezar jest strategiczną twierdzą, którą oboje chcieliby zająć. Wszystkie inne bitwy tracą znaczenie, gdy któreś z nich przeciągnie go na swoją stronę, a wraz z nim rzymską potęgę.

- Ale, panie, trzeba ci było słyszeć, jakimi przekleństwami król obrzucał Cezara, kiedy zabierali go legionieści! - powiedział Androkles. - On go musi nienawidzić z całej duszy!

- Podejrzewam, że wprost przeciwnie. Król może sobie być Ptolemeuszem aż po czubki palców, z królewską postawą i przekonaniem o swej boskiej pozycji na tym świecie, ale wciąż jest chłopcem, który nie panuje nad emocjami. Kiedy przemawiał przeciwko Cezarowi, nie były to słowa wodza zagrzewającego swą armię do boju, ale raczej odrzuconego zalotnika. Co do Cezara, bardzo by chciał, żeby brat i siostra się pogodzili, zaczęli normalnie rządzić Egiptem i spłacać długi wobec Rzymu. Mógłby wtedy sobie pogratulować zamknięcia kwestii egipskiej i zająć się zamykaniem kwestii własnej wojny domowej. Ale ani król, ani królowa nie zadowolą się połową Egiptu... ani połową Cezara. Będzie w końcu musiał wybrać którąś ze stron...

Wszyscy jednocześnie odwróciliśmy się ku schodom prowadzącym do holu, skąd nagle dobiegły kroki, odgłosy bijatyki i czyjeś wrzaski.

- Złodzieje? - szepnął Mopsus.

- Żołnierze? - spytał Androkles.

- Albo zwykli zwiedzający? - zasugerowałem. - Tak czy inaczej pora wracać do pałacu. Androklesie, pokaż mi drogę.

- Tak jest, panie. Trzeba obejść posąg.

Spojrzałem w czarną czeluść ziejącą za cokołem.

- W tunelu nie ma żadnego oświetlenia? A powietrze?

- Z początku jest bardzo ciemno, panie, ale dalej są zakratowane szyby wentylacyjne, przez które wpada trochę światła i trochę świeżego powiewu. Pójdę pierwszy i poprowadzę pana za rękę. Mopsus pójdzie za nami, a Rupa na końcu, żeby zasunąć płytę. Jest dość ciężka. Uważaj, panie, żeby się nie uderzyć...

- Auu!

- ...w głowę!





## ROZDZIAŁ 19

- **W** mieście cały czas trwają rozruchy - powiedziała Merianis. - Parę dni upłynęło od wybuchu króla, a ludzie wciąż są rozjuszeni. Podżegacze rozsiewają plotkę, że Cezar uwięził króla...

- Oddział legionistów zabrał go z powrotem do pałacu - przypomniałem.

- Ale nawet palcem go nie tknęli! Król wrócił z własnej woli...

- Kiedy zabito broniącego go strażnika w grobowcu Aleksandra!

- Ktoś musiał go chronić w drodze powrotnej. Ten tłum stał się niebezpieczny, jak się sam przekonałeś, Gordianusie. W każdym razie, kiedy król się znalazł znowu w pałacu cały i zdrowy, Cezar i Potejnos jakoś go uspokoili. Negocjacje z królową są w toku pod egidą Cezara, ale w mieście panuje chaos.

- Aleksandryjczycy są z tego znani - zauważyłem. - Ten sam tłum wygnał poprzedniego króla z kraju i trzeba było rzymskiej armii, aby go znów posadzić na tronie.

- I właśnie dlatego Ptolemeusz nie powinien jątrzyć motłochu. Oczywiście cały ich gniew jest skierowany przeciwko Rzymianom, ale nawet straż królewska obawia się wyściubić nos za bramę! W Aleksandrii panuje bezprawie! Muzeum zamknięte na głucho, uczeni boją się nawet wyglądać przez okna, Biblioteka tak samo. Koniec z nowymi książkami, Gordianusie. Będziesz musiał od nowa czytać te, które wcześniej przyniosłam.

- Właśnie, panie! - Mopsus wskoczył na łóżko obok mnie. - Przeczytaj nam jeszcze raz to o Aleksandrze i węźle z Gordion. Czy to prawda, że stamtąd się wzięło twoje nazwisko? „W ziemi frygijskiej panował król Gordios, urodzony jako chłop, ale wyniesiony na tron dzięki wyroczni...” - zacytował.

- Nie widzę potrzeby czytać, skoro znasz wszystko na pamięć - powiedziałem. - Co się zaś tyczy pochodzenia rodu Gordianusów...

Ale Mopsus nie dał się zatrzymać.

- I wiele lat później, kiedy Aleksander przechodził przez Frygię i miasto Gordion, nazwane tak na cześć króla Gordiosa, pokazano mu węzeł gordyjski. Albowiem wyrocznia mówiła, że żaden mąż nie podbije Azji, dopóki nie rozwiąże węzła z Gordion, tak misternie i chytrze zawiązanego, że nawet największy mędrzec nie był w stanie go rozsypać, i tak mocno zadzierzgniętego, że i największy siłacz nie potrafiłby go rozwiązać. Na to Aleksander...

Androkles mu przerwał, skacząc na środek pokoju i odstawiając pantomimę opisywanej przez brata akcji, po czym sam podjął wątek.

- Na to Aleksander dobył miecza, machnął, świsnął i ciach! Węzeł rozpadł się na połowy u jego stóp, a wszyscy pokłonili się nowemu panu Azji... hurra!... Aleksandrowi, jedynemu człowiekowi dość silnemu i mądrym zarazem, by dać radę węzłowi z Gordion!

- To nie było tak! - oburzył się Mopsus.

- Ale prawie.  
- Pomiñałeś to o...  
- Nie pomiñałem niczego ważnego.  
- Jesteś zazdrosny, bo nie zapamiętałeś tekstu.  
- Ważna jest treść, a nie tekst - upierał się Androkles i znów zagrał tę scenę. - Machnął, świsnął... ciach! I nie ma węzła!

Mopsus żwawo zeskoczył na podłogę i przyłączył się do sztuki z własnym machaniem i świstaniem. Rupa zrobił przerażoną minę i zakrył uszy rękami. Merianis westchnęła.

- Chłopcom się nudzi przez cały dzień w zamknięciu.

- Trudno zaprzeczyć - kiwnąłem głową.

Pozbawieni zostali nie tylko możliwości wycieczek za mury; zabroniłem im nawet dalszych poszukiwań tajnych przejść na terenie pałacu.

- Gdybym tylko mógł ich wysłać z jakimś zadaniem... - Teraz to ja westchnąłem. - Gdzieś na długo...

- Może to my dwoje powinniśmy czasem gdzieś wyjść. - Merianis się uśmiechnęła.

- Piękne dzięki! Ostatnim razem, gdy mnie zabrałaś na wycieczkę, banda zbirów omal nie rozbiła mi głowy. Oni wciąż tam polują na Rzymian.

- Mam inny pomysł. Chodź ze mną, Gordianusie.

- Dokąd?

- Zaufaj mi i chodź.

Popatrzyłem na nią spod oka.

- Machnął, ciachnął! - krzyknął Mopsus.

- I po węźle! - zawtórował Androkles.

Wzdrygnąłem się.

- No, dobrze, Merianis. Zabierz mnie stąd, byle szybko.

- Dokąd idziemy?

- Zobaczysz.

Z początku zdawało mi się, że kierujemy się do sektora rzymskiego, ale w pewnym momencie Merianis skrzyła w nie znany mi korytarz i znaleźliśmy się w części pałacu, w której dotąd nie byłem. Na nowo zdumiała mnie wielkość i przepych królewskiej siedziby.

W końcu wyszliśmy na zalany słońcem i pachnący jaśminem ogród przylegający do portu. Zeszliśmy po paru stopniach ku wodzie. Przed nami widniały rozrzucone po porcie galery Cezara, zwrócone dziobami w stronę wyjścia, przegrodzone teraz ciężkim łańcuchem. Dalej na błękitnym, bezchmurnym niebie widniała niesamowicie wielka sylweta latarni Faros. Merianis poprowadziła mnie na kamienne molo wybiegające daleko na wodę. Minęliśmy szereg niewielkich budyneków z barwnymi proporcami na dachach. U stóp wąskich schodów, za przysadzistą statuą Besa, egipskiego boga przyjemności, przycumowana była mała łódź wiosłowa. Drgnąłem, do żywego bowiem przypomniła mi ów królewski barkas, na którym Pompejusz odbył swą ostatnią podróż; miała taki sam dziób wymodelowany na kształt zrywającego się do lotu ibisa, i takie same nadburcia rzeźbione w krokodyle, żurawie i konie rzeczne, pokryte srebrną blachą i z oczami z lapisu i turkusów. W łódce siedział, drzemiąc, tylko

jeden mężczyzna w samej przepasce biodrowej, oparty plecami o stewę i z rękami wyciągniętymi za głowę. Kiedy podeszliśmy bliżej, poznałem Apollodorosa, Sycylijczyka, który doręczył Cezarowi dywan z Kleopatrami. Kiedy Merianis zawołała go po imieniu, leniwie otworzył oko.

- Drzemka w samym środku dnia? - spytała. - Co by na to powiedziała królowa?

Apollodoros się uśmiechnął i położył rozczapierzoną dłoń na krocze.

- Może to przez królową jestem taki zmęczony...

- Błuznierca! - zakrzyknęła Merianis, ale figlarnym tonem.

Sycylijczyk wstał, przeciągnął się i potrząsnął czarną grzywą. Rzucił Merianis spojrzenie spod ciężkich powiek i wysunął głowę do przodu z wargami złożonymi do pocałunku. Dziewczyna nachyliła się ku niemu, ale w ostatniej chwili cofnęła się i mężczyzna pocałował powietrze, omal nie tracąc przy tym równowagi. Zamachał rozpaczliwie rękami, broniąc się przed upadkiem, co Merianis skwitowała perlismem śmiechem.

- Wezwij zaraz wioślarzy, ty wielki gburze!

- Wioślarzy? A po co? Myślisz, że sam nie dam rady zawieźć cię, gdzie chcesz?

- Jak chcesz.

Merianis weszła do łodzi i wyciągnęła do mnie rękę. Po chwili siedziałem przy niej na ławce.

- Dokąd mnie zabierasz? - spytałem.

- Zobaczysz.

Apollodoros zręcznie odbił od mola. Widziany od strony wody zespół pałacowy prezentował się jako ciąg tarasów, balkonów, zacienionych nisz i wiszących ogrodów. Poznałem komnatę, w której jadłem kolację z Cezarem, a obok masyw teatru z widownią zwróconą ku portowi. Najwyższy rząd patrolowali rzymscy żołnierze z włóczniami; przypomniało mi to wywód Cezara o zaletach budowli jako twierdzy na wypadek ataku od lądu. Odkąd w mieście wybuchły zamieszki, legioniści przystąpili do umacniania swojego sektora pałacu, zamykając alejki i budując barykady na otwartych przestrzeniach między budynkami.

Z tej perspektywy nad panoramą Aleksandrii dominowały wysokie gmachy na nabrzeżu, połączone ze sobą portykami, miasto leży bowiem na płaskim terenie. Jest tam jednak i parę wzgórz, a na najwyższym z nich stoi wielka świątynia Serapisa, boga podobnego Zeusowi, którego pierwszy z Ptolemeuszów umieścił w egipskim panteonie na pozycji równej samemu Ozyrysowi. Widziałem ją ponad dachami najbliższych domów, majestatyczną budowlę przypominającą ateński Partenon, ale znacznie od niego większą, choć wzgórz, na którym powstała, daleko do wyniosłości Akropolu. Poczulem, jak coś chwyta mnie za gardło. Taką właśnie Aleksandrię ujrzałbym, gdyby burza nie odepchnęła naszego statku na wschód. Taką ją widziałem po raz ostatni, gdy wraz z Bethesdą odpływaliśmy stąd tyle lat temu. Ten widok chciałem z nią dzielić w tej podróży.

- Gordianusie Poszukiwaczu, coś cię zasmuciło?

- Dlaczego pytasz, Merianis?

- Łza płynie po twoim policzku.

- To nic. Pewnie kropla wody z morza - odparłem, ścierając ją dłonią i starając się uspokoić nagle rozkołatanе serce. - Zdaje się, że się zbliżamy do Antyrodos?

Mówiłem o największej z wysepek sterczących z wód portu, zarezerwowanej do użytku rodziny królewskiej. Nazwa określała ją, raczej na wyrost, jako rywalkę wielkiej greckiej wyspy Rodos. Miejscowi czasem mówili o niej „Pływający pałac”, była bowiem tak zabudowana wieżami, promenadami i tarasami, że wyglądała jak kawałek pałacu, który urwał się od brzegu i wypłynął na wodę. Postawienie stopy na Antyrodos bez królewskiego pozwolenia równało się wyrokowi śmierci i żeglarze korzystający z portu skrzętnie omijali wysepkę. Dla Aleksandryjczyków Antyrodos ma specjalne znaczenie. Niektórzy mówią, że zmarły król urządził tu niewyobrażalnie sprośne orgie, inni twierdzą, że stanowi ona skarbnicę obiektów kultu i magicznych talizmanów z czasów dawnych faraonów.

- Byłeś tam kiedyś? - zagadnęła moja towarzyszka.

Roześmiałem się.

- Nie, Merianis. Podczas mojej ostatniej bytności w Aleksandrii nie zaliczano mnie do kręgów pałacowych.

- A jednak dziś tu jesteś i za chwilę wylądujesz na wyspie. Zaszedłeś wysoko, Gordianusie, od czasów młodości.

- Albo też świat nisko upadł - odparłem.

Apollodoros powiosłował prosto do małego, otoczonego murem porciku. Egipcscy żołnierze trzymający straż na nabrzeżu groźnie unieśli włócznie na widok naszej łodzi, ale ujrawszy Merianis, opuścili je z uśmiechem.

- Przywożę gościa do królowej - wyjaśniła, wysiadając z łodzi i wyciągając do mnie dłoń.

- Jeszcze jeden Rzymianin? - burknął dowódca, posiwiały weteran z paskudną blizną na policzku, obrzucając mnie podejrzliwym spojrzeniem.

- Wybacz jego ton, Gordianusie. Kapitan Kratynos dowodzi ochroną królowej. To elitarna formacja pełniąca tę funkcję od dnia jej narodzin. Obronili ją, gdy jej siostra Berenika zajęła tron, i później, gdy powrócił król Ptolemeusz i skazał Berenikę na śmierć. Chronili ją podczas zamieszania po śmierci ojca i zostali u jej boku podczas wygnania na pustyni. Przez te wszystkie lata niejeden z nich zginął za królową. Są fanatycznie lojalni. Za ich oddanie Izyda wynagrodzi ich w przyszłym życiu prawem dalszego służenia Kleopatrze w królestwie zmarłych.

- Czyżby królowa i tam musiała się obawiać skrytobójców? - spytałem.

Dowódca warknął coś w moim kierunku, przyjąwszy te słowa za objaw sarkazmu.

- Kratynos cię nie lubi, bo jesteś Rzymianinem - szepnęła Merianis. - Uważa was wszystkich za wielkich bezbożników. Nie rozumie, jak możecie pozwalać sobą rządzić byle śmiertelnikom. Przyznam zresztą, że mnie samą to dziwi.

Wzruszyłem ramionami.

- O ile wiem, jeszcze żaden bóg nie prowadził kampanii wyborczej na jakiegokolwiek stanowisko w Rzymie. Być może dlatego, że to kosztuje horrendalne sumy.



Merianis spojrzała na mnie zdumiona, a po chwili się roześmiała.

- Ach, rozumiem. To był dowcip. Kratynosowi nie podoba się, że królowa chce polegać na rzymskim wsparciu, nie ufa też mądrości Cezara. To on wymyślił, że Kleopatra powinna się chwilowo wycofać tu, na Antyrodos, dla własnego bezpieczeństwa. Uważam to za dobry pomysł, ale według Kratynosa, jeśli któreś z nich ma być usunięte z pałacu, to właśnie Ptolemeusz.

- Trzeba przyznać, że miejsce jest naprawdę wspaniałe - powiedziałem, kiedy szliśmy pod eskortą po marmurowych schodach otoczonych szpalerem palm. Przed nami wznosiła się fasada pałacu, przedziwna mieszanka greckich kolumn i egipskich murów. - Chyba że królowa czuje się tu samotna.

- Cezar odwiedza ją co dzień.

- Co dzień czy co noc?

Z zacienionego portyku prowadzącego do bramy pałacu odezwał się niski, gardłowy głos mówiący po grecku z wytwornym akcentem:

- Cezar może mnie odwiedzać, kiedy chce. Merianis też, ponieważ królową zawsze cieszy jej widok.

Kleopatra wysunęła się z cienia. Strażnicy natychmiast padli przed nią na twarze. Merianis uklękła i skłoniła głowę. Ja poszedłem w jej ślady. Królowa przyjęła te oznaki hołdu jako należne sobie. Nie podnosiłem wzroku, słyszałem tylko szelest jej płóciennej sukni i obserwowałem jej pozłacane, wysadzone klejnotami sandały, podczas gdy chodziła przed nami tam i z powrotem. Dopiero po długiej chwili mruknęła pod nosem: „Możecie wstać” i podała dłoń Merianis, która ucałowała ją z czcią.

- Przyprowadziłam gościa, pani - powiedziała. - To jest Gordianus z Rzymu, którego ludzie zwą Poszukiwaczem.

Kleopatra obróciła wzrok na mnie.

- Już się chyba spotkaliśmy?

- Byłem obecny, gdy wasza królewska mość ukazała się konsulowi Cezarowi.

- Ach, tak. Cała moja uwaga była wtedy obrócona na Cezara, ale przypominam sobie ciebie. Widzieliśmy się bardzo krótko. Meto był tam także, ale obydwaj szybko się pożegnaliście i zniknęliście. Od tamtej pory widziałam Metona wielokrotnie; Cezar praktycznie się bez niego nigdzie nie rusza. Jednak dopiero niedawno się dowiedziałam, i to od Merianis, nie od żadnego z nich, o waszym pokrewieństwie.

- Adoptowałem Metona jako dziecko. Nie jest już jednak moim synem.

- Jakież to dziwne! Rozumiem, że adopcja jest dość popularna wśród Rzymian, którzy pokładają wiarę w prawach i stosunkach stworzonych przez ludzi. Wygląda na to, że u was dwóch ludzi może jednego dnia być ojcem i synem, drugiego zaś wyrzec się pokrewieństwa. Taka koncepcja jest nam obca. W Egipcie więzy krwi są wszystkim i nic ich nie może zerwać.

- Poza śmiercią? - spytałem.

- Mylisz się. Siostra i brat na tym świecie pozostaną rodzeństwem i na tamtym. Krew Ptolemeuszów płynie zarówno w moich żyłach, jak i mego brata. Jesteśmy złączeni z sobą i naszymi przodkami na wieczność.

Ponieważ na tym świecie zamieszkujemy śmiertelne ciała, w którymś momencie śmierć może nas rozłączyć, ale tylko na krótko, na czas naszej ziemskiej egzystencji.

- Mam wielką nadzieję, że tak się nie stanie, wasza wysokość.

Uśmiechnęła się.

- Jeśli któremuś z nas przyjdzie przedwcześnie przejść do następnego świata, zapewniam cię, że nie mnie. Kratypos nigdy by na to nie pozwolił.

- Waszej królewskiej mości włos nie spadnie z głowy, dopóki ostatni dech będzie się tlił w mym ciele i każdego z moich ludzi! - pospieszył z zapewnieniem dowódca ochrony.

- Twoje oddanie jest miłe królowej - odrzekła Kleopatra. - Wracaj teraz do portu i wypatruj innych gości.

- Wasza królewska mość spodziewa się jeszcze kogoś? - spytałem.

- Być może. Ale rozmawialiśmy o następnym życiu. - Kleopatra ruszyła w głąb bujnego ogrodu otaczającego pałac, a my z Merianis za nią.

- Żyłem i tu, i w Rzymie - powiedziałem - i wiem, że Egipcjanie spodziewają się po następnym życiu o wiele więcej od Rzymian. Dla nas, kiedy kończy się to życie, kończy się też to, co najlepsze. Stajemy się potem cieniami, które obserwują żywych z zazdrością, z wolna rozplywając się w długiej, szarej wieczności.

- Ach, ależ wy się zupełnie mylicie! Dla tych, którzy osiągają nieśmiertelność, ziemskie życie jest tylko cieniem następnego. Cały sens tego życia tkwi w przygotowaniu się do przyszłego. Poruszyłam ten temat nie bez powodu, Gordianusie. Wiedząc o tym, jak ważny jest Meto dla Cezara, a ty dla Metona... i dlatego że Merianis tak cię polubiła... postanowiłam dowiedzieć się nieco o tobie.

- Jakoś mi trudno uwierzyć, że cokolwiek związanego z moją osobą mogłoby zainteresować królową Egiptu - powiedziałem.

- Dowiedziałam się jednak, dlaczego przyjechałeś do Egiptu, a także o nieszczęściu, jakie cię tu spotkało. Czy twoja żona była bardzo chora?

Westchnąłem.

- Czy ten temat naprawdę ciekawi waszą wysokość? Mówienie o tym sprawia mi ból.

- Mimo to odpowiedz mi.

- Dobrze. Choroba mojej żony była dla mnie niezrozumiała. Czasami wydawało mi się nawet, że ją sobie tylko wyobraża, wmawia. Kiedy indziej się bałem, że zabierze mi ją tak nagle, iż nie dane mi będzie się z nią pożegnać.

- Chciała się wykąpać w Nilu, wierząc, że to ją wyleczy?

- Tak twierdziła. Ale...

- Ale myślisz, że mogła mieć inny powód, by wrócić do Egiptu?

- Myślę, że mogła wyczuwać bliski koniec i chciała umrzeć w swoim kraju. Często wyrażała pogardę dla rzymskich rytuałów pogrzebowych. Nie odpowiadało jej palenie zwłok. A gdzie, jeśli nie w Egipcie, może zostać prawidłowo zabalsamowana i wedle odpowiedniego rytuału przejść do przyszłego życia? Ale choć mogło to być jej zamiarem, stało się inaczej.

- Twoją żonę zabrał Nil.

- To było przy małej świątynce między drogą a rzeką, na północ od

Naukratis.

Kleopatra skinęła głową.

- Prastara świątynia Ozyrysa, ukryta między pnączami. Znam ją bardzo dobrze. To bardzo stare i święte miejsce.

- Powiedziano mi później, że świątynia ta jest od dawna opuszczona, a kobieta, która tam żyje, udając kapłankę, jest szalona.

- Spotkałam kiedyś tę kobietę. - Królowa uniosła brwi. - Przekonałam się, że jest bardzo mądra.

- To ta starucha kazała Bethesdzie wejść do wody! - powiedziałem z gorczycą.

- Ależ, Gordianusie! Czyż nie rozumiesz znaczenia śmierci w nurtach Nilu? Rzeka jest poświęcona Ozyrysowi. Kogo ona zabiera, tego sam bóg zabiera. Utonąć w Nilu to otrzymać błogosławieństwo Ozyrysa! Znasz historię jego śmierci i zmartwychwstania? Pozwól, że ci ją opowiem. To Ozyrys dał światu dar cywilizacji w zaraniu czasu. Przedtem ludzie byli kanibalami. Ozyrys nauczył ich siał i zbierać zboże, łowić ryby w morzu, dał też o wiele więcej: pierwsze świątynie, w których mogli oddawać cześć bogom, pierwsze miasta i prawa, a nawet pierwsze instrumenty muzyczne. Rodzaj fletu, na którym mój ojciec tak lubił grać, został stworzony właśnie przez Ozyrysa. On panował nad ziemią i wszyscy ludzie go kochali. Ale właśnie swoją dobrocią wzbudził zazdrość w swoim złym bracie Secie, który uknuł podstępny plan zabicia go. Set zrobił cudownie zdobioną skrzynię i na uczcie bogów obiecał dać ją temu, czyje ciało najlepiej będzie do niej pasowało. Kiedy Ozyrys ułożył się w niej na próbę, Set zamknął ją, zapieczętował roztopionym ołowiem i cisnął do Nilu. Izyda, siostra i żona Ozyrysa, wyłowiła ją, ale po otworzeniu okazało się, że Ozyrys nie żyje. Izyda jednak swą magią sprawiła, że wrócił do życia. Mógł odebrać Setowi swój tron, ale wolał usunąć się do przyszłego świata, gdzie wita dusze sprawiedliwych.

- A co to ma wspólnego z Bethesdą? - spytałem cicho, spuszczać głowę.

- Wszyscy jesteśmy złożeni z czterech żywiołów - odrzekła Kleopatra. - Z ognia, ziemi, powietrza i wody. Śmierć w Nilu oznacza uwolnienie od ziemi i wody, które mieszają się z nilowym mułem. Twoja żona jest teraz tylko ogniem i powietrzem. Nie jest już ważne, czy została zabalsamowana. Skoro utonęła w Nilu, czyli jakby w samym Ozyrysie, przeszła z tego świata od razu w objęcia boga. Otrzymała dar nieśmiertelności. Powinieneś się radować razem z nią.

Odwróciłem wzrok.

- Mówisz o rzeczach, o których wiem bardzo niewiele. Jak już powiedziałem, religia rzymska nie zajmuje się tak... obszernie... przyszłym życiem jak wasza.

- Ty może wiesz o tym niewiele, Gordianusie, ale twoja żona najwyraźniej wiedziała dużo. Wybrała czas, miejsce i sposób odejścia z tego świata. Ilu śmiertelników może mieć nadzieję na coś podobnego?

- Jeśli mają dostęp do „płynnej Nemezis”... - mruknąłem pod nosem.

- Co powiedziałeś? - Królowa zmarszczyła brwi.

- Nic, wasza wysokość. Ot, przelotna myśl bez znaczenia.

Dalszą rozmowę przerwało pojawienie się Kratyposa, który nadbiegł schodami od przystani.

- Wasza królewska mość! Goście nadpływają!

- Ci, których zaprosiłam na obiad?

- Tak jest.

- Powiedz zatem Apollodorosowi, żeby zaprowadził ich na ten mały taras z widokiem na miasto. Cezar lubi jadać na świeżym powietrzu.

- Cezar? - powtórzyłem. - W takim razie lepiej sobie pójdę. Może Merianis odprowadziłaby mnie do...

- Odejść? Nonsens. Zostaniesz, Gordianusie, i zjesz z nami obiad. Moi kucharze przygotowali gotowaną ośmiornicę, a Cezar obiecał przynieść amforę falerna. Rzadka okazja! Ostatnio o dobre italskie wina równie u nas trudno jak o śnieg. Podobno ta amfora pochodzi z prywatnych zapasów Pompejusza, które Cezar zdobył w jego obozie pod Farsalos.

- Wasza wysokość, nie uśmiecha mi się picie wina należącego do nieboszczyka.

- Każę więc utoczyć dla ciebie egipskiego piwa. Chodź, Merianis! Zaprowadź Gordianusa na taras.





## ROZDZIAŁ 20

Weszliśmy wszyscy po marmurowych schodach na wyłożony kamiennymi płytami taras, znajdujący się na samej krawędzi budowli; za balustradą wspartą na przysadzistych kolumnkach mur opadał pionowo nad wodę. Z lewej i prawej strony obramowany był rzędami wysokich palm i gęsto ulistnionych krzewów. Za plecami mieliśmy pozbawioną okien ścianę z jednymi drzwiami prowadzącymi do wnętrza pałacu. Czekwały na nas sofy ustawione w półkole otwarte ku miastu, tak że każdy mógł podziwiać słoneczną panoramę Aleksandrii i jej odbicie w gładkich wodach portu.

Królowa zajęła miejsce na ustawionej pośrodku najwykwintniejszej sofie, usłanej purpurowymi poduszkami. Oparła się na łokciu i ułożyła tak, że jedną nogą dotykała posadzki. Ta poza podkreślała linie jej figury; płócienna suknia przylegała do pełnych piersi i zmysłowych krągłości bioder, ud i łydek.

Merianis stanęła za sofą po lewicy swej pani i gestem nakazała mi przyłączyć się do niej. Niedługo potem zjawił się Apollodoros. Nie włożył na siebie żadnego ubrania poza srebrnym napierśnikiem, uwydatniającym mięśnie nagiej klatki piersiowej. Pokłonił się Kleopatrze i zaanonsował przybycie gościa.

- Możesz odejść, Apollodorosie. Wezwę cię, gdybyś był mi potrzebny - odpowiedziała.

Kiedy Sycylijczyk odwrócił się do wyjścia, nad schodami ukazała się łysina, a zaraz potem rozpromieniona twarz Cezara. Zauważyłem, że na tę okazję znów przywdział togę konsula. Na mój widok uśmiech nieco mu przybladł, lecz wstrzymał się od komentarza.

- Królowa Egiptu wita konsula Rzymu - Kleopatra odezwała się pierwsza. - Ale gdzie twój liktorzy?

- Zostawiłem ich na nabrzeżu.

Cezar podszedł do królowej, nie starając się nawet udawać, że się kłania. Najwyraźniej w takim otoczeniu nie czuli potrzeby zachowywania etykiety. Wymienili spojrzenia jak kochankowie: leniwe, intymne, bijące pewnością wzajemności. Kleopatra wysunęła ku niemu rękę, a on złożył na niej długi pocałunek, nie na wierzchu, lecz na spodzie dłoni. Oderwawszy się od niej, zerknął na mnie z ukosa.

- Mamy więc jeszcze jednego gościa? - spytał.

- Tak się złożyło, że Gordianus był w pałacu. Merianis go tu sprowadziła, wiedząc, że chciałabym z nim porozmawiać. Nie martw się, ośmiornicy starczy dla wszystkich. Ale czy będzie dość falerna?

- O to też nie ma co się martwić - odparł Cezar.

W chwilę później nadszedł Meto, w pełnej wojskowej gali i z okazałych rozmiarów amforą trzymaną na rękach jak niemowlę. Skrzywił się boleśnie na mój widok, ale nie odezwał się ani słowem.

Przyjrzałem się amforze; miała typowy kształt, dwa uchwyty przy

rozszerzonej szyjce i zaokrąglone dno. Nie była przeznaczona do stawiania, lecz do składowania i transportowania w pozycji leżącej. W najszerszym miejscu garncarz wyrył w glinie napis na tyle duży, by można go było odczytać na pierwszy rzut oka: „Wino z *ager Falernus*. Otworzyć tylko w obecności Gnejusza Pompejusza Magnusa”.

- Wino pochodzi z prywatnych zapasów Pompejusza - wyjaśnił Cezar. - Kiedy zdobyliśmy jego obóz pod Farsalos, zastałem jego namiot pusty, ale przygotowany do wystawnej uczty. Były tam srebrne tace z wielkimi porcjami pieczonej dziczyzny i między innymi ta właśnie amfora ustawiona na podstawie przy sofie Wielkiego, gotowa do odpieczętowania i rozlania do dzbanków. Uciekł w ostatniej chwili, pozostawiając wszystko gotowe do świętowania zwycięstwa. Musiał zabrać tę amforę ze swoich piwnic w Rzymie i woził ją po całej Grecji, czekając na odpowiednią okazję. Jest tu jego prywatna pieczęć odcisnięta w wosku... MAGNUS... Pierścień pasuje do niej idealnie.

Cezar pokazał nam otrzymany od króla Ptolemeusza sygnet Wielkiego, który nosił na szyi na srebrnym łańcuszku. Czyżby był przesądny i obawiał się wsunąć go na palec? Meto przytrzymał amforę, a konsul przyłożył sygnet do odcisku na korku, demonstrując wszystkim, że pieczęć naprawdę została odbita przez Pompejusza.

- Otwórzmy ją więc - ponagliła go Kleopatra.

Meto oparł amforę na przygotowanej podstawie i usiadł na sofie, trzymając naczynie między kolanami. Wyciągnął zza pasa krótki nóż i ostrożnie zeszkrobał czerwony wosk, po czym wyciągnął korek. Merianis podsunęła srebrny dzbanek, ale zanim Meto zdążył przechylić amforę, królowa zakrzyknęła:

- Stój! Zanim napelnimy pierwszy dzban, pozwólmy Cezarowi skosztować wina prosto z amfory.

- Miły to gest, wasza wysokość... - Cezar się uśmiechnął. - Ale myślę, że pierwsza powinna go spróbować moja gospodyni, królowa Egiptu.

Kleopatra pokręciła głową z uśmiechem. Każde wypowiedane przez tych dwoje zdanie to flirt, pomyślałem.

- Królowa odmawia i nalega, aby pogromca Pompejusza mógł cieszyć się pierwszy tym owocem zwycięstwa. I wiem, z jakiego pucharu powinienes się napić! Merianis, przynieś te kielichy, które dostałam w dniu ślubu.

Merianis zniknęła na chwilę we wnętrzu, a kiedy wróciła, miała w rękach dwa piękne naczynia w starogreckim stylu: z szerokimi, płaskimi czarkami, masywnymi podstawami i dwoma uchwytami, nie gliniane jednak, ale z czystego złota. Kleopatra wstała, wzięła jeden kielich od kapłanki i pokazała z bliska Cezarowi.

- To ślubny dar od króla Partów dla mnie i Ptolemeusza. Prawda, że piękne?

- Bardzo - przytaknął Cezar. - Ale czy wypada, abym to ja z niego pił?

- Jeśli ja tak mówię, to wypada - ucięła dyskusję królowa. - Usta mojego brata nigdy go nie dotkną, podobnie jak moich warg. Tylko jeden mężczyzna może to zrobić... jedno i drugie. - Zbliżyła do niego twarz i przez moment myślałem, że się pocałują, ale Kleopatra w ostatniej chwili

cofnęła się ze śmiechem.

Merianis jej zawtórowała, a ja przypomniałem sobie, że tak samo igrała wcześniej z Apollodorosem. Która z nich naśladuje którą? Obydwie wydały mi się w tej chwili niemożliwie młode - nie widziałem bogini-królowej i jej kapłanki, lecz dwie skore do flirtowania dziewczyny. Nie wiem, co widział Cezar, ale nie ulegało wątpliwości, że mu się to podoba. Miał głupawą minę kogoś całkowicie zauroczonego. Meto, ściskający amforę kolanami, musiał odnieść to samo wrażenie, patrzył bowiem na to widowisko z wyraźną złością.

Kleopatra zwróciła się do niego, unosząc złoty kielich:

- Ponury Meto! Uosobienie rzymskiej surowości. Nigdy ani cienia życzliwości dla królowej Egiptu.

Zaatakowany tak bezpośrednio Meto zmusił się do zmiany wyrazu twarzy, co zaowocowało krzywym, nieprzekonywującym uśmiechem.

- Wstań, ponury Rzymianinie, i nalej swojemu konsulowi trochę wina!

Meto posłusznie podniósł się z sofy i uniósł amforę. Nalewanie z tak ciężkiego i nieporęcznego naczynia do małego pucharu nie było łatwym zadaniem, ale poradził sobie, nie roniąc nawet kropelki. Napełniwszy podsunięte naczynie, odstawił amforę na miejsce i zakorkował.

Kleopatra wolno podeszła do Cezara, podając mu kielich. Ujął go w obie dłonie i podniósł do ust, uśmiechając się do królowej nad ciemną powierzchnią wina, w której odbijały się twarze ich obojga. Kleopatra odwzajemniła uśmiech, ale nagle zmarszczyła brwi.

- Zaczekaj! - wykrzyknęła. - Wino nie było próbowane!

Odciągnęła jego rękę z kielichem tak gwałtownie, że trochę wina rozlało się na posadzkę u jej stóp.

- Próbowane? - zdziwił się Cezar. - Przecież nie ma takiej potrzeby. Wino pochodzi z piwnic Pompejusza i miało nienaruszoną pieczęć.

- Pieczęć można przebić i korek też - upierała się Kleopatra. - Gdzie ja miałam głowę? Trzeba je wypróbować.

- Ale... - zaczął Meto poirytowany.

- Nie! - Królowa nie dopuściła go do słowa. - To jedna z pierwszych lekcji, jakich udzielił mi ojciec. Wszystkie potrawy i napoje ktoś musi próbować i nie ma od tego żadnych wyjątków. Radość chwili przyćmiła mi umysł. Merianis, zawołaj Zoe!

Kapłanka, uprzedzając polecenie swej pani, już zniknęła w drzwiach. Po chwili wróciła z młodą, poważną niewolnicą, która niosła w rękę zwyczajny gliniany kubek. Kleopatra podała złoty kielich Merianis, a ona ułała odrobinę wina do kubka; protokół dworski nie dopuszczał, aby usta niewolnicy dotknęły pucharu przeznaczonego dla królewskiego gościa.

Meto zacisnął szczęki. Pomyślałem, że niecierpliwi go nagła podejrzliwość egipskiej władczyni. Cezar wyglądał na lekko rozbawionego całym zamieszaniem, ale też był trochę zaniepokojony; królowa zdawała się działać nie tylko pod wpływem wyuczonych zasad, ale i jakiegoś przeczucia. Ja sam dostrzegłem jej zdenerwowanie i nagły wyraz strachu w oczach, kiedy powstrzymała go od skosztowania wina.

Zoe zupełnie spokojnie podniosła kubek do ust i wypła jego zawartość. Musiała być przyzwyczajona, że wszyscy ją obserwują, kiedy je lub pije.

Otarła kroplę wina z ust i opuściła rękę. Miała dziwną minę.

- Wasza królewska mość...

- Słucham, Zoe? O co chodzi? - Kleopatra patrzyła na niewolnicę z niepokojem.

Cezar zmarszczył brwi.

- Wasza królewska mość...

Wstrzymałem oddech.

- Próbowałam dla ciebie, pani, wiele gatunków wina... ale nigdy równie wspaniałego!

Napięcie rozwiązało się w jednej chwili. Konsul zaśmiał się cicho, Kleopatra westchnęła, a Meto prychnął lekko, jakby chciał powiedzieć: „I czym się tak martwiłaś?”. Zoe też była uśmiechnięta.

- Naprawdę, pani, nie przesadzam! - ciągnęła. - Próbowałam już kiedyś falerna, choć było to dawno, ale ten jest wyśmienity. Trudno to określić...

- Musimy więc sami się przekonać - zdecydowała królowa. - Idź już, Zoe. Wróć, kiedy podadzą pierwsze danie.

Dziewczyna jednak nie ruszyła się z miejsca.

- Znam smak falerna, ale ten jest... inny... - Patrzyła prosto przed siebie, a jej oczy zrobiły się szkliste.

- Powiedziałaś, że możesz odejść - powtórzyła Kleopatra ostrzejszym tonem.

Zoe nie zwracała na nią uwagi. Mówiła dalej, ale język zaczynał się jej plątać.

- Smakuje jak... jak ogień... Jakby paliło mi się gardło i cały przełyk... aż do żołądka. Słodki ogień... nawet przyjemny... ale jednak pali. Och, pani! Och! Chyba coś jest nie tak z tym winem...

Zoe upuściła kubek. Wszyscy aż podskoczyli, kiedy gliniane naczynie rozbiło się na kamiennej posadzce w drobny mak. Zoe osunęła się na kolana, nagle wstrząsana dreszczem.

- Pani, pomóż mi, błagam!

Kleopatra rzuciła się do dziewczyny, uklękła przy niej i objęła. Zoe spojrzała na nią szklanymi oczami pełnymi szacunku i ufności. Uniosła twarz, jakby spodziewając się pocałunku. Królowa przymknęła powieki i dotknęła ustami jej warg. Ciało niewolnicy nagle zwiotczało. Wydała ostatnie tchnienie.

Kleopatra trzymała ją w ramionach. Zamknęła oczy i zaczęła śpiewać jakąś pieśń po egipsku, być może rodzaj modlitwy za zmarłych. Nikt się nie poruszył. Byliśmy wszyscy jak zaczarowani. Patrzyłem osłupiały, nie wierząc własnym oczom. Kleopatra nie była dla dziewczyny tylko panią i władczynią, lecz i boginią, której boskie pośrednictwo w chwili śmierci mogło sprawić, że zwykła niewolnica od razu otrzyma dar nieśmiertelności.

Kiedy królowa uniosła powieki, domyśliłem się, że była zajęta nie tylko rytualną pieśnią. Najwyraźniej dokonała też jakichś zimnych kalkulacji, sądząc po gniewnym blasku w oczach. Zawołała Merianis; kapłanka odstawiła złoty kielich i podbiegła do swej pani. Uklękła przy niej i zaczęły gorączkową rozmowę szeptem. Merianis obejrzała się przez ramię na Metona z taką dziwną miną, że poczułem nagłe ukłucie lęku. Meto chyba



też coś wyczuł, wyraźnie bowiem pobladł. Cezar uchwycił tę wymianę spojrzeń i patrzył to jedno, to na drugie ze zdziwieniem w oczach.

Miałem wrażenie, że Merianis opiera się sugestiom Kleopatry, dopóki wreszcie królowa nie podniosła głosu.

- Idź i zrób, co ci każę! Sprowadź Apollodorosa!

Kapłanka zerwała się i wybiegła z tarasu. Cezar spojrział na odstawioną amforę, potem na stojącego przy niej Metona, a w końcu zatrzymał wzrok na Kleopatrze i martwej niewolnicy u jej stóp.

- Co tu się, na Hades, stało? - zapytał.

Meto popatrzył na amforę.

- Wino jest zatrute! - powiedział. - Nie ma innej możliwości. W jakiś sposób... - Sięgnął ręką do korka, jakby chciał znów go wyciągnąć.

- Nie! - krzyknął Cezar. - Nie dotykaj tego!

Jego nerwowa reakcja była zrozumiała, ale spojrzenie, jakie przy tym rzucił Metonowi, było ciężkie od podejrzania. Ruszył w stronę Kleopatry, ale powstrzymała go gestem dłoni.

- Jej ka... to, co wy nazywacie lemurem... nie uwolniło się jeszcze. Czuję je tutaj, jak trzyma się ciała. Śmierć Zoe przyszła tak niespodziewanie, że ka jest zdezorientowane, uwięzione między tym światem a tamtym. Nic nie mów i się nie ruszaj.

- Ale ja muszę wezwać swoich liktorów...

- Cisza! - odparła z naciskiem Kleopatra, mierząc go spojrzeniem pełnym ognia.

Patrzyłem na to zdumiony. Dwudziestojednoletnie dziewczę rozkazało najpotężniejszemu mężowi świata znieruchomieć, a on posłuchał bez słowa! Staliśmy więc wszyscy jak skamieniały, niczym aktorzy w finałowej scenie dramatu. W tym totalnym bezruchu wyraźniej zaczęły do mnie docierać odgłosy portu, przytłumione dotąd przez odległość i otaczające pałac ogrody: pokrzykiwania robotników na nabrzeżach, pisk mew, nieustanny szmer drobnych fal. Słoneczne plamki zdawały się tańczyć na płytach posadzki. Chwila nabrała nadzwyczajnej wyrazistości, jak w dziwnym śnie, wszystko było realniejsze od samej rzeczywistości. Czulem zawrót głowy i mimo rozkazu królowej, aby nikt się nie ruszał, przysiadłem na sofie i przymknąłem powieki.

W końcu Merianis wróciła, biegnąc szybko po schodach. Zobaczyłem, że jest zapłakana; wydarzenie widocznie nią wstrząsnęło. Tuż za nią ukazał się ponury Apollodoros.

Kleopatra wstała. Ciało Zoe wysunęło się z jej objęć i opadło jak zrzucone odzienie na posadzkę. Niespokojne ka musiało zostać ostatecznie wyprawione na tamten świat, ponieważ królowa przestała się interesować jego martwą doczesną powłoką. Uniosła oskarżycielsko rękę, wskazując na Metona, i rzekła:

- Chcę, aby go zrewidowano.

Zaskoczony Meto otworzył usta. Cezar zacisnął szczęki i skinał głową.

- Oczywiście, wasza wysokość - odpowiedział. - Zaraz wezwę liktorów, którzy się tym zajmą.

- Nie! Po to właśnie kazałam przyjść Apollodorosowi. On go przeszuka.

Szczęki Cezara zaczęły się poruszać jakby w hamowanej złości.

- Sądzę, wasza wysokość, że w tej sytuacji najlepiej będzie, jeśli...
- To mój dom - przerwała Kleopatra. - To moja niewolnica leży przede mną bez życia. Trucizna była w moim kielichu...
- Ale przeznaczonym dla mnie - wszedł jej w słowo Cezar.
- Napełnionym przez twojego człowieka. Tego samego ponurego Rzymianina, który przyniósł tę amforę. Nie, Cezarze. Nalegam, aby to ktoś z moich ludzi przeszukał Metona.

Cezar zastanawiał się przez długą chwilę. Odwrócił się do Metona, ale unikał jego spojrzenia i zaraz rzekł do Kleopatry:

- Niech tak będzie, wasza wysokość. Niech Apollodoros go przeszuka. Podejdz, Metonie. Unieś ręce i pozwól mu robić, co musi.

Meto miał urażoną minę, ale posłuchał polecenia. Szczęka mu drgała; wiedziałem, że bardzo by chciał rzucić królowej druzgocące spojrzenie, ale dyscyplina przeważyła, patrzył więc tylko prosto przed siebie. Apollodoros przesunął dłońmi po jego ramionach, torsie, wtykając palce za ramię i sprzączki półpancerza. Meto burknął coś do siebie i znów zacisnął szczękę. Kleopatra podeszła bliżej i przypatrywała się wszystkiemu z napiętą uwagą. Cezar przenosił niespokojnie wzrok z Metona na królową i z powrotem. Merianis, która wycofała się na brzeg tarasu, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

Apollodoros nagle znieruchomiał.

- Wasza królewska mość...
- Co takiego, Apollodorosie? Co znalazłeś?

Zamiast odpowiedzi Sycylijczyk wyciągnął spomiędzy dwóch rzemieni napierśnika Metona mały biały przedmiot o cylindrycznym kształcie. Cezar nachylił się, by lepiej widzieć, to samo zrobiła Kleopatra. Podniosłem się z sofy i ruszyłem do Metona z nagłym przecuciem katastrofy.

Apollodoros podniósł przedmiot wyżej, trzymając go delikatnie w dwóch palcach. Był to mały flakonik z alabastru.

Nie mogłem się w porę powstrzymać i głośno wciągnąłem powietrze.

Cała czwórka jak jeden mąż natychmiast spojrzała na mnie: Cezar, Kleopatra, Apollodoros i Meto, z którym po raz pierwszy tego dnia nawiązałem kontakt wzrokowy.

- Tato... - szepnął chrapliwie.

Cezar wyrwał Apollodorosowi flakonik i podetknął mi pod nos.

- Co to jest, Gordianusie?

Patrzyłem na flakonik w osłupieniu. Był otwarty i choć zawartość zniknęła, poczułem słaby zapach znany mi z dnia, kiedy Kornelia wręczyła mi truciznę na galerze Pompejusza. Nie miałem wątpliwości: był to ten sam flakonik.

Nos Cezara niemal stykał się z moim.

- Mów, Poszukiwaczu! Rozkazuję ci! Co o tym wszystkim wiesz?

Zza jego pleców dobiegł mnie spokojny, ale stanowczy głos Kleopatry.

- Tak, Gordianusie. Powiedz nam, co wiesz o tej alabastrowej buteleczce, którą Apollodoros znalazł u twojego syna.





## ROZDZIAŁ 21

Godzinę później byłem w swoim pokoju i w otepieniu szperałem w rzeczach z mojego kufra podróżnego. Kilku legionistów wysłanych ze mną przez Cezara obserwowało każdy mój ruch. Rupa stał po drugiej stronie pokoju, a obaj chłopcy przysiedli na parapecie okna. Nie wyjawiałem im jeszcze żadnych szczegółów zajścia, ale i tak się domyślali, że musiało się zdarzyć coś strasznego. Dla uspokojenia głaskali kota, który ułożył się między nimi i mruczał w najlepsze, obojętny na nasze napięcie.

- Nie ma - mruknąłem pod nosem.

Powoli i metodycznie wyjmowałem wszystko z kufra i rozkładałem na łóżku, a kiedy był już pusty, z tą samą starannością pakowałem rzecz po rzeczy z powrotem, strzepując każdą tunikę, by się upewnić, czy się nic nie zawieruszyło w fałdach, otwierając puzderka na biżuterię Bethesdy w poszukiwaniu małego alabastrowego flakonika. Nie przyniosło to jednak rezultatu. Flakonik od Kornelii zniknął z mojego kufra, a Apollodoros znalazł go u Metona. Miałem do końca nadzieję, że jednak go znaję; teraz nie mogło już być żadnych wątpliwości. Trucizna, którą dostałem od żony Pompejusza - szybka w działaniu, stosunkowo bezbolesna - zabiła niewolnicę Kleopatry.

Moja pierwsza reakcja na widok flakonika w ręku Apollodorosa była tak spontaniczna i obciążająca, że daremnie byłoby udawać niewinnego. Żadne kłamstwo wymyślone *ad hoc* nie zadowoliłoby Cezara. Nie mogłem też po prostu milczeć; przeciwstawiłbym w ten sposób swoją wolę woli imperatora i królowej, a oboje dobrze wiedzieli, jak wymusić zeznania na opornych. Pewnie wytrzymałbym jakąś dozę tortur, ale musiałem myśleć o Rupie, Mopsusie i Androklesie. Nie dopuściłbym, aby stała się im jakakolwiek krzywda, nawet dla ochrony Metona.

Jakaż to była ironia losu! Po wszystkich moich zarzekaniach się, że Meto nie jest już moim synem, że nic już nas nie łączy, a on nic dla mnie nie znaczy, moim pierwszym odruchem było go chronić. Cezar przejrzał mnie od razu.

- Jeżeli Meto nic dla ciebie nie znaczy, Poszukiwaczu, dlaczego nic nie mówisz? Tam leży trup kobiety. Gdyby nie królowa, ja byłbym na jej miejscu! Co wiesz o tej buteleczce? Mów! Zmuszę cię, jeśli będzie trzeba. Żaden z nas sobie tego nie życzy, prawda?

Powiedziałem mu więc, skąd się u mnie wziął flakonik z trucizną. Kiedy widziałem go po raz ostatni? Nie byłem pewien. (W rzeczywistości pamiętałem, że było to w dniu, kiedy dałem Metonowi pamiątkę po Bethesdzie). Jak się znalazł u Metona? Próbowałem grać na zwłokę, twierdząc, że nie mam pojęcia; słysząc jednak groźbę w głosie Cezara, sam Meto pospieszył z odpowiedzią.

- Widziałem go w rzeczach taty, gdy odwiedziłem go w jego komnacie. Trzymał go w swoim kufrze. Powiedziałem, aby się go pozbył, bo się bałem, że może ulec pokusie wypicia trucizny. Ale od tamtej chwili już

flakonika nie widziałem... dopóki ten Sycylińczyk go nie wydobyl nie wiadomo skąd jak kuglarz!

- Chcesz powiedzieć, że Apollodoros ci go podłożył? - spytał Cezar.

- Wiemy już, że ma talent do różnych sztuczek! - Meto rzucił złe spojrzenie Kleopatrze.

- Dosyć! - krzyknął konsul. - Jedno wiemy na pewno: i ojciec, i syn wiedzieli o tej truciznie, a teraz jesteście tu obaj, znaleziono przy tobie pusty flakonik, a niewolnica, która próbowała wina, nie żyje. Metonie, Metonie! Nigdy bym nie sądził...

- Zaczekaj, konsulu! - przerwałem mu. - Może to jakaś pomyłka.

- Jaka pomyłka?

- Pozwól mi wrócić do pokoju i poszukać w kufrze. Flakoniki z alabastru nie są rzadkością. Być może mój wciąż jest na swoim miejscu.

Staralem się, by to wypadło przekonująco, ale sam w to nie wierzyłem. Cezar zachował się przyzwoicie i pozwolił mi to sprawdzić. Jego ludzie zatrzymali Metona, a kilku żołnierzy odwiozło mnie na stały ład, odprowadziło do pokoju i obserwowało moje bezskuteczne poszukiwania. Cała wyprawa posłużyła tylko jako kolejna poszlaka, że Meto musiał jakoś wykraść truciznę po swej pierwszej wizycie.

Ale jak ona się dostała do wina? I dlaczego? Usiadłem na łóżku, przytłoczony wagą wydarzenia. Czy naprawdę było możliwe, że mój syn usiłował odebrać życie Juliuszowi Cezarowi?

Mój syn. Słowa przyszły do mnie nieproszone i pozostały, a ja nie protestowałem. Tak, jak płakałem po Bethesdzie, zacząłem teraz ronić łzy nad Metonem, świadomy, że tracę go na zawsze. Zrozumiałem, dlaczego tak uparcie nie chciałem się z nim pogodzić po tym spotkaniu w Aleksandrii. Nie chodziło o dumę ani o odrazę do niego; powodował mną strach przed taką właśnie sytuacją. Dopiero co straciłem Bethesdę; osobę, którą kochałem nade wszystko na świecie. Jakże mógłbym przeżyć coś takiego po raz drugi? Meto wiódł życie pełne niebezpieczeństw, ryzykował śmierć w boju i podczas misji szpiegowskich, związał swój los z ognistą kometą kariery Cezara. Skoro już raz wykluczyłem go ze swego życia, czyż nie lepiej trwać w tej decyzji, zamiast ciągle się bać perspektywy jego utraty? I tak to się skończyło, pomimo wszystkich moich usiłowań, aby zamknąć przed Metonem serce. Jakaż zła gwiazda przywiodła mnie do Aleksandrii!

Żołnierze dali mi czas na zebranie myśli, ale nie zostawili mnie samego. Cezar kazał im nie spuszczać mnie z oczu. Rupa stał nieruchomo przy oknie z założonymi rękami, zmarszczonymi brwiami i ponurą miną. Chłopcy wiercili się niespokojnie, zagryzali wargi i popatrywali to na siebie, to na mnie, aż wreszcie Mopsus nie wytrzymał.

- Panie, co się dzieje? Co się stało? Chodzi o Metona, prawda?

- Chłopcy, chłopcy! - pokręciłem głową. - To nie wasza sprawa...

- Nie, panie, tak nie można! - Androkles zeskoczył z parapetu. - Mopsus i ja jesteśmy tylko niewolnikami, a Rupa jest... no, po prostu Rupa... ale już nie jesteśmy dziećmi! Stało się coś strasznego i chcemy wiedzieć co. Jesteśmy sprytni, panie...

- I odważni! - wtrącił piskliwie Mopsus.

„I silni”, dodał Rupa milcząco, napinając swój byczy kark.

Jedynym obecnym, który nie zadeklarował się z pomocą, był kot Aleksander. Zmienił tylko pozycję, odwrócił się tyłem do pokoju i wyglądał przez okno na port.

- Może w czymś ci pomożemy, panie.

Spojrzałem na Androklesa, wciąż jeszcze dziecko, choć buńczucznie udające starszego, i przypomniałem sobie Metona, gdy był w tym samym wieku. Od tamtej pory zmienił się w mężczyznę, zjeździł cały świat, zabijał ludzi, stał u boku Cezara i wraz z nim zanurzał ręce w nurcie historii; a przecież gdzieś na dnie serca wciąż trzymała się uporczywa myśl, że jest równie bezbranny i wrażliwy jak Androkles, i wciąż potrzebuje mojej ochrony... i karcącej dłoni. W tej chwili ostatecznie zaakceptowałem Metona i jego wybór drogi życia. Odrzuciłem fałszywe założenie, że w jakiś sposób odpowiadam za jego czyny, pogodziłem się z jego niezależnością i przyznałem przed samym sobą, że go nadal Kocham. Kiedy teraz znalazł się w opałach, nie będę go sądził, ale zrobię wszystko, aby mu pomóc.

- Meto jest oskarżony o próbę zabójstwa imperatora za pomocą trucizny, którą zabrał z tego kufra - powiedziałem wprost.

- Och, nie! - krzyknął Mopsus.

- To nie może być prawda, panie! - zawtórował mu Androkles.

- Prawda, Androklesie? - odparłem. - Nie wiem, jaka jest prawda.

- Ale jeśli Meto zrobił coś takiego...

- To zdam się na łaskę Cezara. Będę darł na sobie tunikę, szarpał za włosy, żebrał bezwstydnie łaski. Lata spędzone przy adwokatach w rodzaju Cyncerona chyba mnie nauczyły kilku metod perswazji. Użyję ich teraz dla dobra Metona.

- Ale on przecież jest niewinny, prawda, panie?

- Jeśli jest niewinny, Mopsusie, zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby go obronić. To dziwny kraj. Sprawiedliwość jest tu kaprysem ludzi, w których żyłach płynie królewska krew. Prawo to dekrety chwiejnych władców. Nie mają nic wspólnego z prawdą, sprawiedliwością, dowodami. Myślę, że niedługo tak samo będzie w Rzymie. Cezar bierze lekcje u tych nilowych krokodyli i zamierza wprowadzić ich zwyczaje nad Tybrem. Ale nawet w Egipcie prawda jest prawdą, a dowód dowodem. Być może uda mi się jeszcze coś zrobić, aby uratować mojego syna.

- A my ci pomożemy, panie - upierał się Androkles.

- Jeśli taka będzie wola bogów - westchnąłem.

- I co, znalazłeś to?

Cezar stał w swojej komnacie przy oknie wychodzącym na wschód, spoglądając na dachy budynków w dzielnicy żydowskiej i dalej, ku niewidocznemu stąd Nilowi.

- Nie, konsulu.

Skinął głową. Widziałem, że ten gest nie sprawił mu przyjemności, mimo iż stał tyłem do mnie. Ręce splótł na plecach, obracając w palcach alabastrowy flakonik. Dopiero po dłuższej chwili odwrócił się do mnie.

- Właśnie odebrałem niepokojącą wiadomość. Jak tam twój wzrok,

Gordianusie?

- Słucham?

- Stań tutaj i popatrz na wschód, za miasto. Na tę smugę pustyni dzielącej nas od Nilu. Co widzisz?

- Niewiele, konsulu. Jak powiedziałeś, pustynia jest tylko wąską smugą, na dodatek przesłoniętą wielką chmurą pyłu.

- Otóż to. Ten pył wzbija maszerująca armia. Mój wywiad donosi, że wszystkie siły Ptolemeusza ruszyły z ich fortecy na pustyni i ciągną w tę stronę pod wodzą niejakiego Achillasa. Zdaje się, że miałeś okazję go poznać?

- Niezupełnie.

- Ale widziałeś go z bliska.

- Widziałem z okrętu, jak morduje Pompejusza. Później, na moich oczach i niemal pod moim nosem, udusił gołymi rękami szpiega.

- A więc brutalny morderca?

- W obu wypadkach działał na zlecenie króla, czyli można powiedzieć, że zlikwidował Pompejusza, a na szpiegu dokonał egzekucji... jeśli przyjąć, że niektóre zabójstwa są mordami, a inne nie.

Cezar spojrział na mnie spođe łba.

- Zabijałem ludzi w walce, a moi podkomendni zabili wielu innych. Czy nazwałbyś mnie mordercą, Gordianusie?

- Nigdy bym się nie ważył wygłosić takiej opinii, konsulu.

- Wykręcasz się od odpowiedzi, co? - prychnął ironicznie Cezar. - Coraz bardziej przypominasz mi Cyncerona. Gięcie słów, wyłamywanie palców, wieczna dwuznaczność... Nasiąkłeś przez lata jego metodami.

- Czasy, w jakich żyjemy, wszystkich nas zmuszają do wkraczania na ścieżki, których sami byśmy nie wybrali - odparłem sucho.

- Mów za siebie, Poszukiwaczu. Za dużo czasu spędzasz na oglądaniu się wstecz. Przyszłość jest przed nami.

- Przyszłość, która wkrótce przywiedzie pod bramy Aleksandrii armię Ptolemeusza.

- Na to wygląda. Nie było moją intencją zamieniać Aleksandrii w pole bitwy. Chciałem tylko doprowadzić do polubownego zakończenia sporu między królem i królową i ruszyć w swoją drogę. Teraz jednak stoję w obliczu prawdziwej wojny, a proporcje sił mi się nie podobają. Posłałem już po posiłki, ale kto wie, kiedy przybędą? Póki co ich jest wielu, a nas mało. Co prawda siły Achillasa trudno nazwać regularną armią według rzymskich norm. Ich trzon stanowią legionieści przybyli tu pod wodzą Gabiniusza, aby przywrócić tron poprzedniemu Ptolemeuszowi, a potem strzec pokoju w kraju. Zdaje się, że zapomnieli, kim są, zeniąc się z miejscowymi kobietami i przyjmując tutejsze zwyczaje. To, że jeden z nich zgodził się z zimną krwią zamordować Pompejusza, dowodzi, jak daleko odeszli od swoich korzeni. Poza nimi reszta to najemnicy, zbiegli niewolnicy i cudzoziemscy przestępcy. Nie znają dyscypliny ani lojalności; kiedyś, gdy żądali podwyżki żołdu, obiegli pałac, aby ją wymusić. Ale nie zapomnieli, jak się walczy. Pod komendą dowódcy równie krwiożerczego jak oni mogą być groźnym przeciwnikiem. - Cezar zaczął krążyć po komnacie, wciąż obracając w palcach flakonik po truciznie. Mogłoby się

wydawać, że wcale nie myśli o Metonie. - Powiedziałeś przed chwilą, że Pompejusz został zabity na rozkaz króla. Wierzysz w to, Gordianusie? Czy Ptolemeusz jest zdolny do samodzielnego podjęcia takiej decyzji, bez podszeptów Potejnosa?

- Chyba zdążyłeś poznać króla bliżej niż ja, konsulu. Sam najlepiej ocenisz jego charakter i możliwości.

- Tak sądzisz? Chcesz znać prawdę, Gordianusie? Ci Ptolemeusze są dla mnie zupełną zagadką. W głowie mi się od tego kręci. To jakiś absurd! Mistrz strategii, wytrawny polityk, zdobywca Galii, pogromca Pompejusza nie potrafi sobie dać rady z dwójką dzieciaków!

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

- Kleopatra to nie dziecko, konsulu, choć komuś w naszym wieku może się wydawać młodzieńcem. A skoro już mam wyrazić swoje zdanie, to i Ptolemeusz przestał być chłopcem. W Rzymie za rok nałożyłby męską togę i stał się pełnoprawnym obywatelem. Czy ty jako piętnastolatek nie byłeś nad wiek dojrzały, konsulu?

- Może i tak, ale na pewno nie byłem gotowy do rządzenia takim krajem jak Egipt! Kiedy ja byłem w wieku Ptolemeusza... - Rysy Cezara nieco zmiękły. - Straciłem wtedy ojca. To się stało nagle, któregoś ranka, kiedy wiązał sandały. Był silnym, pełnym wigoru mężczyzną w kwiecie lat, moim mentorem i bohaterem. W jednej chwili zadrżał i upadł na podłogę martwy jak król Numa. Dziadek zmarł tak samo: w średnim wieku, nagle, bez widocznych przyczyn. Być może to jakaś wada przechodząca z ojca na syna; jeśli tak, to już przeżyłem przeznaczony mi czas i żyję na kredyt. Mogę umrzeć w każdej chwili. Kto wie, czy nie padnę tu i teraz, podczas naszej rozmowy! - Popatrzył na odległą chmurę pyłu i westchnął. - Wspominam ojca codziennie... za każdym razem, gdy wkładam buty. Dla chłopca wchodzącego w wiek męski stracić ojca to bardzo smutna rzecz. To samo się przytrafiło Ptolemeuszowi, choć w dniu śmierci Auletesa on był jeszcze młodszy. Myślę, że właśnie dlatego tak bardzo pragnie uczucia i rady starszego mężczyzny.

- Mówisz o Potejnosi? - spytałem.

Cezar się roześmiał.

- Oszczędzę ci banalnego dowcipu na temat męskości Potejnosa. Nie, Gordianusie, mówię o sobie. Wtedy w sali tronowej, gdy mówiłem o specjalnych więzach przyjaźni między mną i królem, nie rzucałem pięknych słówek na wiatr jak Cyncero.

- O ile mogę zrozumieć zafascynowanie króla Cezarem... - zacząłem.

- Nie rozumiesz fascynacji Cezara królem - dokończył za mnie konsul. - Ptolemeusz jest inteligentny, wrażliwy, uparty, przekonany o swym boskim przeznaczeniu...

- Jak jego siostra?

- Absolutnie, choć brakuje mu jej poczucia humoru. Taki poważny młodzieniec... a cóż za temperament! Ten jego wybuch, przemowa do tłumu i zbezczeszczenie korony... - Cezar pokręcił głową. - Działaniem za szybko, nalegając, aby się pogodził z siostrą. Powinienem był przewidzieć jego reakcję.

- Ja miałem wrażenie, że król się zachowuje jak zazdrosny kochanek -

powiedziałem, patrząc spokojnie na rozmówcę, choć jednocześnie zastanawiałem się, czy nie przesadziłem ze szczerością wypowiedzi.

Cezar zmrużył oczy.

- Intymne stosunki między starszym mężczyzną i młodzieńcem zawsze były lepiej postrzegane w świecie grekojęzycznym niż u nas. Sam Aleksander miał Hefajstiona, a później tego perskiego chłopca, Bagoasa. Gdyby władca miasta Macedończyka zwrócił się ku mnie w tym duchu męskiej miłości, czyż nie powinienem być tym zaszczycony? Młodzi ludzie mają naturalną skłonność do uwielbiania swych bohaterów. Im ambitniejszy lub wyżej urodzony młodzieniec, tym wybitniejszego starszego męża pragnie naśladować.

- A więc schlebia ci zainteresowanie okazane przez Ptolemeusza?

- Tak. Ale w inny sposób niż zainteresowanie mną jego siostry.

- Ludzie mówią, że Cezar sam za młodu interesował się królem.

Spokój w moim głosie był odwrotnie proporcjonalny do zuchwałości słów. Wszyscy znali plotkę o Cezarze i bityńskim królu Nikomedesie. Jego przeciwnicy polityczni wykorzystywali ją, aby go ośmieszyć... ale większość z nich już nie żyje. Żołnierze z jego armii pozwalali sobie na różne dowcipy na ten temat, ale ja się nie zaliczałem do towarzyszy broni Cezara. Lecz w końcu to on sam wszedł na tę ścieżkę w rozmowie.

Jego odpowiedź była nadspodziewanie szczera. Być może obaj osiągnęliśmy ten etap w życiu, kiedy własna przeszłość wydaje się odległą historią i łatwiej o miłe skojarzenia niż o powód do złości.

- Ach, Niko! Kiedy wkładam sandały, myślę o ojcu, a gdy je zdejmuję, przypominam sobie Nikomedesa. Miałem dziewiętnaście lat i pracowałem dla pretora Minucjusza Termusa w rejonie Morza Egejskiego. Termus potrzebował wsparcia floty króla Nikomedesa i musiał wysłać emisariusza na jego dwór. Wybrał mnie. Myślę, że się sobie spodobać, powiedział z dziwnym błyskiem w oku. Stary cap miał rację! Niko i ja tak się zaprzyjaźniliśmy, że zostałem w Bitynii, choć Termus już przysłał po mnie. Cóż to był za człowiek! Urodzony, by rządzić, pewny siebie, z żarłocznym apetytem na życie, jednym słowem władca, jakim jeszcze może się stać Ptolemeusz. Ileż mógł nauczyć gorliwego, ambitnego rzymskiego młodzieńca, który już nie był chłopcem, ale jeszcze nie całkiem się zmienił w mężczyznę. Ach, jaki ja wtedy byłem naiwny, niewinny i ciekawy świata!

- Nie wyobrażam sobie, byś kiedykolwiek był naiwny, konsulu - wtrąciłem.

- Niestety! Młodzik, którego Niko uczył życia, dawno zniknął. Ale te złote lata pamięta się tak wyraźnie, jakby dopiero co minęły. Zamknę oczy i znów jestem w Bitynii, bez jednej blizny na ciele, za to z całym życiem przed sobą. Myślisz, że Ptolemeusz będzie mnie wspominał tak żywo, kiedy się zestarzeje, będzie zmęczony i znużony panowaniem, a po gościu zwanym Cezarem dawno zostanie tylko garstka prochu?

- Myślę, że cały świat będzie pamiętał Cezara jeszcze długo potem, kiedy zaginie pamięć o Ptolemeuszach.

Powiedziałem to tonem rzeczowym, ale Cezar źle mnie zrozumiał. Jego rozmarzenie zniknęło jak nożem uciął.



- Daj spokój, Gordianusie! Ostatnią rzeczą, jakiej mi teraz trzeba, są pochlebstwa... a już zwłaszcza od ciebie!

Przez cały czas naszej rozmowy bawił się bezwiednie alabastrowym flakonikiem. Teraz ścisnął go mocno, aż jego kłykcie zrobiły się równie białe jak buteleczka. Nagle cisnął nią z całej siły o ścianę. Flakonik nie rozprysnął się, ale odbił i uderzył mnie w nogę. Nieszkodliwie, ale aż podskoczyłem z wrażenia.

Gest najwyraźniej rozładował furie Cezara. Konsul odetchnął głęboko i rzekł:

- Akurat teraz, gdy już myślałem, że za chwilę uda mi się zaprowadzić pokój między królem i królową, Achilles maszeruje na Aleksandrię, a ktoś chce mnie otruć.

- Może to Kleopatra miała być ofiarą.

- Może. Ale jak i kiedy wino zostało zatrute? I przez kogo? Wiemy, skąd się wzięła trucizna, i dlatego ty jesteś podejrzany.

- Konsulu, ja nawet nie wiedziałem, że flakonik zniknął z mojego kufra...

- Już to wyjaśniałeś. Pozostaje jednak możliwość, że działałeś wspólnie z synem. Dałeś mu truciznę, wiedząc, jak zamierza ją spożytkować. Spiskowaliście przeciwko mnie?

- Nie, konsulu. - Pokręciłem gwałtownie głową.

- Meto twierdzi, że nic o tym nie wie. Kleopatra radzi mi wziąć go na tortury. Nie rozumie, jaką on ma silną wolę. Sam go uczyłem, jak wytrzymywać przesłuchania. Gdyby jednak męki miały mu rozwiązać język...

- Nie, konsulu! Nie rób tego!

- Muszę poznać prawdę.

- Może... Może ja ją odkryję dla ciebie. Jeśli pozwolisz...

- Dlaczego? Meto nic dla ciebie nie znaczy. W Massilii się go wyrzekłeś. Sam byłem tego świadkiem.

- Błagam, konsulu! Pozwól mi pomóc mojemu synowi.

Cezar patrzył na mnie przez długą chwilę. Blask w jego oczach przygasł, jakby ogarnęło go jakieś mroczne, silne uczucie, ale twarz pozostała bez wyrazu. W końcu przemówił.

- Przez lata twój syn okazywał mi wielką lojalność. Wynagradzałem jego oddanie zaufaniem, jakim darzyłem bardzo niewielu ludzi. A jednak, kiedy dziś zmarła ta niewolnica, nie byłem zbyt zaskoczony. Robak zdrady rodzi się malutki, ale rośnie. Sięgnąłem myślami wstecz i uzmysłowiłem sobie, że między mną a Metonem rozdźwięk narastał już od dłuższego czasu. Oznaki były bardzo subtelne. Nigdy otwarcie mi się nie sprzeciwiał, ale dostrzegałem jego przelotne, kwaśne miny, słyszałem w jego głosie słabe nuty buntu. Jeżeli rzeczywiście mnie zdradził, zostanie ukarany.

Zagryzłem wargę.

- Cezar jest znany z łaskawości - zauważyłem.

- Tak, Gordianusie, okazywałem wiele łaskawości tym, którzy walczyli przeciwko mnie. Wybaczyłem nawet temu szczerowowi Domicjuszowi Ahenobarbusowi, by zaraz potem ujrzeć go znów w szeregach wroga w Massilii, a później pod Farsalos. Ale dla zdrajcy, który ucieka się do

kłamstw i trucizny, łaski być nie może. Powiem ci od razu, Poszukiwaczu: jeżeli chodzi ci po głowie myśl, że wybłagasz u mnie życie twojego syna, zapomnij o niej. Oszczędzisz sobie upokorzenia. Nie trudź się rwaniem szat i laniem łez, jak któryś z winnych klientów Cyncerona starających się wzbudzić litość w sędzie. Jeśli Meto to zrobił, mój werdykt będzie surowy i nieodwołalny, rozumiesz?

- Tak, konsulu. Ale jaki będzie, gdy zdołam ci udowodnić jego niewinność?

W jego oczach znów zagościł cień.

- Jeżeli Meto tego nie zrobił, to znaczy, że ktoś inny ponosi winę.

- Też tak uważam, konsulu.

- A w takim razie prawda może okazać się kłopotliwa.

- Nie bardzo rozumiem...

- Truciciel musiał pochodzić z jednego z trzech obozów: mojego, królowej albo króla. Jakakolwiek jest prawda, jej odkrycie może spowodować... dalsze komplikacje. I dlatego o wszystkim, co odkryjesz, będziesz meldował osobiście mnie i nikomu innemu. Rozumiesz?

- Tak, konsulu.

Cezar przeszedł przez pokój, schylił się i podniósł nieszczęsny alabastrowy flakonik, oglądając go pod światło.

- Cóż by to była za ironia, gdyby trucizna przeznaczona dla wdowy po Pompejuszu zabrała życie jego rywala! Nie sądzisz, że nasz truciciel może mieć poczucie humoru?

- Wezmę to pod uwagę, konsulu.





## ROZDZIAŁ 22

Musiałem się schylić, żeby przejść przez niskie drzwi. Strażnik, jeden z legionistów, zatrzasnął je za mną. Meto zerwał się z pryczy na równe nogi.

Trzymali go w małej celi w podziemiu. Ściany były tu wilgotne, a jedyne światło wpadało przez maleńkie zakratowane okienko umieszczone wysoko nad nami. Dolatywały przez nie znajome już, stłumione odgłosy portowe.

- Tato! Co ty tu robisz? Cezar chyba nie myśli, że miałeś coś wspólnego z...

- Nie jestem tu jako więzień, Metonie. Cezar pozwolił mi cię odwiedzić.

- Sprawdziłeś kufer?

- Tak. Flakonika w nim nie było. Nie wiem, kiedy ktoś go mógł zabrać. Ma go teraz Cezar. Chce wiedzieć, jak to się stało, że znaleziono go przy tobie.

- Ale ja go nigdy nie miałem! Widziałem go tylko jeden jedyny raz w życiu, wtedy u ciebie, kiedy radziłem ci go wyrzucić.

- Ach, gdybym tylko cię posłuchał!

- To szaleństwo. - Meto pokręcił głową. - Dlaczego Cezar mnie tu zamknął? Nie może przecież wierzyć, że usiłowałem go otruć!

Przypomniałem sobie cię w jego oczach.

- Obawiam się, że wierzy, choć sprawia mu to wielki ból. Jeżeli jednak uda się nam udowodnić, że się myli...

Meto stał wpatrzony w mokrą ścianę, nie słuchając, co do niego mówię.

- Jakże bogowie muszą mnie nienawidzić! Najpierw ty się mnie wyrzekłeś, tato. Myślałem, że nic gorszego już nie może mnie spotkać. Teraz jednak i Cezar się ode mnie odwraca. Wszystko, co w życiu kochałem, czemu ufałem i poświęciłem życie, opuściło mnie. Dlaczego w ogóle pozwoliłem sobie oczekiwać czegoś więcej? Zacząłem życie jako sierota i niewolnik, a zejść z tego świata w jeszcze gorszym położeniu: napiętnowany jako zdrajca, bez ojca, bez przyjaciela, bez imienia.

- Nie, Metonie! Cokolwiek by się jeszcze stało, ty zawsze będziesz moim synem.

Spojrzał na mnie przez łyżę.

- W Massilii...

- W Massilii popełniłem błąd i teraz chcę go naprawić. Jesteś moim synem, Metonie. Ja jestem twoim ojcem. Przebacz mi.

- Tato!

Objąłem go mocno. Po raz pierwszy od tamtego dnia w Massilii ten kawałek mojego serca, który był martwy i zimny, ożył. Poczulem niemal fizyczną ulgę, jakby wypadł mi tkwiący dotąd w piersi ostry kamień. Nauczyłem się nie zwracać uwagi na ból, aby móc go znosić, ale teraz, gdy ustąpił, zdałem sobie sprawę, jakie niszczące, męczące brzemie cierpienia sobie narzuciłem. Czułem przy sobie ciepło Metona, jego mocne ciało i radowałem się, że wciąż jest na tym świecie, cały i zdrowy. Jak długo

jeszcze? Straciłem w Egipcie Bethesdę, odnalazłem Metona. Czy po to przyjąłem go znowu do serca, aby zaraz i jego utracić na zawsze?

Rozłączyliśmy się i głęboko odetchnęliśmy, spuściwszy oczy, zawstydzeni i do głębi poruszeni tą chwilą. Odchrząknąłem.

- Nie mogę zostać z tobą długo. Musimy porozmawiać i to szybko. Pamiętaj jednak, aby nie powiedzieć niczego, co nie powinno być przez kogokolwiek innego usłyszane. Te ściany wyglądają na litą skałę, ale mogą mieć uszy i oczy.

- Nie ma nic, czego nie mógłbym powiedzieć głośno, tato. Nie mam nic do ukrycia.

- Wiem, ale...

Pomyślałem o tym, co mi wyjawiał przy spotkaniu w mojej kwaterze; jego wątpliwości co do Cezara i niedoli, jakie zostawiał za sobą. Gdyby ktoś z ludzi konsula podsłuchał naszą rozmowę, czyż słowa Metona nie mogłyby zostać uznane za buntownicze? Teraz, gdy oskarżano go o jawną zdradę, wszystko, co powie przeciwko Cesarowi, będzie widziane w jak najgorszym świetle, nie odważyłem się więc dalej go o to pytać.

Po raz pierwszy pozwoliłem sobie na rozważenie możliwości, że Meto mógłby naprawdę być winny próby zabójstwa Cezara. Nie miałyby to sensu, chyba że jego niechęć do wodza miała głębsze podłoże, niż mi powiedział. Czy jednak nie było możliwe, że trucizna miała zabić Kleopatę i przez to wyeliminować jej wpływ na Cezara? Patrzyłem Metonowi w oczy, starając się wyczytać w nich prawdę. Czy mój syn jest trucicielem, do tego nieudolnym? W zakamarku serca, który dopiero co wrócił do życia, znów zakiełkowało ziarenko wątpliwości.

- Apollodoros znalazł przy tobie flakonik. Jak to się mogło stać?

- Nie mam zielonego pojęcia, tato.

- Cezara taka odpowiedź nie zadowoli.

- Cezar powinien wiedzieć, że mówię prawdę! Po wszystkim, cośmy razem przeszli, taka nieufność wobec mnie to absurd!

- Być może. Ale wyteż umysł, Metonie. Jak to było? Czy Apollodoros po prostu wyciągnął rękę z flakonikiem, twierdząc, że znalazł go u ciebie? Czy też rzeczywiście natrafił na niego podczas rewizji?

Meto zmarszczył brwi.

- Pamiętam, że pociągnął za niego, a kiedy spojrzałem w dół, na własne oczy ujrzałem, że jest wciśnięty między dwa rzemienie przymocowane do mojego napierśnika. Nie mogłem w to uwierzyć! Nie było go tam, kiedy rano nakładałem zbroję.

- Czy ktoś inny mógł ci go podrzucić wcześniej?

- Nie wiem jak. Jeśli jednak ktoś mógłby coś takiego zrobić bez mojej wiedzy, to skąd będzie wiadomo, kto i kiedy?

- Skąd się wzięła ta amfora z falernem? - spytałem.

- Trzymano ją w magazynie na jednej z galer wraz z prywatnymi rzeczami Cezara. Dziś wcześniej rano posłał mnie po nią.

- Czy ktokolwiek wiedział, że Cezar zamierza pić to wino?

- Nie wiem, czy on sam to wiedział. Zdecydował się dość nagle. Chciał zrobić wrażenie na królowej.

- Kiedy zabierałeś amforę, nie było żadnych oznak świadczących o tym,

że ktoś przy niej majstrował?

- Chyba nikt jej nie dotykał, odkąd została załadowana na statek. Trudno było mi nawet ją odszukać. Była zagrzebana w rogu ładowni pod innymi rzeczami Pompejusza zdobytymi w jego namiocie: składanymi krzesłami, lampami, dywanami, kapami i tak dalej. Nie wyglądało na to, że ktokolwiek to wszystko ruszał. Kiedy ją wreszcie znalazłem, omiotłem dokładnie z kurzu, żeby się upewnić, iż to właśnie to falerno, po czym starannie sprawdziłem stan pieczęci. Potem przez cały czas miałem amforę przy sobie i nie spuszczałem z niej oka. Jeśli więc się zastanawiasz, czy ktoś mógł wiedzieć, że Cezar zamierza dziś otworzyć tę amforę i wcześniej zatrucić wino, możesz sobie to darować. Nie ma takiej osoby... poza, być może, mną.

- Metonie! Ściany mają uszy! Nie mów nic podobnego nawet w żartach.

- A dlaczego? Jeśli mają mi wytoczyć proces, możemy próbować przewidzieć, co powiedzą oskarżyciele. Prawda jest taka: to ja miałem możliwość zatrucić wino przed otwarciem amfory. Być może tylko ja. Ale ja tego nie zrobiłem. Nikt inny zresztą też, bo pieczęć była nienaruszona.

- Z pieczęciami można sobie poradzić.

Meto pokręcił głową.

- Rozumiem, że chcesz rozważyć wszystkie możliwości, tato. Ale ciąg logiczny prowadzi prosto do flakonika z alabastru. Znalazł się na miejscu zbrodni, był pusty, a wiemy, że zawierał truciznę. Nie wiemy tylko, kiedy i jak dostała się do wina. Czy ktoś wlał ją do otwartej amfory i cała zawartość jest zatruta, czy też tylko do pucharu, który Kleopatra podała Cezarowi, a potem nagle kazała spróbować Zoe. Nie wiem, jak ktokolwiek mógłby zrobić jedno lub drugie niepostrzeżenie. Ja sam zdjęłem wosk i wyjąłem korek z amfory, sam też nalewałem do pucharu. Nie wyobrażam sobie, jak trucizna mogła trafić do wina, jeśli to nie ja ją tam wlałem.

- Metonie!

- Przepraszam, tato. To ja miałem sposobność, a nikt inny nie mógł tego zrobić bez mojej wiedzy.

- W takim razie może tylko puchar był zatruty. Ale kiedy? Przypomnijmy sobie zdarzenia i sprawdźmy, czy obydwaj pamiętamy ich kolejność tak samo. Królowa kazała Merianis przynieść dwa złote kielichy, dziewczyna spełniła polecenie. Kleopatra pokazała jeden z kielichów Cezarowi, potem podsunęła tobie, a ty nalałeś wina. Podała go Cezarowi, ale zanim się z niego napił, wezwała niewolnicę do spróbowania. Kleopatra wręczyła kielich Merianis, ta odlała z niego odrobinę do kubka przyniesionego przez Zoe. Zoe wypila wino i zaraz potem trucizna zadziałała. Czy tak to wszystko zapamiętałeś?

Meto skinął głową.

- Ale co się stało z winem, które zostało w kielichu? - spytałem.

- Merianis trzymała go jeszcze w ręku, kiedy Kleopatra podbiegła do Zoe. Potem jednak królowa kazała jej podejść, odstawiła więc kielich na posadzkę. Rozmawiały chwilę cicho, tak że my nic nie mogliśmy usłyszeć, a potem Merianis poszła po Apollodorosa.

- I co dalej?

- Nie wiem. W którymś momencie musiano się go pozbyć dla pewności,

żeby nikt się z niego nie napił. Tak, teraz sobie przypominam! To było po twoim odjeździe z wyspy. My wszyscy zostaliśmy na tarasie, potem nadeszło więcej żołnierzy i zostałem odprowadzony do celi. Przedtem jednak królowa poleciła Apollodorosowi wlać wino z kielicha z powrotem do amfory...

- Na jądra Numy! Teraz cała amfora jest zatruta i się nie dowiemy, czy tak było wcześniej, czy nie! Trzeba ją było zostawić w spokoju.

- Czy to ma jakieś znaczenie, tato?

- Rusz głową, Metonie! Jeśli trucizna była tylko w pucharze, byłby to dowód na to, że nie zatrąłeś wina w amforze. Ktoś musiał wlać zawartość flakonika do pucharu, ale ty nawet go nie dotknąłeś! Teraz jednak nigdy się tego nie dowiemy. A więc zrobiono to na rozkaz królowej?

- Tak.

- A Cezar jej nie powstrzymał?

- Cezar był akurat zajęty przesłuchiowaniem mnie. Żaden z nas nie zwracał uwagi na to, co się dzieje z kielichem. Kiedy jednak zapytałeś, przypomniałem sobie, jak Kleopatra powiedziała coś o tym, że kielich jest teraz nieczysty i że nikt nie ma więcej z niego pić. Pamiętam też, że widziałem kątem oka, by tak rzec, jak Apollodoros wlewa wino do amfory.

- Czy amforę zabezpieczono?

- Chyba tak. Tak, widziałem, że Apollodoros ją zakorkowuje, a kiedy mnie wyprowadzano, zdaje się, że wyniósł ją jeden z naszych żołnierzy. Zakładam więc, że jest w rękach Cezara. Ale jak powiedziałaś, wiemy już, że całe wino jest teraz zatrute.

- Masz rację. Amfora na nic się nam już nie przyda. Nie wiem, co nam się w ogóle może przydać - powiedziałem, dodając w duchu: „Zwłaszcza, że wszystkie poszlaki wskazują na twoją winę, synu!” Głośno zaś rzekłem:

- Wydaje mi się nie do pomyślenia, aby człowiek o doświadczeniu i inteligencji Cezara mógł patrzeć beczynn timer, jak tak ważny dowód zostaje bezpowrotnie utracony.

- Może to uszło twojej uwagi, tato, ale inteligencja Cezara nie jest w najlepszej formie, kiedy w pobliżu jest królowa.

- Metonie, trzymaj takie złote myśli dla siebie.

- To, co powiem, pomyślę czy zrobię, nie ma większego znaczenia, tato. Nadszedł mój koniec. Nie usiłowałem otruć Cezara, ale zostanę za to ukarany. Może i dobrze. Nic nie zrobiłem, kiedy ten galijski chłopiec został pozbawiony rodziców i sprzedany w niewolę. Nie, to nieprawda... Mój miecz brał udział w masakrze, a moje pióro sławiło ją potem, kiedy pomagałem Cezarowi pisać pamiętnik. Teraz umrę za coś, czego nie zrobiłem. Czy słyszysz, jak bogowie się śmieją, tato? Egipskie bóstwa muszą być równie kapryśne i przebiegłe jak nasze.

- Nie, Metonie! Nie poniesiesz kary za nie swoją winę.

- Jeśli to bawi bogów, sprawi przyjemność Cezarowi i usatysfakcjonuje królową Kleopatę...

- Nie! Odkryję prawdę, synu, a ona cię uratuje.

Roześmiał się niewesoło i otarł łzę z oka.

- Och, tato, jak ja za tobą tęskniłem!

- A ja za tobą, Metonie.



## ROZDZIAŁ 23

- Zdajesz sobie sprawę, że pozwalam na to tylko dlatego, że Cezar mnie o to prosił?

Kleopatra siedziała na tronie w głównej komnacie pałacu na Antyrodos i patrzyła na mnie z góry. Kiedy przybyłem do niej wcześniej tego dnia z Merianis, zostałem nieformalnie dopuszczony do towarzystwa królowej; atmosfera podczas drugiego spotkania była zupełnie inna. Twardy marmur gniótł mnie w kolana, a w komnacie mimo upalnego popołudnia panował wyczuwalny chłód.

- Apollodoros i Merianis są moimi poddanymi. Nie masz prawa ich przesłuchiwać.

- Słowo „przesłuchanie” implikuje wrogie zamiary, wasza wysokość - odparłem. - Ja proszę tylko o rozmowę z nimi. Chcę tylko ustalić prawdę...

- Prawda jest już ustalona, Gordianusie Poszukiwaczu. Z siebie tylko znanych przyczyn twój syn usiłował dziś kogoś otruć. Może Cezara, może mnie, a może nas oboje. Jeśli chcesz znać prawdę, przesłuchaj jego.

- Już to zrobiłem, wasza wysokość. Ustalić kolejność wydarzeń mogę jednak tylko, zadając pytania wszystkim, którzy byli ich świadkami...

- Dosyć! Powiedziałam ci już, że pozwalam, ale tylko na prośbę Cezara. Z kim chcesz najpierw rozmawiać?

- Myślę, że z Merianis.

- Dobrze. Idź na taras, tam ją znajdziesz.

Merianis stała oparta o niską balustradę, zapatrzona na panoramę miasta za wodą. Słyszając moje kroki, odwróciła się. Na jej twarzy nie było radosnego wyrazu, do jakiego zdążyłem już przywyknąć. Merianis była zmartwiona.

- Czy to prawda, co ludzie mówią? - spytała.

- Co masz na myśli, Merianis?

- Podobno armia Achillasa maszeruje na Aleksandrię. Może tu się pojawić w kilka godzin.

- Tak mówi Cezar - potwierdziłem.

- A zatem szykuje się konfrontacja. Koniec z tym całym tańcem. Cezar będzie musiał wybierać, a potem zginie wielu ludzi.

- Cezar wolałby doprowadzić do zgody między królem i królową. Jeszcze uważa to za możliwe.

Merianis popatrzyła na mnie przeciągle, po czym spuściła wzrok.

- Nie przyszedłeś tu rozmawiać o polityce.

- Nie. Chcę zrozumieć, co tu zaszło dziś rano.

- Byłeś tu, widziałeś i słyszałeś.

- Ty też tu byłaś, Merianis. Co widziałaś i słyszałaś?

Odwróciła się.

- Przykro mi z powodu twojego syna, Gordianusie.

- Dlaczego, skoro jesteś przekonana, że chciał otruć królową?

- Po prostu ci współczuję. Boleję nad tym, że w Egipcie spotykają cię takie nieszczęścia.

Chciałem spojrzeć jej w oczy, ale ona nie patrzyła w moją stronę.

- Kiedy Kleopatra zdecydowała, że wino trzeba wypróbować, posłała cię po Zoe. Gdzie ją zastałaś?

- W jej pokoju, przyległym do prywatnych komnat królowej.

- Nie w kuchni?

- Oczywiście, że nie! Niewolnikom od próbowania potraw nie wolno się nawet zbliżać do kuchni. Żaden nie może zjeść niczego poza kontrolą. Zoe żyła samotnie w swoim pokoju. Podobnie jak ja należała do świątyni Izydy.

- Ale chyba nie jako kapłanka?

- Nie, jako służebna. Jej życie było poświęcone bogini, a próbowanie jadła królowej było jej świętym obowiązkiem. Resztę czasu spędzała na kontemplacji.

- Skąd pochodził ten gliniany kubek, który ze sobą przyniosła?

- To jej osobiste naczynie, którego nikt inny nie miał prawa używać. Każdy napój królowej musiał być najpierw nalany do tego kubka.

- A więc Zoe sama odpowiadała za jego przechowywanie?

- Tak.

- A ty nigdy go nie dotykałaś?

Merianis w końcu spojrzała mi w oczy.

- Dlaczego o to pytasz?

- A dlaczego ty nie odpowiadasz?

- Powiedziałeś królowej, że to nie będzie przesłuchanie.

- Skąd wiesz? Byłaś tam? Ukryłaś się za kotarą, kiedy ja klęczałem przed twoją panią?

Nie odpowiedziała, zapatrzona w dal.

- A więc tak było! A potem pospieszyłaś z powrotem na taras i udawałaś, że czekasz tu na mnie. - Pokręciłem głową. - Czy to łąza płynie ci po policzku?

Merianis otarła twarz wierzchem dłoni.

- Płaczesz nad Zoe?

- Nie. To była święta śmierć. Zoe zaskarbiła sobie wdzięczność Izydy i otrzymała dar nieśmiertelności. Zazdroszczę jej.

- Naprawdę? Myślę, że i ty zrobiłaś dla królowej równie dużo, jeśli nie więcej.

- Co masz na myśli?

- Jesteś wobec niej absolutnie lojalna. Czy jest coś, czego byś dla niej nie zrobiła?

- Oddałabym za nią życie!

A czy zabiłabyś dla niej? - pomyślałem. Albo czy pomogłabyś posłać na śmierć niewinnego człowieka? Mojego syna?

- Kiedy Zoe umierała w objęciach swej pani, Kleopatra przywołała cię do siebie. Rozmawialiście szeptem. O czym?

- Posuwasz się za daleko, Gordianusie! Nie masz prawa wypytywać o słowa, jakie padły w poufnej rozmowie między mną i jej królewską mością!

- Coś ci powiedziała albo czegoś żądała. Widziałem, jakim wzrokiem



spojrzałaś na Metona. A potem poszłaś po Apollodorosa. Co ci powiedziała królowa, Merianis?

- Popeliłabym świętokradztwo, powtarzając ci to, co słyszałam od królowej. Nawet twój wielki Cezar nie może mnie do tego zmusić!

- To nie on, ale ja cię o to proszę.

Merianis pokręciła głową.

- Gdybym mogła uratować twojego syna...

- A więc coś zostało powiedziane, czego nie możesz wyjawić, a co mogłoby go uratować.

Merianis westchnęła, po czym wyprostowała ramiona i odwróciła się do mnie. Jeżeli toczyła jakąś wewnętrzną walkę, teraz była ona zakończona. Jej twarz była pogodna i nieprzenikniona jak u sfinksa.

- Boskie zrządzenia są czasami niezrozumiałe dla nas, śmiertelników - powiedziała. - Prawowierni poddają się ich woli i nie zadają pytań. Nie żądaj ode mnie, abym zdradziła ci treść rozmowy z królową.

- Merianis, proszę...

- Zdaje się, że chcesz rozmawiać z Apollodorosem? Chodź za mną.

Poprowadziła mnie schodami na dół, do zacienionego zakątka nad wodą. Apollodoros siedział na kamiennej ławce oparty plecami o pień palmy i strugał nożem kawałek drewna wyrzucony przez morze. Spojrzał na mnie posepnie i żwawiej poruszył nadgarstkiem. Nóż wyglądał na bardzo ostry.

Odwróciłem się, by pożegnać Merianis, ale kapłanka już zniknęła. Zerknąłem na drewnienko w ręku Apollodorosa. Mieściło się całe w jego dużej dłoni. Woda wyszlifowała je na kształt lwiej głowy, a on zręcznie uwydatniał podobieństwo.

- Sprytny z ciebie facet, Apollodorosie - zagadnąłem.

Mruknął coś niezrozumiałe w odpowiedzi.

- Chcesz rozmawiać po grecku?

- Mówię po łacinie doskonale - odburknął.

Jego akcent był okropny, ale powstrzymałem się od komentarza.

- Podobno pochodzisz z Sycylii?

- Tam się urodziłem. Egipt bardziej mi odpowiada.

- Jak to się stało, że trafiłeś do królowej?

- To długa historia. - Wzruszył ramionami. - Wiele razem przeszliśmy.

- Na pewno bardzo ci ufa. Muszę przyznać, że wasze stosunki są dla mnie... trochę niejednoznaczne.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zachnął się.

- Nie jesteś niewolnikiem jak Zoe. Nie jesteś też jak Merianis. Nie masz... jak to powiedzieć?... cech kapłana. Nie jesteś wojskowym jak Kratypos ani też dworskim eunuchem.

- Na pewno nie! - Sycylijczyk wykonał drobny gest, który zwrócił moją uwagę na jego przepaskę biodrową. Była tak udrapowana, żeby wyraźnie zademonstrować różnicę między nim a eunuchem.

- Będę szczery, Apollodorosie. Kiedyś w mojej obecności król zasugerował, że twoje stosunki z jego siostrą nie są... właściwe.

- Tak? Zdaje się, że ludzie mówią to samo o twoim synu i Cezarze. - Błysnął zębami w szyderczym uśmiechu i przeciągnął nożem po drewnie.

- Na pewno jesteś jej pupilkiem.

- Niby dlaczego?

- Ot, siedzisz tu sobie, nic nie robiąc, bez żadnych wyraźnych obowiązków...

- Co ty tam wiesz! Jestem zawsze na miejscu, kiedy królowa mnie potrzebuje. Tak było od jej dzieciństwa, w złych i dobrych czasach... i powiem ci, że ostatni rok chyba nie mógłby być gorszy. Na pustyni, gdy armia Ptolemeusza deptała nam po piętach, bywały dni, kiedy nawet ludzie najsilniejsi duchem gotowi byli porzucić nadzieję. Ale nie ja! Dawałem innym przykład, a gdy ktoś potrzebował kopa w tyłek, dostawał go ode mnie. Nie, nie jestem kapłanem, ale wiem, w co wierzę.

- W królową?

- Dlaczego nie? Człowiek musi w coś wierzyć. Królowa jest dwa razy odważniejsza od wszystkich mężczyzn, których znam, i trzy razy mądrzejsza. Ma w sobie tę iskrę, jeśli wiesz, co mam na myśli. Jak dotąd nie natrafiłem na tym świecie na nikogo lepszego, włącznie z twoim drogim Cezarem.

- A król Ptolemeusz?

Apollodoros splunął pod nogi.

- Jest równie bezużyteczny jak ten eunuch, który wodzi go za jaja. Ale pomówmy o tobie, Rzymianinie. Wierzysz w coś?

- Wierzę, że mój syn nie wlał trucizny do kielicha Cezara.

Apollodoros zeszytniał. Zerknął na swój kawałek drewna, po czym nagle rzucił go do mnie. Złapałem go niezgrabnie, co skwitował kpiącym uśmiechem.

- Co o tym myślisz? - spytał.

Obróciłem drewno w dłoni. Nadał lwu groźny wygląd; z rozchylonej paszczy sterczały przesadnie długie zębiska.

- Robiłem takie rzeczy już jako chłopiec w Syrakuzach. Zarabiałem na chleb, sprzedając takie figurki bogatym Rzymianom, którzy zajeżdżali do nas kontrolować swoje posiadłości. A teraz proszę! Jestem przybocznym królowej Egiptu.

- Spryciarz z ciebie, jak powiedziałem. Masz zręczne palce. Czy jako chłopiec w Syrakuzach wyuczyłeś się też kuglarskich sztuczek?

- Niby jakich?

- Takich, jakie czasem stosują urwisy portowe na Sycylii. Ich zręczne paluszki zaglądają, gdzie nie powinny. Taki cwaniak ukradł mi tam kiedyś mieszek z pieniędzmi, i to akurat, gdy otrzymałem sowite honorarium za zleconą pracę. Mieszek był wypchany i ciężki, a mimo to gwizdnął mi go tak umiejętnie, że nic nie poczułem.

- Są na to sposoby. - Apollodoros wzruszył ramionami.

- Są też sposoby, aby zrobić coś odwrotnego, prawda?

- Niby co?

- Zręczne paluszki potrafią oskubać ofiarę, nie zwracając jej uwagi, mogą też podrzucić jej cokolwiek, a ona się nie orientuje.

Sycylijczyk wstał i ruchem głowy odrzucił do tyłu bujne włosy. Podszedł do mnie tak blisko, że poczułem na czole jego oddech. Pachniał słodko, jakby żuł goździki.

- Chyba wystarczy już tych twoich pytań - powiedział.

- Ejże, Apollodorosie! Czyż królowa nie kazała ci być ze mną szczerym, na prośbę Cezara?

- Odprowadzę cię na górę. Odszukaj ludzi Cezara i niech cię odwiozą na ląd.

- Myślałem, że ty to zrobisz.

- Ja bym wolał cię utopić.

Potrącił mnie na tyle mocno, że potknąłem się na pierwszym stopniu. Przez całą drogę na taras czułem na karku jego oddech. Odprowadził mnie na samą górę, po czym zawrócił.

- Apollodorosie! - zawołałem, gdy był już o kilka kroków ode mnie.

- Czego? - Odwrócił się, wyraźnie zły.

- Nie mam ci za złe, że tak ostentacyjnie demonstrujesz mi zawartość swojej przepaski, ale też nie jestem specjalnie pod wrażeniem. Szkoda, że czujesz się zmuszony poprawić to, co dała ci natura.

- O czym ty mówisz? - Zmarszczył brwi i zerknął w dół, na niemożliwie wypchany skrawek materiału osłaniający jego genitalia. - Co, na Hades... Przecież ja nigdy...

Sięgnął do fałdy przepaski i wyciągnął lwią głowę z drewna, po czym wbił we mnie nienawistne spojrzenie. Zamachałem rozcapierzonymi palcami.

- Ja też nauczyłem się w życiu paru kuglarskich sztuczek - oznajmiłem. - Widzisz, jeżeli ja potrafiłem podłożyć ci ten przedmiot w tak intymnym miejscu bez twojej wiedzy, to uważam za najzupełniej prawdopodobne, że ten alabastrowy flakonik został Metonowi podrzucony przez kogoś, kto był na tym tarasie i zrobił to na oczach nas wszystkich. Pytanie tylko, czy to byłeś ty, Apollodorosie? A może ktoś inny? I jaką grę prowadzi ta osoba?

Sycylijczyk podniósł rękę. Uchyliłem się i usłyszałem, jak nie dokończony lew świsnął mi koło ucha. Siła rzutu poniosła go daleko poza taras; po chwili wylądował z pluskiem w wodzie.

- Z morza przyszedł i do morza wrócił - skomentowałem.

Był to chyba cytat z Eurypidesa. Patrzyłem, jak drewniana rzeźba kołysze się na falach, i nagle drgnąłem; intuicyjnie wyczułem, że nieoczekiwanie, bez przygotowania jestem o krok od wielkiego odkrycia. Jakie skojarzenie wywołał ten podskakujący na fali kawałek drewna i dlaczego miało to takie znaczenie? Jakaś myśl, jak błędny ogień, była kusząco blisko, ale wciąż poza moim zasięgiem. Gdybym tylko ją uchwycił, na pewno zrozumiałbym wszystko, co się wiąże z dzisiejszym wydarzeniem, z zatrutym kielichem wina. Prawie ją miałem, ale nagle rozplynęła się i zniknęła, zupełnie jak ten drewniany lew. Straciłem go z oczu pośród drobnych fal.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że zniknął też Apollodoros.





## ROZDZIAŁ 24

Armia Achillasasa podeszła pod miasto jeszcze tego samego wieczoru. Aleksandryjczycy otworzyli przed nią bramy z mieszanymi uczuciami. Wielu sądziło, że rzymscy intruzi, liczebnie znacznie słabsi, z pewnością zostaną teraz wyparci. Ale jakim kosztem? I z jakim skutkiem? Miasto jest najgorszym możliwym polem bitwy. Bezpośrednia walka w takich warunkach wymyka się wszelkiej strategii. Każde starcie odbywa się na poziomie burdy ulicznej. Miastu i ludziom grożą pożary i zniszczenia, a przecież nikt nie chciałby ujrzyć Aleksandrii w płomieniach. A jeśli nawet kosztem przelanej krwi i spalonych dzielnic wojsko Cezara zostałoby rozbite lub zmuszone do odwrotu, jaki byłby zysk dla Egiptu? Kraj znalazłby się na nowo w punkcie wyjścia, podzielony pomiędzy skaczące sobie do gardeł królewskie rodzeństwo.

Król Ptolemeusz ze swą siostrą był praktycznie więźniem Cezara. Legioniści wycofali się do obronnej części zespołu pałacowego, pozostawiając Achillasowi zadanie utrzymywania porządku publicznego w mieście. Wciąż dochodziło do bijatyk, zamieszek i grabieży i uwaga egipskiego wodza z konieczności była podzielona między przygotowania do oblężenia sił Cezara oraz konieczność poskromienia wzburzonej ludności, której część ochoczo witała egipskie oddziały, a nawet do nich dołączała z bronią w rękę, inni zaś, lojalni wobec Kleopatry, traktowali je jak okupanta w niczym nie lepszego od Cezara i przy każdej sposobności otwarcie odrzucali władzę Achillasasa. Aleksandria, nawet w najspokojniejszych czasach bliska wrzenia, teraz zaś rozdarta przez trzy antagonistyczne siły, lada chwila mogła się pogrążyć w ostatecznym chaosie.

Co ten kryzys znaczył dla Metona? Wydawało się, że przynajmniej chwilowo Cezar nie ma czasu, by zajmować się jego osądzeniem. Cieszyło mnie to, gdyż ciągle jeszcze nie miałem pomysłu, jak wykazać niewinność Metona.

Nadejście groźnej armii przyspieszyło bieg wydarzeń. Ku zaskoczeniu i radości wielu mieszkańców pałacu Cezar wkrótce ogłosił, że król i królowa doszli do nowego porozumienia, a dla uczczenia zgody w wielkiej sali tronowej odbędzie się przyjęcie i uczta. Ja również zostałem zobowiązany do przybycia.

Sala rozbrzmiewała muzyką; słyszało się dźwięki fletów, rogów, bębnów i grzechotek. Nie miałem wątpliwości, że jest to jedna z kompozycji Auletesa. Strażnik zaprowadził mnie do przeznaczonego mi miejsca w rogu, dość daleko od podium, na którym rozsiadł się Cezar, mając po jednej stronie króla, po drugiej królową. Ptolemeusz miał przy boku Potejnosa, obok Kleopatry zajęła miejsce Merianis, a nieopodal stał czujny Apollodoros.

Wokół całej sali rozstawione były straż. Szybko się zorientowałem, że

tę funkcję pełnią wyłącznie rzymscy legionieści. Za obopólną zgodą, jak się dowiedziałem, wykluczono żołnierzy obu stron konfliktu. Cezar przyjął na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo króla i królowej, ale też w pewnym sensie byli oni w jego mocy. Obydwoje mu zawierzyli, przynajmniej na chwilę, kiedy losy całej trójki tak się spłotyły.

Niewolnicy uwijali się między sofami, obsługując gości. Dziewczyny nalewały wino, chłopcy nosili tace smakołyków. Do muzykantów dołączył pieśniarz, który odśpiewał długą grecką rapsodię o grupie odkrywców żeglujących w górę Nilu w poszukiwaniu jego źródeł i napotykalających najróżniejsze dziwy.

Wokół mnie wszyscy zajęci byli ożywionymi rozmowami, ale do mnie nikt się nie odzywał. Egipcjanie na widok mojej togi stawali się podejrzliwi; rzymscy oficerowie, wiedząc, kim jestem, odwracali się ode mnie w obawie, że mógłbym ściągnąć na nich zły los Metona. Siedząc samotnie, nadstawiałem uszu i słuchałem, o czym rozmawiają najbliżsi sąsiedzi.

- On jest wyraźnie ciężko przestraszony - rzekł jeden z dworzaków do kolegi. Obydwaj wydali mi się bardzo młodzi, choć u eunuchów trudno czasem określić wiek. - Pamiętasz, jaki był buńczuczny, kiedy tu przyjechał, dumny ze zwycięstwa pod Farsalos, i sądził, że może zmienić Egipt jednym skinieniem dłoni? A potem zobaczył głowę Pompejusza w koszyku i od tamtego czasu stale sprawdza, czy ma jeszcze swoją na karku. Teraz, kiedy nadciągnął Achilles, Cezar wie, że gra skończona. Ma tylko nadzieję, że uda mu się ujść z Aleksandrii cało.

Słuchający tej rozmowy Rzymianin wtrącił swoje trzy grosze.

- Bardziej chyba nie możecie się mylić.

- Niby w czym? - spytał zaczepnie Egipcjanin.

- W kwestii osoby Cezara. To przyjęcie jest kolejnym dowodem jego panowania nad sytuacją. Wyobraźcie sobie, że to wesele. Egipt jest panną młodą, Rzym jej oblubieńcem. Będzie umiał odpowiednio ustawić żonkę; porządnie ją wygrzmoci, kiedy będzie niegrzeczna, a kiedy milusia i posłuszna, porządnie ją...

- Ty złośliwy Rzymianinie! - warknął eunuch.

Zanosilo się na kłopoty. Atmosfera zrobiła się nieprzyjemna. Oficer skrzywił się wzgardliwie.

- Jesteś ładniutki, kiedy się gniewasz - powiedział. - Może to ciebie przydałoby się porządnie...

Obaj eunuchowie parsknęli śmiechem. Rzymianin do nich dołączył, rechocząc na całe gardło. Dopiero teraz dotarło do mnie, że to znajomi i to raczej bliscy. Niepewne życie w pałacowych murach tworzyło nieoczekiwane przyjaźnie.

Na podium weszła niewolnica z dzbankiem wina. Według ustalonego protokołu najpierw miała być obsługiwana królowa, potem król i na końcu Cezar; najpierw jednak wina musiał spróbować ktoś wybrany i zaakceptowany przez wszystkich troje, jak się domyślałem. Była to młoda ładna dziewczyna, nawet podobna do zmarłej Zoe; być może też poświęcona Izydzie. Siedziała na sofie ustawionej tuż przy podium i nieco z boku, w dyskretnym oddaleniu, ale pod ręką i doskonale widoczna z

miejsz zajmowanych przez króla i królową; każdą tacę czy dzbanek, z którego bezpiecznie skosztowała, można było im podać tak, aby ani na moment nie tracili dziewczyny z oczu.

Niewolnica nalęła trochę wina do glinianego kubka dziewczyny, która zaraz podniosła go do ust i przełknęła zawartość. Nagle doznałem olśnienia. Ręce mi zadręły, kiedy szeptałem do siebie: „A więc to tak się odbyło...” Przeniosłem wzrok na Merianis i poczułem w sercu ukłucie żalu, ale i gniewu. Uznałem, że muszę natychmiast podzielić się swoimi wnioskami z Cezarem. Będzie to oznaczało koniec Merianis, a może i samej Kleopatry, pomyślałem. Jakimi intencjami się kierowały? Która z nich jest bardziej winna? Czy możliwe, aby Merianis działała bez wiedzy swojej pani? Na te pytania Cezar będzie musiał sam znaleźć odpowiedzi. Jakie one będą i jakimi środkami je wymusi, jak będą się tłumaczyć winni, trudno przewidzieć; byłem jednak przekonany, że mimo swojej legendarnej łaskawości nie wybaczy im tego, co zaszło na Antyrodos. To nie Metona dosięgnie surowa rzymska sprawiedliwość; wiedziałem już, jak udowodnić jego niewinność.

Wstałem niepewnie, czując, jak drżą mi nogi. Opanowałem się siłą woli i ruszyłem przez zatłoczoną salę prosto ku podwyższeniu. Kleopatra zauważyła mnie pierwsza. Rzuciła mi miazdzące spojrzenie, wyraźnie dając mi do zrozumienia, że w ogóle nie powinienem tu być. Merianis wyczuła niezadowolenie swej pani i podążyła za jej wzrokiem. Ujrzawszy mnie, wciągnęła głośno powietrze i szybko spuściła oczy. Czyżby się domyślała, co się zaraz stanie? Ptolemeusz na mój widok uśmiechnął się pytająco. Ciekaw byłem, czy już słyshał o próbie otrucia i uwięzieniu Metona, czy też Cezarowi udało się utrzymać te wydarzenia w tajemnicy. Wyjaśniła mi to mina Potejnosa, który zmierzył mnie chłodnym, badawczym spojrzeniem. Ten człowiek dobrze znał moje położenie.

Cezar zobaczył mnie ostatni. Uśmiech wywołany jakimś dowcipem Ptolemeusza zniknął z jego ust w jednej chwili. Po wyrazie jego twarzy domyśliłem się, jak strasznie sam muszę wyglądać; byłem jak posłaniec w sztuce, który przynosi nieoczekiwane i druzgocące wieści. Kilku strażników ruszyło w moją stronę, ale powstrzymał ich ruchem dłoni. Stałem tuż przy podium i spojrzałem mu w oczy. W sali zapadła cisza; goście zauważyli i mnie, i reakcję najważniejszych person.

- Masz mi coś do powiedzenia, Gordianusie?

- Tak, konsulu. Ale nie tutaj. Czy mógłbym porozmawiać z tobą na osobności? - Rzuciłem wymowne spojrzenie na królową i Merianis.

- Czy to nie może poczekać?

- Czy nie spieszo ci, konsulu, dowiedzieć się, kto zatręł wino na Antyrodos?

Zniżyłem głos, jak tylko mogłem, ale sąsiedzi Cezara i tak mnie usłyszeli. Czulem na sobie wzrok króla i królowej, jak musiał go czuć i on sam.

- Podejdz bliżej, Gordianusie.

Wstałem na podwyższenie i przysunąłem się do jego sofę.

- Czy nie moglibyśmy rozmawiać w cztery oczy? - spytałem.

Cezar pokręcił głową.

- Przedmiot naszego świętowania jest ważniejszy nad wszystko inne, także nad nowiny, jakie możesz mieć dla mnie. Jestem o krok od obwieszczenia pokoju w Egipcie. Nie przerwę tej uczty nawet dla tak ważnej sprawy jak twoja. Zbliź się i powiedz mi na ucho, jeśli chcesz.

Ukląknę na jedno kolano, on zaś nachylił się ku mnie blisko.

- Meto jest niewinny, konsulu - szepnąłem. - Mogę to udowodnić tu i teraz, jeśli pozwolisz.

- Jak to?

- Każ przynieść tę amforę falerna, którą Meto przyniósł do pałacu. Każ, aby niewolnica go spróbowała...

- Chcesz zabić jeszcze jedną ładną dziewczynę?

- Nie, ponieważ w amforze nigdy nie było trucizny. Jeśli chcesz, sam wypiję to wino.

Cezar się odsunął, ale tylko na tyle, by mi spojrzeć w oczy.

- Co ty chcesz mi powiedzieć, Gordianusie?

- Wino w amforze nie było zatrute - powtórzyłem.

- Ale na rozkaz królowej wiano do niej zawartość złotego pucharu!

- W nim też nie było trucizny.

- Trucizny nie było, ale Zoe jednak umarła.

- Dlatego, że to jej kubek był zatruty. Gliniane naczynie, z którego korzystała ona i tylko ona, a który potem się rozbił, gdy dziewczyna upadła. Pamiętasz, konsulu? Kiedy Merianis ją przyprowadziła, Zoe przyniosła swój kubek...

- A Merianis naląła do niego odrobinę wina z pucharu - przytaknął Cezar.

- Ale to nie wino było zatrute. Trucizna już była w kubku, wlana tam bez wiedzy niewolnicy.

- Ale przez kogo?

- Być może przez osobę, która ją przyprowadziła - odrzekłem, chociaż trudno mi było wyobrazić sobie, aby Merianis była zdolna do takiego zdradzieckiego czynu.

- Flakonik jednak znaleziono przy Metonie - upierał się Cezar.

- Podrzucił mu go Apollodoros. A kto po niego poszedł?

Nie podnosiłem wzroku, ale Cezar zerknął ponad moją głowę na Merianis.

- Chcesz powiedzieć, że oni oboje byli w to zamieszani? Merianis i Apollodoros? - spytał.

- Przynajmniej oni - odparłem, myśląc o trzeciej osobie, ale nie ośmieliłem się wypowiedzieć jej imienia.

- Ale dlaczego? Jaki mogli mieć w tym cel?

- Tego nie jestem pewien, konsulu. Ale sam rozważ: Meto nie ufał królowej i ubolewał nad... jej wpływem na ciebie. Królowa... to jest, ludzie z jej najbliższego otoczenia... mogli chcieć go zdyskredytować. A jak lepiej tego dokonać, niż rzucić na niego podejrzenie o spisek przeciwko tobie?

Cezar popatrzył na mnie z grobową miną.

- To, co sugerujesz, Gordianusie, jest wprost potworne. Wskazujesz na pewną nie wymienioną z imienia osobę jako winną oszustwa. Jeśli to prawda, powinienem na nowo przemyśleć kwestię, kto ma dziedziczyć tron

po zmarłym królu i czy mogą go dzielić dwie osoby. - Spojrzał na Ptolemeusza i westchnął. - Pamiętając, czyja armia okupuje Aleksandrię, byłoby najłatwiej po prostu...

Cezar urwał w pół zdania; sądziłem, że się zamyślił, ale idąc za jego spojrzeniem, zobaczyłem, że do podwyższenia podchodzi jeszcze ktoś. Pewnie ja musiałem wyglądać tak samo, pomyślałem, patrząc na niską sylwetkę Samuela, balwierz konsula, który przeciskał się pomiędzy sofami biesiadników. Szedł zdecydowanie, ale miałem wrażenie, że drży. Nerwowo ślizgał się wzrokiem po obecnych i wyglądał, jakby przełknął coś bardzo gorzkiego.

- A ten czego tu szuka? - mruknął Cezar.

Samuel przyspieszył; strażnicy zerknęli na konsula w oczekiwaniu na instrukcje i na jego sygnał wrócili na swoje miejsca.

- Czego chcesz, Samuele?

- Panie, muszę z tobą natychmiast porozmawiać - odrzekł balwierz, zerkając spod oka na Potejnosa. - W cztery oczy...

Cezar spojrzał na mnie z ukosa.

- Zdaje się, że masz tu dzisiaj brata, Gordianusie. Podejdź tu, Samuele. Gordianus ma jedno moje ucho, ty możesz mieć drugie.

Człowieczek z pewnym wysiłkiem wszedł na podium i podbiegł do swego pana. Przyklęknął i wsunął mu w dłoń kawałek papirusu. Cezar zaczął czytać, a balwierz jednocześnie szeptał mu coś do ucha. Mówił gorączkowo, zbyt cicho, abym dosłyszał; Cezar trzymał papirus tak, abym nie mógł dojrzeć tekstu, choć mignęły mi tam greckie litery. Wieści musiały być niemiłe, konsul bowiem zbladł jak ściana. Opuścił rękę z dokumentem i gestem przerwał relację Samuela.

- Potejnosie! - zawołał, patrząc gdzieś przed siebie. Mówił cicho i spokojnie, ale coś w jego tonie przyprawiało mnie o zimny dreszcz.

- Słucham, konsulu? - odrzekł zagadnięty, marszcząc czoło.

- Podejdź tu do mnie.

Eunuch odchrząknął.

- Kanclerz króla Egiptu nie jest sługą, którego każdy może sobie wzywać, choćby był konsulem Rzymu...

- Potejnosie, chodź tutaj! - Głos Cezara zabrzmiał jak grom.

Eunuch wstał z sofy. Ptolemeusz zdezorientowany patrzył to na jednego, to na drugiego, aż w końcu przybrał tę minę-maszkę, która tak dobrze mu wychodzi. Potejnos powoli i ostrożnie zbliżył się do Cezara, jakby miał przed sobą lwa.

- Czego sobie życzy konsul Rzymu? - spytał.

Cezar podetknął mu papirus pod nos.

- Czy to twoja ręka pisała te słowa, kanclerzu?

Potejnos błysnął zębami w uśmiechu.

- Kanclerz przywykł dyktować dokumenty - wyjaśnił. - Od pisania są skrybowie...

- Chyba że treść dokumentu jest zbyt drażliwa, aby poznał ją nawet najbardziej zaufany pisarz... albo podsłuchiwał ją któryś z licznych szpiegów czających się w zakamarkach pałacu.

Potejnos zmierzył złym spojrzeniem Samuela, a potem Cezara.



- Myślę, że ty sam, Cezarze, nie jesteś nowicjuszem w roli szpiega - powiedział poirytowany.

- Niektórzy z moich ludzi czasami stroją sobie z Samuela żarty - odparł Cezar, rzucając balwierzowi ciepłe spojrzenie. - Nazywają go bojaźliwym, mówią, że boi się własnego cienia. Ale przez tę strachliwość jest bardzo spostrzegawczy. Inni śmieją się z jego postury, ale i ona ma swoje zalety, pomaga mu bowiem niepostrzeżenie się poruszać, gdzie zechce, a czasami nawet przenikać przez ściany.

- A więc przyznajesz, że ta kreatura mnie szpiegowała!

- Samuel tylko dba o bezpieczeństwo swego pana. Nie potrzebuje ode mnie wytycznych. Ale owszem, przyznaję, że cię obserwował, Potejnosie. Zna wszystkie twoje ruchy. Widział, jak piszesz ten list, który na jego prośbę został odebrany twojemu posłańcowi przez moich ludzi. Możemy wziąć posłańca na męki, aby wyjawiał nadawcę, ale możesz po prostu przyznać, że to ty go napisałeś.

- Kłamstwa! Ta kreatura sama spreparowała to wymyślne oszustwo. On cię zdradził, konsulu. Wystawił cię na pośmiewisko.

- Chyba nie, Potejnosie. Jeśli człowiek nie może ufać swojemu golibrodzie, to komu miałyby ufać? - Cezar znów podsunął papirus eunuchowi. - Weź to i przeczytaj na głos!

Potejnos posłusznie wziął dokument. Zapatrzył się na niego i zaczął się kołysać w przód i w tył, jakby doznał zawrotu głowy. Nagle się odwrócił i posłał królowi rozpaczliwe spojrzenie.

- Wasza królewska mość!

Ptolemeusz spiorunował go wzrokiem.

- Rób, co konsul każe, kanclerzu.

- Przeczytaj to! - powtórzył Cezar.

Potejnos drgnął i usłuchał.

- *Do Achillesa, dowódcy sił zbrojnych naszego prawowitego króla, od Potejnosa, kanclerza królewskiego, co poznać można po pieczęci na tym liście. Pozdrawiam cię. O, proszę! Pieczęć złamana, wosku prawie nic nie zostało. Nie ma dowodu że...*

- Czytaj, Potejnosie, albo każę moim strażnikom drzeć z ciebie pasy.

Na skinienie Cezara jeden z legionistów dźgnął Potejnosa włócznią w plecy.

- Błagam, konsulu! Dobrze, przeczytam wszystko! - krzyknął eunuch i zaczął czytać dalej. - *Chociaż wcześniej radziłem królowi pójść na kompromis, który by satysfakcjonował rzymskiego intruza, niechby tylko pozornie, teraz widzę, że jakakolwiek ugoda byłaby katastrofą. Musimy działać i to szybko. Ja zrobię, co będę mógł w pałacu, ale nasi wrogowie mają się na baczności, zwłaszcza po nieudanej próbie otrucia przez nieznaną osobę...* Widzisz, konsulu? Ten list dowodzi, że nie miałem nic wspólnego z ostatnim zamachem na twoje życie. Nie mam pojęcia, kto...

- Czytaj dalej!

Potejnos znów krzyknął i drgnął; krwawa plamka na jego szacie świadczyła o tym, że legionista z włócznią nie miał zamiaru się z nim patyczkować.

- Gdzie to skończyłem?... *Zrobię, co będę mógł... aby rozwiązać problem*

*osobiście. Tymczasem jednak ty musisz być gotów do bitwy z wrogiem, który więzi króla jak zakładnika. W żadnym wypadku nie możemy narażać życia króla... Wasza wysokość, oto dowód mojej lojalności! Czy nie każesz temu Rzymianinowi, aby odwołał swoje psy?*

Ptolemeusz patrzył na swego kanclerza oczyma nie wyrażającymi żadnych uczuć.

- Czytaj dalej, kanclerzu - powiedział.

Potejnos znów zadygotał i łamiącym się głosem podjął czytanie.

*- W żadnym wypadku nie możemy narażać życia króla. Jednakże, choć to smutne, pewnych ofiar w pałacu nie da się uniknąć. Na wypadek, gdyby przyszło do najgorszego, poczyniłem już kroki w celu wydostania z pałacu siostry króla, księżniczki Arsinoe. Powinna zjawić się u ciebie jeszcze przed tym listem. Chroń ją, ponieważ dla utrzymania naszej legalności przynajmniej jeden członek rodziny królewskiej musi przeżyć nadchodzące starcie. Uczyni, co trzeba, aby wyeliminować fałszywą królową i wyrzucić z kraju rzymskiego intruza... Wasza wysokość, miałem na myśli, że sam Cezar może cię zabić, jeśli Achilles wytrąci go z równowagi! Zawsze byłem absolutnie lojalny wobec ciebie, panie...*

- Milczeć! - Cezar wstał i wyrwał Potejnosowi papirus. - Ten list wyraźnie ukazuje twój zamiar zamordowania mnie i królowej! Namawiasz w nim też Achillesa do zaatakowania pałacu, nie dbając o bezpieczeństwo króla ani o pokojowe rozwiązanie sporu z jego siostrą. To zaś oznacza, Potejnosie, że jesteś nie tylko niedoszłym zabójcą, ale spiskowcem i zdrajcą.

Eunuch rzucił się do stóp Ptolemeuszowi.

- Czy wasza królewska mość nie widzi, co się dzieje? Cezar uczynił cię zakładnikiem i wymusił na tobie tę ugodę, aby zadowolić swe ambicje. On od pierwszej chwili trzyma z Kleopatram. Powód jest prosty: ona może dać mu syna. Gdy to się stanie, Cezar ogłosi się królem Egiptu, ożeni się z Kleopatram, a ich syn odziedziczy po nim tron. To będzie twój koniec, panie, i twojej dynastii! Egiptem będą rządzić Rzymianie, a posągi twoich przodków zastąpią wizerunki Cezara!

- Cezar jest moim przyjacielem - odparł Ptolemeusz, nie kryjąc pogardy dla swego kanclerza.

- Jeśli w to wierzysz, panie, wystaw tę przyjaźń na próbę. Wyjdź z pałacu, dołącz do Achillesa i twojej armii. Pozwól mi sobie towarzyszyć...

- Eunuch chce tylko uratować głowę - warknął Cezar.

Ptolemeusz zerwał się na nogi tak gwałtownie, że przewrócił Potejnosa, który skulił się ze strachu u jego stóp.

- Zapomniałeś, gdzie twoje miejsce, kanclerzu - powiedział dobitnie. - Ale od tej chwili już nie piastujesz tej godności, będę więc do ciebie mówić po prostu po imieniu. Myślisz, że wciąż jeszcze jestem dzieckiem, którym łatwo możesz kierować. Uważasz się za tajnego władcę Egiptu, a mnie za zwykłą marionetkę w swoich rękach.

- Wasza królewska mość, skąd takie przypuszczenia? Ten Rzymianin zatruł twój umysł, panie...

- Milcz! Uważasz, że jestem tak bezwolny, że jak nie ty, to Cezar może naginać mnie według własnej woli? Tak nisko mnie oceniasz? Chyba tak...

Jak to napisałeś w liście do Achillasa o mojej śmierci podczas ewentualnego szturm? Że to smutne, ale nie do uniknięcia? Najpierw jednak ty pożałujesz, że się urodziłeś, Potejnosie!

- Nie, panie! Błagani cię!

- Nie ma już nic więcej do powiedzenia, Potejnosie. Odbieram ci stanowisko i tytuł. Pozbawiam cię przywilejów królewskiego domownika teraz i na całą wieczność. Za twoją zbrodnię zostaniesz stracony, a twoje ciało zbezczeszczone, rzucone sępom na żer. Będziesz przeklęty przez bogów. Szczególnie nie tylko twoja doczesna powłoka, ale i twoje ka, jakby Potejnos nigdy nie istniał. Tak kończą zdrajcy!

Potejnos ukrył twarz w dłoniach i zaczął głośno jęczeć. Cezar wstał i podszedł do króla.

- Wasza wysokość, skoro odrzucasz tego eunucha, który knował także przeciwko mnie, chciałbym cię o coś poprosić - rzekł. - Pozwól, abym to ja go osądził i ukarał.

- Nie! - Potejnos spojrział na nich z dołu z grozą na twarzy. - Rzymianin chce cię ograbić nawet z prawa do wymierzenia mi sprawiedliwości! To on cię traktuje jak dziecko, panie!

- Zamilcz, Potejnosie! - Ptolemeusz zmierzył go nienawistnym spojrzeniem, po czym zwrócił się do Cezara: - Jeśli mój przyjaciel Cezar mnie o to prosi, daruję mu tego zbrodniarza i może zrobić z nim, co zechce. Rzymianie tak się pyszną swoim umiłowaniem sprawiedliwości, Cezarze... Może udzielisz mi lekcji w tym zakresie? Jak postąpisz z Potejnosem?

Cezar spojrział na skulonego i drżącego eunucha, po czym zerknął przelotnie przez ramię na królową, która obserwowała całą scenę z równie nieprzeniknioną miną, jak to potrafił jej brat. Kiedy odwracał się znów do króla, nasze oczy na moment się spotkały; zobaczyłem, że pamięta o tym, co mu powiedziałem.

- Samuelu! Idź do mej kwatery - rozkazał. - Znajdziesz tam amforę z napisem „Wino z *ager Falernus*. Otworzyć tylko w obecności Gnejusza Pompejusza Magnusa”. Przynieś mi ją natychmiast.

Balwierz kiwnął głową, zerwał się, wybiegł z sali. Cezar spojrział na mnie i widząc moją zdziwioną minę, podszedł bliżej i szepnął:

- Wyglądasz na zaskoczonego, Gordianusie.

- Jaką grę prowadzisz, konsulu? - odpowiedziałem pytaniem.

- To nie gra, tylko zwykła próba. Według ciebie wino nie było zatrute ani w amforze, ani nawet nie w kielichu, a truciznę Merianis wlała do kubka niewolnicy, Apollodoros zaś podrzucił pusty flakonik Metonowi. Jeśli to prawda, falern był czysty i taki pozostał do dzisiaj, kazałem bowiem zapieczętować korek woskiem, zanim spuściłem amforę z oczu. Jesteś pewien swoich wniosków, Gordianusie?

- To jedyne możliwe wytłumaczenie, konsulu.

- Chyba że Meto naprawdę zatrzał amforę. Falern zabija wówczas każdego, kto go wypije.

- To niemożliwe, konsulu. - Pokręciłem głową.

- Przekonamy się o tym wkrótce. Myślałem, że będę dziś świętował zgodę i pokój, a tu przychodzi mi sprawdzać, kto jest przyjacielem, kto wrogiem. - Zerknął na Ptolemeusza, potem na Kleopatę.

W tej chwili stanął przed nami zdyszany Samuel, dźwigający ciężką amforę. Cezar obejrzał wosk, w którym odcisnął swój pierścień. Stwierdziwszy, że jest nienaruszony, skinął głową balwierzowi, który zabrał się do otwierania.

- Nalej, Samuelu - polecił Cezar. - Weź mój kielich. Nic mi się nie stało, więc mam pewność, że nikt przy nim nie majstrował.

Kiedy balwierz wykonał polecenie, Cezar odwrócił się do byłego kanclerza.

- Wstań, Potejnosie.

Eunuch dźwignął się na nogi z miną wyrażającą zarazem strach i resztki niedawnej buty.

- Konsulu! - szepnąłem zaniepokojony. - Co zamierzasz uczynić? To nie jest rzymska sprawiedliwość, ale zwykły kaprys!

- Bogowie są kapryśni, Gordianusie. My też czasem musimy być tacy, jeśli chcemy ich naśladować. To także sposób na odkrycie prawdy. Tobie przecież zawsze na tym zależało, czyż nie?

- Co chcesz zrobić, Cezarze? - Królowa pochyliła się naprzód, marszcząc brwi.

Merianis siedziała wpatrzona w podłogę, nerwowo splatając i rozplatając palce. Apollodoros stał z założonymi rękami i zaciśniętymi szczękami.

- Właśnie, Cezarze - podchwycił Ptolemeusz. - Dlaczego nie każesz zdrajcy udusić na miejscu?

- Ponieważ chcę dać mu wybór, który może uratować mu życie. Potejnosie, oto kielich przedniego falerna z prywatnych zasobów Pompejusza. Wino z *ager Falernus* cieszy się legendarną sławą. To najlepszy gatunek w całej Italii. Ale możliwe, że ta amfora jest zatruta... lub nie. Chciałbym to wiedzieć. Zamiast wypróbować wino na nieszczęsnym niewolniku, dam je tobie, Potejnosie.

- Poniżasz mnie, Rzymianinie!

- Nie, Potejnosie, oferuję ci szansę przeżycia, czyli znacznie więcej, niż zasługujesz. Jeśli wino jest czyste, a ty je wypijesz i nic ci się nie stanie, uwolnię cię i pozwolę dołączyć do Achillasa. Tu obecny Gordianus skosztuje drugą porcję, a potem wszyscy będziemy się delektować doskonałym falernem. Ale jeśli w amforze jest trucizna...

- Kłamiesz! Jest trucizna czy jej nie ma, i tak mnie zabijesz!

- Słowo Cezara jest święte, eunuchu! Decyduj się. Bierzesz kielich czy nie?

Po rozbieganych oczach Potejnosa poznałem, jaką gorączkową walkę musi teraz prowadzić sam ze sobą. Dopóki zachowa bystrość umysłu i błagalny ton, może mu się uda na powrót wkraść w łaski Ptolemeusza. Kiedy jednak wypije wino, nie będzie już odwrotu. Sam poczułem ukłucie wątpliwości. Logika mojej argumentacji była przekonująca dla Cezara, ale... Przypomniałem sobie nagły przebłysk intuicji, jakiego doznałem podczas przesłuchiwania Apollodorosa, coś związanego z kawałkiem drewna, w którym rzeźbił lwią głowę. Owo ulotne i mgliste wrażenie wciąż wydawało mi się jak najbardziej prawdziwe, ale nie miało związku z tym, co się działo w tej chwili. Czyżbym się mylił w sprawie amfory? Zacząłem niemal pragnąć, aby Potejnos odmówił poddania się tej próbie.

W końcu jednak perspektywa wolności, jaką ukazał mu Cezar, przeważała. Ujął kielich, przez chwilę patrzył na swoje odbicie na powierzchni trunku, po czym jednym haustem wychylił całą zawartość.

Popatrzyłem kolejno na wszystkich siedzących na podium. Wszyscy wpatrywali się w Potejnosa z zapartym tchem. Obejrzałem się przez ramię; goście rozparci na sofach wyglądali jak widzowie w teatrze tuż przed kulminacją dramatu. W odległym rogu dostrzegłem dwóch dworzan i rzymskiego oficera, który się z nimi wtedy przekomarzał. Cała trójka siedziała teraz razem i w osłupieniu patrzyła na rozgrywającą się na podium scenę.

Potejnos wcisnął Cezarowi kielich w dłoń i stanął wyprostowany, powoli tocząc wokoło wzrokiem z hardą miną. Oblizał wargi, zacisnął i rozluźnił szczęki i wziął głęboki oddech. Zamknął na chwilę oczy, potem się uśmiechnął i spojrzał na Cezara.

- I co, Rzymianinie, jesteś zadowolony?

- Niczego nie czujesz?

- Tylko rozkosz, jakiej może dostarczyć tak doskonałe wino. Szkoda, że biedny Wielki nie zdążył go skosztować! A więc, Cezarze? Jak z twoim świętym słowem? Mogę teraz odejść?

Cezar przechylił głowę i patrzył na Potejnosa przez długą chwilę, po czym przeniósł wzrok na mnie.

- Wychodzi na to, że miałeś rację, Gordianusie. To nie amfora była zatruta, lecz kubek Zoe. Nieprzyjemny incydent na Antyrodos spowodował ktoś, komu chciałem ufać... kto stał się bardzo mi bliski.

Zaczął się odwracać ku Kleopatrze, ale jego uwagę przyciągnął Potejnos, a raczej wydany przez niego dźwięk.

Było to głuche jęknięcie, które przerodziło się w stłumiony pomruk. Eunuch zadrzał, jakby ktoś go uraził w czułe miejsce, po czym cofnął się o krok, łapiąc się za brzuch.

- Nie! - szepnął. - To niemożliwe! - Skrzywił się i odwrócił do króla. - Ty niewdzięczna żmijo! Oboje z siostrą zasługujecie na siebie wzajem i na zniszczenie, jakie szykuje wam Cezar! - Osunął się na kolana, wstrząsany konwulsjami. - Przeklinam cię, Cezarze! Obyś zginął jak Pompejusz, skłuty mieczami i zalany krwią!

Upadł na bok, podciągając kolana pod brodę. Zadygotał jeszcze po raz ostatni, kiedy król podszedł doń i mocnym kopnięciem strącił go z podium. Wiotkie i martwe ciało eunucha stoczyło się z głuchym stukiem na marmurową posadzkę.

Spojrzałem na Cezara, który wpatrywał się w trupa szeroko otwartymi oczami. Twarz miał jak z wosku; przekleństwo eunucha musiało go wyprowadzić z równowagi. W końcu się otrząsnął, odwrócił w moim kierunku i uśmiechnął smutno.

- Cóż, Gordianusie, chyba się omyliłeś. Słudzy królowej są niewinni. Za to, co się zdarzyło na Antyrodos, odpowiada jednak twój syn.

Potrząsnąłem przecząco głową.

- Nie, konsulu! Musi być inne wytłumaczenie...

- Milcz! Król pozbył się zdrajcy, któremu udało się wedrzeć tak wysoko w jego otoczeniu. Pójdę za jego przykładem i też ukarzę zdrajcę. Jutro

Meto zostanie stracony.

Zatoczyłem się, jakby Cezar mnie uderzył. Ostupiały, spojrzałem na Kleopatę. Królowa się uśmiechała.





## ROZDZIAŁ 25

- **T**o miłe ze strony Cezara, że pozwolił ci na tę ostatnią wizytę - powiedział Meto.

Siedział na pryczy, wpatrzony w wilgotne kamienie przeciwległej ściany. Przez zakratowane okienko pod stropem dolatywały odgłosy porannej krzątanimy robotników w porcie, skrzypienie zacumowanych galer, pisk głodnych mew i pokrzykiwania marynarzy. Achilles nominalnie panował nad miastem wraz z wyspą i latarnią Faros i mniejszym portem Eunostos, natomiast siły Cezara nieodmiennie kontrolowały główną część portu.

- Miłe? - Potrząsnąłem obolałą głową. Spędziłem fatalną, bezseną noc, na próżno usiłując wymyślić jakiś sposób na uratowanie syna. - Miłe? Lojalny Meto, do końca wierny swojemu Cezarowi, nawet gdy ten chce go pozbawić życia.

- A co innego może zrobić, tato? Ktoś chciał go otruć na Antyrodos. Nie ja, ale wszystkie poszlaki wskazują na mnie. Nie może pozwolić, by taki wrogi akt uszedł bezkarnie.

- Ale jaki jest sens w karaniu niewinnego? I to tak niezachwianie lojalnego jak ty? Kiedy pomyślę o twoim poświęceniu dla tego człowieka, o strasznym ryzyku, jakie podejmowałeś...

- Z mojej własnej woli. Wybrałem służbę dla Cezara, a on dał mi ten przywilej. Nie zapominaj, tato, że urodziłem się niewolnikiem. Ja zawsze o tym pamiętam.

- To się zmieniło, kiedy cię adoptowałem.

- Nie, tato. Przeszłość nigdy nie znika, w każdym razie nie do końca. Uczyniłeś mnie twoim synem i rzymskim obywatelem. Zupełnie odmieniłeś moje życie i za to jestem ci bardziej wdzięczny, niż sobie możesz wyobrazić. Cezar okazał mi zaufanie, dał rolę do odegrania w swoim wielkim planie, a nawet obdarzył mnie czymś w rodzaju miłości. I za to jemu też jestem wdzięczny. Moje życie było bogatsze, niż kiedykolwiek marzyłem jako chłopiec; tym bogatsze, że nie miałem ani powodu, ani prawa oczekiwać podobnych cudów. Nigdy nie przyjmowałem tego jako czegoś oczywistego i należnego. Ty się mnie jednak wyrzekłeś...

- Wybacz mi, Metonie! To był najgorszy błąd, jaki w życiu popełniłem. Gdybym mógł to cofnąć, nie zawahałbym się nawet za największą cenę!

- Zrobiłeś, co według ciebie musiałeś zrobić. - Meto wzruszył ramionami. - A teraz Cezar robi, co musi. Być może naprawdę wierzy, że chciałem go otruć. Alternatywa jest dla niego nie do zniesienia: że królowa z jakiegoś powodu skierowała na mnie podejrzenie. Musi działać i skoro stanął przed wyborem między mną i Kleopatą, wybrał ją; a kimże ja jestem, by się temu sprzeciwić? Zwykłym niewolnikiem, który miał szczęście wyrosnąć ponad swój stan. Ona jest królową Egiptu, spadkobierczynią Ptolemeuszów i, jeśli wierzyć Egipcjanom, na dodatek

boginią. Jej przeznaczenie jest zapisane w gwiazdach. Mój los nic nie znaczy w wielkim porządku świata.

- Nie, Metonie! Nie przyjmuję takiego stanowiska. Twoje życie znaczy tyle samo, co każde inne. Przeżyłem życie, brnąc przez bagno, jakie stworzyli tak zwani wielcy tego świata. Nie są lepsi od zbrodniarzy czy szaleńców, ale ponieważ dokonują przestępstw na tak wielką skalę, my wszyscy mamy się im kłaniać w bojaźni i podziwie. Bogowie mnie kochają, zwykł mawiać każdy z nich, żeby usprawiedliwić swoje występki i przyciągnąć ludzi do siebie i swojej sprawy. Ale skoro są takimi pupilkami bogów, to dlaczego giną tak strasznie? Zobacz, jak skończył Pompeusz, wypatroszony jak ryba na egipskiej plaży. Przypomnij sobie, co spotkało Milona, Klodiusza, Marka Celiusza, Katylinę, Domicjusza Ahenobarbusa, Kuriona... Mógłbym ich wymieniać w nieskończoność. Zapamiętaj moje słowa; to samo czeka Kleopatrze i... tak, tak!... nawet twojego umiłowanego Cezara!

- Czyżbyś był teraz wieszczkiem, tato? - Meto roześmiał się niewesoło. - W ten sposób tylko wracamy do naszego dawnego sporu, przez który w końcu odrzuciłeś mnie. Myślisz, że jestem ślepo przywiązany do kogoś w rodzaju Cezara, że ochoczo się przykładam do tworzenia tego bagna, które według ciebie on za sobą zostawia. Może masz rację. Podzielał twoje wątpliwości. Podzielał niechęć do świata takiego, jaki jest, okrutnego, nieprzyjaznego i wypełnionego kłamstwami. Ale ostatecznie wybrałem życie w tym świecie, życie wojownika i szpiega, i za to teraz płacę swoją cenę, jak ją prędzej czy później zapłaci i sam Cezar, jeśli twoje wróżby się spełnią. - Przerwał na chwilę, rozglądając się wokoło. - Ale czy powinieneś wygłaszać takie buntownicze myśli, tato? Sam mnie ostrzegałeś, że trzeba się wyrażać powściągliwie, biorąc pod uwagę porowatość tutejszych ścian.

- Jakie to ma teraz znaczenie? Cezar podjął decyzję. Jest *de facto* królem Rzymu, jeśli nie *de iure*, i wszyscy jesteśmy zdani na jego łaskę.

- Sądysz, że da mi wybór rodzaju śmierci? Chciałbym móc rzucić się na swój miecz, jak przystało na honorowego Rzymianina. A może zmusi mnie do wypicia z amfory, abym zginął tak, jak on miał zginąć? Tak jak zrobił z Potejnosem, który umarł na oczach wszystkich?

Zadrzałem i zamrugałem, aby ukryć napływające mi do oczu łzy.

- Cezar nie zmusił go do wypicia trucizny - powiedziałem. - I to właśnie było straszne! Gdybyś go mógł widzieć wczorajszego wieczoru, Metonie, rozpartego na podwyższeniu, jak wymierza sprawiedliwość według swojego widzimisień niczym najbardziej zepsuty azjatycki władca! Powiedział mi, że uczył się sztuki rządzenia u króla Nikomedesa, a teraz czuje się w obowiązku przekazać te nauki młodemu Ptolemeuszowi. Jaki przykład mu dał, rozprawiając się w ten sposób z Potejnosem? Eunuch nie był lepszy od żadnego z nich; był takim samym bezwzględny graczem z morderczymi skłonnościami. Może zasłużył na taką śmierć, może nie, ale to, jak Cezar się z nim droczył, zmuszając do gry o życie dla zaspokojenia swojej ciekawości czy kaprysu, przyprawiło mnie o mdłości. Sam zresztą widział, że w śmierci Potejnosa było coś dziwnego. Szkoda, że nie widziałeś twarzy Cezara, kiedy eunuch rzucał na niego klątwę!

- Cezar nie wierzy w klątwy.



- Nawet w taką, którą wypowiedział ostatnim tchem umierający człowiek?

- Wypowiedział czy nie, kiedy już umrze, nie ma się czego z jego strony obawiać. Pamiętasz, co sam Potejnos powiedział królowi, usprawiedliwiając ich plan zabicia Pompejusza? Umarli nie gryzą.

Skinąłem głową i nagle znieruchomiałem, wciągając głośno powietrze. Poczulem dreszcz podniecenia, taki sam jak wtedy, gdy patrzyłem na kołyszącą się na fali rzeźbę Apollodorosa. Tym razem jednak nie była to ulotna, nieuchwytna myśl; wybuchła w mej świadomości wielka, niezaprzeczalna i solidna jak skała. Odwróciłem się i załomotałem pięścią w drzwi.

- Strażniku! Chodź tu natychmiast!

Meto zerwał się z pryczy.

- Tato, chyba nie chcesz teraz odejść? Przecież mamy jeszcze tyle do powiedzenia...

- I powiemy sobie to wszystko, ale kiedy indziej, ponieważ to nie jest nasze ostatnie spotkanie. Strażniku, otwieraj! Muszę natychmiast się widzieć z Cezarem!

Zastałem konsula tym razem jako imperatora, w pełnym i świetnym rynsztunku żołnierskim, ze słynną czerwoną peleryną powiewającą za nim na lekkiej morskiej bryzie wpadającej z tarasu wychodzącego na Faros. W komnacie panowała napięta atmosfera namiotu wodza przed bitwą, jaką zapamiętałem z naszego spotkania pod Brundyzjum, tuż przedtem, zanim wyparł Pompejusza z Italii. Teraz tak samo otaczali go rozbiegani młodzi oficerowie, zasypując pytaniami i raportami.

Na mój widok Cezar podniósł rękę, by uciszyć centuriona, który właśnie zdążył zwrócić na siebie jego uwagę.

- Przepraszam, panowie, ale muszę na chwilę zostać sam na sam z tym obywatelem - powiedział.

Każdy z obecnych wiedział, kim jestem - ojcem skazanego zdrajcy Metona - i niektórzy patrzyli na mnie z dezaprobatą, inni ze współczuciem. Jak jeden mąż zebraли swoje mapy, dokumenty i wycofali się do przedpokoju. Zza zamkniętych drzwi natychmiast dobiegł nas szmer ożywionej rozmowy.

Popatrzyłem na Cezara i spytałem:

- Czy mamy jakiś kryzys, konsulu? A może powinienem teraz nazywać cię znów imperatorem?

- Można to nazwać kryzysem. Achilles przesunął część swoich sił do przodu, inne przemieścił do różnych dzielnic miasta, wyraźnie się szykując do ataku na pałac. Być może dotarła do niego wieść o śmierci Potejnosa i tak na nią zareagował; niewykluczone jednak, że atak był od dawna zaplanowany. W każdym razie musimy być gotowi na najgorsze.

- Czy Achilles zaatakuje bez wyraźnego rozkazu króla?

- O tym dopiero się przekonamy. Kiedy się zjawiłeś, zastanawialiśmy się właśnie, jak najlepiej powiadomić go o woli króla, nie narażając ani samego Ptolemeusza, ani naszych posłańców. Achilles już zamordował dwóch moich ludzi, których do niego wysłałem. To zwykły zbój!

Przypomina mi piratów, którzy porwali mnie za młodu.

- A wszyscy wiemy, co się z nimi potem stało - zauważyłem; ukrzyżowanie piratów, o których mowa, jest jednym z najbardziej znaczących rozdziałów kariery Cezara.

- Achilles zamordował Pompejusza własną ręką i mieczem. Chciałbym widzieć, jak spotyka go to samo, co nieboszczyka Potejnosa, jego współspiskowca. Nic by mnie tak nie ucieszyło, powiadam ci.

- Pompejusz zginął za przyzwoleniem, jeśli nie z inicjatywy króla - zauważyłem. - Czy i on nie powinien być ukarany?

- Nie mów głupstw, Gordianusie. Kiedy już usuniemy pewne niekorzystne wpływy, Ptolemeusz będzie mógł wreszcie być sobą. Nie mam wątpliwości, że oboje z siostrą będą jednymi z najwierniejszych sprzymierzeńców Rzymu.

Jeszcze nie skończył tego zdania, a ja już poznałem po jego twarzy, że przyszła mu do głowy jakaś zupełnie inna myśl na ten temat. Odbiegliśmy jednak znacznie od celu mojej wizyty i Cezar nagle się zniecierpliwił.

- Widzisz chyba, Gordianusie, że jestem bardzo zajęty. Przyjąłem cię tylko dlatego, że tak na to nalegałeś i zapewniłeś, że ta rozmowa będzie owocna. Posłałem po tych, których chciałeś tu widzieć. Powinni się tu zjawić lada chwila. Mówisz, że wiesz już na pewno, co zaszło na Antyrodos, i że Meto jest absolutnie niewinny. Obyś potrafił to udowodnić!

- Ci, o których wezwanie cię prosiłem, znają prawdę, a właściwie jej fragmenty. Jeśli tylko je wyjawią, wtedy ujrzysz całą prawdę, Cezarze.

Oficer strzegący drzwi wszedł spieszenie do komnaty i szepnął coś Cezarowi na ucho.

- Pierwszy z twoich świadków już tu jest - powiedział imperator i kazał oficerowi go wprowadzić.

W chwilę potem stanął przed nami niski, chudy człowiek. Jego włosy i broda nie były ani w połowie tak zadbane jak przy naszym pierwszym spotkaniu na galerze Pompejusza. Niewola - najpierw u króla, teraz u Cezara - wyraźnie nie służyła wyzwoleniowi Filipowi. Był obdarty i potargany, a w jego oczach dostrzegłem dziwny wyraz, który nasunął mi obawy o jego zdrowie psychiczne. Kiedy mnie zobaczył, zmarszczył brwi, a jego spojrzenie stało się jeszcze dziksze.

- Pamiętasz mnie, Filipie? - spytałem. - Zbieraliśmy razem drewno na stos pogrzebowy dla twojego dawnego pana.

- Oczywiście, że cię pamiętam. Pamiętam wszystko, co zaszło w tym przeklętym dniu. Ach, gdybym mógł zapomnieć! - Opuścił wzrok i dodał smętnie: - Widzę, że i ty wpadłeś w łapy Cezara.

To mi przypomniało, że wziął mnie wtedy za jednego z weteranów Pompejusza, tak przejętego grozą i żalem po jego śmierci, że rzuciłem się w morze i wpław dobrnąłem do brzegu. Z tej przyczyny mi zaufał; nie widziałem powodu, aby wyprowadzać go z błędu.

- Wszyscy jesteśmy w jego rękach - odrzekłem, zerkając z ukosa na imperatora. - Filipie, bardzo mi potrzeba twojej pomocy. Ja ci wtedy pomogłem godnie pożegnać Wielkiego. Czy dzisiaj ty mi pomożesz?

- Czego chcesz ode mnie?

Nabrałem powietrza. Poprzedniego wieczoru byłem tak pewien swojego

scenariusza wydarzeń, jaki przedłożyłem Cezarowi na dowód niewinności Metona, i okazało się, że popełniłem wielki błąd. Co będzie, jeśli i tym razem intuicja mnie zawiedzie? Może mnie już opuściła, podobnie jak zdolność logicznej dedukcji. W oczach Cezara ujrzałem nagły niepokój i zorientowałem się, że muszę mieć w tej chwili równie dziki wzrok jak Filip. Odepchnąłem od siebie obawy i niepewność, jakie mnie naraz ogarnęły.

- Filipie, byłeś z Wielkim pod Farsalos, prawda?

- Tak. - Zerknął spode łba na Cezara; nienawiść i odraza, jakie musiał czuć do człowieka winnego upadku jego pana, były niemal namacalne.

- Już przesłuchałem tego człowieka - wtrącił Cezar. - Pytałem o Farsalos, morderstwo na plaży i wszystko, co zaszło między tymi dwoma wydarzeniami.

- Tak, Cezarze, ale myślę, że pewna kwestia pozostała niewyjaśniona. Co mi sam powiedziałeś o przesłuchiowaniu Filipa, kiedy byłem u ciebie na kolacji? Że w jednych sprawach wypowiadał się bardzo chętnie, w innych zaś z oporami. Myślę, że wiem coś, o czym nie miał ochoty mówić.

Cezar spojrział badawczo na mnie, potem na Filipa.

- Kontynuuj, Gordianusie.

- Filipie, kiedy siły Pompejusza zostały pokonane pod Farsalos, było to dla niego wielkim wstrząsem, prawda?

- Tak.

- Ale nie zupełnym zaskoczeniem, jak sądzę. Wiedział już, że Cezar jest groźnym wrogiem. Musiał już przed nim uciekać z Italii i wiedział, że ulegli mu także jego sojusznicy w Hiszpanii. Pompejusz musiał zdawać sobie sprawę, że może w końcu przegrać. Zgadza się?

Filip popatrzył na mnie czujnie, ale po chwili skinął głową.

- Bitwa pod Farsalos zaczęła się wcześniej rano od ataku oszczepników Cezara na przednią linię obrony Pompejusza. Walka była zacięta i krwawa, ale w miarę upływu czasu, kiedy słońce stało już najwyżej, ludzie Pompejusza wpadli w panikę i front się załamał. Piechota została otoczona, konnica uciekła, ale oddziały Cezara ścigały ją i mocno przetrzebiły; tymczasem obóz został opanowany przez jego główne siły piesze. Wieść gminna niesie, że Wielki był tak pewien zwycięstwa, że w południe zasiadł w swym namiocie do uczyty. Bardzo wystawnej, podanej na srebrnej zastawie i z najlepszym winem. Taką scenerię zastał Cezar, kiedy wkroczył do obozu i zajął pod namiot Wielkiego, po czym się przekonał, że ten chwilę wcześniej umknął. Tak wszyscy mówili w Rzymie. Ja jednak uważam, że było inaczej. Owszem, Pompejusz wycofał się do namiotu, ale nie miał żadnych złudzeń co do wygranej. Wprost przeciwnie; był pewien, że Fortuna się od niego odwróciła i że wszystko jest stracone. Wrócił do namiotu, by tam czekać nieuniknionego końca. Zebrał wokół siebie najbliższych towarzyszy... w tym i ciebie, Filipie... i zażądał, by niezwłocznie rozpocząć ucztę. Swemu zaufanemu podwładnemu... czy nie właśnie tobie?... polecił przynieść specjalną amforę falerna, którą chował na tę właśnie okazję. Pamiętasz, Filipie, co mi powiedziałeś wtedy na plaży, gdy rozpaczaleś po Pompejuszu? Ja pamiętam, choć wówczas nie rozumiałem tego w pełni. Powiedziałeś: „On powinien był umrzeć pod

Farsalos. Nie w taki sposób, ale w wybranym przez siebie czasie i tak, jak chciał. Kiedy już wiedział, że wszystko stracił, był na to zdecydowany”. Co on ci wtedy powiedział, Filipie? Jakie właściwie były jego słowa?

Filip patrzył na mnie niewidzącymi oczyma, zapatrzone we wspomnienie tego sądnego dnia w Grecji.

- Wielki rzekł do mnie: „Pomóż mi, Filipie. Pomóż mi zachować odwagę. Przegrałem i nie mam już siły, by znieść to, co będzie potem. Chcę skończyć tutaj, chcę, aby historycy zapisali, że Wielki zginął pod Farsalos”.

Skinałem głową.

- Ale w ostatniej chwili zabrakło mu ducha. Czy nie tak mi powiedziałeś? Pompejusz Wielki stchórzył i uciekł tak szybko, że musiałeś dobrze wyteńczyć siły, żeby go dogonić. - Pokręciłem głową. - Słyszałem, ale nie rozumiałem. Sądziłem, że Pompejusz naprawdę przedwcześnie świętował zwycięstwo, kiedy dotarło do niego, że przegrywa. Nie znalazł w sobie odwagi, by chwycić za miecz i zginąć w walce, ale uległ strachowi, dosiadł konia i uciekł. W rzeczywistości nie był to bankiet zwycięzcy, lecz pożegnanie z towarzyszami! Dlatego właśnie wtedy prosił cię o dodanie odwagi, aby mógł umrzeć tak, jak wcześniej zdecydował, na wypadek gdyby miał zostać pokonany. Ta starannie zapieczętowana amfora falerna, którą wszędzie ze sobą woził, z jednego pola bitwy na drugie, która miała być otwarta tylko i wyłącznie w jego obecności... Czemu to wino miało dla niego takie znaczenie, Filipie?

Wyzwoleniec potrząsnął głową, nie chcąc odpowiedzieć, ale Cezar zaczął już rozumieć.

- Pompejusz chciał umrzeć z własnego wyboru - powiedział w zamyśleniu. - Nie od miecza, tylko od trucizny?

- Tak - odpowiedziałem za Filipa. - Otoczony przez najwierniejszych przyjaciół, wśród bogactw i przepychu, z wyśmienitym posiłkiem w żołądku. Ale wały padły zbyt wcześnie i ty sam wjechałeś do obozu, konsulu. Pompejusz nie mógł dłużej zwlekać z wyborem: albo niewola i upokorzenie, albo szybka i pewna śmierć od trucizny... tej samej, którą jego żona trzymała dla siebie. Musiał tylko otworzyć amforę, wypić puchar wina i spokojnie odejść w niebyt. Taki miał plan. Ale kiedy kryzys naprawdę nadszedł, nie umiał tego zrobić. Czy bał się śmierci? Być może. Myślę jednak, że jego wola przetrwania, choćby w klęsce i nędzy, okazała się po prostu za silna. Wybiegł z namiotu, wsiadł na pierwszego konia, jakiego znalazł, i uciekł naprawdę w ostatniej chwili. A ty ruszyłeś za nim, Filipie, zostawiając w namiocie nie odkorkowaną amforę falerna.

Cezar obrócił wzrok na wyzwolenca.

- Czy to wszystko prawda? - spytał.

Filip tylko spuścił oczy i zacisnął szczęki. Jego milczenie wystarczyło jednak za odpowiedź. Cezar pokręcił w zadziwieniu głową.

- I pomyśleć, że gdybym był z tej samej gliny co Pompejusz i jak on zawsze i wszędzie pożywał luksusu i przyjemności, zamiast do końca kierować bitwą, mógłbym sam zasiąść do stołu i poczęstować się Pompejuszowym mięsiwem i winem... Byłaby to prawdziwa uczta zwycięzcy!... I zginąłbym tam na miejscu od trucizny. Jak zresztą mogłem

umrzeć każdego kolejnego dnia, gdyby naszła mnie ochota na tego wyjątkowego falerna!

- O czym Wielki dobrze wiedział - dodałem, kiwając głową. - Sam mi to powiedział na galerze: Cezar jeszcze dostanie, na co zasłużył, i to wtedy, kiedy się tego najmniej będzie spodziewał. W jednej chwili żywy, w następnej martwy jak król Numa! Myślałem wtedy, że nasłał na ciebie zabójcę albo że ma szpiega wśród twoich ludzi, albo też, że po prostu majaczy... Tymczasem on miał na myśli tę amforę, o której wiedział, że wpadła w twoje ręce, i miał nadzieję, że któregoś dnia zechcesz się z niej napić.

- Taką samą nadzieję musiał mieć ten tutaj nędznik! Co, Filipie? Wiedziałeś o truciznie, ale ani ci było w głowie mnie ostrzec! Czekając, aż otworzę amforę i umrę śmiercią, jaką wybrał dla siebie twój pan, ale stchórzył?

- Tak! - krzyknął wyzwoleniec. - Ku swemu wstydowi Wielki się przekonał, że nie jest zdolny popełnić samobójstwa, przybył więc do Egiptu, co na jedno wyszło. Często się zastanawiałem, czy nie wiedział z góry, jak go przywitają te potwory, w ten sposób uwalniając go od konieczności zadania sobie śmierci. Jednakże ludzkie czyny żyją dłużej, miałem więc nadzieję, że któregoś dnia w pałacu gruchnie wieść, że Cezar nie żyje! Nikt nie wie dlaczego... ot, pił sobie wino i padł bez życia... Czyżby ktoś go otruił?... O, bogowie... - Mały człeczyna aż dyszał ze złości.

- I tak by się stało, gdybym na Antyrodos zdażył się napić z pucharu królowej - powiedział chłodno Cezar. - Zginałbym, zabity przez trupa!

- Martwi nie gryzą - wtrąciłem. - Tak powiedział Potejnos o Pompejuszu. Ale się mylił. Wielki mógłby wyrzucić na tobie zemstę nawet zza grobu, Cezarze. Los jednak zrządził, że zamiast ciebie umarła niewolnica Kleopatry, a zamieszanie, jakie z tego wynikło, omal nie doprowadziło cię do zgładzenia Metona. Teraz chyba rozumiesz, że on od początku był niewinny?

Cezar spojrzał na mnie z ukosa.

- Ale co z tym alabastrowym flakonikiem, który przy nim znaleziono? - zapytał. - Wiemy, że zawierał truciznę, ale w chwili wykrycia był pusty.

W tym momencie jak na zawołanie wszedł wartownik, oznajmiając przybycie pozostałych wezwanych.

- Zabierz stąd tę kreaturę - rozkazał imperator, wskazując na Filipa. - I wprowadź tamtych.





## ROZDZIAŁ 26

Pierwszy wszedł Apollodoros, a za nim Merianis, oboje z ponurymi minami. Zerknąłem na Cezara i zobaczyłem, że i on od razu sposepniał. Nagle przez twarz przemknął mu wyraz trudny do określenia - konsternacji? rezygnacji? a może obawy? Do komnaty wkroczyła królowa Kleopatra.

Prosiłem Cezara, aby wezwał tych dwoje samych, bez ich pani, a nawet bez jej wiedzy, jeśli to możliwe, ale oto była. Wpłynęła przez drzwi w pełnym królewskim splendorze, w oficjalnych, szkarłatno-złotych szatach i w koronie z ureusem na głowie. Roztaczała zupełnie inną aurę niż wtedy, na Antyrodos, a już na pewno nie było w niej nic z uwodzicielki odwinętej z dywanu w tej samej komnacie. Nawet gdy widywałem ją podczas oficjalnych przyjęć w sali tronowej, nie emanowała takim majestatem, jaki bił od niej w tej chwili. Rzuciła mi wężowe spojrzenie, po czym - już łagodniejsza - zwróciła się do Cezara.

- Konsul chce raz jeszcze przesłuchać moich poddanych?

Cezar odchrząknął.

- Gordianusowi Poszukiwaczowi udało się w końcu rzucić trochę światła na incydent w pałacu na Antyrodos.

Kleopatra uniosła brwi.

- Czy to ma coś wspólnego z wyzwoleniem Filipem, którego minęłam w korytarzu?

- Możliwe. Wystarczy, jeśli powiem, że ta amfora falerna była już zatruta, zanim ją otworzyliśmy. O szczegółach możemy porozmawiać kiedy indziej, na razie jestem usatysfakcjonowany wyjaśnieniami Gordianusa.

Królowa powoli skinęła głową, mówiąc:

- Mamy więc bardzo niewygodną sytuację.

- Tak - podchwycił Cezar. - Jak to się stało, że u Metona znaleziono pusty flakonik, skoro, jak się okazało, trucizna w winie nie pochodziła z niego?

- To rzeczywiście dziwne...

- Dziwne i w najwyższym stopniu niepokojące. Jestem jednak przekonany, że ktoś z nas może to wyjaśnić.

W komnacie zapadła cisza, którą dopiero po dłuższej chwili przerwała Kleopatra.

- Czy najprostsze wyjaśnienie nie jest najbardziej prawdopodobne? Mówisz, że amfora była zatruta wcześniej. Ale czy nie mogła być zatruta podwójnie? Flakonik, i to pusty, miał przy sobie Meto. Twierdzę, że wziął go od Gordianusa... z jego wiedzą czy bez niej... i zamierzał użyć trucizny albo przeciw tobie, Cezarze, albo przeciw nam obojgu. To on przywiózł amforę na wyspę; uzmysłowił sobie, że trafia mu się okazja, więc zabrał też truciznę. Otwierając wino, jednocześnie otworzył flakonik i wlał jego zawartość do amfory. Nikt z nas niczego nie zauważył, bo przecież go nie

obserwowaliśmy. Czy wino było wcześniej zatrute, czy nie, Meto o tym nie wiedział, ale dokonał swojego zamachu. Jego zbrodni w niczym nie umniejsza fakt, że była zbędna.

Królowa wygłosiła to oskarżenie cichym, lecz stanowczym głosem; stała wyprostowana i patrzyła Cezarowi prosto w oczy, ani na chwilę nie odwracając wzroku. Sam Cyncero nie mógłby dobitniej wyłożyć swoich racji sceptycznie nastawionym ławnikom na Forum. Cezar jednak nie był przekonany.

- Słowa waszej wysokości brzmią sensownie, ale to wyjaśnienie mnie nie zadowala - oznajmił, spoglądając na Merianis, która natychmiast spuściła wzrok i zagryzła wargę.

Piękna, żywołowa i uśmiechnięta dziewczyna, która powitała mnie w pałacu, gdzieś zniknęła, zastąpiona przez zmizerowaną postać, która rozbieranymi oczyma i nerwowym zachowaniem bardziej przypominała mi Filipa. Od śmierci niewolnicy Zoe nie widziałem Merianis uśmiechniętej. Przy każdym spotkaniu sprawiała wrażenie coraz bardziej niespokojnej.

- Może ty, Merianis, udzielisz bardziej przekonującego wyjaśnienia? - spytał Cezar.

Dziewczyna zadrżała, mimo że w komnacie było ciepło. Spojrzała pytająco na królową, która odpowiedziała ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy.

- Przyznaję się - powiedziała drżącym głosem Merianis.

- Do czego?

- Zrobiłam... to, co zrobiłam, aby zaszkodzić Metonowi. To był haniebny postępek, niegodny kapłanki Izydy.

- Mów dalej - ponaglił ją Cezar.

- Tak, Merianis, mów - rzuciła surowym tonem Kleopatra.

Nie wytrzymałem i wtrąciłem:

- Konsulu, prosząc cię o wezwanie poddanych królowej, nie to miałem na myśli. To jest...

- Cicho, Gordianusie. Sam ją przesłucham. Kontynuuj, Merianis. Opowiedz, co zrobiłaś tamtego dnia.

- Nie miałam nic wspólnego z próbą otrucia. Jednak kiedy Zoe umarła i królowa mnie przywołała...

- Tak, pamiętam - przerwał jej Cezar. - Rozmawiałyście obie szeptem.

- Pani kazała mi tylko iść po Apollodorosa.

- Wasza rozmowa była jednak dłuższa i zauważalnie gorączkowa.

- Ja... to zdarzenie wytrąciło mnie z równowagi. Byłam dezorientowana i zdenerwowana. Królowa musiała powtórzyć polecenie i się zniecierpliwiła.

- A potem zobaczyłem, że spojrzałaś na Metona. - Cezar skinął głową. - Miałaś dziwną minę.

- Tak, bo właśnie wtedy przyszedł mi do głowy mój plan.

- Rozumiem. Mów dalej.

- Królowa posłała mnie po Apollodorosa. Pobiegnęłam go szukać, ale najpierw wpadłam do mego pokoju po flakonik.

- A więc to ty go zabrałaś Gordianusowi?

- Tak.

- A skąd w ogóle wiedziałaś, że istnieje i co zawiera?

- Kiedy zaprowadziłam Metona do pokoju ojca, Gordianus poprosił mnie, abym odeszła, ja jednak zostałam na korytarzu i podsłuchałam ich rozmowę. Słyszałam, jak Gordianus opowiada o flakoniku i truciznie... a także, jak Meto radzi mu się go pozbyć. Później, kiedy nadarzyła się okazja, zakradłam się do jego pokoju i zabrałam flakonik z kufra... ale tylko dlatego, że się bałam, iż Gordianus może próbować się zabić, a ja nie mogłam znieść nawet myśli o tym. - Po raz pierwszy od długiego czasu spojrzała mi w oczy. - To prawda, przysięgam na Izydę! Ukradłam truciznę tylko dlatego, że chciałam cię chronić przed samym sobą, Gordianusie! Błagam, uwierz mi!

Otworzyłam usta, by jej odpowiedzieć, ale Cezar uciszył mnie gestem.

- Mów, Merianis - rzekł z naciskiem.

- Miałam więc iść po Apollodorosa, ale najpierw poszłam do siebie i odszukałam flakonik. Opróżniłam go...

- A nie zrobiłaś tego wcześniej? - wszedł jej w słowo Cezar. - Dlaczego nie wylałaś trucizny od razu, skoro jedynym twoim motywem była chęć zapobieżenia jej użyciu?

Merianis zaczęła się plątać.

- Masz rację, konsulu... tak, zrobiłam to wcześniej... zapomniałam. Wszystko mi się miesza...

- Dalej!

Nawet Kleopatra drgnęła, słysząc ton Cezara. Merianis zaczęła szlochać.

- Kiedy... znalazłam Apollodorosa, szybko mu powiedziałam, co zaszło... i czego od niego chcę: ma podrzucić pusty flakonik Metonowi, żeby wina spadła na niego.

- Ale dlaczego, Merianis? Czym ci Meto zawinił?

- Nie zawinił, ale złamał mi serce! Pożądałam go od pierwszego spotkania. On powinien mi się odwzajemnić. Nie kryłam przed nim swoich uczuć, a on mnie odrzucił. Chciałam, aby cierpiał! - Merianis znowu zadrżała i ukryła twarz w dłoniach.

- A ty, Apollodorosie? - Cezar zmierzył Sycylińczyka surowym spojrzeniem. - Zgodziłeś się na tę mistyfikację?

Wcześniej, w każdych okolicznościach Apollodoros był aż do przesady pewny siebie, a nawet zuchwały; teraz jednak spuścił oczy i odpowiedział ochryłym szeptem:

- Zrobiłem, o co mnie Merianis prosiła.

- Dlaczego?

- Bo... bo ją kocham - wycedził przez zęby.

- Ach, tak... - Cezar skinął poważnie głową. - Musi to być wielka miłość.

- Tak!

Nie mogłem tego dłużej słuchać.

- Cezarze! - zacząłem, on jednak znów mi przerwał ruchem dłoni i gniewnym spojrzeniem, po czym odwrócił się do Kleopatry.

- Co wasza królewska mość na to wszystko?

Królowa była jeszcze wynioślejsza niż kiedykolwiek przedtem. Wydawała się zimna i nieprzystępna jak marmurowa kolumna.



- Takie oszustwo oczywiście narusza godność konsula...  
- Tak samo jak królowej, skoro jej poddani oszukali również ją!  
- Tak, ale ich występki nie były okrutną zbrodnią...  
- Byłby, jeśli w rezultacie zostałby stracony niewinny człowiek, w dodatku jeden z moich najbardziej zaufanych adiutantów! - Cezar wziął głęboki oddech. - Wasza wysokość, za to musi być wystawiony rachunek.

Przez pozbawioną dotąd wyrazu twarz królowej przemknął cień zgrozy, jakby nagły szkwał zmarszczył gładką powierzchnię wody. Kiedy przemówiła, jej głos się lekko załamywał.

- Słowa konsula są sprawiedliwe. Za taki postępek trzeba zapłacić i tak się też stanie.

Spojrzała najpierw na Merianis, potem na Apollodorosa. Coś nieuchwytnego, ale ważnego zaszło między tą trójką, królową i dwojgiem jej najbliższych sług. Milczący rozkaz został milcząco przyjęty. Miałem wrażenie, że przenieśli się na jakąś inną płaszczyznę egzystencji, gdzie ani ja, ani Cezar nie mogliśmy za nimi podążyć. Tłumaczę w ten sposób swój brak reakcji na to, co się wydarzyło natychmiast potem. Oni stali się aktorami na scenie, podczas gdy ja i Cezar byliśmy niemymi widzami, mogącymi tylko ze zgrozą i obawą obserwować ich grę.

Apollodoros wyciągnął sztylet. Dopiero później się zastanowiłem, dlaczego nie odebrali mu go wartownicy, ale sam już się zdażyłem przekonać, jakie zna sztuczki, więc mógł go łatwo przemycić przez posterunki. Stał przed Merianis, która zamknęła tylko oczy, jakby wiedziała, co ma się stać. Jej usta zaczęły się poruszać bezgłośnie, jakby w modlitwie. Sycylijczyk wbił jej nóż prosto w serce. Musiała umrzeć bardzo szybko, zdażyła bowiem tylko syknąć: „Święta Izydo...” i upadła na podłogę. Drgnęła jeszcze kilka razy i znieruchomiała.

Apollodoros bez wahania ukląkł przy niej, przystawił sobie ostrze sztyletu do piersi i rzucił się na nie całym ciężarem. Jego śmierć była gorsza niż Merianis; jęknął, kaszlał krwią i oddychał ze świstem.

- Pani moja! - krzyknął jeszcze, usiłując podnieść głowę i po raz ostatni spojrzeć na królową, ale oczy uciekły mu do tyłu, szczeka opadła, a z ust pociekła krew. Upadł na bok z kolanami podkulonymi pod brzuch. Kopnął jeszcze parę razy stopami w powietrze i po chwili leżał już tak samo nieruchomo jak Merianis.

Wartownik wpadł do komnaty z okrzykiem, a za nim wbiegli inni. Cezar podniósł rękę.

- Stać! Nie zbliżać się!

- Ale, konsulu... - zaprotestował wartownik.

- Wyjdźcie wszyscy. Natychmiast!

Rzucając złe spojrzenia na królową i mamrocząc coś pod nosem, ludzie Cezara wycofali się z powrotem na korytarz. Kleopatra patrzyła na dwa martwe ciała u jej stóp. Westchnęła głośno, a z jej oczu potoczyły się łzy. Przez chwilę, myślałem, że podda się emocjom i padnie z płaczem na podłogę, ale szybko się wyprostowała, otarła łzy i obróciła błyszczące oczy na Cezara.

- Czy jesteś usatysfakcjonowany?

Znów poczułem, że muszę coś powiedzieć, ale i tym razem Cezar nie

dopuścił mnie do słowa. Przechylił głowę, wysunął do przodu szczękę i wycedził:

- Tak. Jestem usatysfakcjonowany.

- I sprawa jest zamknięta? - Kleopatra spuściła oczy.

- Sprawa jest zamknięta - przytaknął. - Twój poddani ponieśli słuszną karę. Meto jest uniewinniony i zostanie uwolniony. Nigdy już nie będziemy wracać do incydentu na Antyrodos.

- Bardzo dobrze - rzekła królowa. Zdjęła z ramion długą płócienną pelerynę i nakryła nią ciała Merianis i Apollodorosa. - Jeśli mogę cię o to prosić, niech nikt nie dotyka zwłok. Balsamiści ze świątyni Izydy wkrótce je zabiorą, aby dopilnować właściwych rytuałów dla każdego etapu drogi, w jaką się oboje wybrali.

Nie zdzierżyłem dłużej. Drżącym głosem wypaliłem:

- To straszne, gdyby coś nie wyszło z rytuałami i królowa byłaby rozczarowana! Nawet w przyszłym życiu jej poddani muszą czekać i być gotowi jej służyć, kiedy dla niej samej nadejdzie dzień przejścia na drugą stronę!

- Rozumiesz wszystko doskonale, Gordianusie Poszukiwaczu. - Kleopatra przeszła mnie zimnym spojrzeniem. - Apollodoros i Merianis czczą Izydę, a ja jestem jej ucieleśnieniem. Ich lojalność nie zna granic, nie będzie ich też miała nagroda, jaką otrzymają. Tak było na tym świecie, tak będzie i w przyszłym, i przez całą wieczność. Bezbożni rozpadną się w proch, ale sprawiedliwi będą żyć wiecznie.

- A ty będziesz im panować?

- Nie martw się, Gordianusie. Szczerze wątpię, abyś po śmierci znalazł się wśród moich poddanych.

To rzekłszy, odwróciła się i wyszła z komnaty z podniesioną głową.





## ROZDZIAŁ 27

**B**alsamiści zjawili się nad podziw szybko. Tak szybko, że nie mogłem się oprzeć wrażeniu, iż musieli trwać w pogotowiu gdzieś niedaleko, czekając na wezwanie królowej. Ciała Merianis i Apollodorosa zostały ułożone na marach i wyniesione.

- Tak, jestem usatysfakcjonowany! - powiedziałem ironicznie, nie mogąc się już powstrzymać. - Naprawdę, konsulu? Jak możesz tak powiedzieć!

Patrzył na mnie długo, zanim odpowiedział.

- Jestem usatysfakcjonowany, że zareagowałem na to, co tu zaszło, tak jak powinienem.

- Ale chyba nie wierzysz, że królowa i jej słudzy mówili prawdę!

- To, Gordianusie, jest zupełnie inna sprawa.

- Te jej łzy! Jak czarownica rzuciła na ciebie nimi urok!

- Możliwe. Niemniej myślę, że były prawdziwe. Nie wierzysz, że kochała ich oboje, jak królowa może kochać swych najbliższych poddanych? Nie sądzisz, że była do głębi wzruszona ich poświęceniem?

- Poświęceniem, zaiste! Te bzdury o szalonej miłości Merianis do Metona i jak to niby wiedziona impulsem chciała go zniszczyć za to, że nią wzgardził... A jeszcze, że Apollodoros poszedłby na taki numer bez zastanowienia i za plecami królowej! Przecież on był niewolnikiem tylko jednej kobiety, a obydwaj wiemy, że nie chodzi o Merianis.

Cezar westchnął.

- Tak się jednak składa, Gordianusie, że wiem od samego Metona, iż Merianis rzeczywiście ofiarowała mu swoje uczucie...

- Tak jak i mnie! - wpadłem mu w słowo.

- On zaś je naprawdę odrzucił.

- Tak jak i ja. Ale ani przez moment nie wierzyłem, że Merianis z własnej inicjatywy podrzuciła ten nieszczęsny flakonik Metonowi.

- Ja też nie. - Cezar spojrzał na mnie posepnie.

- Ale mimo to zostawiasz tę sprawę nie rozwiązaną.

- Meto będzie zwolniony, Gordianusie. Czyż nie o to ci chodziło?

- Jestem Rzymianinem, konsulu. Może to niemądre, ale dla mnie sprawiedliwość jest czymś oczywistym. Zabroniłeś mi mówić, kiedy była tu Kleopatra. Może przynajmniej teraz mnie wysłuchasz?

- Niech ci będzie. - Cezar znów westchnął. - Ale tylko dlatego, że jesteś ojcem Metona, że tyle wycierpiałeś w Egipcie, a także dlatego, że cię lubię. Pozwolę ci więc powiedzieć mi, co uważasz za prawdę. Wyjaśnij mi, co się zdarzyło na Antyrodos, a potem już więcej o tym nie rozmawiajmy. Rozumiemy się?

- Tak, konsulu.

- Zaczynaj więc.

- Zgodzisz się z twierdzeniem, że wino w amforze było wcześniej zatrute, ponieważ Pompejusz w ten sposób zamierzał zejść z tego świata?

- To jest możliwe. Ale co z tym twoim flakonikiem?

- Merianis mogła go naprawdę wykraść z mojego kufra i to z powodu, o jakim mówiła. Chciała odebrać mi możliwość samobójstwa, mając na względzie tylko moje dobro. Ale to chyba jej jedyne prawdziwe słowa. Nie wspomniała bowiem o tym, że była szpiegiem Kleopatry, jej uszami i oczami. Mówiła jej o wszystkim, na pewno więc i o alabastrowym flakoniku. Gdy ją zapytałeś, kiedy pozbyła się trucizny, zaplątała się w zeznaniach. Myślę, że chciała to zrobić, ale otrzymała rozkaz, by truciznę zatrzymać. Kobiecie takiej jak Kleopatra mogła się ona kiedyś przydać. Żadna z nich nie miała pilnego zapotrzebowania na „płynną Nemezis” i mogły o niej zapomnieć, jak i ja zapomniałem, że ją mam. A potem nadszedł ten straszny dzień na Antyrodos. Kiedy Zoe umarła po skosztowaniu twojego falerna, królowa była równie zaskoczona i zaniepokojona jak my wszyscy. Ale jej umysł pracował bardzo szybko, szukając sposobu jak najlepszego wykorzystania sytuacji. Ponieważ to Meto otwierał amfore, był najbardziej podejrzany. Kleopatra mogła nawet być przekonana, że to on zatrul wino. Wiedziała też, że są wrogami. Meto jej nie lubił; pozbycie się go przyniosłoby jej korzyść, a oto nadarzała się świetna okazja zadać mu cios i jednocześnie odwrócić podejrzenia od siebie samej. Plan powstał szybko i równie szybko wprowadziła go w życie. Trzymając na łonie ciało Zoe, zawołała Merianis. Co jej powiedziała? Żaden z nas nie słyszał, ale czy nie miałeś wrażenia, że Merianis wzdraga się wypełnić polecenie królowej? Oto, co musiała jej powiedzieć: po pierwsze, kazała jej przynieść flakonik i wylać gdzieś truciznę, po drugie, sprowadzić Apollodorosa, uprzedzając go o życzeniu królowej, aby podrzucił Metonowi puste naczynie. Merianis była zbulwersowana. Nie chciała robić krzywdy Metonowi i stąd to dziwne spojrzenie, jakie mu posłała, i późniejszy wstyd, jaki okazywała. Apollodoros wypełnił rozkaz bez szemrania, a powód podał dzisiaj. Powiedział, że ją kocha... tylko nie miał na myśli Merianis. Mówił o Kleopatrze!

Cezar potarł w zamyśleniu podbródek.

- I... jeśli przyjąć, że twoja wersja jest prawdziwa... dlatego właśnie nalegałeś, abym wezwał tych dwoje bez ich pani. Miałeś nadzieję, że mogą wyjawić prawdę i obciążyć winą królową.

- Tak. Tylko że Kleopatra to przewidziała. Mogła po prostu odmówić twojej prośbie, ale wyczuwała, że kiedyś musisz uzyskać jakieś wyjaśnienie tej zagadki i że ktoś będzie musiał ponieść karę. Zanim Merianis i Apollodoros tu przyszli, zostali przez nią dokładnie pouczeni, co mają mówić. Kłamali, aby ją ratować, wiedząc, że dla nich oznacza to śmierć. - Przypomniałem sobie twarz dziewczyny i wymalowane na niej pogodzenie się z losem, kiedy Apollodoros wbijał jej nóż w pierś. Głos mi zadrzał. - Gdyby Merianis nie zabrała trucizny z mojego kufra w trosce o mnie, może żyłaby jeszcze...

Cezar skinął głową.

- Jakie to dziwne! Rzekłbyś, flakonik Kornelii i amfora Pompejusza żyły własnym życiem i działały nawet po śmierci ich właścicieli. Martwi jednak potrafią gryźć, podobnie jak wdowy po nich!

- Przyjmujesz więc moją wersję wydarzeń, konsulu?

- Zaspokaja moją ciekawość, Gordianusie, choć nie moje potrzeby.

- Potrzeby?

- Przybyłem tutaj, aby ustabilizować sytuację dla własnej korzyści i dla korzyści Rzymu, co zresztą na jedno wychodzi. Długi Egiptu muszą być spłacone, ale do tego potrzebny jest mu pokój. Albo król i królowa się pogodzą, albo jedno z nich musi zostać wyeliminowane, a drugie osadzone na tronie. Ktokolwiek zaś na nim zasiądzie, musi być wiernym sojusznikiem Rzymu. Przez cały czas trzymałem się jednego planu: że testament Auletesa musi zostać wykonany, to znaczy, że brat i siostra mają rządzić wspólnie. Incydent na Antyrodos był niefortunny, ale jak sam zaznaczyłeś, był dziełem przypadku, a reakcja królowej, choć niewłaściwa, nie była z góry zaplanowana. Prowadzenie śledztwa, zasypywanie jej pytaniami, jak gdyby spiskowała przeciwko mnie, nie służy dobrze nadrzędnemu celowi...

- Ależ ona spiskowała przeciwko tobie, konsulu! Nie raz, ale dwukrotnie! Pierwszy raz wtedy, gdy starała się fałszywie oskarżyć Metona... co było tym gorsze, że właśnie spontanicznie... a drugi zaledwie chwilę temu, kiedy z premedytacją kazała swoim sługom kłamać, a nawet umrzeć, byle tylko zatrzeć ślady pierwszej intrygi!

- Chciałbyś, żebym powiedział jej w oczy, że kłamię?

- Chciałbym, żebyś nazywał rzeczy po imieniu!

- Ach, ale tu właśnie zawodzi cię zdolność pojmowania sytuacji, Gordianusie. Masz wiedzę, ale brak ci zrozumienia. Królowa chciała na tych oszustwach skorzystać, a nie sprowadzić na mnie zagrożenie. To istotny punkt, Poszukiwaczu, którego ty nie dostrzegasz. To sprawa polityczna i dotyczy zachowania pozorów. Kiedy królowa została zmuszona do udzielenia odpowiedzi, która pozwoliłaby zachować pozory, tak właśnie postąpiła.

- Kosztem dwóch istnień ludzkich! Ona jest potworem. Zmusić tych dwoje do kłamstwa w jej obronie, a potem patrzeć, jak zadają sobie śmierć, aby ona mogła zachować pozory...

- I żebym ja mógł je zachować, Gordianusie. Naprawdę wierzysz, że Kleopatra ich do czegokolwiek zmuszała? Wprost przeciwnie! Zrobili to wszystko dobrowolnie, a nawet chętnie. Cóż za nadzwyczajne oddanie! Gdybym to ja mógł budzić tak głębokie uczucia miłości i lojalności... Za mnie też ludzie umierali, ale nie tak, jak ci dwoje za swoją królową. Oni naprawdę uważali ją za boginię, która może dać im wieczne życie. Zadziwiające!

W jego głosie wyraźnie pobrzmiwała zazdrość. Czy król Rzymu kiedykolwiek się doczeka podobnego oddania i poświęcenia? Sama myśl o tym była dla mnie odrażająca, ale Cezara zdawało się to fascynować. Podeszedł do okna i zapatrzył się na równinę ciągnącą się aż po Nil.

- Ale... - Nutę zazdrości zastąpiła rezygnacja. - Mówisz, że ona rzuciła na mnie urok, Gordianusie. Obawiam się, że możesz mieć rację. Sam jestem bliski uznania jej za boginię, choćby dlatego, że przy niej czuję się bogiem... Mam pięćdziesiąt dwa lata, a ona sprawia, że znów jestem młody. Podbiłem świat i jestem znużony, a ona daje mi nowy świat do zdobycia. Ba! Oferuje więcej, bo wiecznotrwałe życie. Przez tyle lat nie

doczekałem się następcy, a Kleopatra obiecuje dać mi syna. Wyobrażasz sobie? Syna, który rządziłby nie tylko Egiptem, ale i samym Rzymem! Możemy założyć dynastię, która po wiek wieków panowałaby nad całym światem!

Pokręciłem głową z dezaprobatą. Cezar, choć wpatrzony gdzieś w dal, musiał jednak wyczuć moją reakcję.

- Przypuszczam, że przez takie właśnie moje rozważania Meto tak zdecydowanie nie lubi królowej i nie podoba się mu wpływ, jaki ona na mnie wywiera. Czy ja się zachowuję jak jakiś tępy wschodni despota? Czy po to przeszedłem świat, unikając wszystkich pułapek i pokonując każdego wroga, żeby w Egipcie stracić głowę dla jakiejś dwudziestolatki?

- Mówisz, że Kleopatra obiecuje ci świat, konsulu, a przecież ona kłamie równie łatwo, jak oddycha. Kusi cię perspektywą dochowania się potomka, ale jeśli nawet ci oznajmi, że nosi twoje dziecko, jak możesz mieć pewność, że...

- Dosyć! - Cezar uniósł rękę. - Niektórych myśli lepiej nie wypowiadać na głos.

Splótł ręce za plecami i przez długi czas wyglądał przez okno w milczeniu, aż pomyślałem, że zapomniał o mojej obecności, ale w końcu się odezwał. Głos mu się odrobinę zmienił; podczas tej przerwy musiał podjąć jakąś decyzję związaną z osobą królowej. Najpierw jednak zajął się inną sprawą. Odchrząknął i rzekł:

- Chcę, abyś wiedział, Gordianusie, że nigdy nie zabiłbym Metona.

- Ale sam powiedziałeś...

- Powiedziałem to, co było konieczne dla uzyskania pożądanego skutku.

- Odwrócił się do mnie i spojrzał mi w oczy. - Czyż bezpośrednie zagrożenie życia twojego syna nie sprawiło, że doszukałeś się prawdy o zatrutej amforze?

- Być może. Wciąż jednak...

- Znam się na ludziach, Gordianusie. Jeśli miałbym wymienić jakąś jedną cechę, dzięki której wspiałem się na swoją dzisiejszą pozycję, to właśnie zdolność do oceny charakterów i możliwości otaczających mnie osób. Niektórzy dobrze reagują na zachęty, innym trzeba grozić, wobec jeszcze innych odwoływać się do honoru lub go kwestionować. Cała sztuka w tym, by wyczuć, w jaki sposób inspirować każdego, by dał z siebie wszystko. Dowód, jak zwykle, tkwi w rezultatach.

- Nigdy więc nie uważałeś Metona za winnego?

- Czy ja to powiedziałem? Zdawało mi się, że coś innego. Ale najważniejsze, że Meto zostanie natychmiast zwolniony i przywrócony na dawne stanowisko u mego boku.

- Jakby nic się nie stało?

- Nauczyłem się wybaczać wrogom, Gordianusie. Niektórzy z nich nauczyli się wybaczać mnie. Czy dwaj przyjaciele nie powinni sobie tym łatwiej puścić w niepamięć tego, co złe?

Zacisnąłem zęby.

- Wypowiedziałeś fałszywy sylogizm, konsulu.

- Jak to?

- To ty potrzebujesz przebaczenia. Meto nie zrobił niczego, co trzeba by

mu wybaczać.

- Ach, tak? Jak to miło, że w końcu to od ciebie słyszę! Twój syn jest zatem bez winy.

- Chciałem powiedzieć...

- Wiem, co chciałeś powiedzieć. Ale teraz wybór, jak postąpić po tym... niefortunnym braku zaufania, należy do Metona, jak sądzę, nie do ciebie. Czy twój syn ma prawo sam podejmować decyzje, czy też dalej będziesz zaglądał mu przez ramię, osądzał na każdym kroku, trzymając go jak zakładnika dla twojej aprobaty lub dezaprobaty? Czy moje postępowanie względem Metona było choć trochę bardziej destrukcyjne od twojego, gdy się go wyrzekałeś? Jeśli taki rozdźwięk można naprawić, to dlaczego nie ten, który powstał między nim a mną?

Jak zrećcznie Cezar wygrał tę rundę, wynosząc swoje decyzje ponad wszelką dyskusję, jednocześnie kwestionując moje prawa rodzicielskie i osąd moralny! Drażniły mnie jego insynuacje, ale nie przychodziła mi do głowy żadna trafna riposta. Albo Meto sam decyduje o swoim życiu, albo nie. Jeśli tak, to muszę raz na zawsze pogodzić się z tym, że wysunął się spod mojej kontroli i nie mogę już kształtować jego poglądów i pragnień. Czy pospieszysz z powrotem do Cezara, wybacząc mu ów „niefortunny brak zaufania”, czy też robak wątpliwości na zawsze się zadomowił w jego myślach i już nigdy Meto nie będzie mógł ofiarować swemu wodzowi tyle oddania, ile dawniej? Cezar miał rację; wybór należy do niego, nie do mnie.

Zdaje się jednak, że to przed Cezarem stoi konieczność dokonania jeszcze jednego, bardziej naglącego wyboru. Odwrócił się ode mnie, wezwał wartownika i wydał mu jakieś polecenie, którego nie dosłyszałem. Zaczął potem przechadzać się po komnacie, wpatrzony w swoje odbicie w polerowanej marmurowej posadzce, jakby przestał mnie zauważać. Jak wielu znanych mi wpływowych ludzi posiadał umiejętność natychmiastowego przechodzenia od jednego zajęcia do drugiego, kierując całą energią na rozwiązywanie bieżącego problemu. Ze mną sprawę już załatwił i choć jeszcze tu tkwiłem fizycznie, praktycznie już zniknąłem mu z oczu. Odchrząknąłem i zagadnąłem:

- Jeśli konsul już ze mną skończył...

Cezar podniósł głowę i spojrzał na mnie, jakbym go wyrwał z głębokiego snu.

- A, Gordianus! Nie, zostań tu jeszcze. Zamierzam podjąć dawno odkładaną decyzję i ktoś musi być tego świadkiem. Dlaczego nie ty? Tak, myślę, że właśnie Gordianus Poszukiwacz powinien być przy mnie w takiej chwili.

Czekaliśmy więc, choć nie wiedziałem na co. W końcu wartownik zaanonsował przybycie spodziewanego gościa. W chwilę potem, pozostawiawszy swych dworzan w przedpokoju, do komnaty wkroczył król.





## ROZDZIAŁ 28

Przykląknęłam na jedno kolano. Cezar stał dalej. Ptolemeusz dał mi nieznacznym gestem znak, że mogę wstać, ale poza tym nie zwrócił na mnie uwagi. Podszedł do Cezara, zatrzymując się o dwa kroki od niego. Miał na głowie koronę z ureusem w kształcie atakującej kobry. Wydawał się jakby odmieniony - już nie chłopiec udający mężczyznę, ale dorosły mąż, który wyrósł z chłopięctwa. Spojrzenie, jakie wymienił z Cezarem, świadczyło, że pomimo różnicy wieku czuje się mu równy.

- Witaj, wasza królewska mość - rzekł Cezar, lekko pochylając głowę.

- Witaj, konsulu - odpowiedział król; oczy mu błyszczały, a linię ust zmiękczał delikatny uśmiech. Był uderzająco podobny do starszej siostry.

- Rozmawialiśmy już długo o tym, co trzeba zrobić. - Cezar westchnął po raz kolejny tego ranka. - Pozostajesz niezłomny w swojej decyzji?

- Nigdy nie będę dzielił tronu z siostrą. Potejnos, jakimikolwiek się kierował motywami, przekonał mnie w końcu do kompromisu; ale Potejnosa już tu nie ma.

Zrozumiałem teraz, skąd się wzięła zmiana, jaką w nim wyczułem. Nie było to coś nowego, ale raczej brak czegoś dawnego. Poza tym jednym przypadkiem, kiedy słyszałem, jak wygłasza przemowę z balkonu grobowca Aleksandra, nigdy dotąd nie widziałem Ptolemeusza bez Potejnosa. Być może ci, którzy uważali, że kanclerz ma nadmierny wpływ na króla, mieli rację. Bez niego Ptolemeusz jakby w jedną noc wydorósł.

- Wasza wysokość rozumie, jak trudną decyzję muszę podjąć - powiedział Cezar.

- Rozumiem.

- Ale ostatecznie, w miarę rozwoju wydarzeń... i po lepszym poznaniu charakterów każdego z dzieci Auletesa...

Ptolemeusz spojrział na niego pytająco.

- Czyżby konsul dokonał wyboru między nami?

- Tak jest.

- No i...?

- Wiesz, Ptolemeuszu, jak mocno pragnąłem ugody między wami. Nawet teraz, gdyby to było możliwe, wydaje mi się to najrozsądniejszym wyjściem. Ponieważ jednak wyraźnie nie jest to możliwe, trzeba wybrać inne...

Ptolemeusz przechylił głowę i zmrużył oczy.

- Mów dalej, konsulu.

- Zdecydowałem, wasza królewska mość, że poprę twoje roszczenie do wyłącznego panowania w Egipcie.

Pod powściągliwym uśmiechem króla dostrzegłem błysk chłopięcej radości.

- A co z moją siostrą?

- Kleopatra pewnie łatwo się z tym nie pogodzi, ale uzmysłowi się jej, że nie ma wyboru. W końcu jej położenie w Aleksandrii całkowicie zależy od



mojej ochrony.

Uśmiech Ptolemeusza zgasł.

- A jeśli wymknie się z miasta i dołączy do swoich buntowników?

- To się nie zdarzy.

- Skąd ta pewność, konsulu? Do pałacu dostała się z łatwością.

- Po pierwsze, niektórych jej najbliższych współników... tych, którzy pomogli jej się tu znaleźć... już przy niej nie ma. - Cezar zerknął na mnie z milczącym poleceniem, abym nawet słowem nie wspomniał o losie Merianis i Apollodorosa. - Na razie zostanie odwieziona do pałacu na Antyrodos i nie wolno jej będzie go opuszczać. Moi żołnierze tego dopilnują.

- Tak, jak pilnowali mnie przez ostatnie dni?

- Podczas okresu niepewności, który właśnie się zakończył, uznałem za konieczne być gotowym na wszelkie ewentualności - odparł Cezar. - Teraz, kiedy podjąłem decyzję, wasza wysokość może oczywiście poruszać się swobodnie, w przeciwieństwie do Kleopatry.

- Ona musi być wydana mnie, abym mógł ją osądzić.

- Nie, wasza wysokość. Tego zrobić nie mogę. Nie może się jej stać nic złego.

- Jeśli pozwolę siostrze żyć dalej, prędzej czy później ucieknie i wzniesi bunt. Nawet uwięziona znajdzie sposób, by narobić kłopotów. Dopóki oddycha, nigdy nie przestanie dybać ma moje życie.

Cezar skinął głową.

- To oczywiste, że Kleopatra nie powinna pozostać w Egipcie. Myślę, że najlepiej będzie, gdy zamieszka w Rzymie... oczywiście pod moją czujną ochroną.

- W Rzymie? Gdzie będzie mogła dalej spiskować przeciwko mnie?

- Jej dom będzie pod stałą obserwacją. Ograniczę jej swobodę poruszania się po mieście, jak również przygotuję listę gości, których będzie mogła przyjmować.

- Czy na tej liście będzie też Cezar?

- Być może, od czasu do czasu.

Ptolemeusz pokręcił głową.

- Z Rzymu daleko do Aleksandrii. Cezar zapomni o swych związkach z królem Egiptu. Ta zmija wleje ci truciznę do ucha i obróci przeciwko mnie!

Powiedział to nagle zmienionym, piskliwym głosem; z mężczyzny znów wyrzwał nadąsany chłopiec. Cezar był jednak nieugięty.

- Wasza wysokość musi mi w tej kwestii zaufać. Nie pozwolę skrzywdzić Kleopatry. Czy ci nie wystarczy, że uznaję twoje wyłączne prawo do egipskiego tronu?

Król odetchnął głęboko, wyprostował się i odciągnął do tyłu ramiona. Mężczyzna zapanował nad chłopcem i podjął decyzję.

- Cezar mówi mądrze. Naród egipski i jego król mają szczęście, że znaleźli takiego przyjaciela w konsulu Rzymu. Teraz jednak jest dużo do zrobienia. Jeśli naprawdę mogę się swobodnie poruszać...

- Oczywiście, wasza wysokość.

- Opuszczę zatem pałac i udam się do Achillasa, aby objąć dowództwo nad moją armią w mieście. Poinformuję go o twojej decyzji i każę wycofać

wojsko, aby nie poląła się już ani rzymska, ani egipska krew. Gdy tylko w mieście i w pałacu zapanuje porządek, a moja siostra i ci, którzy zechcą przy niej pozostać, odjadą z Egiptu pod twoją opieką, odbędzie się ceremonia zakończenia wojny domowej i ustanowienia mojej władzy. - Głos Ptolemeusza złagodniał. - Jeśli konsul ma czas, chciałbym, aby towarzyszył mi w podróży w górę Nilu, aby przyjrzeć się życiu rzeki i wielu jej wspaniałościom.

Cezar podszedł do króla i ujął go za rękę.

- Bardzo bym tego chciał, wasza wysokość. Prędzej czy później będę musiał opuścić Egipt. Muszę się rozprawić z rozproszonymi resztkami sił Pompejusza, które podobno się zbierają w Libii pod wodzą Katona. Nie mam się jednak czego obawiać z ich strony, a pełne i ostateczne zakończenie spraw w Egipcie jest ważniejsze od wszystkiego innego. Podróż po Nilu... dla scementowania naszej przyjaźni... sprawi mi ogromną przyjemność.

Spojrzenie, jakie wymienili, było przepelnione taką intymnością, że poczułem się jak intruz. Zakaszlałem lekko, by przypomnieć o swojej obecności.

- Tymczasem... - rzekł Cezar tonem znów oficjalnym - będę obserwował, czy wojska Achillasza zaprzestaną wrogich działań, i niecierpliwie oczekiwał powrotu waszej królewskiej mości.

Król się cofnął, wrywając dłoń z uścisku Cezara. Kiedy się odwracał do wyjścia, wyraz męskiej stanowczości na jego twarzy złagodniał i zniknął zupełnie. Ptolemeusz zakręcił się na pięcie i znów był królem-chłopcem, jakim go poznałem, niepewnym i niespokojnym, ze łzami w oczach.

- Chodź ze mną, Cezarze! Nie chcę cię opuszczać!

Cezar uśmiechnął się pobłażliwie na ten nagły wybuch emocji. Delikatnie położył dłoń na dłoni króla ściskającej jego ramię.

- Król mnie nie potrzebuje do rozmowy z Achillasem. Rozkaz zaprzestania działań musi wyjść tylko od ciebie. Ja bym tylko przeszkadzał.

Ptolemeusz skinął głową, ale oczy miał wypelnione łzami.

- Masz rację, oczywiście. Muszę to zrobić sam. Mój ojciec mawiał, że król jest zawsze samotny. Nigdy jednak nie zapominaj, Cezarze, o jednym: w tej chwili całe moje królestwo nie jest mi droższe nad twój widok!

Ze zdumieniem zauważyłem, że Cezar też ma łzy w oczach. Kiedy się odezwał, głos miał matowy.

- Jeśli to prawda, wasza wysokość, to idź szybko, abys mógł tym szybciej do mnie powrócić.

Bez słowa, do końca patrząc Cezarowi w oczy, Ptolemeusz się cofnął, odwrócił i wyszedł z komnaty. Cezar stał bez ruchu, patrząc za nim.

- Powiesz jej teraz? - spytałem.

Spojrzał na mnie tak tępo, że musiałem powtórzyć pytanie.

- Powiesz królowej? Czy też raczej po prostu Kleopatrze, skoro już nie ma prawa do tego tytułu?

- Jestem pewien, że zachowa jakiś tytuł - Cezar odpowiedział z roztargnieniem, jakbym oderwał go od jakichś ważniejszych myśli. - Pewnie księżniczki, jak się do niej zwracano za życia Auletesa. Jest w

końcu jego córką i siostrą króla.

- Ale już nie jego żoną?

- Nie jestem pewien, czy jest jakieś królewskie prawo dotyczące rozwiązania tego małżeństwa. Jeśli nie, to się jakieś wymyśli.

- A czy nadal pozostanie wcieleniem boskiej Izydy, choć pozbawiona korony? Stracić tron to straszne przeżycie... ale stracić boskość?

- Jeśli stroisz sobie żarty z miejscowej religii, Gordianusie, to nie są wcale śmieszne.

- Powiesz jej teraz? - zapytałem jeszcze raz.

Cezar nabrał powietrza.

- Bywają zadania, przed którymi nawet Cezar chętnie by stchórzył! Ale jeśli będę to odkładał, sama się dowie i wynikną z tego tylko kłopoty. Najlepiej odważnie stawić czoło sytuacji. Królowa... to jest, księżniczka... mogła już wyjechać na Antyrodos, ale może uda się nam ją jeszcze zastać na nabrzeżu.

- My, konsulu?

- Naturalnie, że jesteś w to włączony, Gordianusie. Jeśli byłeś świadkiem początku sprawy, nie chciałbyś zobaczyć, jak się kończy?

- Być może. Ale czy konsul sobie życzy, abym to zobaczył?

- Zawsze wolałem mieć dodatkową parę oczu i uszu podczas ważnych wydarzeń. Moja pamięć nie jest już taka, jak dawniej. Relacja kogoś drugiego bardzo mi się przydaje, kiedy zasiadam do pisania pamiętników. Meto długo pełnił tę funkcję.

- Będę kiepskim zastępcą mego syna. Może powinieneś go wezwać.

- Świetna rada. Jego cela jest niedaleko nabrzeża. Poślę przodem ludzi, aby go uwolnili, spotkamy się więc w porcie. Odegrawszy rolę przeciwnika królowej... księżniczki... Meto zasługuje, aby być obecnym, gdy oznajmię jej mą decyzję. Idziemy, Gordianusie!

Szedłem obok Cezara na czele jego świty. Co chwila zatrzymywał się, aby wydać komuś jakiś rozkaz. W końcu wyszliśmy z pałacu do ogrodu nad wodą. Za rzędami palm i kwitnących jaśminów, na kamiennym nabrzeżu, stała Kleopatra w towarzystwie kilku sług i rzymskiego żołnierza, który miał pilnować, aby nie odpłynęła z powrotem na łąd.

W pobliżu rozległ się znajomy głos.

- Cezarze!

Konsul, ujrawszy przy ścieżce Metona, zatrzymał się i rozwarł ramiona.

- Metonie! Dobrze wyglądasz, dzięki niech będą Wenus!

Meto się zawahał, ale uśmiech Cezara rozwiał jego wątpliwości. Objęli się.

- Posłaniec powiedział...

- Zostałeś oczyszczony z wszelkich podejrzeń dzięki intuicji twojego ojca.

- Tato! - Meto rzucił mi się w objęcia.

Przemówił najpierw do Cezara i jego pierwszego uścisnął; starałem się jednak myśleć tylko o radości, jaką odczułem, widząc, że jest zdrowy i wolny od zagrożenia.

- To znaczy, że znalazłeś odpowiedź na pytanie, co zaszło na Antyrodos.

- Meto popatrzył pytająco na mnie, a potem na Cezara.

- Tak jest - odpowiedział imperator. - Ale wyjaśnienia muszą poczekać. Kleopatra zaraz odpływa, a ja coś jej muszę powiedzieć.

Cezar ruszył naprzód, nadając szybkie tempo.

- Tato, co się dzieje? - szepnął Meto.

Miałem już odpowiedzieć, gdy Cezar odwrócił się przez ramię i spojrzeniem nakazał mi milczenie.

Popołudniowe słońce odbijało się w wodzie i na mokrych kamieniach, oślepiając nas. Mewy krążyły nad naszymi głowami, piszcząc po swojemu. Drobne fale pluskały na stopniach, przy których zacumowana była królewska łódź. Na widok Cezara Kleopatra się uśmiechnęła, ale gdy się zbliżyliśmy, ujrzałem, że jest zaniepokojona. Kiedy zobaczyła Metona, zeszywniała, choć nie przestała się uśmiechać. Uniosła dłonie na powitanie, Cezar jednak zatrzymał się za daleko od niej i została w tym nie dokończonym geście, zakłopotana. Opuściła ręce i zmarszczyła brwi.

- Cezarze, co się dzieje?

Popatrzył na nią ponuro.

- Sytuacja... się zmieniła.

- Na dobre czy na złe? Chyba to drugie, sądząc po twojej minie.

Cezar odwrócił wzrok.

- Cezarze, co się dzieje? - powtórzyła Kleopatra. - Mów zaraz!

Jej nagle wysoki głos przypomniał mi nieodparcie jej młodszego brata. Nie doczekawszy się odpowiedzi, powróciła do oficjalnego tonu.

- Konsulu - powiedziała.

Wiedziałem, że podejrzewa prawdę, był to bowiem najprostszy test; sprawdzała, czy Cezar w odpowiedzi nazwie ją królową.

Cezar nabrał powietrza i już miał przemówić, kiedy z wysoka dobiegł nas okrzyk wartownika patrolującego dach pałacu.

- Okręty! Egipskie okręty wpływają z portu Eunostos!

Wszystkie oczy zwróciły się na Heptastadion. Mniej więcej pośrodku grobli był most, pod którym statki mogły przepływać do głównego portu. Wiosła egipskich galer poruszały się we wściekłym tempie; jedna za drugą wpływały na naszą stronę, zatłoczone żołnierzami, najeżone włóczniami, z napiętymi katapultami.

Inny wartownik krzyknął:

- Widzę dym! Ogień! Pałają się barykady przy królewskim teatrze!

Jak jeden mąż odwróciliśmy się w stronę pałacu. W miejscu, gdzie stał największy oddział Cezara, unosiła się w powietrze gęsta chmura czarnego dymu. Jednocześnie dobiegły nas odgłosy głuchych uderzeń taranu. Siły Achillasa ruszyły do skoordynowanego ataku z lądu i wody na rzymskie pozycje. Spojrzałem na imperatora i ujrzałem w jego oczach konsternację, która szybko ustąpiła gniewowi i gorzkiemu rozczarowaniu. Zobaczył, że nań patrzę, i ścisnął mnie boleśnie za ramię. Odciągnął mnie na stronę i syknął do ucha:

- Gordianusie, byłeś przy tym. Widziałeś i słyszałeś. Czy król nie przyrzekł odwołać Achillasa i jego armii?

- Tak było.

- Cóż się więc dzieje?

Od strony nadpływających okrętów doleciał trzask zwalnianej katapulty. Jedna z galer, przemknąwszy obok okrętów Cezara, znalazła się w zasięgu strzału. Czy czyjeś sokole oko wypatrzyło na nabrzeżu jego i Kleopatrze, czy też obsługa katapulty po prostu wystrzeliła pocisk na oślep? Tak czy inaczej, leciała ku nam ognista kula płonącej smoły. Jedna ze służebnic Kleopatry wrzasnęła ze strachu, a część ludzi rozpierzchnęła się w popłochu. Pocisk jednak nie doleciał; wpadł z pluskiem i sykiem do wody o kilkanaście stóp od nabrzeża, wystarczająco jednak blisko, bym poczuł na twarzy prysznic gorącej pary. Cezar wciąż ścisnął moje ramię.

- To przez nią! - szepnął. - To dlatego, że mu jej nie wydałem. Nienawidzi siostry bardziej, niż mnie kocha! Musiał wydać rozkaz do ataku, gdy tylko dotarł do Achillasasa. Wie, jak są rozmieszczeni moi ludzie i gdzie wzmocniłem obronę. Powiedział Achillasowi dokładnie, w których miejscach ma nacierać. Przeklęta mała żmija!

Kleopatra stała w pewnym oddaleniu. Nie patrzyła na zbliżające się okręty, ale na nas. Mimo całego zamieszania nawet nie drgnęła, a jej mina wyrażała większy spokój niż jeszcze przed chwilą. Może to sobie tylko wyobraziłem, ale zdawało mi się, że się lekko uśmiecha. Czyżby tak błyskawicznie pojęła, co zaszło? Chyba tak; jej uśmiech był uśmiechem królowej, która w ostatniej chwili uszła klęsce i obróciła ją w zwycięstwo.

- Wygląda na to, konsulu, że zostaliśmy zaatakowani. - Owo „my” nie było przypadkiem. - Jestem zaskoczona, że Achillas ośmielił się na to, skoro mój brat jest w twoim ręku.

Tak, ona wiedziała, co się dzieje. Prowokowała Cezara do wyznania prawdy. On jednak milczał.

Galera zbliżyła się jeszcze bardziej. Widać już było twarze żołnierzy na pokładzie. Katapultę napinano właśnie do kolejnego strzału.

- A może ten atak rozpoczął się z poduszczenia mojego brata? - mówiła dalej Kleopatra.

Cezar nie mógł dłużej zwlekać z odpowiedzią.

- Wasza wysokość dobrze ocenia sytuację. Nie minęła jeszcze godzina, odkąd uwolniłem twojego brata i pozwoliłem mu dołączyć do Achillasasa.

- Ale dlaczego, konsulu?

- Imperatorze! - krzyknął w tym samym momencie Meto. - Musimy się natychmiast wycofać! Niebezpieczeństwo...

Cezar oderwał na chwilę wzrok od Kleopatry, aby wydać rozkaz.

- Chować się natychmiast! Wszyscy!

Meto chciał go wziąć pod rękę.

- Wodzu, ty też musisz iść...

Cezar odtrącił go, ale, co dziwne, drugą ręką trzymał mnie z niezmienną siłą.

- Idź, Metonie. Wyprowadź innych w bezpieczne miejsce. Ja dołączę do was za chwilę. To rozkaz!

Meto niechętnie się odwrócił i dał pozostałym znak, by szli za nim. Ja nie mogłem tego zrobić, nawet gdybym chciał; chwyt Cezara nie dawał mi na to szans.

- Twój brat błagał mnie, bym pozwolił mu pójść do Achillasasa - rzekł do Kleopatry. - Przyrzekł mi, że nakaże mu wycofać wojsko, i obiecał wrócić

do pałacu natychmiast potem.

- I ty mu uwierzyłeś?

- Uwierzyłem w przysięgę króla Egiptu.

- Królem Egiptu był mój ojciec! Mój brat jest tylko niemądrym chłopaczkiem!

- Teraz sam to widzę. A jeśli nawet kiedykolwiek był królem, od tej chwili już nim nie jest i nigdy nie będzie.

Oczy Kleopatry rozbliły.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Cezarze?

- Porzucam wszelkie usiłowania pogodzenia was ze sobą. Jako konsul ludu rzymskiego i wykonawca testamentu twojego ojca, uznaję cię królową Egiptu i jedyną spadkobierczynią tronu.

- A Ptolemeusz?

- Ptolemeusz mnie zdradził. Zdradził więc także swój lud i swoje przeznaczenie. Kiedy już pokonamy jego armię, podejmę wszelkie niezbędne działania, aby uniemożliwić mu w przyszłości roszczenie praw do korony i nie dopuścić, by w jakikolwiek sposób ci szkodził.

Usłyszałem ponowny trzask katapulty, tym razem znacznie bliższy. Z galery wystrzelono w nas następny pocisk. Leciał łukiem w niebo trajektorią trudną do odgadnięcia z mojej perspektywy.

- Idź już, Kleopatro - rzekł Cezar. - Dołącz do reszty, gdzie będziesz bezpieczna.

Kleopatra odpowiedziała spokojnym uśmiechem. Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem, ale nie biegiem.

- Konsulu - powiedziałem nerwowo, nie spuszczać oka z nadlatującej kuli ognia. - Czy nie powinniśmy...

- Stój spokojnie, Gordianusie! Mam dobre oko do takich rzeczy. Ten pocisk jest kiepsko wycelowany. Jesteśmy najzupełniej bezpieczni.

I rzeczywiście, spadający pocisk wylądował w wodzie jeszcze dalej od nas niż pierwszy. Tymczasem jedna z rzymskich galer nadpływała już od wschodu, by przeciąć drogę egipskiemu okrętowi, który jednak nie czekał na starcie i raptownie zawrócił. Cezar przyciągnął mnie bliżej.

- Słyszałeś, co powiedziałem królowej?

- Każde słowo, konsulu. - Uniosłem brwi. - Pomiąłeś pewne szczegóły twojej konwersacji z jej bratem.

- Być może. Nie wolno ci jednak nigdy zaprzeczyć czy nawet w najdrobniejszym stopniu odejść od wersji wydarzeń, jaką przedstawiłem Kleopatrze. Rozumiesz?

- Wszystko jasne, konsulu. Kleopatra nie może się dowiedzieć, że była twoją drugą możliwością.

Cezar obejrzał się w stronę pałacowego ogrodu, gdzie królowa właśnie podchodziła do zebranej tam grupki osób. Pokiwał głową w zamyśleniu.

- Tak, dokonałem wyboru między nimi i się omyliłem. Bogowie dali mi jednak szansę naprawienia błędu, zanim zdążyłem zabrnąć głębiej. Kleopatra mnie oszukała, straciłem więc wiarę w nią. Teraz ja ją oszukałem, jesteśmy więc kwita i możemy zacząć od początku.

- Wydaje mi się, konsulu, że żadne z was nie oszukało drugiego ani na jotę. Oboje doskonale przejrzelście nawzajem swoją grę.

- Ale będziemy udawać, że było inaczej. I to właśnie kwintesencja wielkiej polityki, Gordianusie... a także małżeństwa. Kleopatra jest kobietą, ja mężczyzną, ale jesteśmy też głowami swoich państw. Kiedy jedno z nas zrobi fałszywy krok, drugie uda, że nie zauważyło. Jeśli dojdzie do tarć, będziemy zachowywać pozory harmonii i w ten sposób uszanujemy wzajemnie swą godność.

- Czy nie byłoby mądrzej, a przy tym kosztowałoby o wiele mniej zachodu być po prostu uczciwym, przyznawać się do błędów i prosić o przebaczenie?

Cezar pokręcił głową.

- Nie wiem, Gordianusie, jaki był z ciebie mąż, ale w życiu nie odniósłbyś sukcesu jako polityk albo władca.

- Nigdy nie pragnąłem być ani jednym, ani drugim, konsulu.

- I bardzo dobrze! A teraz chodźmy już z tego przeklętego nabrzeża. Gdzie są moi oficerowie, gdzie posłańcy? Musimy obronić królową i wygrać bitwę!





## ROZDZIAŁ 29

**J**ak się okazało, w następnych miesiącach trzeba było rozegrać w Aleksandrii jeszcze wiele bitew. Wstępny atak Achillasa był zaledwie początkiem prawdziwej wojny, a przy tym bardzo nietypowej, bo toczącej się niemal wyłącznie na obszarze miasta i portu. Walki na lądzie odbywały się w ciasnej przestrzeni wąskich uliczek i na dachach domów zamiast na rozległych równinach czy w wysokich górach, dlatego też wymagały zupełnie odmiennej taktyki od zwykłych manewrów piechoty i konnicy. Do starć okrętów też dochodziło na ograniczonym akwenie portu, co czasami wyglądało jak inscenizacja, urządzana z rozmachem dla wątpliwej rozrywki ludności.

Zaskoczony podstępem Ptolemeusza i dysponujący znacznie słabszymi liczebnie siłami Cezar z początku miał kłopot z utrzymaniem pozycji. Ucieczka na morze nie wchodziła w grę, po części z powodu niekorzystnych wiatrów, ale przede wszystkim dlatego, że jednoczesne wycofanie wszystkich legionistów do portu, a potem galerami przez wąskie przejście w falochronie, byłoby wielce niebezpieczne w warunkach ciągłych ataków Achillasa z lądu i wody. Pompejuszowi udało się to w Brundyzjum pod naporem wojsk Cezara, ale niewiele brakowało, by już wtedy przegrał. W Aleksandrii Cezar był praktycznie jak w pułapce i gdyby Egipcjanom udało się przebić przez jego obronę, mógł ponieść ostateczną i druzgocącą klęskę. Wśród jego oficerów podniosły się szemrania, że wpakował ich w takie tarapaty przez nietypowe dla siebie niedocenywanie przeciwnika i przez miłość do zdradzieckiej królowej. On sam jednak nie zdradzał najmniejszych oznak zwątpienia, nie pozwalał też sobie na obarczanie winą kogokolwiek. Być może Kleopatra przekonała go, że oboje mają boskie przeznaczenie i działając wspólnie, pokonają wszelkie przeszkody na drodze do nieśmiertelności...

Innym zostawiam relacje z wielu epizodów wojny aleksandryjskiej. Bez wątpienia sam Cezar, z pomocą Metona i jego kolegów, sporządzi mniej lub bardziej dokładny opis wydarzeń, choć na pewno taki, który będzie służył jego własnym celom. Jak szczerze przedstawi swoje stosunki z królewskim rodzeństwem? Ciekaw byłem, jakich delikatnych sformułowań użyje, by wytłumaczyć swą decyzję udzielenia Ptolemeuszowi zgody na opuszczenie pałacu i dołączenie do Achillasa; jeśli jednak chodzi o dokładną relację z działań wojennych, jego pamiętnikom można zazwyczaj ufać.

Niektóre wydarzenia pamiętam szczególnie i wyraźnie. Na przykład krótko po rozpoczęciu wojny Egipcjanie chcieli pozbawić pałac źródła wody. W całej Aleksandrii nie ma ani jednej publicznej studni czy fontanny zasilanej przez własne podziemne źródło, w jeziorze Mareotis zaś woda jest zbyt słona do spożycia. Całe zapotrzebowanie na wodę pokrywa kanał doprowadzający ją aż z Nilu. Na granicy miasta rozdziela się on na liczne mniejsze kanaliki, zaopatrujące różne dzielnice. Mając kontrolę nad



kanalem, Egipcjanie zaczęli pompować słoną wodę w odnogę prowadzącą do pałacu. Kiedy obrońcy to odkryli, w ich szeregach wkradła się panika; Cezar jednak zapewnił ich, że na każdym wybrzeżu można znaleźć pod ziemią żyłą słodkiej wody. Ludzie zabrali się do kopania w najróżniejszych miejscach, pracując nieprzerwanie dzień i noc. Znaleziono tyle źródeł, że wody wystarczało dla wszystkich i w ten sposób kryzys, który mógł dać Achillesowi i Ptolemeuszowi szybką wygraną, został w porę zażegnany.

Niewiele później spłonęły magazyny ustawione wokół portu, skąd się potem wzięła legenda o spaleniu przez Cezara całej Biblioteki. W rzeczywistości jego ludzie podłożyli ogień pod kilka egipskich okrętów w głównym porcie; powstały w ten sposób wielki pożar rozprzestrzenił się wkrótce na kilka nadbrzeżnych budynków, w tym na należący do Biblioteki magazyn, w którym złożone były wielkie ilości papirusu, a także nieznaną bliżej liczbą świeżo nabytych lub skopiowanych ksiąg, których jeszcze nie skatalogowano. Pastwą pożaru mogło paść nawet czterdzieści tysięcy tomów, ale sama Biblioteka pozostała nienaruszona. Kleopatra i tak miała to Cezarowi za złe, on sam zresztą też gorzko tego żałował, choćby dlatego, że dawało to Egipcjanom kolejny powód do nazywania go niszczycielskim barbarzyńcą.

Dla Cezara jednak najgorszą chwilą w tej wojnie była utrata jego słynnej czerwonej peleryny. Nosił ją zawsze, dumny, że dzięki temu i swoi, i wrogowie łatwo mogą go rozpoznać w bitewnym zamieszaniu. Od Kleopatry dostał nową pelerynę w innym, równie rzucającym się w oczy kolorze: iście królewskiej purpury. Niektórzy z Rzymian sarkali potajemnie na tę innowację („Walczymy za konsula czy za króla?”), ale większości się ona podobała. Cezar miał ją na sobie w dniu, kiedy przepłynął z kilkuset żołnierzami na Heptastadion w celu przejęcia kontroli nad mostem pozwalającym galerom Achillasa wpływać do głównego portu. Z początku wszystko szło dobrze; zdobyto wyspę Faros i całą groblę, po czym żołnierze zaczęli zasypywać kanał kamieniami. Aleksandryjczycy otrzymali jednak posiłki i wkrótce sytuacja się zmieniła. Legioniści uciekli w panice, Cezar zmuszony był wycofać się na okręt, który czekał przy grobli. Tak wielu żołnierzy poszło w jego ślady, że nadmiernie obciążona galera zaczęła tonąć. Nie zdjąwszy peleryny, Cezar skoczył do wody i popłynął ku innemu okrętowi, zakotwiczonemu nieco dalej. Ciężka od wody tkanina ciągnęła go w toń; walczył z krótkimi falami, ledwo utrzymując głowę nad wodą, aż udało mu się uwolnić od peleryny. Przez chwilę płynął trzymając ją w zębach, ponieważ nie chciał stracić daru królowej, ale w końcu wysunęła mu się, a on machnął na nią ręką. Był to fatalny dla niego dzień. Aleksandryjczycy odbili groblę i na nowo udrożnili kanał pod mostem; ponad ośmiuset legionistów zginęło z ręki wroga lub utonęło, w tym wszyscy, którzy znajdowali się na pokładzie przeciążonej galery; na dodatek triumfującym Egipcjanom udało się wyłowić purpurową pelerynę i potem tańczyli na grobli, wymachując nią jak zdobytym sztandarem, kiedy Cezar, kaszląc i prychając, gramolił się z wody na burcie okrętu. Później rzeczywiście zamocowali ją na drzewcu i przez resztę wojny przy każdej okazji wystawiali ją na pokaz, szydząc z imperatora.

Walki ciągnęły się miesiącami. Jak w każdej wojnie, i tu bywały okresy

spokoju, podczas których obie strony zbierały i przegrupowywały siły. Cezar wykorzystywał takie okazje na konsultacje z licznymi uczonymi i filozofami, którzy przebywali w okupowanych przez niego dzielnicach. Pod kontrolą Cezara znalazła się też Biblioteka i przyległe do niej Muzeum, składnica olbrzymiej wiedzy matematycznej i astronomicznej. Właśnie podczas takich przerw w działaniach wojennych Cezar zaczął pracę nad nowym, bardziej dokładnym kalendarzem. Ówczesny rzymski kalendarz tak dalece się rozminął z rzeczywistymi porami roku, że święta plonów wypadały jeszcze przed rozpoczęciem zbiorów, a na wiosennych igrzyskach ludzie szcękali zębami z zima. W tej pracy imperator zasięgał porady najznamienszych tuzów nauki i pomyślałem sobie, że jeśli wspólnie dobrze się do tego przyłożą, nowy kalendarz, podobnie jak sama mechanika ruchu gwiazd i planet, przetrwa jeszcze długo potem, jak Rzym przestanie istnieć.

W końcu równowaga sił między walczącymi stronami została zachwiana przez przybycie sprzymierzeńca Cezara, króla Mitrydatesa z Pergamonu, który stanął nad egipską granicą na czele armii złożonej z kontyngentów żydowskich, syryjskich i arabskich. Mitrydates zajął Peluzjum i pociągnął na południe, ku osi delty Nilu. Usłyszawszy o jego marszu, Ptolemeusz wysłał przeciwko niemu silny oddział, a gdy został on rozgromiony, sam wyruszył na rozprawę z nowym agresorem. Cezar, który regularnie porozumiewał się z Mitrydatesem, zebrał swe najlepsze centurie, pozostawił w mieście niewielki garnizon i wypłynął z portu. Wylądował na zachód od Aleksandrii i ominął łukiem armię Ptolemeusza, posuwając się tak forsownym marszem, że zdążył się połączyć z Mitrydatesem, zanim nadciągnęła. W ten sposób rozpoczęła się decydująca bitwa tej wojny, stoczona nie w mieście, lecz w samym sercu Egiptu, na brzegach świętej rzeki. Nie byłem tam, ale Meto był. Jego oczami oglądałem koniec króla Ptolemeusza.

Armia egipska zajęła pozycje w małej wiosce usytuowanej na wzgórzu, dla którego odnoga Nilu stanowiła naturalną fosę. Żołnierze usypali ziemne wały i wykopali rowy najeżone ostrymi palami. Pozycja wydawała się nie do zdobycia; ludzie Cezara przebrnęli jednak przez rzekę, zasypując ją ściętymi drzewami tak długo, dopóki nie utworzyły prymitywnego mostu. Inni pokonali ją wpraw poniżej wioski i wynurzyli się po jej przeciwnej stronie, otaczając obóz Ptolemeusza. Fortyfikacje spełniały jednak swoje zadanie, dopóki zwiadowcy nie odkryli słabo bronionego odcinka na najbardziej stromym zboczu wzgórza. Egipcjanie zapewne przyjęli, że sama stromizna jest wystarczającą obroną. Tam właśnie Cezar rzucił swe siły do nagłego i silnego ataku, a kiedy legionieści raz się wdarli na szczyt, nie było już dla nich przeszkody. Zalali uliczki wioski, gnając przed sobą przerażonych Egipcjan, którzy szybko znaleźli się w pułapce, zamknięci z jednej strony przez atakujących, z pozostałych przez własne umocnienia: cofając się pod naporem Rzymian, spadali z wałów, nabijali się na pale lub tonęli w rzece. Ci, którym udało się wydostać na otwartą przestrzeń, znaleźli się oko w oko z głównymi siłami sprzymierzonych. Zaczęła się ogólna rzeź.

Król Ptolemeusz, dowiedziawszy się o katastrofalnym rozwoju sytuacji,

zdołał się salwować ucieczką; przepłynął łódką na królewską barcę czekającą na głębszej wodzie. Jej kapitan podniósł szybko kotwicę i ruszył naprzód, oddalając się z pola bitwy. Tymczasem setki przywiedzionych do desperacji egipskich żołnierzy ciskały broń, zdejmowały zbroje i rzucały się do rzeki. Wielką, kotłującą się masą otoczyli barcę, próbując się na nią wspiąć. Załoga pierwszych z nich witała ochoczo, ale szybko zrozumiała grożące barce niebezpieczeństwo i zaczęła walczyć ze swymi towarzyszami, spychać ich do wody, ciąć mieczami, kłuć włóczniami i strzelać z łuków do tych bardziej oddalonych. Scena była okropna. Nad Nilem niosły się echem krzyki ginących i błagania żywych. Barcę otoczył pierścień niezliczonych trupów.

Jednak ci w wodzie byli o wiele liczniejsi i pomimo nieustających wysiłków załogi coraz więcej ich wdzierało się na pokład, aż w końcu barka straciła stateczność. Prawa burta zanurzyła się pod wodę, lewa uniosła wysoko w górę. Jak pchnięta ręką tytana, barka przewróciła się do góry dnem, wysypując tych z pokładu do wody i spadając na cały tłum pływających tam żołnierzy. Przez krótką chwilę jej dno widoczne było nad wodą; kilku oszołomionym, zdesperowanym Egipcjanom udało się nawet wspiąć na nie, ale zaraz potem barka zniknęła w toni, połamana w całości przez rzekę. Armia Ptolemeusza przestała istnieć. Zwycięstwo Cezara było absolutne.

A jednak sukces nie był pełen, ponieważ nigdy nie odnaleziono zwłok króla. Legioniści oglądali każdego trupa na lądzie, brodzili w trzcinach, przeczesywali płycizny sieciami i macali dno żerdziami od miejsca zatonięcia barki aż na kilka mil w dół rzeki. Najlepsi pływacy - wśród nich i Meto, który dowodził poszukiwaniami - nurkowali raz za razem do wraku barki, wydobywając każde uwięzione w mule ciało. Była to wyczerpująca, brudna i niebezpieczna praca, która nie przyniosła żadnych rezultatów. No, może prawie żadnych. Jeden z nurków wyłowił flet królewskiego muzykanta, inny odnalazł koronę z ureusem, którą wręczył samemu Cezarowi. Metonowi udało się trafić na jeszcze dziwniejszą rzecz: poszarpaną tkaninę, tak uwalaną w mule, że trudno było się dopatrzeć oryginalnego purpurowego koloru. Była to ta sama peleryna, którą Cezar zgubił podczas bitwy o Heptastadion, kiedy sam o mało się nie utopił wraz z przeciążoną galerą. Najwyraźniej Ptolemeusz trzymał ją przy sobie z zamiarem wykorzystania jako sztandaru dla podniesienia ducha swej armii w jakimś krytycznym momencie, albo podczas celebrowania ostatecznego zwycięstwa nad rzymskim najeźdźcą. Kiedy Meto zwrócił ją imperatorowi, Cezar uśmiechnął się tylko smętnie, ale nic nie powiedział. Rozłożył pelerynę na kamieniach, a kiedy dobrze wyschła, rzucił na jeden z licznych stosów, na których palono ciała poległych Rzymian. Purpurowa tkanina spłonęła, a Cezar nigdy już o niej nie wspomniał.

Słuchając opowieści o śmierci Ptolemeusza, przypomniałem sobie, co Kleopatra mi powiedziała na temat ludzi, którzy utonęli w Nilu, i specjalnym błogosławieństwem, jakie otrzymywali od Ozyrysa. Cezara jednak nie martwił los króla na tamtym świecie, ale możliwość jego przeżycia na tym. Dopóki zwłoki Ptolemeusza nie zostaną znalezione, wrogowie królowej będą mogli wierzyć, że ich bohater żyje, a pokój w

Egipcie mogą zakłócić podszywający się pod niego pretendenci. Było zresztą niewielkie prawdopodobieństwo, że Ptolemeusz naprawdę przeżył zatonięcie barki i ukrył się gdzieś, udając prostego człowieka, albo by mógł uciec poza zasięg długich rąk Rzymu, choćby na dwór króla Partów. Cezar wolałby wrócić do Aleksandrii z jego zwłokami, aby je pokazać Kleopatrze, jak jemu pokazano głowę Pompejusza: niepodważalny dowód śmierci przeciwnika. Mimo wszelkich wysiłków w tym kierunku nie było mu to jednak dane.

Nie uroniłem ani jednej łzy nad Ptolemeuszem. Widziałem, jak mordował ludzi z zimną krwią. Na pewno nie był niewinnym młodziankiem, ale ofiarą był niewątpliwie; ofiarą ludzi jeszcze bezwzględniejszych od siebie. Opis jego ostatnich chwil przepełniał mnie grozą, jak wcześniej śmierć Pompejusza. Historia i legenda spiskują razem, aby przekonać nas, że są ludzie, którzy wyrastają ponad szare masy, wyróżnieni urodzeniem, osiągnięciami lub łaską bogów; nie ma jednak człowieka, który by nie musiał w końcu umrzeć, a śmierć tak zwanych wielkich bywa czasem straszniejsza i nędzniejsza niż ich najmniejszych i najpokorniejszych sług, poddanych czy niewolników. Myślałem nad młodym królem i jego dziwnym, krótkim życiem wypełnionym przemocą, zdradą i niespełnionymi marzeniami, i czasem było mi go żal. Kiedy Cezar wrócił do Aleksandrii, wieść o klęsce i zgonie Ptolemeusza już się tam rozniosła. Aleksandryjczycy zaniechali wszelkiego oporu, złożyli broń i otworzyli przed nim bramę Słońca. Ludzie przywdziewali podarte szaty i uderzali w błagalne tony, kapłani po świątyniach składali ofiary dla odwrócenia gniewu bogów, Cezar jednak nie zamierzał się mścić na Aleksandrii. Surowo zabronił swoim żołnierzom okazywać nawet najmniejszych oznak wrogości i zamienił swój wjazd do miasta w radosną procesję. Kiedy dotarł do zespołu pałacowego, pozostawieni tam żołnierze wybuchnęli ekstatycznymi wiwatami. Kleopatra wyszła mu na spotkanie. Od dłuższego czasu nie pokazywała się publicznie i teraz mimo jej luźnych szat odniosłem wrażenie, że nieco przytyła w talii. Zamiast głowy jej brata Cezar wręczył jej jego koronę. Kleopatra, nie zdejmując swojej, nałożyła ją sobie tak, że oba ureusy, sęp i kobra, znalazły się obok siebie. Na ten widok Aleksandryjczycy, nawet ci, którzy niedawno ją przeklinali i pluli na samą wzmiankę o niej, podnieśli radosną wrzawę, oddając jej cześć jako swojej królowej i bogini.

Bitwa nad Nilem została stoczona pod koniec marca, pięć dni przed kalendami kwietniowymi (według starego kalendarza). Tego samego dnia dotarł do mnie list od mojej córki Diany z Rzymu. Przez całą wojnę byłem uwięziony wraz z siłami rzymskimi w murach pałacu. Do towarzystwa miałem Rupę i chłopców, a także Metona, jeśli nie musiał akurat pracować dla Cezara. Coraz bardziej jednak tęskniłem za domem. Żeby ulżyć tęsknocie, często pisałem do Diany długie listy, opowiadając jej o wszystkim, co się zdarzyło od naszego wyjazdu z Rzymu, poza jednym szczegółem, którego nie umiałem powierzyć pergaminowi: wieści o śmierci Bethesdy. Opisałem, jak się pogodziłem z Metonem, spotkania z królem i królową Egiptu, naszą dziwną wizytę w grobowcu Aleksandra i

wiele innych rzeczy. Handel morski ustał zupełnie, ale Cezar od czasu do czasu wysyłał do Italii okręt z pocztą, Meto zaś dołączał moje listy do jego oficjalnej korespondencji. Nie wiedziałem, czy docierały do Diany, ponieważ nie odpisywała. Dopiero w dniu zwycięstwa nad Ptolemeuszem, kiedy do portu wpłynęła galera z Rzymu, niedługo potem do mych drzwi zastukał posłaniec i wcisnął mi do ręki zwinięty i zapieczętowany kawałek pergaminu.

Złamałem pieczęć, rozwinąłem list i zacząłem czytać.

*„Najdrożsi Mamo i Tato.*

*Napisałam do Was wiele listów, ale żaden z waszych nie wspomina, czy je dostaliście, nie bardzo więc wiem, co powiedzieć. Rzykując, że się będę powtarzać, powiem tylko, że w Rzymie wszystko jest dobrze. Ekonowi i jego rodzinie wiecie się znakomicie. Zdaje się, że pracuje dla Marka Antoniusza, który rządzi w mieście pod nieobecność Cezara, jednak Eko jest taki tajemniczy (ma to po ojcu!), że nie mogę Ci powiedzieć, Tato, co właściwie robi. Wiem tylko, że musi to być lukratywne zajęcie. My z Dawusem pilnujemy za Ciebie domu. Mały Aulus jest szczęśliwy, tylko brak mu opowiadań dziadka i kołysanek babci.*

*A teraz najważniejsza wiadomość: mamy drugie dziecko! Urodziła się w nony marcowe - bez problemów - i zdecydowaliśmy, że nazwiemy ją małą Bethesdą, może w skrócie Beth, co się chyba spodoba jej babci. Jest radosna, zdrowa i bardzo głośna! I podobna do Ciebie, Tato. (Już słyszę, jak mruyczysz: „Biedne dziecko!”, ale nie musisz. Jest bardzo ładna).*

*Nie możemy się doczekać waszego powrotu. W Twoich listach nic nie piszesz o Mamy poszukiwaniach lekarstwa w wodach Nilu, niecierpliwie więc czekamy na wieści. Napisz szybko i daj znać, czy dostałeś ten list. Jesteśmy sercem z Wami obojgiem, z Metonem, Rupą, Androklesem i Mopsusem. Oby Fortuna sprzyjała Cezarowi, aby wojna szybko się skończyła i abyście mogli jak najszybciej wrócić do Rzymu! Neptun niech ma w opiece statek, który wiezie Wam ten list, i ten, który przywiezie Was do domu!”*

Kiedy skończyłem czytać, Mopsus zapytał, czy płaczę z radości, czy ze smutku. Nie potrafiłem mu odpowiedzieć.

Bardzo byłem jeszcze przejęty świeżym macierzyństwem Diany, kiedy kilka dni po triumfalnym powrocie Cezara oficjalnie ogłoszono, że królowa Kleopatra spodziewa się dziecka. Według Metona Cezar nie miał wątpliwości, że jest jego ojcem. W połowie kwietnia, uładziwszy sprawy w Aleksandrii, przyszli rodzice, promieniejący triumfem ich związku i pływający się w luksusie, wybrali się w niespieszną podróż w górę Nilu. Jeszcze tak niedawno to Ptolemeusz zaprosił Cezara właśnie na taką wyprawę; teraz nie ma go wśród żywych, a wspaniałe świątynie i inne cuda świętej rzeki, źródła potęgi Egiptu, pokaże imperatorowi jego siostra.





## ROZDZIAŁ 30

Wojna się skończyła, nastał pokój. Aleksandria znów otworzyła swe bramy, a my mogliśmy się poruszać po mieście bez przeszkód. Przez kilka dni wałęsałem się po ulicach, uznawszy, że przed wyjazdem muszę raz jeszcze zobaczyć znane widoki i odwiedzić znajome miejsca, byłem bowiem pewien, że w moim wieku już nigdy nie będę miał okazji tu wrócić. Stwierdziłem jednak szybko, że wędrówki po mieście nie przynoszą mi radości. Poprosiłem Metona, żeby załatwił dla mnie i mojej trójki miejsca na pierwszym okręcie wysyłanym do Rzymu.

Meto nie miał z tym problemu. W dniu poprzedzającym nasz zaplanowany wyjazd wziąłem ze sobą Rupę i poszliśmy na ulicę Kanopos. Chciałem jeszcze zajrzeć do świątyni Serapisa. Kiedy mijaliśmy kolejne stragany, fontanny i place, pogrążyłem się w zadumie nad kompromisami, do jakich zmusza nas walka o przetrwanie. Cezar wybrał Kleopatrę, ale bardziej z powodu zdrady jej brata niż dla jej własnych walorów. Kleopatra oszukała Cezara i bez skrupułów doprowadziłaby do egzekucji Metona. Cezar też nie był wobec niej uczciwy, a Metona uwięził i groził mu śmiercią. Wyobraziłem sobie ich troje zamkniętych w kręgu kłamstw, świadomych wzajemnych zdrad, ale zdecydowanych przemykać na nie oczy dla osiągnięcia swoich celów. Taki zatwardziały pragmatyzm zupełnie mi nie odpowiadał, ale czy miałem prawo ich sądzić? Moje odrzucenie Metona w chwili, gdy czułem się przezeń oszukany i zdradzony, przyniosło mi tylko cierpienie, a w końcu prosiłem go o wybaczenie, jakbym to ja był winien. Dopóki sprawy się toczą względnie gładko, czyż nie jest mądrzej przechodzić do porządku dziennego nad drobnymi kłamstwami i rozczarowaniami, i po prostu żyć dalej jakby nigdy nic? Co dobrego kiedykolwiek wyniknęło ze stawiania ultimatum i ferowania wyroków? Tak oto uczymy się sztuki kompromisu wobec innych ludzi i własnych oczekiwań na tym niedoskonałym świecie.

Takie myśli krążyły mi po głowie, kiedy nagle dostrzegłem po drugiej stronie rynku starą kapłankę ze świątyni Ozyrysa nad Nilem, która udzielała porad Bethesdzie. Rynek, przez który szliśmy, był rozległy i tłoczny. Towary zaczynały znów napływać do Aleksandrii, a ludność w podekscytowaniu, jakie zawsze towarzyszy zakończeniu wojen, niecierpliwie chciała wydawać pieniądze. Postać starej kobiety tylko mignęła mi gdzieś daleko wśród kipiącego tłumu i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, kim jest.

Chwyciłem Rupę za ramię i spytałem gorączkowo:

- Widziałeś ją?

„Kogo”, zasygnalizował dłonią. Chciałem już powiedzieć: „Starą kapłankę”, ale przypomniałem sobie, że przecież nigdy jej nie widział. Był zajęty wysypywaniem prochów Kasandry do Nilu, kiedy Bethesda trafiła do świątyni. Zmarszczyłem brwi i przysłoniłem oczy dłonią, usiłując znowu wypatrzeć ją w tłumie.

- Ach, kogoś, kto wydał mi się znajomy - odpowiedziałem. - Ale może to było tylko... Nie, czekaj! Tam jest! Widzisz ją? - Stałem na palcach i wskazałem kierunek. - To musi być ona, wygląda zupełnie tak samo! Siwe włosy związane z tyłu, skóra jak wysezonowane drewno, ta sama podarta szata...

Rupa pokręcił głową, ale nagle głośno wciągnął powietrze.

- I co, zobaczyłeś ją?

„Spójrz na tę młodszą kobietę przy niej”, odpowiedział na migi.

- Młodszą? Nie widzę nikogo... chyba że mówisz o tej w chuście na głowie...

Tym razem to ja zaniemówiłem. Staliśmy obydwaj jak wryci, patrząc z niedowierzaniem na to, co zobaczyliśmy.

- To niemożliwe... - szepnąłem. - Ale...

Rupa pokiwał gorączkowo głową i też zmarszczył brwi, jakby mówił: „To ona. Ale to nie może być ona”.

- To złudzenie - powiedziałem. - Gra światła.

Patrzyłem przez zmrużone powieki na zjawę... bo przecież ta kobieta w żółtej płóciennej sukni, z włosami ukrytymi pod tradycyjną *nemes* musiała być tylko fantomem. Jednak starucha też ją widziała, ponieważ zauważyłem, jak zamieniły kilka słów, przypuszczalnie na temat względnych zalet dwóch grzebieni, jakie pokazywał im straganiarz. Są za daleko, powiedziałem sobie. Słońce jest zbyt jaskrawe, przez co nie widzę dobrze ich twarzy. Widzę to, co pragnę zobaczyć, a nie coś rzeczywistego. Ale Rupa też to widzi... Chyba że...

Niezadowolone z grzebieni obie kobiety ruszyły w swoją stronę. Po chwili zniknęły mi z oczu, schowane za innych ludzi. Wspiąłem się na palce i rozejrzałem się uważnie, starając się którąś z nich wypatrzeć.

- To była ona, prawda? - upewniłem się. - To była... - Zacisnąłem usta, zbierając siły, by wypowiedzieć jej imię na głos.

Rupa wszedł mi w słowo. Skrzyżował palce wskazujące w znak określający jego siostrę, a jego mina starczyła za wykrzyknik: „Kasandra!”

Zastygłem w bezruchu i słowo uwięzło mi w gardle. Właśnie chciałem powiedzieć inne imię. Nagle straciłem pewność. Może ona rzeczywiście trochę przypominała Kasandrę? Ale przecież...

Gdzie ona jest? Straciłem z oczu i ją, i staruchę. Obie rozpląnęły się w tłumie.

- Była za stara jak na Kasandrę, nie uważasz? - spytałem chrapliwie. - Twoja siostra była blondynką. Ta kobieta miała włosy schowane pod chustą, ale jej cera była ciemniejsza.

Rupa pokręcił głową, zdenerwowany i zdezorientowany. W jego oczach zakręciły się łzy.

Nie, pomyślałem. To nie Kasandrę widzieliśmy przed chwilą. To niemożliwe. Kasandra nie była już nawet prochem, rozpląnęła się w Nilu. Jej ulotne szczątki wchłonęła wieczna rzeka, aby Ozyrys mógł dać jej wieczne życie. Czy Kasandra wierzyła w podobne rzeczy? Nie byłem pewien. Bethesda jednak wierzyła w przyszły świat i nadprzyrodzone moce Nilu.

Ponad godzinę kręciliśmy się po rynku i w najbliższej okolicy.

Udawałem, że chcę coś kupić, przebierałem w ozdobach i zabawkach, szukając pamiątek dla Diany, Aulusa i właśnie urodzonej wnuczki, ale tak naprawdę robiłem to w nadziei na ponowne spotkanie ze starą kapłanką i jej towarzyszką. Więcej ich jednak tego dnia nie zobaczyłem.

Wieczorem poprosiłem Metona, żeby odwołał mój wyjazd.

- Dlaczego, tato? Myślałem, że ci spieszno wracać?

Wzruszyłem ramionami.

- Poszedłeś dziś z Rupą na zwiedzanie?

- Tak.

- Może jednak ci się tu zaczęło podobać? - Meto się uśmiechnął.

- Może.

- To dobrze! Aleksandria to zadziwiające miasto. Zostań jeszcze kilka dni. Odpoczniesz, coś zobaczysz... Mam załatwić ci miejsca na najbliższym statku czy którymś z późniejszych?

- Nie wiem, kiedy będę gotów do drogi - odrzekłem. - Mam poczucie... niespełnionego obowiązku.

- Daj mi po prostu znać, kiedy się zdecydujesz. Tylko nie zwlekaj zbyt długo. Kiedy Cezar wróci z rejsu po Nilu, trzeba będzie jechać gdzieś dalej na wojaczkę i na pewno opuszczę Aleksandrię.

Dzień po dniu wracałem na ten rynek, czasami z Rupą, z chłopcami lub samotnie. Wymyślałem najróżniejsze fałszywe po temu powody, nie przyznając się do jedyne prawdziwego. Sprzedawcy zaczęli mnie rozpoznawać, wszystkich bowiem wypytywałem o dwie kobiety, które wtedy widziałem. Kilku miało mgliste pojęcie, o kogo mi chodzi, ale żaden nie mógł rzucić najmniejszego światełka na ich tożsamość, miejsce pobytu ani też, czy mogę się spodziewać, że znów tu kiedyś zajrzą.

Meto aranżował dla mnie kolejne podróże, a ja je w ostatniej chwili odwoływałem. Jeszcze raz pójde na rynek, mówiłem sobie, jeszcze tylko ten jeden raz...

W końcu nawet Mopsus i Androkles, przed którymi stały otworem wszystkie cuda Aleksandrii, zaczęli się niecierpliwić. Cezar i Kleopatra wrócili z podróży po Nilu i jego najbliższe kręgi współpracowników zaczęły się szykować do wyjazdu. Meto coraz bardziej nalegał, żebym ustalił realny termin własnego powrotu do Rzymu.

- Czas już chyba nadszedł, tato. Kiedy ja wyjadę, nie będzie ci tak łatwo zorganizować podróży. Może się zdecydujesz na konkretną datę?

- Pewnie masz rację - powiedziałem niechętnie.

- Chyba że masz jakiś bardzo ważny powód, by zostać tu dłużej?

- Nie. Ustalmy datę i trzymajmy się jej.

- Dobrze. Pojutrze odpływa do Rzymu kolejny okręt.

Zagryzłem wargi, czując w piersiach tępy ból.

- Niech będzie. Popłynę nim.

Następnego dnia, który miał być moim ostatnim w Aleksandrii, poszedłem samotnie na rynek. Byłem tam od rana i zamarudziłem cały dzień. Straganiarze na mój widok kręcili głowami i patrzyli na siebie porozumiewawczo; zaczęli uważać mnie za wariata. Stara kapłanka i ta



druga kobieta jednak i tym razem się nie zjawily.

Następnego ranka Rupa i chłopaki wstali wcześniej, gotowi natychmiast ruszać do portu. Kufer był spakowany, wszystko gotowe do wyjazdu. Meto obiecał odprowadzić nas na okręt. Przybiegł zarumieniony z podekscytowania.

- Tato, uwierzyłbyś w coś podobnego? Jadę z tobą! Cezar wysyła mnie do Rzymu. Potrzebuje kogoś, kto by dostarczył ważną pocztę Markowi Antoniuszowi, i mówi, że nikt tego nie zrobi lepiej ode mnie! Ja jednak myślę, że chce mnie w ten sposób wynagrodzić za... no, za pewne nieprzyjemności, które nas tutaj spotkały. Dobrze, że tak długo zwlekałeś z wyjazdem, bo przynajmniej teraz możemy jechać razem!

- Tak, to znakomite wieści - powiedziałem, starając się wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu.

Meto był widocznie rozczarowany moją reakcją, ale nic nie powiedział. Ruszyliśmy w drogę do portu. Niebo było bezchmurne, od południa wiał sprzyjający wiatr, niosąc suchy zapach pustyni. Mopsus i Androkles wbiegli na pokład, niepomni przykazań Metona, że na okręcie wojennym mają się zachowywać poważnie. Rupa z pomocą jednego z marynarzy wtaszczył po trapie mój ciężki kufer. Ja zwlekałem z wejściem do ostatniej chwili.

- Już czas, tato. - Meto trącił mnie w bok. - Kapitan wzywa wszystkich na pokład.

Pokręciłem głową.

- Ja nie jadę, Metonie.

- Co takiego? Tato, nie ma powodu, abyś tu dłużej został! Nie rozumiem cię. Pomyśl o Dianie! Przecież chcesz zobaczyć jej dziecko...

- Rupo!

Rupa siedział na kufrze, łapiąc oddech po dźwiganiu. Na mój okrzyk zerwał się i zbiegł na nabrzeże.

- Rupo, ty masz kluczyk do kufra?

Kiwnął głową i pokazał mi, że ma go na łańcuszku na szyi.

- Dobrze. Otwórz go. Na samym wierzchu znajdziesz skórzany woreczek z pieniędzmi. Przynieś mi go.

Meto patrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Ty naprawdę zostajesz?

- Tak.

- Ale dlaczego, tato? Jeśli jest coś, co musisz tu zrobić, pozwól mi zostać z tobą i ci pomóc. A przynajmniej zatrzymaj któregoś z chłopców albo Rupę...

- Nie! Muszę to zrobić sam.

Rupa uchylił wieko kufra. Mopsus i Androkles przybiegli zaniepokojeni, a w chwilę potem przyczyna ich niepokoju stała się jasna: z kufra wyglądał wystraszony kot Aleksander w srebrnej obróżce. Uniosłem brwi, ubawiony.

- Porwaliście świętego kota ze świątyni Izidy! Niech no się o tym dowie królowa Kleopatra! Kazałaby was utopić na miejscu.

- W takim razie nie może się o tym dowiedzieć - odparł Meto z uśmiechem. - Jestem przekonany, że kapitan nie będzie niezadowolony. Kocisko rozprawi się ze szczurami na okręcie.

Rupa wrócił na nabrzeże z miezkiem w ręku i podał mi go. Mopsus i Androkles ostrożnie zamknęli wieko, rozglądając się i sprawdzając, czy nikt nie zauważył, co w nim przemycają.

Objąłem na krótko Metona i cofnąłem się o krok.

- Opiekuj się nimi podczas podróży, Metonie. A kiedy się zobaczysz z Dianą i Ekonem...

- Właśnie, tato, co mam im powiedzieć? Jeszcze nie wiedzą o Bethesdzie. Jak mam im to przekazać? Co powiedzieć o tobie?

- Powiedz prawdę. Tyle, ile możesz. Czasami to musi wystarczyć.

- Diana będzie zrozpaczona, gdy się dowie o śmierci mamy. I co, mam jej po prostu oznajmić, że nie chciałeś wyjechać z Egiptu?

- Powiedz im, że ich kocham, zresztą sami dobrze o tym wiedzą. Powiedz, że wrócę, gdy tylko będę mógł... jeśli taka będzie wola bogów.

Kapitan okrętu dał ostatni sygnał, by wszyscy wchodzili na pokład. Marynarze rozbiegli się na swoje stanowiska, szykując galerę do wyjścia w morze. Meto wszedł na pokład, nie spuszczając mnie z oczu. Rupa, Mopsus i Androkles stanęli rzędem przy nim i kiedy statek z wolna zaczął się oddalać od nabrzeża, patrzyli na mnie w niezmiernym zdumieniu.

Galera zrobiła zwrot ku wyjściu i ich sylwetki zaczęły maleć. Wkrótce już nie mogłem odczytać wyrazu ich twarzy; podniosłem wzrok na wielką latarnię Faros i przypomniałem sobie, jak ją ujrzeliśmy z Bethesdą po raz pierwszy z pokładu *Andromedy*, zanim uderzył sztorm, niwecząc wszystkie nasze oczekiwania.





## ROZDZIAŁ 31

Postanowiłem odwiedzić królową Kleopatę. Ku memu zaskoczeniu zostałem dopuszczony przed jej oblicze niemal natychmiast. Zostałem ją półleżącą na purpurowej sofie zarzuconej poduszkami ze złotogłowiu. Niewolnice wachlowały ją pękami strusich piór. Miała na sobie luźną suknię z miękkiej materii, która jednak nie mogła już ukryć jej odmiennego stanu.

- Gordianus Poszukiwacz! Myślałam, że dziś odpływasz do Rzymu razem z twoim irytującym synem.

- Taki miałem zamiar, wasza królewska mość, ale zmieniłem zdanie.

- Chciałeś się jeszcze ze mną zobaczyć? - Kleopatra uniosła brwi.

- Mówiłaś mi kiedyś, pani, o specjalnych okolicznościach dotyczących śmierci w nurtach Nilu.

Popatrzyła na mnie badawczo i wolno skinęła głową.

- Ci, którzy zginą w Nilu, są błogosławieni przez Ozyrysa. Bierze do siebie ich ka już wtedy, gdy prądy i wiry rzeczne jeszcze toczą ku morzu ich puste ciała.

Pokręciłem gniewnie głową.

- Tyle mówisz o świętości Nilu! Widziałem Nil. Brodziłem po szyję w jego mulistej wodzie, szukając pustego ciała Bethesdy. Czuję, jak błotniste dno wciąga moje stopy. Wdychałem smrodliwe wyziewy gnijących roślin przy parujących brzegach. W Nilu nie ma nic pięknego. Jest brudny, śmierdzący, odrażający. Nil niesie śmierć!

- Ale niesie też życie! - Kleopatra położyła dłoń na brzuchu. - Niektórzy mężczyźni... przeczuleni, beznadziejni głupcy!... mówią to samo o świętej delcie między nogami kobiety. A stamtąd przecież bierze się życie. Ach, wy głupcy, marszczycie nosy na śliskie fluidy i silne wonie płodności! Wolicie bawić się zimnymi, błyszczącymi mieczami i dzidami, patrzeć, jak krew tryska z waszych ran! Tak, Nil jest taki, jak go opisujesz, wielki rynsztok błotnistej wody i chwytającego za nogi mułu. Sunie przez Egipt, niosąc życie i śmierć wszędzie, gdzie może dotrzeć. To właśnie robią bogowie. Dają życie, dają śmierć... i po niej wieczne życie.

- To ty tak uważasz. Według ciebie ci, którzy utonęli w Nilu, odradzają się. Ale czy mogą zmartwychwstać?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czy mogą kiedykolwiek chodzić po tym świecie?

Popatrzyła na mnie chmurnie.

- Myślisz o moim bracie? To prawda, jego ciała nie odnaleziono, ale...

- Jest jeszcze ktoś, czyjego ciała nie znaleziono.

Zmarszczyła brwi, po czym skinęła domyślnie głową.

- Twoja żona?

- Tak.

- Czemu zadajesz takie pytanie, Gordianusie?

- Może zadam inne. Powiedziałaś mi kiedyś, że znasz starą kapłankę ze

świątyni pod Naukratis.

- Byłam tam i spotkałam ją.

- Czy to możliwe, żeby się zjawiała w Aleksandrii, na jednym z rynków?

- Jest bardzo stara, ale to nie powód, żeby od czasu do czasu nie przyjechała do miasta. Nawet kapłanki muszą czasem kupować sobie trochę żywności. Ale gdybyś po prostu natknął się na nią na ulicy, nie zadawałbyś mi takich dziwnych pytań, prawda? Musiałeś widzieć jeszcze kogoś.

- Była z nią kobieta. Widział ją też Rupa, ale dla niego nie była to ta sama osoba, co dla mnie. Ujrzał w niej swoją siostrę, Kasandrę, której prochy rozsypał całe miesiące wcześniej nad Nilem. To dało mi do myślenia...

- Że żaden z was nie widział kobiety, którą naprawdę znał?

- Właśnie. Chyba że...

- Chyba że obaj widzieliście to, co się wam zdawało, że widzicie. Kasandrę i Bethesdę, jakimś cudem połączone przez rzekę i przywrócone do życia.

Zadrzałem.

- Czy takie rzeczy się zdarzają w Egipcie?

- Być może. Sądzę jednak, że wolałbyś usłyszeć jakieś bardziej racjonalne, mniej mistyczne wyjaśnienie, prawda, Gordianusie? Być może one obie były bardziej do siebie podobne, niż myślałeś. A może kobieta, którą widziałeś na rynku, była naprawdę twoją żoną. Może wcale nie umarła?

- Ale ona wyglądała młodziej od Bethesdy...

- Kiedy ją ostatni raz widziałeś, była chora, prawda? Chorowała już od dłuższego czasu. Jeśli teraz ma się lepiej, dzięki łagodnej egipskiej zimie i ciepłemu słońcu, czy nie może wyglądać młodziej niż wtedy?

- Bethesda żyje? Jak by to było możliwe? Szukaliśmy jej bez końca...

- Może nie chciała, żebyście ją znaleźli. Czy zawiniłeś jej w jakikolwiek sposób?

Pomyślałem o Kasandrze. Bethesda nie dała po sobie poznać, że wie, co między nami było, ale...

- Albo też coś się z nią stało w rzece - zastanawiała się dalej królowa. - Mogła stracić przytomność, pamięć, zgubić się...

- Ale wówczas, kiedy by przyszła do siebie, na pewno by mnie szukała...

- A niby gdzie? Zabrała cię armia Ptolemeusza. Skąd miałyby wiedzieć, dokąd iść? Gdyby nawet jakoś się dostała za tobą do Aleksandrii, to przypomnij sobie, przez ile miesięcy nikt z zewnątrz nie mógł się dostać do pałacu. Kto wie, czy przez cały ten czas twoja żona nie przebywała w tej świątyni Ozyrysa, oczyszczając się z jakiejś nieczystości, która wywołała jej chorobę, nabierając sił i wigoru poprzez służbę kapłance?

- Właśnie w coś takiego chciałbym wierzyć - odparłem ochryple.

- Ale boisz się fałszywej nadziei?

- Tak!

- Masz tylko jedno wyjście, Gordianusie. Zrób to, co robiłeś całe życie. Sam odkryj prawdę. Jedź do Naukratis, odszukaj świątynię i przekonaj się, co tam zastaniesz.

- A jeśli jej tam nie ma?

- Znajdziesz ją. Jak nie w świątyni, to w rzece. Musisz ją znaleźć i się z nią połączyć, w taki czy inny sposób. Czyż nie tego chcesz? Nie pragniesz tego z całego serca?

- Pragnę!

- Więc pokonaj swój strach. Jedź nad Nil i zrób, co konieczne, aby połączyć się z twoją żoną.

Wyszedłem od królowej wstrząśnięty i targany wątpliwościami, ale zdecydowany pójść za jej radą. Uśmiechnęła się, gdy odchodziłem. Czy dlatego, że podzieliła się ze mną świętą mądrością Izydy? A może dlatego, że gdybym zrobił to, co powiedziała, pozbyłaby się mnie na zawsze?

Do Naukratis doплыnąłem łodzią kursującą po kanale, a dalej pojechałem konno. Podróżując samotnie, bez niczyjego towarzystwa, zdałem sobie sprawę, że nie robiłem tego od bardzo, bardzo dawna. Przypomniały mi się młode lata, kiedy wyruszałem w świat, nie wiedząc, dokąd mnie droga zawiedzie ani na jak długo, idąc za swoim losem. Czasem bywałem niespokojny, czasem wyczerpany trudami podróży, ale częściej uskrzydłony poczuciem wolności i wiarą, że za następnym zakrętem może mnie czekać coś zaskakującego i wspaniałego. Dobrze mi było sam na sam ze swoimi myślami; lubiłem patrzeć, jak obok mnie przesuwały się coraz to inne widoki, najpierw z pokładu łodzi, potem z siodła. Kiedy wreszcie dotarłem w pobliże świątyni, byłem jednocześnie spokojny i podekscytowany.

Pogoda była przyjemna. Palmy kołysały się majestatycznie na lekkim wietrze z południa. Rolnicy pracowali na polach, zajęci czyszczeniem rowów irygacyjnych i naprawą kół wodnych w oczekiwaniu na doroczny wylew. Aleksandria wydawała się taka daleka, a Rzym? Mógłby równie dobrze być na Księżycu. To był Egipt, jaki pamiętałem z młodości i jaki pragnąłem znowu zobaczyć. Słońce głaaskało mnie po twarzy, wdychałem zapachy życiodajnego Nilu i czułem się jak przeniesiony w czasie wstecz, jakby wszystkie lata, które dzieliły tamten i ten okres, w ogóle nie istniały. Znów byłem młodzieńcem, który wylądował w tym kraju bez majątku, bez zobowiązań, ale patrzący w przyszłość z pewnością siebie, jaka cechuje tylko młodych.

Podjechałem do tego miejsca, gdzie między drogą a rzeką rosła wielka kępa bujnej roślinności. Choć jej nie widziałem, byłem pewien, że świątynia musi tu być. Spętałem konia i rozprostowałem sztywne, obolałe nogi starego człowieka, odwykłego od konnej jazdy, ale nawet to bolesne przypomnienie związanej z wiekiem słabości nie odebrało mi złudzenia, że czas się cofnął.

Przeszedłem przez kurtynę z pnączy i trafiłem na ścieżkę prowadzącą w głąb gęstwiny. Miejsce było jak zaczarowane. Gra światła i cienia między poruszonymi przez wiatr liśćmi sprawiała, że bliższe i dalsze krzewy zlewały się w jedną zieloną bryłę; straciłem wycucie odległości. Ścieżka wiła się i kluczyła przez zarośla, aż zacząłem się obawiać, że nigdy się nie wydostanę z tego labiryntu. A potem nagle wyszedłem na zalaną słońcem polanę i stanąłem przed świątynią. Ważki uwijały się w powietrzu, jak

uwięzione w świetlistym słupie. Woda ze źródelka spływała, szemrząc po kamieniach, do niewielkiej sadzawki. Nie zatrzymując się, wszedłem po schodach i po chwili byłem w środku. Ogarnął mnie zapach palonej mirry. Pomieszczenie było słabo oświetlone. W mroku zamajaczyła jakaś postać. Podeszła bliżej, aż wreszcie rozpoznałem ogorzałe rysy starej kapłanki. Gdzieś blisko rozległo się krótkie miauknięcie; spojrzałem w dół i zobaczyłem znajomego czarnego kota ocierającego się o jej nogi.

Czy to ta sama kobieta, którą widziałem w Aleksandrii, czy też wyobraźnia płata mi figle?

- Kapłanko - odezwałem się. - Przyszedłem tu wiele miesięcy temu... zeszłego lata... z moją żoną. Była chora i prosiła cię o poradę. Powiedziałaś, żeby wykapała się w Nilu. Pamiętasz?

Starucha wtuliła głowę w ramiona i patrzyła na mnie przez chwilę.

- O tak, pamiętam.

- A potem... nie tak dawno temu... zdawało mi się, że cię widzę na rynku w Aleksandrii. Czy to naprawdę byłaś ty? Wyjeżdżałaś do miasta?

Nie spuszczała ze mnie wzroku, aż w końcu pokręciła głową.

- Nie o to chciałeś mnie zapytać. Przyszedłeś tu dowiedzieć się czegoś innego.

- Tak. Masz rację. Przyszedłem dla Bethesdy. Czy ona tu jest?

- Z twoją żoną było bardzo źle, kiedy ją zobaczyłam. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Jej ciało osłabło, ale przede wszystkim to jej duch był chory. Była bardzo bliska śmierci. Nie mogłam dla niej wiele uczynić poza oddaniem jej w opiekę rzece.

- I rzeka ją wyleczyła?

- Idź na brzeg. Znajdź miejsce, gdzie ją ostatni raz widziałeś. Sam odkryj prawdę.

Mówiła prawie to samo, co Kleopatra. Zadrzałem, jak wtedy, w obecności królowej. Cofnąłem się na ganek, by złapać oddech. Kiedy wróciłem, kapłanka zniknęła razem z kotem. Świątynia była pusta; skwierczała tylko dogasająca lampa, a z kadzielnicy unosiły się ostatnie kłębki dymu. Zszedłem na polanę, przeskoczyłem przez sadzawkę i ruszyłem ścieżką ku rzece. Wkrótce znalazłem się na rozwidleniu i zawahałem się, starając się sobie przypomnieć, którądy trzeba iść dalej. Pamiętałem, że jedna ze ścieżek zaprowadziła mnie w splątany gąszcz na samym brzegu, gdzie zobaczyłem płynące z prądem popioły Kasandry, a druga wiodła do miejsca, gdzie zaginęła Bethesda. Ale która? Pamięć mnie zawodziła i stałem tam bezradnie przez długą chwilę. Zadanie nie było trudne, ale mój umysł był tak skołowany, że musiałem krok po kroku przeanalizować zapamiętane obrazy. Bethesda weszła do wody poniżej miejsca, gdzie widziałem popioły; stałem przodem do rzeki, która płynie w lewo; muszę więc wybrać ścieżkę po lewej.

Dróżka biegła jednostajnie w dół. Wśród listowia zaczynała prześwitywać zielona woda, połyskująca odbitymi promykami słońca. W końcu stanąłem na samym brzegu. Było tu cicho i spokojnie jak w pustelni, nad głową miałem parasol z liści, a dookoła gęste trzciny. Nie było jednak ani śladu Bethesdy. Krzyknąłem jej imię, płosząc stado ptaków, które z łopotem skrzydeł i głośnym piskiem wzbiły się w niebo i odleciały.

Powoli zdjąłem tunikę i przepaskę biodrową. Słońce padało pod takim kątem, że cała rzeka błyszczała jak złocista wstęga. Na moim nagim ciele tańczyły tyle jaskrawych plamek, jakbym miał szatę utkaną ze światła. Musiałem przymknąć oczy, chroniąc je przed blaskiem, za to ciepło, które czułem na skórze, było bardzo przyjemne. Ruszyłem naprzód. Twarde piaszczyste dno szybko ustąpiło grząskiemu mułowi, który uparcie czepiał się moich stóp. Woda szybko sięgnęła mi do piersi, a z następnym krokiem pod samą brodę.

- Och, Bethesdo... - szepnąłem.

Trzciny falowały na wietrze. Gładka powierzchnia Nilu nie zdradzała najmniejszego zainteresowania ani moim losem, ani niczym innym. Jednocześnie jednak zdawała się mnie witać. Mroczna, ciepła woda oferowała pociechę; jej bezkres obiecywał koniec ziemskiej próżności; jej niezmiennie trwanie otwierało drzwi do wieczności.

Jeszcze krok i woda zamknęła mi się nad głową. Otworzyłem oczy. Byłem zanurzony w mętną zieleń, ale powierzchnia w górze wyglądała jak arkusz kutego srebra. Otworzyłem usta, by wchłonąć Nil głęboko do płuc. Poczulem, jak wypełnia je ogień. Srebrny dach zgasł, woda z zielonej stała się czarna...

Poczulem na ciele czyjeś ręce. Z czerni wyłoniła się ludzka twarz. Kasandra! Nie... twarz Bethesdy, tak gładka i piękna jak wtedy, gdy ją po raz pierwszy ujrzałem na aleksandryjskim targu niewolników. Dotknęła wargami moich ust. Jej pocałunek wyssał ze mnie Nil i zakręcił w głowie...

Otworzyłem oczy, mrugając kilkakrotnie, aby pozbyć się wody spod powiek. Leżałem na piaszczystym brzegu rzeki. Nad mą głową drżał baldachim liści o srebrzystym odcieniu. Niebo ponad nim miało nieziemską barwę purpury, przetykanej smugami akwamaryny i cynobru.

Poczulem przy sobie ciepło czyjegoś ciała. Ktoś był ze mną.

Ocknęła się i uniosła na łokciu, by móc mi się przyjrzeć.

- Bethesda... - szepnąłem i zakaszlałem cicho. Wciąż miałem na języku smak Nilu.

- Mężu... - odszepnęła. Jej głos był przepełniony miłością i czułością.

Pocałowała mnie.

- Bethesdo, gdzie my jesteśmy?

Zmarszczyła brwi.

- Czyś jeszcze nie oprzytomniał, mężu? Nie pamiętasz, jak wszedłeś do rzeki?

- Tak, ale... Czy my żyjemy, czy umarliśmy?

- Jakie to ma znaczenie? Jesteśmy razem.

- Tak, ale... Jesteśmy teraz nieśmiertelni?

Roześmiała się. Jakże dawno nie słyszałem jej tak beztroskiego śmiechu!

- Nie wygłupiaj się. Czy odpowiedź nie jest oczywista?

- Niezupełnie.

Nie pamiętałem, abym gdziekolwiek widział takie niebo. A może ta dziwna paleta barw była zwykłym zjawiskiem optycznym, spowodowanym przez spotkanie słońca, morskiej mgły i nadchodzącej burzy piaskowej?

- Gdzie byłaś przez ten cały czas, Bethesdo?

Uśmiechnęła się.

- Pozwól, że na razie to ja będę zadawała pytania. Czy moja wnuczka już się urodziła?

- Tak! Niedawno dostałem list od Diany... Ale skąd wiesz, że to dziewczynka?

- Strzeliłam i zgadłam. - Wzruszyła ramionami. - Chcę ją zobaczyć. Musimy jak najszybciej wracać do Rzymu.

- A zatem jesteśmy żywi? - spytałem z uśmiechem.

Uniosła brwi i odparła:

- Myślisz, że duchy nie mogą podróżować?

- Pewnie mogą. Słyszałem opowieści o nawiedzonych statkach, ale nigdy się nie spodziewałem, że sam je będę nawiedzał... No, dobrze. Kiedy byliśmy młodzi i biedni, znaleźliśmy sposób na powrót do Rzymu, więc i teraz sobie jakoś poradzimy. Pojedziemy razem. - Ująłem jej rękę. - Wracajmy do domu, Bethesdo.

- Tak, mężu. Wracajmy do domu.







## OD AUTORA

Przez stulecia od jej śmierci Kleopatra wciąż przyciągała i dalej przyciąga wyznawców, wielbicieli, wrogów i ofiary, zwłaszcza wśród dramaturgów i powieściopisarzy. W *Antoniuszu i Kleopatrze* Szekspir wspaniale przedstawił rzymskiego wodza i królową jako romantycznych kochanków. Posługując się tekstem elżbietańskiego barda, Samuel Barber skomponował operę, którą wystawiono na inaugurację Metropolitan Opera House w Centrum Lincolna w 1966 roku. Za swój wysiłek na rzecz królowej kompozytor nieśmiertelnego *Adagio na kwartet smyczkowy* doczekał się druzgocącej krytyki. George Bernard Shaw dał nam *Cezara i Kleopatrze*, a jego zalotna królowa została ucieleśniona na ekranie przez Vivien Leigh. W latach sześćdziesiątych Elizabeth Taylor przyćmiła wszystkie wcześniejsze kreacje (późniejsze zresztą też) swą rolą w mocno krytykowanej superprodukcji filmowej Josepha Mankiewicza, którego przygoda z niebezpieczną monarchinią przyniosła mu jeszcze więcej zgryzoty niż Barberowi. Kleopatra może budzić neodpartą pokusę, ale mądrze postępuje ten, kto podchodzi do niej z ostrożnością...

Czy Kleopatra była piękna? Przekaz historyka Kasjusza Diona jest jednoznaczny:

*„Była kobietą niezwyklej urody, szczególnie wtedy, w kwiecie młodości, z cudownym głosem i umiejętnością zjednywania sobie każdego, a przy tym bardzo inteligentna; rozkoszą było na nią patrzeć i jej słuchać. Potrafiła owinąć sobie wokół palca nawet ludzi zimnych lub starych; była pewna, że trafi idealnie w gust Cezara i w swej urodzie pokładała wszelkie nadzieje na wywyższenie”.*

Plutarch w swoim *Żywocie Antoniusza* podaje tylko odrobinę mniej pochlebną opinię:

*„Jej uroda sama w sobie nie była tak wielka, żeby inne kobiety nie mogły się z nią równać, ani też nie powalała na kolana każdego, kto ją ujrzał, ale w obcowaniu była neodparcie pociągająca. Jej powab w połączeniu z darem konwersacji i charakterem widocznym we wszystkim, co mówiła i robiła, był czymś iście magicznym”.*

Niestety, niewiele się zachowało wizerunków Kleopatry, na podstawie których moglibyśmy sami ocenić jej urodę. Prymitywne portrety na monetach są raczej karykaturą, a jedyne popiersie uznawane za autentyczne, znajdujące się w Muzeum Watykańskim, jest pozbawione nosa. Jak powiedział Andre Malraux, „Nefretete jest twarzą bez królowej; Kleopatra jest królową bez twarzy”.

Kiedy poważnie się zabrałem do studiów nad Kleopatrą, zapamiętane z dzieciństwa jej wyobrażenie, inspirowane przez gwiazdorską kreację pani Taylor, stopniowo wyblakło. Miałem do czynienia z wielce problematyczną osobowością. Jeśli wziąć pod uwagę obowiązujące normy dla supermodelek dwudziestego pierwszego wieku, Kleopatrze można uważać za piękną lub nie; ale na pewno według współczesnych pojęć jej

psyche zdecydowanie nie wygląda ładnie. Wychowana do roli absolutnej władczyni, w bezlitosnej rywalizacji z rodzeństwem o miłość ojca, patriarchy kazirodczego klanu, Kleopatra wywodziła się z wyraźnie patologicznej, jak byśmy dziś powiedzieli, rodziny. Ojciec zamordował swą buntowniczą najstarszą córkę Berenikę; Kleopatra, pozbywszy się z pomocą Cezara swego brata-męża Ptolemeusza, wysłała później na tamten świat pozostałe rodzeństwo: siostrę Arsinoe i Ptolemeusza młodszego. Dziś możemy tylko pokiwać głową nad wykoślawioną osobowością, jaka była kształtowana przez takie akty przemocy. Sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że Kleopatra mogła całkiem poważnie uważać się przynajmniej za półboginię. Gdyby pojawiła się w dzisiejszej socjocie, myślę, że spokojnie można by ją zaliczyć do kategorii złych i zwariowanych kobiet, z którymi niebezpiecznie jest się zadawać.

Im dalej się zagłębiałem w studia nad dominującymi postaciami tego okresu - w tym nad Cezarem i Pompejuszem - tym częściej przychodził mi na myśl komentarz L. Sprague'a de Campa, który w innym kontekście (recenzując powieści fantasy E. R. Eddisona) napisał:

*„Krótko mówiąc, „wielcy” Eddisona, nawet najlepsi z nich, są okrutnymi, aroganckimi brutalami. Można - w kategoriach ogólnych - podziwiać niezłomną odwagę, energię i talent tych wybujających ego. W praktyce są oni jednak podobni do największych drapieżników, których siłą i urodą najlepiej się zachwycać zza solidnych, stalowych krat”.*

Mamy tylko mgliste pojęcie o tym, jak wyglądała Kleopatra, ale po jej bracie, królu Ptolemeuszu, nie pozostał żaden wizerunek. Nie mamy nawet pewności co do jego wieku w chwili przybycia Cezara. Ja dałem mu piętnaście lat, przyjmując największą liczbę postulowaną przez historyków. Kiedy pisarze lub filmowcy w ogóle się zajmowali Ptolemeuszem, narysowane przez nich portrety nie są pochlebne. Mankiewicz zrobił z niego nadąsanego bachora zdominowanego przez eunucha Potejnosa, który z kolei został przedstawiony jako płaczliwy gej. Dlaczego jednak mielibyśmy uważać, że Ptolemeusz był choć trochę mniej urodziwy i charyzmatyczny od swej starszej siostry, albo że Cezar był nim mniej zauroczony niż nią? Jako jedna z wielkich przegranych w historii, Kleopatra została odarta z czci i znaczenia przez tych, którzy ją pokonali. Możemy przyjąć, że tak samo ona i inni postąpili z Ptolemeuszem. Między wierszami *Wojny domowej* Cezara można odczytać historię dziwnego uczuciowego trójkąta, jaki musiał powstać między nim a tym rodzeństwem-mażeństwem w gorącej atmosferze intryg podczas ich przymusowego wspólnego pobytu w aleksandryjskim pałacu. W tej powieści pożegnalna wypowiedź Ptolemeusza do Cezara, pełna afektu i oddania, jest przytoczona dosłownie z własnych pamiętników imperatora. Jakie uczucia żywili Kleopatra i Ptolemeusz do siebie nawzajem i do Cezara, a jakimi on im się odwzajemniał? Wydaje mi się, że historycy, zaślepieni fascynacją osobą królowej (w kontekście *mores* ich własnych *tempora*), pominęli nie opowiedzianą historię politycznych i osobistych decyzji, przed jakimi stał Cezar w walce o stabilizację - tak w kwestiach państwowych, jak i sercowych - w Egipcie.

Źródła opisujące koniec Pompejusza i poczynania Cezara w Aleksandrii

są bogate, choć nie zawsze zgodne. Kasjusz Dion i Appian w swoich historiach Rzymu, Plutarch w biografiach Cezara i Pompejusza, Swetoniusz w *Żywocie Cezara*, Lukan w epickim poemacie *Farsalia*, no i sam Cezar w pamiętnikach z wojny domowej przedstawiają różne aspekty tej historii. Pliniusz podaje dokładne pomiary wahań poziomu Nilu:

„Największy przybór do tej pory wyniósł dwadzieścia siedem stóp (...) najmniejszy zaś siedem i pół stopy w roku bitwy pod Farsalos, jak gdyby rzeka przez taki omen próbowała zapobiec morderstwu Pompejusza”.

Od Strabona, piszącego w 25 r. p.n.e., czerpiemy całą naszą - niewielką - wiedzę na temat planu starożytnej Aleksandrii, która do dzisiaj nie została odkryta przez współczesnych archeologów. Dokładne położenie Biblioteki i licznych innych ważnych budowli nie jest znane. *Przygody Leukippy i Klejtofona* pióra Achillesa Tacjusza, tworzącego w drugim wieku naszej ery, dają pewne wskazówki co do niepewnej lokalizacji grobowca Aleksandra Wielkiego. Lukan pisze, że Cezar odwiedził grobowiec Macedończyka (to samo uczyniło później kilku rzymskich cesarzy; Dion opowiada, że August, chcąc ozdobić głowę mumii złotą koroną, niechcący odłamał jej nos).

Jeśli chodzi o współczesnych historyków, najbardziej dla mnie interesujące okazały się następujące książki: *Cleopatra* Jacka Lindsaya (Constable&Company Ltd, Londyn 1971), *Life and Times of Cleopatra, the Queen of Egypt* („Życie i czasy Kleopatry, królowej Egiptu”) Arthura Weigalla (G.P. Putnam & Sons, Nowy Jork i Londyn 1924), *Cleopatra, A Study in Politics and Propaganda* („Kleopatra: Studium polityki i propagandy”) Hansa Volkmana (Sagamore Press, Nowy Jork 1958), *Alexandria, the Jewel of Egypt* („Aleksandria, klejnot Egiptu”) Jeana-Yves’a Empereura (Nowy Jork 2002) i tom trzeci monumentalnego dzieła T. Rice’a wydanego przez Clarendon Press z Oksfordu w roku 1923, *The Roman Republic and the Founder of the Empire* („Republika rzymska i założyciel cesarstwa”). Wiele przyjemności czerpałem z lektury przekładu *Farsaliów* Lukana autorstwa Jane Wilson Joyce (Cornell University Press, Ithaca i Londyn, 1993). Bogatym źródłem wizualnym jest wydany przez własne wydawnictwo British Museum w roku 2001 katalog wystawy pod tytułem *Cleopatra of Egypt, from History to Myth* („Kleopatra z Egiptu. Od historii do mitu”).

Pragnę podziękować Penni Kimmel, Rickowi Solomonowi i Rickowi Lovinowi za przeczytanie manuskryptu, mojemu niestrudzonemu agentowi Alanowi Nevinsowi, a także redaktorowi z St. Martin’s Press, Keithowi Kahli.

Na koniec posłużę się poniższym stwierdzeniem Kasjusza Diona, opisującego zapalną sytuację w Aleksandrii podczas pobytu Cezara:

„Egipcjanie są najbardziej religijnie nastawionym ludem na świecie i z powodu wiary wszczynają wojny nawet między sobą, jako że ich kult nie jest jednolitym systemem, a jego różne odłamy stoją nawet we wzajemnej sprzeczności”.

Twardogłowi, nieskończenie pragmatyczni Rzymianie ze swą skłonnością do *realpolitik*, nie bardzo wiedzieli, jak przyjąć niezemi fanatyzm Egipcjan. Możemy się tylko zadumać nad tym, że obserwacje

Diona dotyczące mieszkańców tego regionu są równie prawdziwe dzisiaj,  
jak w czasach Kleopatry.



**KONIEC**  
**tomu jedenastego**

**Księgozbiór DiGG**



**2009**